

MAGIA I PRZYGODA

# PIRACI!



Celia  
Rees

„Celia Rees posiada magiczną moc  
oddziaływania na umysły i serca czytelników”.  
„Guardian”

**Celia Rees**

**PIRACI!**

*Tłumaczyła Hanna de Broekere*

*Prawdziwe i niezwykle przygody piratek*

*Minervy Sharpe oraz Nancy Kington*

## Od autorki

Rzadko się zdarza, aby pisarz był w stanie dokładnie, co do dnia i godziny, określić, kiedy narodziła się dana książka. Niniejsza powieść wyrosła z pomysłu, o którym wspomniałam zdawkowo w emailu do mojej redaktorki, Sarah Odediny, dotyczącym zupełnie innej sprawy. Pierwsza wzmianka była bardzo ogólna, jednak entuzjazm Sarah okazał się tak samo wielki jak mój i po trzech kolejnych wymianach korespondencji zgodziłam się napisać książkę o dziewczynie, która zostaje piratem. Pozornie mogło się wydawać, że pomysł na tę książkę narodził się w czasie naszej korespondencji, jednak gdy lepiej się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że istniał w zakamarkach mojej świadomości od czasu, kiedy skończyłam dziesięć lat i spędzałam wiele czasu na rysowaniu statków pirackich oraz marzeniach o życiu bardziej ekscytującym od mojego. W szkole uczyliśmy się piosenki *Słodka Polly Oliver*. Niektóre linijki pamiętam do dziś:

*... nagle, dziwna myśl powstała w jej głowie.*

*Ni ojciec, ni matka nie mogli jej odwieść,*

*Poszła do wojska, by z chłopcem swym być...*

Pamiętam, jak ją podziwiałam za tak wspaniały pomysł, jak niezwykle dzielną, odważną i nieustraszoną była w moich oczach, decydując się na taki, jakże romantyczny, czyn. Właśnie wtedy

zaczęła się moja miłość do ballad, która trwa do dziś. Skierowałam więc swe kroki do mojej kolekcji płyt, by poszukać pieśni o żeglarzach oraz ich ukochanych, o wrakach, o statkach – zjawach, o dziewczynach, które ubierały się w chłopięcy strój, aby podążać za swoim sercem oraz przeznaczeniem. Dzięki balladom poczułam ducha tamtych czasów (zapraszam na stronę: [liarees.co.uk](http://liarees.co.uk), gdzie znajduje się moja lista). Jednak na tym nie poprzestałam. Sięgnęłam również do pisarzy z tamtej epoki, z których najważniejszy dla mnie okazał się Daniel Defoe. Jestem mu niewymownie wdzięczna za jego *A General History of the Robberies and Murders of the Most Notorious Pyrates* napisaną pod pseudonimem Kapitan Johnson. Z tej książki dowiedziałam się prawie wszystkiego, co było mi potrzebne, ale dodatkowo przeczytałam również prace współczesnych historyków, którzy na nowo badają losy żeglarzy, niewolników, buntowników, gwattowników oraz prawdziwych Polly Oliver, czyli tych, którzy żyli w świecie, jaki pragnęłam odtworzyć.

Moje lektury również można znaleźć na [www.celiarees.co.uk](http://www.celiarees.co.uk), ale nie tylko książki okazały się pomocne przy pisaniu tej powieści. Jestem również wdzięczna wielu ludziom, którzy pomogli mi na wiele sposobów. Dziękuję mojemu mężowi, Terry'emu, za cierpliwe słuchanie, wyważony entuzjizm oraz uważne czytanie. Mojej córce, Catrin, dziękuję za to, że towarzyszyła mi w podróży do Bath oraz że udała się ze mną na wyczerpującą pieszą wędrówkę po Bristolu w bardzo upalny dzień, kiedy to starałyśmy się znaleźć ślady świata, który kiedyś zamieszkiwała Nancy. Galeriom sztuki oraz muzeom

Bristolu jestem wdzięczna za kolekcje obrazów oraz eksponatów z tamtej epoki, Julii Griffiths-Jones za namalowanie dla mnie naszyjnika, a Davidowi i Jenny Prestonom za przywiezienie przypraw. Chciałabym również podziękować mojej agentce, Rosemary Sandberg, oraz innym za wczucie się w ducha książki i zezwolenie mi na pożyczenie wszystkiego, czego tylko zapragnęłam. Dedykuję tę książkę wszystkim wymienionym osobom oraz każdemu, kto kiedykolwiek marzył o byciu piratem.

*Przypuszczam, że nie musimy przeproszać, że nadajemy miano historii opowieściom przytoczonym na następnych stronach, choć nie zawierają w sobie nic poza czynami bandy piratów. Tym, co sprawia, że czyny zasługują na utrwalenie, są odwaga oraz sztuka wojenna, zatem w tym sensie opisane tu przygody z pewnością na takie miano zasługują.*

Daniel Defoe, *A General History of the Robberies and Murders of the Most Notorious Pyrates* (Przedmowa do czwartego wydania)

## Wstęp

1724

Piszę z wielu powodów.

Piszę przede wszystkim po to, aby uciszyć mój smutek. Myślę, że poprzez ponowne przeżycie przygód, jakich doświadczyłam wraz z Minervą, zdołam jakoś zmniejszyć ból naszego rozstania. Poza tym długa podróż morska bywa nużąca. Muszę znaleźć sobie zajęcie stosowne do mojej obecnej pozycji i sytuacji, w której nie posługuję się już pistoletami ani szablą, a zamiast bryczesów noszę suknię.

Zamierzam tu opisać moją historię. Moją oraz Minervy. Gdy zdam już relację z tego, co i jak się wydarzyło, zaniosę moje zapiski do pana Daniela Defoe w Londynie, który, jak rozumiem, interesuje się wszystkimi, którzy wybrali pirackie życie.

Jeśli nasza historia wyda się wam nieco wydumana, charakterem przypominająca powieść, to zapewniam, że nie są to żadne wymysły. Nasze przygody wcale nie potrzebują upiększeń ani dodatków, wręcz przeciwnie – czuję, że będę musiała pominąć pewne szczegóły, aby was nie szokować. Przeczytacie o wielu rzeczach, zarówno dziwnych, jak i strasznych, dla wielu z was wprost niewiarygodnych, jednak nalegam, abyście wstrzymali się z sądem nad nami do chwili, gdy skończycie czytać i dobrze poznacie okoliczności, które sprawiły, że zeszyliśmy na tę haniebną drogę i potępiono nas jako piratów.

# **Córka kupca z Bristolu**

Od dziecka ciągnęło mnie do podróży i przez wiele lat marzyłam o tym, żeby stanąć pod żaglami na jednym ze statków mojego ojca. Pewnego pochmurnego ranka latem 1722 roku moje marzenie zostało spełnione, choć nie w sposób, którego sobie życzyłam.

Wy płynęłam z portu w Bristolu na pokładzie „Sally-Anne”. Marynarze, którzy płynęli wraz ze mną, mieli na rękach czarne opaski, a flagę spuszczone do połowy masztu. Dzień wstał ponury i zimny. Nasze twarze smagał deszcz. Marynarze wpatrywali się w ścigane wiatrem chmury ze zmarszczonymi od frasunku brwiami. Na szczęście to był jedynie szkwał, nic poza tym, zamierające podmuchy sztormu, który zrujnował życie mojego ojca, a wraz z nim i moje.

Mój ojciec handlował cukrem oraz niewolnikami. Posiadał plantacje na Jamajce i to właśnie tam zmierzałam, choć nie podano mi przyczyny, dla której mnie tam wyprawiono. Moi bracia powiedzieli mi tylko, że była to ostatnia wola umierającego ojca. Nie miałam jeszcze szesnastu lat i byłam dziewczyną, więc ani mnie nie zapytano, ani się mnie poradzono. Uważali, że jestem głupia. Trudno o dalszą od prawdy ocenę. Wiedziałam dość, by nie ufać żadnemu z nich, i czas miał pokazać, że się nie myliłam. Sprzedali mnie tak samo, jak robili to z Afrykanami z wybrzeża Gwinei.

Wiele wskazywało na to, że już nigdy więcej nie miałam zobaczyć rodzinnego portu, jednak opuszczając go, nie płakałam. Nie oglądałam się też za siebie, jak czynili to inni, w nadziei że po raz ostatni



zobaczą swoją ukochaną lub żonę i wznosząc oczy ku strzelistej wieży kościoła St Mary Redcliffe, szeptali słowa modlitwy: „Maryjo, Gwiazdo Mórz, ześlij swoje błogosławieństwo, strzeż mnie”. Mojego ukochanego już nie było w porcie, a w kościele spoczywało rozkładające się ciało mojego ojca i powoli zamieniało się w proch. Za życia ojciec zawsze przychodził do portu, żeby patrzeć na statki wychodzące w morze. Być może patrzył teraz na mnie z góry: niespokojny duch, szarpany wyrzutami sumienia, szalejący z powodu swojej niemocy, nareszcie świadom prawdy, że zmarli nie mają żadnej władzy nad żywymi.

Jednak jeżeli mój ojciec tam gdzieś był, to ja nie miałam o tym pojęcia. Jedyne, co czułam, to padający na mnie deszcz, który spływał strużkami po twarzy i kapał z brody. Niebo płakało nade mną. Niedola przyłgnęła do mnie tak samo jak moja przemoknięta peleryna.

Opuściwszy port, wpłynęliśmy do wijącego się wąwozu. Po obu stronach wznosiły się wysokie, proste zbocza urwisk, których szczyty ginęły w nisko sunącej powłoce chmur. Przed nami płynęła holująca nas łódź, na której ciężko pracowali wiosłarze. Statek poruszał się wolno. Płynęliśmy pomiędzy strzelistymi graniami, które zdawały się zwięzać kanał i grozić, że zmiażdżą nas jak Jazona i jego Argonautów. Pilot wykrzykiwał kierunek oraz głębokość wody. Prowadził nas przez cieśniny na rzece Avon ku błotnistym równinom i bagnistym depresjom Hungroad. Tam, tuż nad wodą, stała szubienica, z której zwisała żelazna klatka z ciałem jakiegoś skazanego marynarza. Biedak pomazany był smołą i skuty łańcuchami. Skrzypienie klatki miało być

ostrzeżeniem dla każdego przepływającego statku.

Powinnam była lepiej się przyjrzeć, ale powieszonych widywałam już przedtem, więc nie poświęciłam mu większej uwagi.

Gdy już wypłynęliśmy na otwarte wody Kanału, łodzie holownicze zostawiły nas i zawróciły do portu. Nieliczni pasażerowie, jacy znajdowali się na statku, już dawno uciekli przed deszczem pod pokład. Na górze zostali jedynie marynarze.

Gdy statek wychodzi w morze, jest mnóstwo rzeczy do zrobienia. Marynarze zabrali się do wykonywania swoich obowiązków. Uwijali się obok mnie, jednak odwracali ode mnie wzrok. Nikt mnie nie poprosił, żebym się przesunęła albo zeszła na dół. Zostawili mnie w spokoju z szacunku dla mojego żalu po śmierci ojca. Tak przynajmniej wtedy sądziłam, jednak wieści szybko się rozchodzą po portowych karczmach i piwiarniach. Być może wiedzieli więcej ode mnie.

Rozległ się rozkaz: „Stawiać żagle!”, po którym marynarze podwoili swoje wysiłki. Żagle zostały rozwinięte, statek pochylił się na jedną stronę, ustawiając się do zachodniego wiatru, aby wejść na głębokie szlaki morskie. Woda pod nami zakotłowała się, czerwona od błota naniesionego przez wezbraną rzekę Severn. W miejscu, gdzie rzeka i odpływ spotykały się, statek zanurzył się głębiej we wzburzonych falach. W miarę jak oddalaliśmy się od lądu, deszcz się nasilał, zamazując granicę pomiędzy niebem a morzem. Wszystko wokół zakryła rozszalała szarość. Nie widziałam, ani dokąd zmierzam, ani skąd przybyłam. Statek stawiał czoło falom odpływu oraz

uderzeniom wiatru. Nie byłam przyzwyczajona do ruchów statku, więc gdy zanurzył się w fale, a potem uniósł, zatoczyłam się, nogi poślizgnęły mi się na mokrym pokładzie i nieomal upadłam. Ktoś mocno chwycił mnie od tyłu i postawił na nogi. Był to mój brat Joseph.

– Chodź, Nancy – powiedział. – Trzeba zejść na dół. Tylko zawadzasz marynarzom. Mają dość roboty i bez pilnowania, żebyś nie wypadła za burtę!

Zaprowadził mnie pod pokład, dając przy tym popis braterskiej dobroci oraz troski przed każdym, kto tylko nas widział. Teraz już rozumiem, dlaczego tak się mną przejął. Gdybym wtedy wypadła za burtę, zabrałabym ze sobą jego przyszłość.

Joseph zostawił mnie pod opieką stewarda, Abe Reynoldsa, który pomógł mi zdjąć przemoczoną pelerynę, cały czas przy tym utyskując nad stanem mojego ubioru. Pod tym względem bardzo przypominał mi moją pokojówkę, Susan. Oboje uważali, że wilgoć jest źródłem większości chorób. Abe przyniósł mi zaraz gorącego bulionu, jednak na sam jego widok, nie mówiąc już o zapachu, dostałam okrutnych mdłości.

– Jestem pewna, że jest bardzo smaczny, ale... – Nie dokończyłam zdania. Mało brakowało, a nie zdążyłabym dobiec do wiadra.

Musiałam poprosić Abe'a, żeby natychmiast zabrał zupę.

– Chyba nie chce panienka się rozchorować – powiedział głosem, który, tak jak u Susan, był pełen troski i nagany.

Na zapobieganie było za późno. Zaczęłam się cała trząść. Abe

kazał mi natychmiast zdjąć mokre ubrania, po czym przyniósł gorące cegły, aby mnie rozgrzać. Leżałam na mojej koi z rozgrzаныmi cegłami wokół stóp, trzęsąc się i wymiotując na przemian. Nigdy w życiu nie czułam się tak źle. Myślałam, że umrę.

– Wszyscy tak myślą, panienko – powiedział Abe z szerokim uśmiechem. Jego przednie zęby dawno temu zniszczył skorbut. Zęby oczne sterczały po obu stronach ciemnej luki niczym para przebarwionych kłów jakiegoś zwierzęcia. – Przejdzie z czasem. Zajrzę tu później.

Leżąc na koi, pomyślałam, że nigdy w życiu nie mogłabym być marynarzem. Jednak Reynolds miał rację. Po jakimś czasie mdłości ustąpiły, choć ja czułam się słaba i wyczerpana, niezdolna do niczego poza leżeniem na koi.

Mówi się, że ci, którzy wypływają w morze, albo patrzą w przyszłość, albo oglądają się za siebie. Mój przyszły los pozostawał dla mnie tajemnicą, więc nie miałam innego wyboru, jak tylko myśleć o tym, co już przeżyłam.

Wychowałam się w domu pełnym mężczyzn, ponieważ moja matka zmarła w dniu moich narodzin. Ponoć ojciec kochał ją tak bardzo, że bez niej nie wyobrażał sobie życia w Bristolu. Zostałam więc natychmiast oddana do mamki na wykarmienie, moi bracia wyprawieni do krewnych, ojciec zaś wyruszył następnym statkiem na Jamajkę i wrócił dopiero po upływie ponad roku. Przywiózł ze sobą Roberta, który przejął prowadzenie domu. Przygotowywał posiłki, podawał do stołu, wprowadzał i wyprowadzał gości. Poza Robertem naszym jedynym służącym był Nathan, który zajmował się kominkami i robił wszystko, czego nie robił Robert. Jedynie do prania przychodziła kobieta, poza tym Robert i Nathan robili w domu wszystko. Mój ojciec nie widział powodu, dla którego miałyby opłacać gromadę kobiet, które jojczą, plotkują i z dnia na dzień od siedzenia dostają grubsze zadki.

Robert dobrze się mną opiekował. Karmił mnie, ubierał, pilnował, żebym zawsze wyglądała czysto i schludnie, szczególnie podczas niedzielnego wyjścia do kościoła. Nie modlił się z nami. My chodziliśmy do kościoła St Mary Redcliffe, a on do kościoła baptystów na Broadmead. Chodził tam dwa razy w każdą niedzielę. Wierni przyjęli go bez oporów, pomimo koloru jego skóry.

– Bogu wszystko jedno, jaką masz twarz – oświadczył. – O ile w twoim sercu jaśnieje Jego chwała.

Był łagodnym i mądrym człowiekiem. Ponieważ nikt inny tym się

nie przejmował, Robert nauczył mnie czytać przy stole kuchennym, przy którym on sam wcześniej nauczył się tej sztuki. Czytaliśmy wszystko, co tylko mieliśmy: Biblię, modlitewnik, traktaty oraz kazania, które Robert przynosił ze swego kościoła, oraz ballady i ulotki, które dostał na ulicy. Gdy już nabrałam biegłości w sztuce czytania, zaczęłam podbierać książki z pokoi moich braci oraz z biblioteki ojca. Brałam wszystko, co mnie zainteresowało, a potem czytałam Robertowi mity Greków i Rzymian, *Bukanierów Ameryki* Exquemelina oraz *Nową podróż dookoła świata* Williama Dampiera. Przygody oraz odkrycia – to było życie dla mnie. Czyż to nie byłoby cudowne? Chyba Robert zgadza się ze mną? Pokręcił tylko głową, a w jego oczach pojawił się wyraz współczucia i żalu: to nie dla mnie. Byłam dziewczyną. Poza tym piraci to bezbożni ludzie, skazani na piekło. Będzie lepiej, jeśli poczytam o pielgrzymach. Ja jednak dalej czytałam moją książkę, odwróciwszy się, żeby mnie nie widział. Poczerwieniałam na twarzy i poczułam, że do oczu napłynęły mi łzy. Aż do tamtej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że bycie dziewczyną to taka duża ułomność. Ale Robert jest tylko służącym, pomyślałam. Co on tam może wiedzieć?

Gdy miałam siedem, może osiem lat, zyskałam cały dom tylko dla siebie. Moi bracia wyjechali z domu do szkół. Dla każdego z nich ułożono plan na życie, gdy jeszcze byli w kołysce. Henry, najstarszy, miał zostać handlarzem cukrem tak jak ojciec. Joseph miał być plantatorem. Mały Ned, najmłodszy, był przeznaczony do regimentu piechoty. Dla mnie nie było żadnych planów, ponieważ, jak zauważył

Robert, byłam dziewczyną. Miałam odczucie, że jestem wśród nich kimś na przyczepkę, nie liczącym się dodatkiem. Czasami mnie pieszczono, częściej tyranizowano. Najczęściej ignorowano.

Mieszkaliśmy przy ulicy, która biegła w dół ku Welsh Backs, o rzut kamieniem od doków i rafinerii cukru. Nasz dom był stary, wysoki i wąski, jakby zduszony przez sąsiednie budynki. Z brukowanej ulicy do naszego domu prowadził tylko jeden stopień. Od wczesnego rana do późnej nocy ulica rozbrzmiewała stukotem wozów oraz krzykami i nawoływaniami. W porównaniu z okazałymi budowlami, które stawiali sobie inni handlarze cukru, nasz dom był bardzo mały. Ściany były pokryte boazerią, przez co jego wnętrze wydawało się mroczne, schody się zapadały, a sufity znajdowały się tuż nad głową, jednak ojciec nie widział powodu, dla którego mielibyśmy się stamtąd wyprowadzić. Nie lubił zmian, a poza tym z okna sypialni widział maszty swoich statków. Był blisko swojego miejsca pracy, nieopodal karczmi i kawiarni, w których prowadził interesy. Dlaczegoż więc miałby chcieć mieszkać gdzie indziej?

Nie spędzał całego czasu w Bristolu. Przynajmniej przez kilka miesięcy każdego roku przebywał na Jamajce, prowadząc naszą plantację. Wiedziałam, że jego wyjazdy są ważne, że stamtąd pochodzi cukier, a za cukier można było kupić wszystko, jednak gdy podrosłam, zaczęłam buntować się przeciwko jego długim nieobecnościom. Gdy wracał, zarzucałam go pretensjami i wymówkami, nie zwracając uwagi na prezenty, które mi przywiózł. Kiedyś podarował mi małą (która zmarła) oraz papugę, którą Ned

nauczył przeklinać. Martwa małpka oraz papuga o niewyparzonym języku nie były w stanie zrekompensować mi braku ojca. Gdy nie było go w domu, wchodziłam do pokoju, który nazywał swoją biblioteką, i zwiјаłam się w kłębek na jego fotelu. Pokój był mały i ciemny, podobnie jak inne izby w naszym domu. Podczas nieobecności ojca pokrywał się kurzem, śmierdział popiołem oraz stęchłym tytoniem.

Gdy był w domu, zapalano wszystkie światła, a na kominku buzował ogień. Wtedy biblioteka stawała się dla mnie najmiłszym miejscem na świecie. Była pełna cudownych przedmiotów, które ojciec przywiózł ze swoich wypraw lub otrzymał w prezencie od swoich kapitanów. Z sufitu zwisał na czarnych drutach malutki zielony krokodyl. Miał szeroko rozstawione krótkie, grube nóżki, a w wąsko rozchylonej paszczy błyskały małe, ostre zęby. Tuż obok wisiała jakaś dziwna, nadmuchana ryba z wieloma kolcami. Na ustawionych wzdłuż ścian półkach znajdowały się inne fascynujące przedmioty: rzeźbione wizerunki, kły słoni, płytki ze skorup żółwi, wygładzony orzech kokosowy, osadzony w srebrnym pucharku, ogromna muszla zwinięta w taki sposób, że przypominała różową pięść pokaźnych rozmiarów. W jednym z rogów tego ciasnego pokoju stał zniszczony globus. Jego powierzchnie pokrywały przecinające się czerwone oraz czarne linie. Były to szlaki, jakimi statki płynęły z Bristolu do Afryki lub na Karaiby oraz z powrotem do rodzinnego portu. Czasami ojciec obracał globus, a zatrzymawszy go obiema rękami, wodził palcem po morskich drogach, niczym niewidomy po twarzy znanej mu osoby, i wypowiadał na głos nazwy statków, które



te szlaki przebyły. Był dumny ze swoich statków oraz ze swojej kolekcji osobliwości. Nieraz pokazywał mi krainy, z których pochodziły jego skarby. Dla mnie te wszystkie przedmioty stały się tak powszednie jak dla kogoś innego cynowe lub gliniane naczynia.

Rodzina ojca zajmowała się handlem towarami spożywczymi, jednak ojciec, będąc w młodości przedsiębiorczy, a na dodatek przejawiając skłonności do przygód, wyłamał się z tej raczej mało pasjonującej tradycji i popłynął do Indii Zachodnich.

Uwielbiałam słuchać jego opowieści o tamtym okresie jego życia, a on uwielbiał je opowiadać. Siadywałam mu na kolanie z głową opartą o jego ramię, a on snuł opowiadania o czasach, gdy on i jego towarzysze byli bukanierami i zdobyli Fountainhead. Wciąż pamiętam, jak ciepło jego ciała i bicie serca tuż przy moim dawało mi poczucie bezpieczeństwa oraz szczęścia.

Fountainhead było nazwą naszej plantacji. Miało godło, które dla mnie wyglądało jak płacząca wierzba, i widniało na stawianych wszędzie pieczęciach. Było nawet wyryte w drewnie nad wejściem do naszego domu.

Oprócz plantacji mój ojciec był również właścicielem rafinerii oczyszczającej brązowy cukier i melasę nie tylko z jego plantacji, ale również z upraw innych plantatorów, w których imieniu działał jako agent. Gdy był w Bristolu, to w rafinerii przebywał o wiele dłużej niż w swoim domu.

Robert nauczył mnie czytać, jednak pisać i liczyć nauczyłam się w kantorze mojego ojca. Moimi zeszytami były faktury, rachunki, księgi

pokładowe statków oraz dowody załadunku, które codziennie przechodziły przez ręce ojca. Kantor był małym, ciepłym pomieszczeniem, z okrągłym, przypominającym luk okienkiem, z którego było widać doki. Powietrze było nasycone słodkim zapachem gotującego się cukru. Jego woń unosiła się wszędzie, wchodziła w ubrania i włosy. Cały budynek był nią przesiąknięty.

Przychodziłam tam z rana, zasiadałam przy zawalonym papierami biurku i mozolnie przepisywałam spisy towarów, zestawiając je z kwotami pieniędzy. Brudząc się atramentem, zapępiałam kolejne kartki słowami oraz liczbami. Po pewnym czasie ojciec uśmiechał się do mnie. Na dziś wystarczy. Miał interesy, których musiał przypilnować, a kapitanowie oraz kupcy czekali, aby z nim porozmawiać.

Zbiegałam na dół, do pomieszczeń, w których składowano cukier, żeby wyprosić garść wiórków z głów cukrowych, a potem biegłam poszukać Williama.

Williama znałam, od kiedy tylko sięgam pamięcią. Jego matka, Mari, była moją mamką. Mieszkałam z nią do trzeciego, może czwartego roku życia, kiedy to zostałam zabrana niczym szczenię od reszty miotu i przeniesiona z powrotem do mojego domu rodzinnego. Prawdopodobnie ojciec pogodził się już ze śmiercią mojej matki, ponieważ zaczął się mną troskliwie zajmować i z dzieciństwa pamiętam tylko jego dobroć. Był pobłażliwym rodzicem, niektórzy mogliby powiedzieć, że nazbyt pobłażliwym, ponieważ pozwalał mi robić, co tylko chciałam. W rezultacie stałam się samowolna i

krnąbrna. Większość czasu spędzałam na łobuzerskich zabawach z innymi dziećmi w porcie.

Nie brakowało mi towarzystwa do zabaw. Doki i statki przyciągają dzieci tak samo jak rzeźnia przyciąga muchy. Przewodziłam wszystkim dzięki kieszeniom pełnym połyskujących kawałków cukru oraz ciemnemu, kruchemu cukrowi, owiniętemu w papier. Inne dzieciaki nazywały to „przyprawami”. „Masz przyprawy, Nancy?”, wołali do mnie. Do zabaw wykorzystywaliśmy wszystko, co tylko znaleźliśmy: z beczek budowaliśmy zamki, z desek pokładowych robiliśmy sobie huśtawki, obręcze beczek toczyliśmy za pomocą drzewców, bujaliśmy się na sieciach i wspinaliśmy się na liny okrętowe.

Naszym przywódcą był William. To on ustanawia! wszelkie prawa i zasady. Ja byłam jego podoficerem. Wspólnie przewodziliśmy znanej w całym mieście bandzie.

Dobrze wiedziałam, czego chcę. Już wtedy. Wszystko sobie obmyślałam.

Mój ojciec nie miał dla mnie żadnych planów poza małżeńskimi. Była to dziedzina, w której miałam udowodnić swoją przydatność. Ojciec nie musiał trudzić się szukaniem dla mnie męża, ponieważ ja wybrałam sobie Williama. William miał zostać kapitanem, jak jego ojciec, a ja miałam zostać jego żoną. Czyż nie złożyliśmy sobie uroczystej przysięgi? Nakłuwając swoje kciuki i łącząc krew? On będzie żeglował po morzach, a ja razem z nim.

To było już postanowione, a skoro tak, to nie widziałam powodu,

aby zmieniać zdanie. Jeśli czegoś chcę, to tak się stanie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że moglibyśmy kiedyś nie być razem. Życie marynarza miało być również moim życiem.

Żyliśmy chwilą, a każda chwila, każdy dzień był podobny do poprzedniego. Myśleliśmy tak, jak myślą wszystkie dzieci: życie będzie się toczyć w ten sam sposób, bez większych zmian, aż do momentu, gdy przyjdzie to, czego oczekujemy.

Miałam dziesięć lat, William dwanaście. Była wiosna. Miałam nadzieję, że dzień będzie słoneczny i pogodny, jednak gdy się obudziłam, niebo było szare i zasnute chmurami. Gdy szłam na nasze zwykłe miejsce spotkań, niewielkie podwórko za Corn Street, deszcz siekł mnie po twarzy. Zagwizdałam przez zęby nasz umówiony sygnał, tak jak nauczył mnie William. Miał zabrzmieć jak gwizd bosmana, jednak niezbyt mi wyszedł. Spodziewałam się usłyszeć jego odzew, ale odpowiedzią była cisza. Skryłam się przed deszczem, wsuwając się pod okap, i postanowiłam na niego poczekać. Gdy zegar kościelny wybił pierwszy kwadrans, a potem drugi, wiedziałam, że William nie przyjdzie. Pomyślałam, że może go znajdę w karczmie jego matki, „Pod Siedmioma Gwiazdami”.

– Na górze – powiedziała Mari, rozlewając rum do kilku szklanek. Gdy podniosła wzrok, w jej oczach było widać lęk. Podążyłam za jej spojrzeniem. Jake Davies, ojciec Williama, siedział w jednym z kątów z jakimś mężczyzną. Między nimi na stole stała butelka.

– Nie wiedziałam, że wrócił.

– Ani my. – Pociągnęła nosem i wytarła go grzbietem dłoni. – Zjawił się wczoraj wieczorem. Od tej chwili nie przestaje pić.

William odziedziczył wygląd po matce: czarne włosy, ciemne oczy oraz pogodną, szczerą twarz. Tego dnia jego matka nie uśmiechała się. Przy krawędzi chustki, którą miała na głowie, było widać świeży siniak. Jedno oko miała podbite, a lewa część jej twarzy była

spuchnięta. Gdy zauważyła, że się jej przypatruję, spróbowała się uśmiechnąć, ale skrzywiła się z bólu.

– Stara się, abyśmy odczuli jego obecność – powiedziała, zbierając szklanki na tacę. – A teraz sio mi stąd. To nie miejsce dla ciebie. Twój ojciec byłby zły, gdyby się dowiedział, że tu jesteś.

Weszłam na piętro wąskimi schodami za barem. Martwiłam się o Williama. Jego ojciec lubił okładać pięściami żonę i dzieci. Zazwyczaj zaczynał od Mari, a potem zabierał się za Williama, ponieważ ten próbował bronić matkę oraz młodsze rodzeństwo. Wszystko, co mówili lub robili, doprowadzało go do pasji. Żyli jak ludzie tylko wtedy, gdy go nie było. Z chwilą gdy tylko wracał do domu, milkli i zamierali ze strachu, co jeszcze bardziej podsycalo jego wściekłość. Nigdy nie widzieli nawet pensa z jego kapitańskiej pensji. Żadne z nich nie uroniłoby łzy, gdyby przyszła wiadomość, że jego statek zatonął. Jednak to się nigdy nie zdarzyło. Zawsze wracał bez uszczerbku. W porcie miał opinię szczęściarza, choć nazywano go Black Jake z powodu jego humorów i bardzo niewielu chciało z nim pływać, obawiając się jego okrucieństwa.

Znalazłam Williama w pokoju, który dzielił ze swymi młodszymi braćmi. Układał swoje rzeczy na kwadratowym kawałku płótna. Miał na sobie marynarskie ubranie: niebieski płaszcz oraz szerokie spodnie. Tkanina była sztywna i nowa. Ubrania były na niego za duże i źle na nim leżały. Rękawy zachodziły na dłonie, a doły spodni okręcały się wokół jego szczupłych kostek. Jego chuda, jasna szyja wystawała z kołnierzyka niczym łodyga selera. Wyglądał, jakby dla żartu przebrał

się w ubrania skradzione jednemu z marynarzy mieszkających u jego matki.

– Przepraszam, Nancy – powiedział, gdy weszłam do pokoju. – Nie mam czasu, żeby się dziś z tobą bawić. Muszę się szykować.

– Szykować? Do czego? – zapytałam, choć już znałam odpowiedź.

Nie przebrał się dla żartu. Wyjeżdżał. Nasze drogi się rozchodziły. Przeczuwałam, nawet już wtedy, że gdy spotkamy się następnym razem, wszystko będzie wyglądało inaczej. Między nami nic już nie będzie takie samo jak dawniej.

Miał dwanaście lat. Śpiewał chłopięcym dyszkantem, a jego twarz jeszcze nie poznała dotyku brzytwy. Jego czarne włosy opadały na ramiona miękkimi, jedwabistymi lokami, a duże czarne oczy oraz długie rzęsy były przedmiotem zazdrości wielu dziewcząt zaglądających do karczmy jego matki. Dokuczały mu, mówiąc, że cerę ma białą jak mleko, a policzki czerwone jak płatki róży – takie, jakie opiewano w balladach. Robiły to po to, żeby go zawstydzić. Czerwienił się równie łatwo jak dziewczyna.

Jego skóra była lekko zarumieniona, jednak był już mężczyzną. Widziałam to wyraźnie ze sposobu, w jaki stanął przede mną. Wyprostował plecy i ramiona, ręce skrzyżował na piersi i uniósł wysoko podbródek. Spoglądał na mnie w taki sam sposób jak moi bracia – z uniesionym w górę nosem, jakby nie odpowiadał mu mój zapach. Możliwe, że nie pachniałam właściwie. W końcu byłam dziewczyną.

– Ojciec znalazł dla mnie statek. „Amelia”. Kapitan nazywa się

Thomas. Jestem zapisany jako chłopak pokładowy. Muszę zaraz wyjść. Podnosimy kotwicę dziś wieczorem w Hungroad, aby złapać jutrzejszy odpływ.

„Amelia”. Widywałam tę nazwę w księgach mojego ojca, jednak nie mogłam sobie przypomnieć, jakie towary na niej przewożono.

– Dokąd? – zapytałam.

– Jamajka. Kingston.

– Bezpośrednio?

Skinął potakująco. To było ważne. Każdy statek przepływający obok Afryki zabierał niewolników.

Powinnam była życzyć mu szczęścia. Sprzyjających wiatrów. Dobrej podróży. Podarować mu coś, co by mu o mnie przypominało. Niczego takiego nie zrobiłam. Odwróciłam się na pięcie i zbiegłam po schodach. Sama myśl o pożegnaniu go sprawiła, że w oczach zapiekły mnie łzy i zwilgotniał nos. Nie chciałam, żeby widział, jak płaczę. Postanowiłam jak najszybciej porozmawiać z moim ojcem.

Poszłam prosto do jego kantoru, na najwyższe piętro rafinerii cukru.

– Jest w wieku, w którym może zacząć pływać na statku – powiedział ojciec ze wzruszeniem ramion. – Mnie nic do tego.

– Ale to twój statek!

– A wola jego ojca. Nie należy wtrącać się pomiędzy ojca a syna. Który to statek, moja droga?

– „Amelia”.

Ojciec wyglądał na zdziwionego. Wydał dolną wargę i zaczął ją



delikatnie skubać palcami, jak miał w zwyczaju, gdy nad czymś rozmyślał.

– O co chodzi? Coś nie tak?

– Ze statkiem? Nic. Wszystkie moje statki są solidne. Każde inne podejście byłoby pozorną oszczędnością.

– W takim razie chodzi o kapitana. Jest okrutny?

– Nie bardziej niż inni. Był w marynarce i prowadzi statek twardą ręką. Nie jest nauczycielem tańca, ale z pewnością nie jest tyranem.

– Więc o co chodzi?

– Dziwny wybór jak na pierwszą podróż chłopaka, o to chodzi. Ale myślę, że przetrzyma. – Zaśmiał się. – Morze to twarda szkoła. Jeśli to ma być jego życie, to lepiej, żeby nauczył się za młodu.

W jego śmiechu zabrzmiała jakaś fałszywa nuta i choć uśmiechał się do mnie, odgarniając włosy z mojego policzka, to wiedziałam, że kłamie. Wybiegłam z kantoru i popędziłam w stronę doków. Musiałam ostrzec Williama. „Amelia” przewoziła niewolników, to było pewne.

Spóźniłam się. Woda odpływała z portu. Miejsce cumowania „Amelii” było puste. Wypłynęła wraz z popołudniowym odpływem.

Snułam się po nabrzeżu niepocieszona. Inne dzieciaki wołały do mnie, ale nie zwracałam na nie uwagi. Marynarze ze statków ojca machali do mnie, jednak ja ich nie widziałam. Nie potrafiłam wyobrazić sobie życia bez Williama. Nie było go w całym mieście.

Tego wieczoru jego łóżko w „Pod Siedmioma Gwiazdami” miało być puste. Zaczynał pracę na statku przewożącym niewolników.

Powinnam była go ocalić. Czułam, że to wszystko moja wina.

Gdy Robert mnie znalazł, siedziałam na słupku i wpatrywałam się w cuchnące błoto portu. Odpływ się skończył.

– Chodź, panienko Nancy. Wszędzie cię szukałem. – Spojrzał na moją brudną twarz ze strużkami zaschniętych łez. – Musisz wracać do domu i się przebrać. Pan oczekuje ważnego gościa i chce, żebyś wyglądała najładniej, jak tylko potrafisz.

Gościem mojego ojca okazała się pani Wilkes. Zawsze będę ją tak nazywać. Nigdy nie nazywałam jej matką ani nawet panią Kington. Zawsze była dla mnie panią Wilkes. Nigdy jej nie lubiłam. Miała twarz przypominającą zgnieciony placek, małe, ściągnięte usta oraz oczy jak zużyta trzypensówka. Tamtego wieczoru w czasie kolacji usiadła przy stole naprzeciwko mojego ojca. Było jasne, że zostanie jego drugą żoną. Musiało minąć dziesięć lat od śmierci mojej matki, aby ojciec zdecydował się na ponowny ożenek. Zastanawiałam się nad jego wyborem, ale jedno było pewne. Nie był to związek podyktowany głosem serca. Pani Wilkes była zamożną kobietą, wdową po Beniaminie Wilkesie, byłym wspólniku mojego ojca. Gdy padł martwy na środku Corn Street, niektórzy wcale się nie zdziwili, mówiąc, że wykończyło go ciągle zrzęczenie jego żony. Jeśli mój ojciec znał takie opinie, to najwyraźniej nie należał do mężczyzn, którym plotki przesłaniają handlowy osąd sprawy. Połączenie ich aktywów było najbardziej zyskownym posunięciem. Patrząc z boku, mogłam powiedzieć, że miłość nie odgrywała żadnej roli w tym małżeństwie.

Zaczęła wprowadzać swoje porządki, jeszcze zanim się pobrali. Mnie spotkał lepszy los niż psy, które natychmiast wyprawiono do stajni, oraz lepszy od losu Roberta. Gdyby był młodszy i przystojniejszy, na pewno ubrałaby go w upudrowaną perukę oraz wymyślną liberię, kazała mu chodzić za sobą i nosić paczki. Ale

Robert był wysoki, mocno zbudowany, ciemnoskóry, miał duże oczy w kolorze bursztynu i blizny na szerokich policzkach. Pani Wilkes oświadczyła, że jest zbyt duży i masywny, oczy ma jak pies gończy, a jego skóra nie jest dość ciemna. Damy z towarzystwa lubiły, aby służący mieli skórę koloru węgla. Pani Wilkes uznała go za bezużytecznego i była za tym, aby go odesłać z powrotem na plantację lub sprzedać, co było zwyczajową praktyką, gdy służący przestawali być potrzebni. Tylko że Robert nie był niewolnikiem. Był wolny. Ojciec powiedział jej o tym i dodał, że nie ma zamiaru się go pozbyć. Ostatecznie jednak zgodził się na usunięcie go z domu. I tak Robert trafił do stajni, gdzie miał doglądać konie oraz psy. Nie przejął się tym. Wolał przebywać z końmi i psami niż z ludźmi. Jego obowiązki przejęła kucharka, gosposia, para pokojówek oraz lokaje, czyli służba, z którą pani Wilkes wprowadziła się do naszego domu.

Gdy już uznała, że dom funkcjonuje tak jak powinien, skierowała swą uwagę na mnie.

Przyjrzała mi się badawczo, jakbym była klaczką na targu końskim.

– Ona chodzi, jakby miała na sobie bryczesy, a sposób, w jaki mówi, przyprawiłby o rumieńce nawet woźnicę. Tak nie może być, Ned! – mówiła do ojca, kręcąc głową. – Nie potrafi szyć, nie potrafi śpiewać, grać na żadnym instrumencie ani wykonać żadnej pożytecznej rzeczy. Nie mam pojęcia, co sobie myślałeś, puszczając ją tak samopas. Taka wolność nie jest dobra dla dziecka, a zwłaszcza dla dziewczynki. Od tego przewraca się im w głowach. Jeśli to dłużej

potrwa, to za żadne skarby nie znajdziesz dla niej męża. „

To stwierdzenie zaniepokoiło ojca. Co, jeśli przyniosę stratę? Jak towar z zawyżoną ceną, ładunek, który się psuje, albo bubel na rynku pełnym lepszych towarów? Spojrzał na mnie z ukosa.

– Chyba nic już jej nie pomoże – powiedział z powątpiewaniem, szczypiąc się w dolną wargę. – Chyba to zaszło za daleko...

– Nie, nie, nie! Zawsze jest jakiś sposób! – Pani Wilkes zmrużyła oczy. Błysnęły zużyte trzypensówki. – Pomoże wielkość jej posagu. No i nie jest wcale taka brzydka. Nie ma zeza, a jej rysy można uznać za regularne. Usta ma trochę zbyt szerokie. – Ścisnęła moje policzki w taki sposób, że zrobiłam pyszczek jak ryba. – A oczy mogłyby uchodzić za ładne, gdyby tylko straciły ten ponury wyraz. Widziałam o wiele gorzej zapowiadające się panny, które bardzo dobrze wyszły za mąż. Nigdy nie będzie piękna, możesz polegać na mojej opinii, ale może się stać ładna. Do pewnego stopnia. Jednak potrzebuje obróbki!

– Trzymając mój podbródek między swoimi grubymi palcami, wpatrywała się w moją twarz bez zmrużenia oka, w typowy dla siebie sposób. Jej małe oczka zrobiły się okrągłe jak spodki. – A te włosy! – Odgarnęła je na bok. – Jak wiecheć słomy! I jest smagła jak Cyganka. A te jej dłonie! – Wzdrygnęła się. – Zostaw ją mnie. – Chwycała mnie za ucho. – Potrafię z niej zrobić cacko.

Powiedziawszy to, zawołała swoją pokojówkę, Susan. Do pokoju energicznie weszła młoda kobieta o ciemnych włosach i spiczastym podbródku.

– Tak, psze pani?

– Zobacz, co dasz radę z tym zrobić – powiedziała pani Wilkes, popychając mnie do przodu.

– Tak, psze pani.

Susan dygnęła i wyprowadziła mnie z pokoju. Nie byłam szczególnie próżna, jednak stwierdzenie, że wymagam aż tylu poprawek, ubodło mnie do żywego. Ukryłam się w swoim pokoju i zaczęłam się wpatrywać w zwierciadło moimi zielonymi oczami o ponurym wyrazie. Może miała rację. Ja też nie dopatrzyłam się wielkiej urody. Usta miałam zbyt pełne, do tego nadąsane, nos zbyt prosty, szczęka zbyt szeroka, kości policzkowe zbyt wysokie. Może gdybym tak poskromiła włosy i związała je z tyłu... Spróbowałam tak zrobić, jednak bardziej przypominałam przystojnego chłopaka niż dziewczynę z dołkami w policzkach.

– Na kogo tak się panienka krzywi? – powiedziała Susan, wchodząc do pokoju. Za nią służące wtaszczyły balię i wodę. – Zawieje panienkę wiatr i tak zostanie. – Spojrzała na mnie, przechylając głowę na jedną stronę. Patrzyła bystro jak ptak, który dostrzegł robaka. – Nazywam się Susan. Susan Smythe. Jestem panienki pokojówką.

– Nie potrzebuję żadnej pokojówki!

– Pani mówi co innego. – Rozejrzała się po pokoju. – Mówi, że trzeba się panienką zająć. Nie zawsze się z nią zgadzam, ale powiedziałabym, że w tym przypadku ma rację.

– Ale ja mam inne zdanie – zaoponowałam.

– Panienki zdanie chyba się nie bardzo w tym domu liczy, co?

Odwróciłam się od niej, obserwując w zwierciadle, jak opróżnia moje szuflady i szafy. Wzięła wszystkie ubrania na ręce.

– Dobrze na szmaty. A co do panienki... – Przyjrzała mi się badawczo. Ponownie przechyliła głowę na jedną stronę, jednak wyraz jej ptasich oczu złagodniał. – Nie będzie łatwo, nie myślę się co do tego. Powiem, że zaczynamy zupełnie od zera. Ale przypuszczam, że tato panienki wytrzyma koszty.

## 5

Susan pracowała nade mną do momentu, kiedy uznała, że pani Wilkes może już znieść mój widok. Zostałam obejrzana z każdej strony oraz kazano mi się przejść tam i z powrotem. Pani Wilkes milczała przez dłuższą chwilę, po czym oświadczyła: „Może być”. Czarne brwi Susan uniosły się niczym dwa napięte łuki, a jej oczy zalśniły. Widząc to, z trudem powstrzymałam się przed głośnym śmiechem.

Pani Wilkes nadal uważała mnie za zbyt nieokrzesaną, bym mogła przyłączyć się do kręgu jej znajomych dam, jednak przestała się już krzywić na mój widok. Oddała mnie pod opiekę innych osób, które zatrudniono, by nauczyły mnie „kobiecych sztuk”, jak je nazywała: nauczyciela tańca, nauczyciela rysunku, śpiewu oraz gry na flecie i klawesynie. Nie miałam zamiaru niczego się uczyć od żadnego z nich poza nauczycielem tańca. Ów człowiek uczył mojego brata Neda szermierki. Nakłoniłam go, aby mnie też uczył. Gdy Ned wracał ze szkoły do domu, walczyliśmy na polu oraz schodach dla służby. Nie

okazywaliśmy sobie żadnej litości.

Takich przejawów buntu w miarę upływu czasu było coraz mniej, ponieważ pani Wilkes nie ustawała w wysiłkach okiełznania mnie. W wieku czternastu lat potrafiłam całkiem znośnie rysować, zaśpiewać pieśń, wyhaftować poduszkę oraz zatańczyć menueta. Dostałam zaszczytu obsługiwania jej gości, co polegało na częstowaniu ich smakołykami, w czasie gdy popijali z kieliszków sherry. Pozwolono mi nawet zostać i brać udział w rozmowach o pogodzie, modzie oraz o tym, jakie wstążki były najlepsze do lamowania czepków.

W tamtym czasie mieszkaliśmy już w nowym domu. Pani Wilkes zmusiła ojca do wybudowania go z dala od centrum miasta. Początkowo ojciec zaproponował jej Queen Anne's Square, jednak ona odniosła się do tego z pogardą, oświadczając, że to takie pospolite mieszkać blisko doków, poza tym tak nisko położone grunty są narażone na niezdrowe powietrze oraz wyziewy. Nowy dom stanął w Clifton. Wzniesiono go z żółtego kamienia sprowadzonego z kamieniołomów w Bath.

Był to piękny dom i choć ojciec ubolewał nad kosztami oraz narzekał, że jest tak duży, że będziemy się w nim obijać o ściany niczym groch w grzechotce, to jednak w skrytości ducha był z niego zadowolony. Nieraz chodził po domu, dotykając tego, podziwiając tanto i komentując poprawki, jakie wprowadziła jego żona.

– Kobieca ręka – mówił z nutą wyraźnego zadowolenia. – Tego właśnie było nam potrzeba.

Podnosiłam wzrok znad mojego haftu i wiedziałam, że miał na



myśli również mnie.

Przez długi czas nie miałam żadnej wiadomości od Williama. Często o nim myślałam, jednak nie miałam czasu, żeby pójść do portu, zobaczyć się z jego matką i zapytać, co u niego. Ostatnia wiadomość mówiła o tym, że zaciągnął się na kolejną wyprawę. Niecierpliwie wypatrywałam jego powrotu. Miałam tyle pytań do niego i tyle opowieści, którymi chciałam się z nim podzielić. Swoje życie pod rządami pani Wilkes uczyniłam znośnym dzięki wyobrażaniu sobie, jak mu to wszystko opiszę. Przećwiczyłam do perfekcji komentarze na temat jej przyjaciółek, ich postępów, utrwalalam sobie w pamięci historyjki oraz przypadki ilustrujące jej próżność, chciwość oraz głupotę. Zawsze miałam cięty język i potrafiłam go rozśmieszyć. Myślałam, że gdy się spotkamy, będzie tak samo jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Nie zdawałam sobie sprawy, że upływ czasu mógł zmienić i jego, i mnie.

Gdy go ponownie zobaczyłam, z ledwością się poznaliśmy.

Siedział na ławce przed stajnią i rozmawiał z Robertem. Jego twarz i ręce były opalone na brąz. Miał na sobie ubiór zwykłego marynarza, porządnie pocerowany i połatany, ale wyblakły od słońca i sztywny od smoły oraz soli.

Robert zrobił mi miejsce i usiadłam obok nich. William wyjaśnił, że został odprawiony przez naszego lokaja.

– Żona mojego ojca, pani Wilkes, wprowadziła nowe porządki – powiedziałam tonem przeprosin.

– Po tobie też to widać – powiedział, przyglądając się mojemu

strojowi z jedwabiu i brokatu. Roześmiał się i w jego oczach rozbłysły dawne iskierki. – Zrobiła z ciebie prawdziwą damę.

– Tylko na zewnątrz. – Uśmiechnęłam się. Odwzajemnił uśmiech i zobaczyłam w nim chłopca, którym kiedyś był. Wiedziałam, że w głębi duszy między nami nic się nie zmieniło.

– Co się stało? – zapytałam. – Dlaczego tak długo cię nie było?

Pokręcił głową i przestał się uśmiechać.

– Zostałem wrobiony przez własnego ojca. – Westchnął. – Powiedział mi, że „Amelia” jest zwykłym statkiem handlowym, a w rzeczywistości przewoziła niewolników. Zaczęli wznosić platformy, jak tylko wypłynęliśmy z kanału. Z początku nie mogłem zrozumieć, po co to stukanie młotkami i piłowanie. – Zaśmiał się bez żadnej wesołości. – Taki byłem zielony. Zielony jak woda w beczce. Gdy kogoś o to zapytałem, nawet mi nie odpowiedział. Poszedłem zapytać kapitana i za fatygę dostałem w skórę. Poczuję się jak ostatni głupiec. Zgłosiłem się na ochotnika. Za sprawą własnego ojca.

– Dowiedziałam się, że chodzi o transport niewolników – powiedziałam. – Byłam u ojca. Ale zanim dobiegłam do portu, żeby cię ostrzec, było już za późno. Wypłynąłeś.

– Byliśmy dziećmi. – Spojrzał na mnie. – Co takiego byśmy zrobili? I tak bym wypłynął. Już byłem zapisany. No i nie miałem pojęcia...

Urwał i zaczął wpatrywać się w swoje drobnokościste dłonie o szczupłych, zręcznych palcach. Można by powiedzieć, że to dłonie chłopca, jednak ich grzbiety były spalone na ciemny brąz i

naznaczone bliznami, a wnętrza były pełne odcisków i szorstkie niczym rękawica woźnicy.

– To paskudny fach, Nancy – zaczął cichym głosem. Teraz w jego ciemnych oczach mało było z chłopca, jakiego pamiętałam. – Ludzie traktowani gorzej, dużo gorzej niż te konie tutaj. Gorzej niż bydło. Gorzej niż jakiegokolwiek zwierzę. A oni nie są zwierzętami bez względu na to, co mówią niektórzy. Oni są ludźmi tak samo jak my. Cierpią nie tylko Afrykanie, choć ich los jest najgorszy. Są zabierani od wszystkiego, co znają, zakuwani w łańcuchy i kajdany, upychani ciasno jak ryby w beczce. – Rzucił przelotne spojrzenie na Roberta, który szczotkował gniadego konia mojego brata tak starannie, że jego sierść błyszczała jak srebro. – Wiem, że to trudno porównywać, ale dla nas to też nie była sielanka. Mieliśmy dobrego doktora, ale i tak z powodu gorączki i biegunki straciliśmy jedną trzecią załogi w czasie pierwszej podróży i prawie połowę w czasie drugiej.

– Skoro było tak źle, to dlaczego ponownie się zaciągnąłeś?

– Miałem do wyboru albo to, albo wrócić z Afryki na własną rękę.  
– Westchnął, jakby ciężar wspomnień okazał się dla niego zbyt wielki.  
– Zostałbym piratem, gdybyśmy tylko jakichś spotkali po drodze, ale nawet oni nas omijali. Wyczuwali nas z daleka. Wielu marynarzy zdezerterowało, ale ja zostałem. Odbyłem swój termin i teraz przyszedłem tu po swoją zapłatę.

– Nie zapłacili ci? Pokręcił głową.

– A pieniądze są mi potrzebne. Zamierzam wstąpić do marynarki.

– Do marynarki? – Nie wierzyłam własnym uszom.

Robert uniósł zdziwiony wzrok. Nikt nie wstępował do marynarki z własnej woli. Mężczyzn trzeba było zmuszać. W Bristolu wszyscy to wiedzieli.

– Wiem, co mówią ludzie, ale to na pewno nie jest gorsze od tego, co przeszedłem z kapitanem Thomasem. Nieważne, ile płacą i jak trudne są warunki. To lepszy fach.

Przeniósł wzrok ze mnie na lśniące konie, błyszczący powóz i poprzez sklepienie przejście spojrzął na nasz dom ze złotawych kamieni. Podążyłam za jego wzrokiem oraz jego myślami. Moje jedwabie i atłasy, arabski ogier mojego brata, każdy kamień naszego nowego domu, całe nasze bogactwo pochodziło z fachu, który nam opisał. Wiedziałam, co sobie pomyślał, i nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Uciekłam wzrokiem w bok. W pamięci stanęły mi spisy, które przepisywałam z ksiąg ojca, bardzo się starając, żeby nie zalać ich inkaustem. Przypomniałam sobie, ile wysiłku wkładałam w to, aby kolumny wypadły prosto, a moje pismo było schludne. Przepisywałam bez żadnego zastanowienia się nad tym, co widziałam: mosiężne liny, żelazne sztaby, miedziane pręty, skorupy mięczaków, korale, beczki prochu, egzotyczne tkaniny. Przedmioty handlu zestawione z mężczyznami, kobietami, chłopcami i dziewczynami. Inne kolumny z cenami, które za nich otrzymano. Handlowaliśmy żywym towarem. Wiedziałam, że żaden marynarz nie chce pracować na statku z niewolnikami. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się dlaczego. Aż do tej chwili. Odwróciłam od niego wzrok, wstrząśnięta swoim samozadowoleniem i przepelniona poczuciem wstydu.

– Nie zaciągnę się jako zwykły marynarz – ciągnął William, patrząc na siebie. – Już nie. Zamierzam zostać oficerem, więc muszę się zaprezentować jak dżentelmen. Muszę kupić sobie niezbędny strój oraz ekwipunek, poza tym będę potrzebować pieniędzy, żeby kupić sobie stanowisko. Mam już trochę odłożone z handlu na własny rachunek. Gdy odbiorę to, co mi się należy, powinno mi wystarczyć. – Wstał. – Właśnie dlatego tu przyszedłem.

– Dlaczego kapitan jeszcze ci nie zapłacił?

– To łajdak, nie ufam mu. Powiedział mi, żebym przyszedł następnego dnia, a to było dwa dni temu. Nie ma go na statku, a to oznacza, że najprawdopodobniej gdzieś pije albo odsypia hulanki. – Westchnął. – Tak czy owak, nie mogę go znaleźć, chociaż przeszukałem każdy kąt w porcie.

– Mój ojciec jest z Henrym w Londynie. Gdy ich nie ma w domu, interesami zajmuje się Joseph.

Właśnie w tej chwili na podwórku rozległ się stukot końskich kopyt. Joseph zsunął się z konia i rzucił uzdę Robertowi, nawet na niego nie patrząc. Zwrócił się do mnie.

– A ty co tu robisz? Nie powinnaś czegoś wyszywać? – Gdy się roześmiał, poczułam od niego zapach alkoholu. – Staruszek wydaje tyle forsy, żeby zrobić z ciebie damę, a ty nadal wolisz spędzać czas z końmi i czarnuchami.

Z rzucanego przez stajnię cienia wyłonił się William. Ręka Josepha zacisnęła się na bacie.

– Co to za jeden?

– William Davies. Do niedawna służyłem na „Amelii”. – William podszedł jeszcze bliżej. – Do usług.

Joseph zignorował go i spojrzał na mnie.

– Więc z marynarzami też? Wyborne towarzystwo, nie ma co. – Obrócił się do Williama. – Wynoś się, zanim poszczuję cię psami.

William nie ruszył się z miejsca.

– Słyszałeś, co powiedziałem! – Joseph patrzył na Williama z wściekłością. Usta zacisnął w wąską linię. Szybko wpadał w złość, tym bardziej po brandy. Ma, tak jak ja, jasne włosy i jasną cerę, jednak jego oczy mają bledszy odcień, są bardziej niebieskie niż zielone. W tym momencie jego tęczęwki miały czerwone obwódki z powodu wypitego alkoholu, a białka oczu były przekrwione. W obliczu zuchwałości Williama jego czerwona twarz pociemniała, a na czole pokazały się żyły.

– Na co jeszcze czekasz? Zabieraj się, bo jak nie, to cię zastrzelę za wtargnięcie.

William nadal nie ruszał się z miejsca. Nie ruszył się nawet wtedy, gdy Joseph odwrócił się, żeby sięgnąć po pistolet do kabury przy siodle.

– Mam tu sprawę.

– Sprawę? Jaką sprawę? – Joseph odwrócił się do Roberta, który próbował odciągnąć konia oraz pistolet poza zasięg jego rąk. – Zostaw go! – warknął. – Trzymaj konia tam, gdzie jest, bo ciebie też zastrzelę!

– Chcę swojej zapłaty. – William ciągle stał w tym samym miejscu.

– To idź do swojego kapitana. Po co przychodzisz do mnie?

– Zrobiłbym to, gdybym mógł go znaleźć. Joseph popatrzył na niego przez zmrużone oczy.

– Mówiłeś, że jaki to statek? Co to za kapitan?

– Kapitan Thomas – odpowiedział William. – Przy płynęliśmy na „Amelii” dwa dni temu.

– I mówisz, że nie możesz go znaleźć?

– Nie mogę. – William pokręcił głową.

– Więc nie szukałeś zbyt dobrze. Właśnie zostawiłem go w jego kajucie! – szydził Joseph. – A tu mam wszystko. – Ściągnął sakwy z konia i przerzucił je sobie przez ramię. – Wszyscy jego ludzie już dostali pieniądze. Z wyjątkiem drania, przez którego część niewolników wypadła za burtę. Ten nieszczęśnik jest winien pieniądze kapitanowi. Zabierz ode mnie swoje łapska! – Odepchnął Roberta i poszedł chwiejnym krokiem w stronę domu.

William odwrócił się od nas z wysoko uniesioną głową, abyśmy nie zobaczyli jego poniżenia. Będąc chłopcem w świecie mężczyzn, musiał się spodziewać, że będzie oszukany oraz wyśmiany. Musiał to dzielnie znosić, bo inaczej zadreczyliby go na śmierć. Ruszył wolno w stronę stajni. Minął nas, zakładając na ramię torbę, gotów do drogi.

– Dokąd idziesz? – zawołał za nim Robert.

– Na statek, żeby odebrać swoje pieniądze.

– Nie. – Robert podszedł do niego i złapał go za rękę. – Pójdiesz tam i już nigdy stamtąd nie wrócisz. Kapitan mówi, że to ty jesteś mu winien pieniądze. Potrzyma cię w ładowni do czasu, aż statek

wypłynie w morze. Obudzisz się gdzieś na Zatoce Biskajskiej, jeśli w ogóle się jeszcze obudzisz.

– Więc co mam robić?

– Mógłbyś zaciągnąć się na inny statek – zaproponował Robert.

– Bez pieniędzy? Nigdy!

– Mimo wszystko mógłbyś wstąpić do marynarki. – Robert wpatrywał się w niego. – To ciężkie życie, nie ma co do tego wątpliwości, ale, jak sam mówiłeś, czystszy fach.

– Nie chcę się zaciągać jako zwykły marynarz. Nie chodzi o ten trud i brud, przeżyłem cięższe rzeczy, tylko o to, że chciałem zaciągnąć się jak dżentelmen! Być kimś porządnym! – Rzucił na mnie przelotne spojrzenie. – Mam ku temu swoje powody, a oni mnie teraz chcą oszukać. Oddałem im prawie cztery lata swojej pracy i nic nie dostałem! – Wyciągnął przed siebie dłonie, żeby pokazać nam nacięcia oraz odciski. – Za to wszystko! Nic! Tylko myśl o zapłacie pozwoliła mi to wszystko jakoś przeżyć...

Wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Nie odchodź! Zaczekaj tu! – Zostawiłam ich na podwórzu i poszłam do domu. Weszłam przez boczne drzwi i przystanęłam. Z kuchni dochodziły ciche głosy służby, z salonu natomiast szmer rozmów oraz brzęk filiżanek. W ciszy maconej tylko tykaniem zegara przeszłam przez hol, uważając, aby moje buty nie hałasowały na kamiennej posadzce. U podnóża schodów zatrzymałam się ponownie, a potem ruszyłam w górę, stawiając ostrożnie stopy i trzymając się środka stopni, aby nowy turecki dywan tłumił odgłosy moich kroków.



Przeszłam po podeście do pokoju mojego brata. Drzwi były uchylone. Popchnęłam je i wślizgnęłam się do środka.

Joseph leżał na łóżku tak, jak padł: w zabłoconych butach i z twarzą zwróconą ku dołowi, przekrzywiając swoją upudrowaną perukę. Spał tak głęboko, że nawet mocne pociągnięcie za ucho nie zdołało go obudzić. Obróciłam go na plecy i włożyłam rękę do kieszeni jego kamizelki, aby wziąć stamtąd klucz do kasetki ojca. Mogłam mu również zabrać złoty łańcuch, zegarek, wszystko, co tylko bym chciała. Uśmiechnęłam się, myśląc o jego głupocie. Na pewno nie byłam pierwszą osobą, która zrobiła mu coś takiego, i na pewno nie ostatnią. Gdy już miałam klucz w dłoni, wycofałam się w stronę drzwi. Joseph nawet się nie poruszył.

Drzwi do gabinetu były otwarte. Otworzyłam kluczem kasetkę z pieniędzmi i odliczyłam tyle, ile uznałam, że należało się Williamowi, a potem dodałam jeszcze trochę za przykrości, jakich doznał. Pieniądze włożyłam do mojej sakiewki. W drodze powrotnej klucz rzuciłam w krzaki. Joseph pomyśli, że zgubił go po pijanemu. Spadnie na niego wina i za zgubienie klucza, i za brak pieniędzy. Bez względu na to, jak bardzo Joseph będzie temu zaprzeczał, ojciec i tak uzna, że Joseph wziął pieniądze na pokrycie swoich długów karcianych.

– Twoja zapłata – powiedziałam, podając sakiewkę Williamowi. – Płacę ci w imieniu mojego ojca. Ponieważ mój brat – uśmiechnęłam się – jest niedysponowany.

William wyglądał tak, jakby miał zamiar odmówić, ale głos zabrał Robert.

– To tylko pieniądze, które ci się należą. Weź je, synu. William wziął ciężki od złotych monet woreczek i chwilę potrzymał go w dłoni.

– Dobrze zatem! – Wepchnął sakiewkę do kieszeni kabata. – Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś, Nancy!

– Jestem pewna, że będzie ci do twarzy w mundurze oficera marynarki. Obiecuj mi, że wrócisz, żebym mogła cię w nim zobaczyć...

– Oczywiście, że wrócę! Chcę, żebyś była ze mnie dumna! – Chwycił mnie za ramiona i popatrzył mi w oczy. Nic nie powiedział, być może z powodu nieśmiałości albo dlatego, że nie potrafił znaleźć słów na wyrażenie swoich uczuć. Ja też miałam pustkę w głowie. Wpatrywałam się jedynie w jego twarz, na której było widać, jak jedna myśl goni drugą, niczym chmura chmurę na niebie.

Uśmiechnął się. Kiedyś byliśmy tego samego wzrostu, teraz był ode mnie wyższy.

– Wrócę – powiedział, dotykając mojego policzka. – Gdy otrzymam stanowisko oficera. A potem...

– Co potem? Uśmiechnął się szeroko.

– Zobaczysz potem.

Pocałował mnie. Miał chłodne wargi, pocałunek był delikatny, jednak czułam ich dotyk nawet wtedy, gdy już odsunął się ode mnie. Dotknęłam dłonią swoich ust, jakbym chciała się przekonać, że to się naprawdę zdarzyło. Nie był to niezdarny całus, jakim obdarzają się dzieci, ani szorstki pocałunek brata. Był to mój pierwszy prawdziwy

pocałunek.

– Będziesz na mnie czekać, prawda? – powiedział. – Wiedząc o tym, zniosę wszystko...

– Oczywiście. – Chwyciłam jego dłoń i mocno uścisnęłam. – Oczywiście, że będę czekać. Przyrzekam.

Po tych słowach zarzucił torbę na ramię i wyszedł z podwórza. Skierował się ku zataczającej łuk drodze, która odchodziła od domu. Szłam za nim aż do bramy. Odwrócił się raz, żeby mi pomachać, a potem ruszył dalej, wygwizdując cicho jakąś tęskną melodię. Szedł lekkim krokiem człowieka bez trosk. Towarzystwa dotrzymywał mu motylek, który tańczył w powietrzu nad jego ramieniem. Patrzyłam za Williamem, aż zniknął mi z oczu za zakrętem.

Byłam gotowa na niego czekać bez względu na to, kiedy znów mieliśmy się spotkać. Całe życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wciąż jestem wierna tej obietnicy. Również teraz.

**Mój ciemnooki marynarzu...**

Nie widziałam Williama prawie dwa lata. W tym czasie w moim życiu ponownie zaszły wielkie zmiany. Na brak żeńskiego towarzystwa nie mogłam narzekać. Byłam otoczona dziewczętami w szkole, do której zaczęłam uczęszczać, oraz, z powodu pokaźnej liczby braci kawalerów do wzięcia, w domu, do którego młode damy przychodziły w towarzystwie swoich matek. Przerywane chichotami rozmowy tych dziewcząt dotyczyły wyłącznie ukochanych oraz adoratorów. Ich myśli krążyły tylko wokół zamążpójścia. Nie uczestniczyłam w ich paplaninie. Nigdy też, bez względu na to, jak bardzo się ze mną droczyły, nie wyjawiałam im swojego sekretu ani nie wyjaśniałam, dlaczego nie uganiam się za młodymi kawalerami. Mój ukochany jest marynarzem i poślubię go, gdy wróci. To nie była mrzonka. To była pewna przyszłość.

Gdy zaczynał wiać wiatr ze wschodu, niosąc ze sobą zapach soli, siadałam przy otwartym oknie, słuchałam krzyku mew i zastanawiałam się, gdzie jest William. W jakim porcie? Na jakim oceanie? Nocą wpatrywałam się w srebrną tarczę księżyca, grającego w chowanego z chmurami, i wyobrażałam sobie, jak William pełni wachtę. Byłam ciekawa, czy widzi ten sam księżyc, te same gwiazdy, czy też żegluje pod innym niebem. Potem zaczynałam snuć marzenia. Po ślubie nie zamierzałam zostać samotnie na lądzie i czekać na niego. William będzie miał swój statek i zabierze mnie ze sobą. Będziemy razem żeglować po morzach, tak jak w naszych marzeniach

z dzieciństwa, choć wtedy byliśmy dla siebie jak brat i siostra, a teraz widziałam siebie jako jego żonę.

Jedyną osobą, która знаła mój sekret, była Susan. Stała się moją bliską przyjaciółką oraz powiernicą. Nie potrafiłam nic przed nią ukryć, choć rzadko rozmawiałam z nią o Williamie. Uważała, że chyba zwariowałam, wybierając marynarza, bo to najgorsi ze wszystkich z powodu swej fałszywej natury. Któż wiedział o tym lepiej niż ona, której serce zostało złamane tyle razy, że już przestała liczyć? Poza tym William i ja rzadko się widywaliśmy od czasów, gdy byliśmy dziećmi. Skąd mogę być pewna, że on czuje to samo? Budowałam zamki z chmur, w które tak intensywnie się wpatrywałam. Uznałam, że Susan nic nie rozumie. Bo niby jak? Była zbyt skora do wyśmiewania się i mówienia o cielej miłości. Cóż ona mogła wiedzieć o uczuciu, jakim darzyłam Williama? Postanowiłam jej nie słuchać. Nie chciałam, aby żar mojej namiętności został zdławiony chłodem jej zdrowego rozsądku.

– Nawet jeśli on panienki nie zawiedzie, nawet jeśli okaże się tym jedynym – mówiła tym swoim rzeczowym tonem – to i tak panienka nie będzie mogła za niego wyjść. Nie za takiego biednego marynarza.

– A czemuż to nie? – Spojrzałam na nią zdumiona. – Jeśli on mnie kocha, a ja jego?

– Miłość? A kto żeni się z miłości?

– Jestem pewna, że wiele osób.

– Na pewno nie w panienki sferze.

Wiedziałam, że ma rację. Oczywiście. Jednak myślałam, że

aranżowane małżeństwa są dla innych ludzi. Nie dla mnie.

– Nieważne – powiedziałam. – Ja zamierzam poślubić mojego ukochanego i żadnego innego. – Wyciągnęłam się na łóżku i włożyłam ręce pod głowę, gotowa do snucia marzeń.

– Wątpię. – Susan zaczęła się przy mnie krzątać. – Pani ma dla panienki inne plany.

– W takim razie będzie musiała je zmienić. – Umilkłam, bo ta rozmowa zaczynała mi się nie podobać. Uniosłam się na jednym łokciu. – Jakie inne plany?

– Wyjazd do Bath.

– Do Bath! – wykrzyknęłam zaniepokojona. Usiadłam, krzyżując nogi pod halką.

– Wszyscy tam jedziemy na sezon towarzyski. Kucharka mi powiedziała. Cały dom z wyjątkiem panienki ojca. Ma ważne sprawy. Czeka na duży konwój statków, więc musi zostać na miejscu.

Wiedziałam, że i tak by nie pojechał. Nie był w stanie pojąć, co jest złego w gorących źródłach Bristolu, które na dodatek były ledwie o milę od naszego domu. Ludzie hołdujący modzie jechali do Bath nie tylko po to, żeby zażywać dobrodziejstwa wód, oświadczyła pani Wilkes. Jednak ojciec tego nie rozumiał.

– Proszę tu, panienko. – Susan skinęła na mnie dłonią, dając mi znak, żebym przysłała do gotowalni. – Chcę panience uczesać włosy. – Zaczęła szczotkowanie tak, jak każdego wieczoru, najpierw, żeby rozczesać włosy, potem, żeby nadać im połysk. – Pani ma plany względem panienki. – Mrugnęła do mnie w zwierciadle. – Niech

panienka zapamięta moje słowa.

– Co za plany?

– Matrymonialne.

– Ale ja jestem zbyt młoda! Susan roześmiała się.

– O, przewrotna panna z ciebie! A ten marynarz, do którego panienka wzdycha? Dla niego nie jest panienka zbyt młoda, co?

– Ale to co innego! Nie zamierzam teraz za niego wychodzić!

To marzenie miało się spełnić dopiero kiedyś w przyszłości. Jeszcze nie teraz. Czuję, że wpadam w panikę. Sezon rozpoczął się już niedługo...

– Na to nigdy dziewczyna nie jest zbyt młoda! – Susan znowu puściła do mnie oko i prawie dałam się przekonać, że sobie ze mnie żartuje, ale wtedy wspomniała o Elspeth Cooper, która już została komuś obiecana, a była młodsza ode mnie. Widziałam mężczyznę, którego miała poślubić. Był od niej dwa razy starszy i miał na twarzy ślady po ospie. Nie chciałam, aby mnie przydarzyło się coś podobnego.

– Powiem, że nie pojedę.

– I sprzeciwi się panienka pani? – Na myśl o tym, jakie miałabym szanse powodzenia, Susan zanosła się głośnym śmiechem. – Musiałabym to zobaczyć, żeby uwierzyć!

– Przecież to strata czasu, nie mówiąc już o pieniądzach. Powiem ojcu! Kto by się mną zainteresował?

– Wielu. Jest panienka młoda, ładną kobietą, choć jeszcze nie wie, jak pokazać się od najlepszej strony. Kłopot z panienką polega na tym,



że panienka nie wie, co posiada. Założę się, że niejeden umarłby za ten kolor. – Ułożyła moje włosy wokół ramion tak, że wyglądały niczym miedzianożłota peleryna. Nawinęła na palec kosmyk moich włosów. – Nawet nie potrzebują papilotów, żeby się kręcić. Kawalerowie już się interesują.

– Mną? – Nie wiedziałam, czy potraktować to jako pochlebstwo czy jako sygnał grożącego mi niebezpieczeństwa. – Kto taki?

– Nie panienki sprawa. – Zaczęła ponownie mnie szczotkować.

– Nie rozumiem, jak to możliwe. Nie bywam w towarzystwie. Kto i gdzie mógł mnie widzieć?

– Zdziwiłaby się panienka. – Susan rzuciła mi jedno ze swoich znaczących spojrzeń. – Widziałam, jak patrzyli na panienkę dżentelmeni, którzy tu przychodzą.

– Masz na myśli znajomych ojca? Ależ oni wszyscy są strasznie starzy! – Zakryłam twarz rękoma. Groziło mi, że skończę jak Elspeth Cooper. Ta myśl była nie do zniesienia.

– Nie chodzi tylko o samą urodę – podjęła temat Susan, jakby taka okoliczność była nieistotna. – Wniesie panienka do małżeństwa całkiem ładny posąg. Komuś trafi się niezły kasek razem z panienką, panno Nancy, i to jest fakt.

Bath było miastem, które oferowało liczne przyjemności. Ranki spędzano w łaźniach lub w sklepach na poszukiwaniach wstążek oraz innych ozdóbek albo w księgarniach bądź w kawiarniach. Popołudnia spędzano na grze w karty w Salach Asamblowych Harrisona, na picciu herbaty lub na przechadzkach.

Susan miała rację. Młodzi mężczyźni nie przyjeżdżali do Bath na kurację, to nie ulegało wątpliwości. Przyjeżdżali, żeby polować na posagi. Mój ojciec był bogaty. To czyniło mnie atrakcyjną partią.

Było to dla mnie ogromnie nużące.

Najważniejszym wydarzeniem towarzyskim każdego tygodnia był bal urządzany we wtorek. Bez względu na okazję mój brat Joseph szedł prosto do karcianego stołu. Wkrótce miał wyjechać na Jamajkę, aby przejąć plantację. Z tego powodu zachowywał się jak człowiek, który właśnie został skazany. Zachłannie korzystał z każdej kulturalnej przyjemności, a jakież miasto było bardziej kulturalne od Bath? Jego główną rozrywką była gra w piqueta oraz faro. W obu był beznadziejny. Pieniądze mojego ojca przepływały przez jego palce niczym piasek.

Pani Wilkes też lubiła zasiadać do karcianego stołu, jednak grała wolno i z namysłem, zastanawiając się nad każdą kartą. Pieniądze lgnęły do jej palców niczym melasa. Ponieważ karty nie były celem, dla którego przyjechała do Bath, po pierwszym, najpóźniej po drugim rozdaniu opuszczała miejsce przy stole i prowadziła mnie do sali balowej. Tam miała do rozegrania o wiele poważniejszą grę.

Jak każda gra losowa, również i gra w małżeństwo miała swoje zasady, etykietę, swoich zwycięzców oraz przegranych. Pierwszym posunięciem było zaproszenie do tańca. Pani Wilkes zadbała o to, aby wśród graczy rozeszła się wieść o moim majątku, toteż partnerów mi nie brakowało. Pojawił się pierwszy młody mężczyzna, potem drugi. Pani Wilkes uważnie ich obserwowała, sporządzała ich rejestr na

karnecie własnego pomysłu i dokonywała oceny. Odrzucała tych, którzy byli zbyt starzy, zbyt biedni lub zbyt pospolici, a cienkie linie wokół jej ust poruszały się niczym sznureczki przy sakiewce. Gdy uznała, że jakiś kawaler się nadaje, starała się o przedstawienie jego matce. Recytowała mi potem dzieje ich rodziny, opowiadała szczegóły ich rodowodu, jakby chodziło o konie czystej krwi. Pan Amhurst, Barstow, Denton, Fitzherbert, Fitzgibbon; młodszy syn, bratanek, kuzyn; spokrewniony, choć dalece, z hrabią takim czy owakim. Nie rozeznawałam się w nich wcale. Dla mnie stanowili jedynie nie kończący się korowód kłaniających się postaci w upudrowanych perukach. Wszystkich cechowało to samo: spocone twarze, wypowiadające oklepane komplementy usta, oraz prowadzące mnie do tańca bezwładne palce w wilgotnych rękawiczkach. Pani Wilkes nie spuszczała z nas oka, a jej wachlarz poruszał się szybciej niż skrzydło ważki.

Starałam się dobrze zaprezentować, to znaczy tak, jak tego ode mnie oczekiwano, jednak cały czas pragnęłam jedynie wydostać się stamtąd jak najszybciej. Zbliżało się lato, w salach nie było wentylacji, za to wypełniały je tłumy ludzi. Po pewnym czasie ciepło wydzielane przez tańczących podnosiło temperaturę powietrza i tak już nagrzanego od kandelabrow oraz świeczników. Smród przegrzanych, mocno uperfumowanych ciał stawał się nie do zniesienia. Wraz z wybiciem jedenastej kończyła się moja męczarnia. Beau Nash, mistrz ceremonii, ogłaszał koniec balu. Wracałam do domu wykończona: twarz bolała mnie od ciągłego uśmiechania się, a

stopy i nogi od stania oraz tańca w czółenkach na cienkich podszwach.

Zazwyczaj po każdym balu pani Wilkes łajała mnie za to, że byłam zbyt oschła, zbyt wyniosła, zbyt odpychająca. Już zaczynała rozpaczać, że nigdy nie znajdę męża, gdy pojawił się kandydat. James Phillips Calthorpe, młodszy syn baroneta, dobrze wychowany, dobrze skoligacony. Nie miał własnych pieniędzy, a więc marne widoki na przyszłość, ale posiadał inne zalety przynależne jego pozycji. Hazard lubił tak samo jak mój brat, a w karty grał z podobną wprawą i podobnym szczęściem. Nie miałam co do niego żadnych złudzeń. Jego matrymonialny zapał był podsycany wyłącznie jego chciwością oraz wielkością mojego posagu.

Pani Wilkes była zachwycona. Calthorpe powszechnie uchodził za przystojnego, choć ja uważałam, że błękit jego oczu jest zbyt blady, karnacja zbyt żywa, nie podobała mi się również nieregularność wokół jego ust oraz podbródka. Zazdroszczono mi z powodu jego zalotów, jednak wcale mi na nim nie zależało. Uważałam, że jest płytki i próżny, na swój temat ma przesadnie dobrą opinię. Dokładałam starań, by go lekceważyć i traktować chłodno, jednak moje zachowanie odbierał jako wyniosłość, a to zamiast studzić jego zapał, tylko go podsycalo i czynilo jego zachowanie jeszcze bardziej męczącym.

W trakcie jednego z takich balów właśnie zastanawiałam się, jak przetrwać następne wieczory, gdy podszedł do mnie młody oficer marynarki.

– Czy mogę prosić o zaszczyt? – powiedział, kłaniając się przede mną.

Czekałam na Calthorpe'a, więc zamierzałam oszczędzać siły. Nie chciałam tańczyć wcześniej, niż było to konieczne. Zaczęłam się wymawiać, gdy młody mężczyzna wyprostował się i uśmiechnął się do mnie szeroko. Zobaczyłam, że to William.

Nagle wszystko się zmieniło. Podarłam swój karnet na ten wieczór i postanowiłam tańczyć tylko z Williamem. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki salę rozjaśniło złotawe światło migoczących żyrandoli. Stojący w rzędach naprzeciwko siebie tancerze wydali mi się ładni, wręcz piękni. Wyglądało na to, że w domach zostali wszyscy niezdarni młodzieńcy, podstarzali podrywacze, przesadnie wymalowane kobiety, stare panny i brzydule. Każdy poruszał się z gracją i zręcznością. Nikt nie obracał się w niewłaściwą stronę, nikt na mnie nie wpadał ani nie deptał mnie po palcach. Okna otworzyły się na oścież i do środka wpłynął zapach bzu.

Calthorpe się spóźnił. Przyszedł ze swym przyjacielem Burtonem, który, gdy stało się jasne, że nie opuszczę swego partnera dla Calthorpe'a, powiedział coś, co nie poprawiło Calthorpe'owi humoru. Obrócił się na pięcie i wyszedł. Na jego twarzy było widać wściekłość z powodu doznanego upokorzenia, ale jakie to dla mnie mogło mieć znaczenie? Moim partnerem był najprzystojniejszy mężczyzna w całym Bath.

Głowę miałam pełną pytań do Williama. Co tu robi? Od jak dawna jest w Bath? Jak długo tu zostanie? Jednak szanse na rozmowę były

znikome. Musiałam się zadowolić samym patrzeniem. W ciągu dwóch lat, jakie minęły od naszego ostatniego spotkania, bardzo się zmienił. Był teraz mężczyzną. W mundurze wyglądał wprost zniewalająco, do czego przyczyniały się lśniące guziki i sprzączki oraz nieskazitelnie białe podkolanówki i rękawiczki. Dojrzałość usunęła z jego twarzy chłopięce zaokrąglenie policzków i podbródka, jednak jego ciemne oczy patrzyły tak samo wymownie jak dawniej, a jego usta drżały w kącikach, co znaczyło, że nie stracił poczucia humoru ani dobrych cech charakteru. Zdawałam sobie sprawę, że ja zmieniłam się tak samo jak on, ale od razu wiedziałam, że między nami wszystko jest jak dawniej. Nie potrzebowałam słów, żeby się o tym przekonać. Jego oczy oraz dotyk jego dłoni powiedziały mi wszystko.

Spojrzeniami i uśmiechami można sobie przekazać bardzo dużo w trakcie zawiłych tanecznych układów. Moje serce przyspieszało z każdym krokiem, który zbliżał go do mnie, aż w końcu wstrzymywało bieg, gdy jego twarz, jego usta były tuż przy moich. Gdy oddalał się ode mnie, cierpiałam, a gdy łączył dłonie z innymi, szalałam z zazdrości. Potem wracał do mnie, a wraz z nim wracało cudowne uniesienie. Wtedy zrozumiałam, o co naprawdę chodzi w tańcu.

Myślałam, że w przerwie będziemy mieli czas na rozmowę, jednak po ostatnim tańcu powiedział mi, że musi już iść.

– Ale dlaczego tak szybko? – Oczy napęłniły mi się łzami, jakbym otrzymała nagły cios. Ofiarować takie szczęście, a później tak gwałtownie je zabrać to okrucieństwo.

– I tak zostałem dłużej, niż zamierzałem. Przyszedłem tu tylko po

to, żeby dostarczyć wiadomość. Jest tu żona mojego kapitana. Miałem dla niej list. Teraz muszę wracać na statek.

Spojrzałam na niego. Nie było możliwości nawet, żebyśmy się pożegnali. Nasze słowa ginęły w gwarze. Otaczający nas ludzie zaczęli nas rozdzielać, torując sobie drogę do sali bufetowej.

– Spotkajmy się! – zdołałam mu szepnąć do ucha. – Na zewnątrz!

William poszedł odebrać szablę oraz pelerynę, a ja wróciłam po szal. Zbiegłam ze schodów i wyszłam na zewnątrz, nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia służby. Zaczęłam się wachlować, jakbym potrzebowała powietrza, choć na dworze wcale nie było chłodniej niż w środku. Po chwili usłyszałam jego gwizd.

Stał przy sklepionym przejściu, od którego zaczynała się Harrison's Walks, która biegła w dół ku rzece Avon.

– Zechce pani ze mną pójść, panno Nancy? – Podał mi ramię. – Od jak dawna jesteś w Bath?

– Mniej więcej trzy tygodnie – odpowiedziałam.

– I dobrze się bawisz? Mając tyle rozrywek, muzykę, taniec i tak dalej?

– A co mi po tańcu? Nie znoszę tańca. Roześmiał się.

– No, nie, Nancy, to nieprawda! Przed chwilą wyglądałaś na bardzo zadowoloną. – Droczył się ze mną, ponieważ uniósł usta lekko ku górze w szerokim uśmiechu, jednak w jego oczach czaiła się powaga, nawet smutek. Wiedział równie dobrze jak ja, po co młode panny przyjeżdżają do Bath.

– Tylko dlatego, że tańczyłam z tobą.

– A co z mężczyznami, których tu poznałaś? Z nimi nie lubisz tańczyć?

Pokręciłam przecząco głową.

– Poznawania młodych mężczyzn nie lubię jeszcze bardziej niż tańca.

Ponownie się uśmiechnął.

– Myślałem, że jedno idzie w parze z drugim. – Przez chwilę milczał, gładząc główki róż, które rosły wzdłuż deptaka. W powietrzu zaczął się unosić ich słodki zapach. – A może już masz w sercu jakiegoś młodego mężczyznę i nie chcesz poznać innego.

– Możliwe, że mam.

Drgnął, jakby poczuł nagły i ostry ból. Odwrócił wzrok i ruszył w milczeniu. Spuścił głowę i westchnął, jakby usłyszał rzecz, której się najbardziej obawiał, a jednocześnie najbardziej spodziewał.

Uszliśmy kawałek, po czym odwrócił się do mnie.

– W takim razie... – zamilkł, nie wiedząc, co zrobić ani co powiedzieć.

– Nie. – Zacisnęłam ucisk na jego ramieniu. – Nie to chciałam powiedzieć. Chciałam...

Umilkłam. Nagle ja też nie wiedziałam, co powiedzieć. Chyba zabrakło mi odpowiednich słów.

– Nie ma żadnego młodego człowieka. Poza...

– Poza?

Wpatrywał się we mnie swoimi ciemnymi oczami. Wzięłam głęboki oddech.



– Poza tobą.

– Nie igraj sobie ze mną, Nancy.

– Nie igram. Po co miałabym to robić? To nie w moim zwyczaju.

– Naprawdę? – Patrzył na mnie z góry. Na jego twarzy nadal malowała się powaga.

– Naprawdę. Nie należę do tych, co sobie żartują w takich sprawach.

Uśmiechnął się i ten uśmiech objął całą jego twarz, łącznie z oczami.

– Myślałem o tobie każdej nocy i każdego dnia, odkąd wypłynąłem. – Przerwał, jakby chciał uporządkować myśli. – Gdyby nie ty, nigdy bym nie dostał miejsca na fregacie „Colchester” pod kapitanem Robinsonem. On jest dla mnie jak ojciec. Ty byłaś moim zbawcą, Nancy, ale również kimś dużo, dużo ważniejszym. – Zamilkł ponownie, jakby następne słowa były dla niego trudne do wypowiedzenia. – Byłaś w moim życiu od najwcześniejszych lat, jak siostra. Zawsze byłaś moim przyjacielem: silna, dzielna i lojalna. Pamiętasz, jak się razem bawiliśmy jako dzieci? – Skinęłam potakująco. – Ale gdy wróciłem, coś się zmieniło. Byłaś ubrana w jedwabie i atłasy jak prawdziwa dama. Wyglądało na to, że bardzo oddaliłaś się ode mnie, zwykłego marynarza. Poza tym jesteś córką bogatego człowieka. Myślałem, że nigdy mi się nie uda... – Pokręcił głową. – Jesteś najdelikatniejszą, najczystsza i najśliczniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem w życiu. Bardzo się ucieszyłem na twój widok, ale pomyślałem, że jestem bez szans... – Westchnął. –

Ślubowałem sobie, że nie wrócę, dopóki nie ułożę sobie życia. Dopóki nie będę godzien, żeby...

– Żeby co?

– Poprosić twojego ojca o twoją rękę. Mam już stopień, Nancy. – Wskazał na złoto na swoim kołnierzu. – Mam pieniądze z nagród oraz wynagrodzenie. Moja kariera dobrze się zapowiada. Powinienem zostać kapitanem.

– Nie dbam o to wcale. – Położyłam dłoń na jego ustach, aby go uciszyć. – Nie jestem moim ojcem, to dla niego zachowaj tę przemowę. – Przyciągnęłam go bliżej. – Mógłbyś wrócić boso i w stroju zwykłego marynarza, a ja i tak nadal chciałabym za ciebie wyjść.

– W takim razie... – powiedziawszy to, pochylił się nade mną. Mocno mnie objął i przycisnął do siebie. Poczułam na swoich ustach jego gorące wargi. Nagle zabrakło mi tchu, pomyślałam, że chyba stracę przytomność, że cała roztopię się z rozkoszy. Pragnęłam, żeby ten pocałunek nigdy się nie skończył, jednak po chwili William rozluźnił objęcie.

– Ty i ja będziemy zawsze razem. Jesteśmy sobie przyrzeczeni – powiedział cichym głosem. – Przyjmij to jako znak.

Ściągnął z palca swój pierścień. Był to męski pierścień ze złota, ciężki i tak duży, że pasował tylko na mój kciuk.

– W takim razie ty weź to.

Zdjęłam pierścionelek, który nosiłam na środkowym palcu lewej ręki. Kiedyś należał do mojej matki. Dostałam jej biżuterię na

urodziny.

Wszedł tylko do kostki małego palca Williama.

– Będę go nosił na szyi. – Wziął pierścionek i pocałował go, włożył do kieszeni munduru. – A teraz muszę już iść. – Spojrzał na niebo. – Muszę wrócić konno do Bristolu, a zanosi się na burzę.

Jakby na potwierdzenie jego słów w oddali zagrzmiało. Pierwsze krople deszczu spadły, gdy całował mnie na do widzenia. Musiałam biec do Sal Asamblowych, żeby uniknąć przemoczenia. Wbiegłam na schody, nucąc sobie pod nosem wesołą melodię taneczną. Zaczęła się druga połowa wieczoru, ale ja już nie będę tańczyć. Jeśli przyjechaliśmy do Bath po to, aby znaleźć mi męża, to z mojego punktu widzenia poszukiwanie właśnie zostało zakończone. William musiał wrócić na statek, ale mnie to nie martwiło. Byłam go pewna, wiedziałam, że porozmawia z moim ojcem, jak tylko pozwolą mu na to obowiązki.

Doszłam do ostatniego zakrętu schodów i zobaczyłam dwóch mężczyzn stojących w niedbałych pozach. James Calthorpe i Edward Bruton. Uśmiechnęłam się do Calthorpe'a. Chciałam go przeprosić za okazane mu wcześniej lekceważenie i już zamierzałam mu wyjaśnić, kim jest William, ale on udał, że mnie nie widzi i nie przerwał rozmowy z Brutonem. Odwrócił się do mnie plecami i zaczął schodzić w dół. Uznałam, że chyba zasłużyłam na takie potraktowanie, i nie byłam skłonna brać mu tego za złe, lecz wtedy Calthorpe powiedział coś, czego nie mogłam nie usłyszeć.

– Co pan powiedział?

Spojrzeni na siebie i uśmiechnęli się w bardzo nieprzyjemny sposób. Obaj byli pijani, choć w różnym stopniu. Calthorpe zataczał się bardziej niż jego kompan.

– Córka kupca to rzecz paskudna sama w sobie – powtórzył swoje wcześniejsze słowa Calthorpe, wymawiając je głośniejsze i wyraźniej niż poprzednio. – Ale marynarska dziwka to już ponad moje siły. – Spojrzał na przyjaciela i obaj wybuchnęli głośnym śmiechem.

Nie mogłam pozostać obojętna wobec obelgi pod adresem Williama i moim.

– On przynajmniej nie jest hulaką jak wy dwaj. Naraża swoje życie dla króla i dla kraju. Kimże jesteście, żeby drwić z marynarskiego munduru?

Usłyszawszy te słowa, zaczęli wprost ryczeć ze śmiechu. Patrząc na gębę stojącego poniżej mnie Calthorpe'a, cała zawrzałam gniewem. Wzięłam zamach i uderzyłam go prosto w nos. Nie był to dziewczęcy klaps czy nieudolne pacnięcie, ale krótki, mocny i celny cios, zadany w sposób, jakiego nauczył mnie mój brat Ned. Braciszek byłby ze mnie zadowolony. Usłyszałam trzask pękającej kości. Z nosa Calthorpe'a trysnęła krew. Na jego haftowanej kamizelce z jasnego jedwabiu pojawiły się nowe, przypominające płatki maku wzory.

Calthorpe zatoczył się, trzymając się za twarz, i byłby spadł ze schodów, gdyby Bruton w porę go nie złapał. Spomiędzy jego palców płynęła krew, a z ust wydobywał się potok niezrozumiałych słów. Obróciłam się na pięcie i szybko się oddaliłam.

Nieodwołalnie nadciągała burza. William miał rację. Największy

atak przypuściła w nocy. Wiatr wył i skowyczał pośród domów, a deszcz walił w okna niczym grad kul. Pani Wilkes musiała podnosić głos, aby jej polecenia zostały usłyszane w tym hałasie. Nasilająca się nawałnica najwyraźniej jej nie martwiła, jej jedyna obawa dotyczyła tylko łupkowych dachówek oraz kominów.

Ludzie mieszkający nad morzem zawsze obserwują pogodę. Susan oświadczyła, że nie zmruży oka.

– Nie podoba mi się ta burza – powiedziała, gdy przyszła mi pomóc się rozebrać. – Jeśli tutaj tak to wygląda, to co dopiero w Bristolu? Albo na kanale?

Skrzydła okien nieomal wyleciały z zawiasów, gdy wyjrzała w posiekaną strugami deszczu ciemność. Wichura, która ryczała nad domostwami Bath, na morzu z pewnością szalała z podwójną mocą. Każdy statek, którego sztorm złapał z dala od brzegu, miał nikłe szanse na uratowanie się. Kapitanowi, który nie zdążył znaleźć bezpiecznej przystani, pozostawało jedynie zdać się na łaskę i niełaskę natury.

– Będą wraki po dzisiejszej nocy. – Roztarta gęsią skórkę na swoich rękach. – Wspomnisz moje słowa.

Tego wieczoru Susan i ja ukłękaliśmy razem, aby pomodlić się za tych, którzy mogli być w niebezpieczeństwie na morzu, oraz za tych, których statki zostały wyrzucone na brzeg. Od siebie dodałam cichą modlitwę za Williama, składając dzięki za to, że nie jest na morzu, i poprosiłam Boga o opiekę nad nim.

Do rana burza wcale nie osłabła. Wręcz przeciwnie, srożyła się

dalej z jeszcze większą siłą, stając się jedną z najgorszych nawałnic, jakie pamiętali najstarsi ludzie. Na końcu King Road, u ujścia rzeki Avon, gdzie była bezpieczna przystań, leżały wyrzucone na brzeg statki. Do tej pory taka rzecz zdarzyła się tylko dwa razy. Pod koniec trzeciego dnia szkody wyrządzone przez burzę osiągnęły ogromne rozmiary. Do Bristolu stopniowo nadchodziły wieści o liczbie zniszczonych statków oraz stratach w ludziach. Zatonęły całe floty, ale my w Bath nic o tym nie wiedzieliśmy. Powalone drzewa zatarasowały przejazd, a wezbrane rzeki groziły rozlaniem. Dopiero po kolejnych dwóch dniach przybył do nas pierwszy powóz z domu.

Przyjechał w nim Robert z listem od mojego ojca. Pani Wilkes natychmiast go przeczytała. Nie powiedziała nam, co zawierał, ale musiało to być coś strasznego, ponieważ zbladła.

– Co się takiego stało? – zapytała Roberta Susan, dając mu posiłek w kuchni.

Robert pokręcił swoją dużą głową. Nigdy przedtem nie widziałam, aby jego podłużna twarz miała poważniejszy wygląd.

– Pan każe wracać do domu.

Mój ojciec siedział w swoim gabinecie w aurze smutku i przygnębienia. Jego ubranie było wygniecione, jakby w nim spał. Jego potargana peruka przekrzywiła się na jedną stronę. Wyglądał tak, jakby ubyło mu ciała, kamizelka nie napinała się przy guzikach. Jego zazwyczaj czerwona twarz była szara jak gips i zapadnięta pod kilkudniowym, siwym zarostem. Oczy straciły blask i były czerwone z niewyspania. Ojciec wyglądał na znacznie starszego niż wtedy, gdy go poprzednio widziałam, jakby w ostatnich dniach przybyło mu dwadzieścia lat.

Czekał na konwój statków z Jamajki. Do portu w Bristolu przyplłynął szczęśliwie tylko jeden.

– Pani, dajcie już pokój! – ryknął na panią Wilkes. Machał na nią ręką, jakby odganiał się od bzyczącego owada. – Dłużej tego nie zniosę!

– Ojczy... – zaczął Joseph, ale nie było mu dane powiedzieć nic więcej.

– A ty milcz! – Ojciec na wpół uniósł się z krzesła. – Jeśli jesteśmy zrujnowani, to głównie za twoją sprawą. To, co uczyniłeś, to przestępstwo. Gdzie są fundusze, które ci posłałem na zabezpieczenie ładunków?

Mój brat nie miał na to żadnej odpowiedzi. Nawet nie próbował się bronić. Zwiesił jedynie głowę, jakby znowu miał dziesięć lat i został przyłapany na kradzieży przez jakiegoś sklepikarza.

– Przywłaszczyłeś sobie te pieniądze, spodziewając się wygranej, a teraz wszystko przepadło. Wszystko na dnie morza. – Opierając się o biurko, ojciec wyprostował się, żeby stanąć twarzą w twarz ze swoim synem. – Czym mam zapłacić wierzycielom? Czym mam zapłacić plantatorom, których cukier przewoziliśmy? Co mam dać kupcom, którzy go kupili? Może ty mi to powiesz? Jestem odpowiedzialny za spłatę. Jak mam to zrobić bez statków i bez pieniędzy? Jesteś winny oszustwa jak wszyscy diabli! Mógłbym cię oddać w ręce sprawiedliwości i zrobię to, jeśli nie będziesz uważał. – Joseph otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. W obliczu furii ojca wyglądał niczym ryba z otwartym pyszczkiem. – Na razie koniec rozmowy. Wynocha z moich oczu!

Myślałam, że mnie też miał na myśli, więc ruszyłam do drzwi za moim bratem.

– Ty zostań – przywołał mnie z powrotem. – Chcę z tobą porozmawiać.

Stałam, czekając na jego dalsze słowa, ale nagle zaczął się zachowywać, jakby mnie tam wcale nie było. Usiadł zamyślony i przez pewien czas patrzył przez okno na rozpościerające się poniżej miasto.

– Ojczy? – Zrobiłam krok do przodu, żeby przypomnieć mu o swojej obecności.

– Znalazł się mąż dla ciebie? Pokręciłam przecząco głową.

– Nie? W ostatnim liście twoja matka pisała, że wiąże z kimś nadzieje...



Przypomniałam sobie zakrwawiony nos Calthorpe'a i ponownie pokręciłam głową.

– Dobrze. Dobrze. – Pocierał dłonie, jakby chciał je rozgrzać. – Ci młodszy synowie. Nie mają nawet własnego nocnika. Co z tego, że są z arystokracji. Nie ma sensu dorzucać dobrego pieniądza do złego. Zatem nie jesteś z nikim związana?

– Hmm, niezupełnie...

– Co to znaczy? – Spojrzał na mnie ostro. – Mów jasno. Wzięłam głęboki oddech, gotowa powiedzieć mu wszystko i mieć to już za sobą. Moje serce przepełniła nadzieja. Jeśli dobrze to rozegram, to być może poślubię Williama od razu. Dla ojca byłby to jeden wydatek mniej i sposób na pozbycie się mnie.

Ale rozegrałam to fatalnie.

– Jestem po słowie.

– Tak? – Oczy ojca zwęziły się. – Az kim?

– Z Williamem. Jest w Bath. Spotkaliśmy się i...

– Z Williamem? Jakim Williamem?

– Williamem Daviesem. Znasz go. Ojciec potarł szczecinę na brodzie.

– Ojciec był kiedyś kapitanem na „Andrew and John”? Matka prowadzi gospodę „Pod Siedmioma Gwiazdami”?

– Tak. To on. Jest...

– Marynarzem. Nie wyjdiesz za okrętowego smolucha.

– On nie jest smoluchem. Jest oficerem marynarki.

– Oficerem marynarki! – Ojciec parsknął gardłowym śmiechem. –

Mimo to wciąż jest smoluchem. Jak oni wszyscy.

– Ale wiąże nas obietnica...

– Już nie. Nie możesz wyjść za mąż bez mojego pozwolenia, a ja ci go nie udzielam. – Właściwie odczytał wyraz mojej twarzy. – Myślisz, że jestem surowy, co? Okrutny? Idź i zapytaj wdowy i sieroty w Bristolu, niech ci powiedzą, co jest okrutne. Wszystko straciłem. Wszystko! – Drżał mu głos. – Statki, które mi zostały, będą musiały być sprzedane na spłatę długu. Rozumiesz? – Wstał i podszedł do mnie. – Zrobisz, co do ciebie należy, prawda? Jeśli cię o to poproszę. Dla mnie? Dla rodziny? – Dotknął moich policzków i zaczął je gładzić drżącymi palcami starca.

– Oczywiście, ojcze! – Nie miałam pojęcia, o czym mówił ani co mu obiecuję, ale jego rozpacz i nagle zniedołężnienie bardzo mnie przeraziły. Czy mogłam powiedzieć co innego?

– Grzeczna dziewczynka! Moja grzeczna dziewczynka. Moja Nancy! Zawsze szczerą i oddaną! Twój brat Joseph okazał się pijanicą i utracjuszem, ale wiedziałem, że ty mnie nie zawiedziesz. Jesteś moją córką i spełnisz swój obowiązek. – Oparłszy się o skraj biurka, zaczął powoli i z wielkim trudem iść z powrotem w kierunku krzesła. Stawiał ostrożne, małe kroki jak człowiek na rozchybotanym statku. – Mam jeszcze jedną szansę – powiedział, ciężko opadając na siedzenie. – Jedną jedyną.

Wymruczał te słowa z brodą opuszczoną na piersi, więc za brzmiały niewyraźnie. Po chwili podniósł na mnie wzrok. Jego nastrój zmienił się całkowicie. Znowu był dawnym sobą.

– Koniec z rozmowami o poślubieniu marynarzy. Dziś wieczorem spodziewam się gościa na kolacji. Do tego czasu postaraj się pozbyć tej nadąsanej miny, moja panno. Można by nią skwasić mleko. Chcę, żebyś była czarująca. Chcę, żebyś wyglądała tak ładnie, jak tylko potrafisz. Powiedz to Susan. A teraz przyślij mi tu Josepha. Musimy pomyśleć, jak się ratować.

Tragedia na morzu dotknęła wielu; ojciec nie był jedynym, który ucierpiał, jednak jego straty były największe. Przepadł cały konwój, załogi utonęły, ładunki zostały rozkradzione lub rozpuściły się w wodach kanału. Jedynymi statkami, które pozostały ojcu, były te w porcie oraz przebywające za granicą, których jednak nie można było szybko spodziewać się z powrotem.

– Cały Bristol o tym mówi. Ze wszystkich statków płynących do portu ocalał tylko jeden – powiedziała Susan po powrocie z miasta. – Załoga to sami cudzoziemcy, ciemnoskóre draby ze złotem w uszach i lokami czarnymi jak węgiel. I ani jeden nie mówi po angielsku. Wyszli ze sztormu bez jednego rozdartego żagla czy złamanego drzewca. Kapitanem musiał być chyba sam diabeł, tak mówią w porcie.

Portowe plotki były bliższe prawdy, niż się powszechnie domyślano.

Ów tajemniczy kapitan jedyne ocalałego statku miał być naszym gościem na kolacji, jednak do jej spożycia nigdy nie doszło. Pieczona wołowina, którą tak uwielbiał ojciec, zwęgliła się na ruszcie; pudding śliwkowy, który kazał przygotować, tak długo gotował się na piecu, że

stwardniał na kamień. Susan rozpuściła mi włosy na ramiona i była w trakcie szczotkowania, gdy usłyszałyśmy wrzask na dole, tupot nóg, a potem dalsze krzyki i wołania w całym domu.

Nie byłam jeszcze ubrana, więc Susan pobiegła, żeby zobaczyć, co spowodowało takie zamieszanie. Wróciła wolnym krokiem, a jej szczupła twarz była blada i ściągnięta.

– Co się stało, Susan? – Odwróciłam się od lustra. – O co chodzi?

– Chodzi o ojca panienki – powiedziała zduszonym głosem. Jej oczy zachodziły łzami. – Bardzo z nim źle. Wnoszą go teraz na górę.

Wybiegłam z pokoju w samym gorsecie. Robert i lokaj wnosili ojca po schodach. Jego głowa opierała się bezwładnie o pierś Roberta, a jedna ręka luźno zwisała, uderzając o balustradę. Podbiegłam i schwyciwszy rękaw, uniosłam rękę ojca. Gdy ją kładłam na jego piersi, poczułam, jaka jest bezwładna i ciężka. Ojciec był szary na twarzy, a jego dolna szczęka była opuszczona. Skóra na policzku od mojej strony była pofałdowana, uniesiona niczym jakimś olbrzymim hakiem. Białka na wpół otwartych oczu były podbiegłe krwią.

– Czy on... – Spojrzałam na Roberta. Pokręcił głową i zrobił grymas, jakby chciał powiedzieć: „Jeszcze nie”.

– Już posłaliśmy po doktora.

Zanieśli ojca do jego pokoju. Robert ułożył go na łóżku delikatnie, niczym śpiące dziecko. Przez chwilę stał i patrzył na niego. Odesłał lokaja, a sam poprosił o ciepłą wodę i czyste płótno. Gdy odchodziłam, ze łzami w oczach obmywał swego pana.

– To apopleksja, tak mówi pani – powiedziała do mnie Susan. – Jej

poprzedniego męża też trafiła, więc zna objawy.

Doktor przyszedł i pokręcił głową. Nic już nie był w stanie zrobić. Większość myślała, że pani Wilkes się załamała, ale po pierwszym szoku otrząsnęła się i wykazała się rozsądkiem. Posłała po Henry'ego do Londynu oraz po Neda do jego regimentu.

Ojciec umierał trzy dni, więc obaj zdążyli przyjechać i z nim się pożegnać. Zostaliśmy wezwani do łóża ojca, gdy wyglądało na to, że to jego ostatnie chwile. Henry i Joseph już tam byli i zajęli miejsca po jego obu stronach. Stałam w nogach łóża, Ned obok mnie. Wsłuchiwalismy się w płytki, świszczący oddech, liczyliśmy sekundy pomiędzy oddechami i zadawaliśmy sobie pytanie, czy będzie następny. W pewnej chwili, gdy już wydawało się, że to koniec, ojciec schwycił Henry'ego za rękaw i przyciągnął go do siebie. Joseph i Henry pochylili się nad ojcem, zbliżając uszy do jego ust. Ojciec mówił bardzo niewyraźnie, jego głos przypominał skrzeczenie ptaka. Nie dosłyszałam, co powiedział, ale obaj skinęli głowami.

– Przyrzekamy, ojcze – powiedzieli jednocześnie. Ręka ojca opadła bezwładnie. Odwrócił od nich głowę i nie wyrzekł już ani słowa.

Na podjeździe przed domem rozrzucono słomę, aby stłumić tętent kopyt i stukot kół. Wewnątrz domu odwrócono lustra do ścian, zamknięto okiennice i zaciągnięto zasłony. Trumnę z ciałem ojca postawiono w jadalni, w otoczeniu wysokich, jasno palących się woskowych świec. Przy zwłokach czuwał Robert. Do moich braci zaczęli przychodzić ludzie, aby oddać hołd oraz złożyć kondolencje. Mówili i stąpali cicho, jednak wielu z nich było wierzyicielami i

nerwowo dopytywało się, co ze spłatą długu. Pogrzeb nie pogrzeb, interesy nie mogły czekać. Henry częstował ich alkoholem i ciastem oraz miłymi słowami i zapewnieniami, że nie ma powodu do obaw. Goście wypili swoją sherry, strząsnęli okruszki z kamizelek i zgodzili się dać Henry'emu trochę czasu na uporządkowanie spraw ojca.

– Właśnie tego mi potrzeba – powiedział mój brat. – Trochę czasu.

Po ich wyjściu udał się do biblioteki, gdzie spędził wiele godzin pochylony nad księgami oraz umowami. Wyszedł stamtąd z podkrążonymi oczami i wymizerowaną twarzą. Byliśmy zrujnowani; nie było co do tego wątpliwości. Tylko cud mógł nas uratować. Wierzyście zgodzili się poczekać do czasu, aż skończy się pogrzeb, ale potem zabiorą nam wszystko.

Nie wiem, do kogo się modlił, ale naszym wybawcą okazał się ów cudzoziemski kapitan, który ocalał ze sztormu bez najmniejszego uszczerbku. Bartholome, Brazylijczyk, przyszedł do naszego domu na dzień przed pogrzebem. Już sama jego obecność wywołała liczne rozmowy i szepty po kątach. Był to wielce tajemniczy człowiek. Nic nie było o nim wiadomo. Pojawił się wśród nas niczym wymachujący widłami diabełek z jarmarcznej zabawki. Nawet jego pełne nazwisko nie było nikomu znane. Legendy na temat jego osoby krążyły wokół niego na podobieństwo czarnej peleryny. Jego wiek, kraj urodzenia, poprzednie losy, nic nie było znane. Nawet jego wygląd był zwodniczy. Musiał być w wieku mojego ojca, jednak wyglądał na znacznie młodszego. Nie nosił peruki, a w jego gęstych, czarnych, opadających na ramiona włosach nie było śladu siwizny. Miał idealną

figurę i, co zadziwiające, z jego twarzy nie sposób było odczytać jego wieku. Jego rysy zdawały się wyryte w twardym drewnie. Cienki wąs oraz broda były tak krótko przycięte, że wyglądały, jakby je wymalowano na jego ciemnej skórze.

Kiedyś był bukanierem i swoje bajeczne bogactwo zdobył w czasach, gdy zajmował się łupieniem statków, tak mówiono o nim w Bristolu. Dla nas był plantatorem o barwnej przeszłości. Za zgromadzone łupy nabył ziemię. Jego majątek na Jamajce był prawie równy naszemu. Mój ojciec od lat prowadził z nim interesy, dostarczając mu niewolników i sprzedając jego cukier. Bywał już w naszym domu wcześniej. Tym razem przyszedł, żeby złożyć kondolencje, ale nie tylko po to. Przez wiele godzin siedział z moimi braćmi za zamkniętymi drzwiami. Gdy stamtąd wyszedł, wziął nasze kłopoty na swoje barki.

Natknęłam się na nich w holu, gdy Brazylijczyk zbierał się do wyjścia.

– Panna Nancy. – Skłonił się przede mną. – Jestem zachwycony, widząc panią ponownie, nawet w tak smutnej chwili.

– Ujął moją dłoń. Na jego długich palcach skrzyły się ciężkie pierścienie z rubinami i szmaragdami. Patrzył na mnie oczami tak czarnymi, że nie było w nich widać źrenic. Jego tęczęwki miały czerwony, prawie fioletowy odcień, taki, jaki mają przejrzałe wiśnie albo wilcze jagody. – Szczerze mi przykro z powodu tej straty – wymruczał, podnosząc moją dłoń do swoich ust.

– Gotów jestem do wszelkiej pomocy...

Poczułam na skórze jego ciepłe i wilgotne wargi pośród krótko przyciętego, jedwabistego zarostu. Jakby pieściła mnie pantera. Musiałam się powstrzymać, żeby nie wyrwać swojej dłoni.

– Dziękuję, panie. Wielce to uprzejme.

– Gdy panią ostatnio widziałem, była pani jeszcze dzieckiem... – Uśmiechając się, rozchylił czerwone wargi, ukazując przerwę między przednimi zębami. Susan twierdzi, że taka przerwa oznacza żądzę.

– Tak, pamiętam.

Miałam trzynaście, może czternaście lat. Już nie takie dziecko.

– A teraz to już młoda dama. – Jego wzrok ześlizgnął się z mojej twarzy.

– Jak widzicie. – Opuściłam wzrok.

Gdy się ponownie uśmiechnął, skóra wokół jego oczu zamieniła się w siateczkę zmarszczek, zdradzając jego wiek. Patrzył na mnie wyczekująco, ale mnie nic nie przychodziło do głowy. W końcu zwrócił się do moich braci.

– Tak, panowie – powiedział, ściskając im dłonie. – Interesy z panami to przyjemność. Duża przyjemność.

Założyłam, że ma na myśli wszelkie uzgodnienia, jakie poczynili wcześniej, i że to oznacza dla nas ratunek. Moi bracia gorąco uścisnęli mu dłoń i odprowadzili do drzwi. Niczego nie podejrzewałam, choć dziś wiem, że na pewno śmialiby się, gdyby nie to, że ciało ojca nadal było w domu. Głośno rozmawiali o sprowadzeniu ładunków oraz o zakupie nowych statków. Pamiętam, że cieszyło mnie to oraz że poczułam ulgę. Prawdopodobnie czułam też wdzięczność do



Brazylijczyka za to, że nam pomógł wyjść z poważnych kłopotów i że okazał się wobec nas taki wielkoduszny.

Na myśl o tym, jaka wtedy byłam naiwna, dostaję dziś dreszczy.

Następnego dnia ciało mojego ojca miało być pochowane w kościele St Mary Redcliffe, tym samym, do którego uczęszczał od dzieciństwa. Gdy był w Bristolu, nigdy nie opuścił niedzielnego nabożeństwa; teraz miał tam zostać na wieki.

Wnętrze kościoła było mroczne i ponure. Na zewnątrz ciemne chmury wróżyły więcej deszczu oraz wczesny zmrok. Słabe płomienie świec drżały z każdym wejściem kolejnych żałobników. Jedynym kolorowym akcentem była czerwień munduru Neda, jednak gdy się rozejrzałam, moje oczy przyciągnęło jakieś lśnienie. Za nami stanął Bartholome. W połowie drogi do ołtarza opadł na jedno kolano w geście przesadnie oddawanej czci. Wysadzany brylantami krzyż, który nosił na piersi, wysunął się z koszuli i dzięki światłu świec rozjarzył się w mroku nawy niczym konstelacja gwiazd. Ludzie kręcili głowami z niedowierzaniem i niesmakiem. Od ponad stu lat nikt w tym kościele nie zrobił czegoś podobnego. Rozdymano nozdrza na widok tak demonstracyjnie okazywanego katolicyzmu. Bogobojny lud Bristolu odwracał się na znak potępienia. Bartholome zdawał się niczego nie zauważać i gdy spostrzegł, że na niego patrzę, uśmiechnął się do mnie szeroko, ukazując szparę między białymi zębami na tle czarnej brody. Susan dała mi kuksańca w bok, jakbym potrzebowała przypomnienia, że nie należy się rozglądać na pogrzebie własnego ojca.

Nabożeństwo nie trwało długo i wkrótce wyszliśmy na zewnątrz, prosto w ulewny deszcz. W kościele pozostał tylko mój ojciec. Jego ciało czekało na złożenie pod kamiennymi płytami, po których mieli chodzić ludzie.

Moi bracia zamówili płytę nagrobną z alabastru, nie licząc się z kosztami. Miały zostać na niej wyryte symbole morza oraz plantacji: statki, trzcina cukrowa, klękający niewolnicy. U góry miało być tryskające wodą źródło, jako symbol firmy ojca, a w jednym z rogów czaszka, która, jak na innych płytach nagrobnych, miała przypominać, że każdego czeka śmierć.

Odczytanie testamentu ojca odbyło się w jego gabinecie. Nie miałam jeszcze szesnastu lat, więc nie mogłam w nim uczestniczyć. Henry i Joseph zostali wyznaczeni moimi prawnymi opiekunami. Henry miał przejąć firmę w Bristolu, a Joseph na Jamajce. Pokłócili się o to, jak mieli w zwyczaju od czasów, gdy byli małymi chłopcami. Henry wygrał ten spór, jak zresztą wszystkie poprzednie. Poza tym tak było w testamencie. Nawet Joseph nie mógł się przeciwstawić ostatniej woli ojca, choć był o to zły i obrażony. Mruczał pod nosem, że Henry zawsze był ulubieńcem ojca i dostawał to, co najlepsze. Zrobiło mi się go żal i powiedziałam, że mu współczuję, ale odrzekł, że to raczej sobie powinnam współczuć.

– Płyniesz ze mną. Nie wiedziałaś o tym?

Nie miałam pojęcia. Widząc wstrząs, jaki wywołała u mnie ta wiadomość, rozchmurzył się.

– Dlaczego? Po co mam tam jechać? Złożył obie ręce jakby do

modlitwy.

– Wola naszego ojca.

Mieszkałam w domu pełnym tajemnic. Wszyscy wiedzieli więcej ode mnie. Nawet Susan.

Ruszyłam na jej poszukiwanie. Znalazłam ją w mojej sypialni. Przeglądała moje letnie stroje.

– Przykro mi, panienko Nancy, naprawdę. Bez panienki to już nie będzie ten sam dom.

– Wiedziałaś o wszystkim, prawda? Skinęła potakująco.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie było mi wolno. – Zaczęła składać i rozkładać jedną z moich sukien.

– Ale dlaczego?

– Żeby... Żeby panienka nie uciekła...

– Uciekła! – Usiadłam na łóżku całkowicie zdezorientowana. – Niby dokąd?

– Nie mogę powiedzieć... – Spojrzała na swoje dłonie. Ukrywała coś przede mną. Widziałam to po wyrazie jej twarzy.

– No więc?

– Pani uważała, że panienka może się wystraszyć i uciec.

– Z kim? Dokąd?

– Z Williamem. To nie ja, panienko – pospieszyła z zapewnieniem.

– Przysięgam. Nigdy nie pisnęłam nawet słówka. Sama się domyśliła. Widziała was w Bath.

– Od tamtego czasu nawet się nie odezwał.

Duma sprawiła, że trudno mi było się do tego przyznać, ale czekałam na jakiś znak od niego. Nadzieja, że się do mnie odezwie, była jedynym jasnym punktem w moim życiu w ostatnich dniach, jednak z każdym dniem ta nadzieja słabła. Teraz nie zostało z niej prawie nic.

– Ośmielę się powiedzieć, że to się nawet dobrze złożyło . – odezwała się Susan z udawaną wesołością. – Prawdopodobnie pozna tam panienska jakiegoś młodego plantatora z górą pieniędzy.

– Nie chcę żadnego młodego plantatora. – Wpatrywałam się w nią intensywnie. – Ty coś wiesz, prawda? O co chodzi? Powiedz mi, Susan!

Patrzyła na mnie, wyraźnie tocząc ze sobą wewnętrzną walkę.

– Przyszedł tu.

– Kiedy?

– Zanim pana raziło.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Jakoś się zapomniało w tym zamieszaniu. – Zawahała się, czy ma mówić dalej. – Ale była wiadomość – powiedziała w końcu. – Od niego.

Poczułam, że moja nadzieja rodzi się tam, gdzie wygasła.

– Kiedy? Co w niej było?

– Parę dni temu. Nie wiem, co w niej było, bo pani ją zabrała i wrzuciła w ogień. Powiedziała, że jak się o tym panienska nie dowie, to nie będzie jej przykro. Wiadomości od niego tylko by paniencie namieszały w głowie i zachęciły do zrobienia jakiejś głupoty.

– Ale mogłaś mi o tym powiedzieć!

– Powiedziała, że jeśli panienka się dowie, to ona będzie wiedziała, od kogo, i że mnie zwolni. – Susan zaczęła płakać i ocierać oczy fartuchem.

Sięgnęłam po papier i pióro.

– Może jeszcze nie jest za późno. Wyślę mu wiadomość.

– To nic nie da. – Susan pociągnęła nosem i pokręciła głową. – Dziś rano okręty marynarki wypłynęły do Portsmouth. Kucharka mi powiedziała. Jej Noah służy na jednym z nich. Tak mi przykro, panienko, naprawdę! Nic już nie można zrobić!

Miała rację. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko poddać się czekającemu mnie losowi. Pomogłam zatem wybierać moje stroje na lato, wyjmując je z szaf i pakując do kufrów. Pracując, starałam się nie myśleć o Williamie, ale czy to było możliwe? Gdzie on jest? Co o mnie myśli? Po tym, jak przesłał mi wiadomość i nie otrzymał żadnej odpowiedzi? Gdybym tylko wiedziała, gdybym miała taką możliwość, na pewno bym z nim uciekła. Teraz moje życie wydawało się zrujnowane. Ponure jak zimowy dzień.

Nie winiłam Susan. Była moją oddaną przyjaciółką i nie chciałam myśleć o niej źle. Podarowałam jej nawet kilka drobiazgów z mojej biżuterii: perłową broszkę, która się jej zawsze podobała, oraz naszyjnik z koralami i kolczyki do kompletu.

Możliwe, że pani Wilkes wyczuła we mnie odmianę, a może żałowała tego, co mi uczyniła, ponieważ tamtego wieczoru potraktowała mnie inaczej niż zwykle. Nalała mi czekolady ze swego

specjalnego srebrnego dzbanka i zaczęła rozmowę o moim życiu na Jamajce, szczególnie o tym, jakie będą wobec mnie oczekiwania. Czułam się tak, jakbym przekraczała niewidzialną granicę dzielącą dziewczynę od kobiety.

– Dla młodej dziewczyny to na pewno szok... – Umilkła i zaczęła robić plisy na swojej spódnicy. – Szczególnie na początku. To wygląda zupełnie inaczej, niż się oczekuje. Trzeba czasu, żeby przywyknąć...

– Z pewnością – powiedziałam, przekonana, że nadal mówi o życiu na plantacji.

– Jestem dla ciebie prawie jak matka, więc ten obowiązek spoczywa na mnie... – Umilkła ponownie.

Spojrzałam na nią wyczekująco. Nie należała do kobiet, którym brakuje słów.

– Słyszałam, że jego prawie nigdy nie ma w domu – podjęła temat – więc nie powinien za bardzo cię męczyć.

Powiedziawszy to, poderwała się i pobiegła do Susan, aby nadzorować zakończenie pakowania. Udałam się za nią i zapomniałam o całej rozmowie. Rankiem następnego dnia miałam wyjechać, zatem miałam ważniejsze rzeczy na głowie. Poza tym myślałam, że mówiła o Josephie. Tylko od kiedy to on mnie męczył?

Nawet dziś, na myśl o tym, jak mogłam być aż tak naiwna, ogarnia mnie śmiech. Śmiech rozgoryczenia.

Nie mam pojęcia, przez ile dni nie opuszczałam swojej kajuty, uwięziona przez chorobę morską oraz ogólnie złe samopoczucie. Steward Abe Reynolds przynosił mi jedzenie, którego sam widok przyprawiał mnie o mdłości.

– Musi panienka jeść – powiedział, ciągnąc się za płatek jednego ze swoich długich uszu. Był wyraźnie urażony, gdy odmówiłam zjedzenia kolejnego przysmaku, który miał mnie skusić. – Może panienka potrzebuje świeżego powietrza. Teraz statkiem nie kołysze. Wiatr się uspokoił. Może zrobi panienka rundkę po pokładzie? Inni pasażerowie uważają, że to całkowicie stawia na nogi.

Powiedziałam mu, że nie mam ochoty na żadne towarzystwo.

– Woli panienka własne, co? – zapytał, zabierając tacę z nietkniętym jedzeniem.

– Tak – odpowiedziałam zdecydowanie.

Prawda wyglądała trochę inaczej. Rozmyślania w samotności tylko powiększały moją zgryzotę, jednak nie było nikogo, kogo bym chciała zobaczyć, ani nikogo, kogo bym uważała za przyjaciela, a myśl o przebywaniu wśród nieznanym wydała mi się nieprzyjemna.

Gdy usłyszałam kolejne pukanie do drzwi, pomyślałam, że to znowu Abe, więc kazałam mu odejść, jednak pukanie powtórzyło się. Głos, którego nie rozpoznawałam, prosił o wpuszczenie. Podeszłam, żeby otworzyć. Podłoga pod moimi stopami nie chwiała się ani nie kołysała, była tak nieruchoma jak podłoga w naszym salonie, aleja i

tak zatoczyłam się i nieomal wpadłam w ramiona stojącego przede mną mężczyzny.

Pomógł mi wejść z powrotem do kajuty i posadził mnie na krześle. Najwyraźniej należał do załogi, ale był dżentelmenem. Na nogach miał buty oraz podkolanówki i choć jego koszula miała krótkie rękawy, to jednak nosił do niej kamizelkę.

Domyśliłam się, że pod upudrowaną peruką ma rude włosy, ponieważ miał bladą i piegowaną twarz. Jego gęste, nieomal białe brwi splątały się i sterczały jak kawałki postrzępionej liny. Oczy miały kolor wyblakłego błękitu, jakby słońce również im odebrało barwę. Wyglądał na zmęczonego i zmartwionego jak ktoś, kto bierze na siebie zmartwienia innych ludzi. Sprawiał wrażenie, że mój widok tylko dołożył mu trosk.

– Czego pan sobie życzy? – zapytałam.

– Obejrzeć panią. – Podwinął wyżej rękawy. – Nazywam się Niall, Niall Graham. Medyk pokładowy. Przyszedłem zobaczyć, jak się pani czuje.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Słyszałem co innego.

– A jakie to ma dla pana znaczenie? Nie jestem pańską pacjentką.

– Nie ma pani wyboru. – Uśmiechnął się blado. – Wszyscy na pokładzie są moimi pacjentami, czy to pasażerowie, czy członkowie załogi. – Podszedł bliżej. – Chciałbym się pani przyjrzeć. Nie mogę pozwolić, aby panna Kington się rozchorowała. Ten statek należy do pani rodziny. Jak by to wyglądało w moich dokumentach?



– Nie jestem chora.

– Sam to ocenię. Reynolds mi mówił, że nie przyjmuje pani pożywienia. – Pociągnął moje dolne powieki w dół i zajął mi w oczy. – Cieleśna przypadłość nie jest jedyną chorobą, jakiej musimy się lękać. Można wpaść w melancholię. – Domyślił się. Jego błękitne oczy były wyblakłe, jednak nie straciły swojej przenikliwości ani przebiegłości. – Jestem medykiem. Na statku staję się kimś podobnym do księdza. Rozmowa koi duszę, jak mówią. – Wyciągnął do mnie ramię. – Może uczyniłaby pani mi ten zaszczyt i przeszła się ze mną po pokładzie? Świeże powietrze dobrze pani zrobi. Abe miał rację w tej sprawie, a ja zawsze uważałem, że rozmowa przychodzi łatwiej, gdy towarzyszy jej ruch.

Udałam się wraz z nim i wyszłam na światło dzienne, które natychmiast zakłuło mnie w oczy. Miałam ochotę cofnąć się i wrócić do ciemności pod pokładem, żeby się ponownie schować przed światem, jednak Graham łagodnie popchnął mnie do przodu. Gdy moje oczy już przyzwyczyły się do światła, zobaczyłam białe żagle na tle błękitnego nieba. Poczułam, jak słońce ogrzewa mnie przez suknię. Wystawiłam twarz do wiatru, żeby poczuć jego ciepłe podmuchy. Trudno by mi było to przyznać, ale byłam zadowolona, że zamieniłam duszną kajutę na pokład na wolnym powietrzu. Zbyt długo przebywałam w samotności, dręczona melancholią, jak słusznie zauważył Graham. Od tamtego momentu zaczęłam się czuć lepiej. Był dobrym doktorem.

Graham podał mi ramię, a ja je przyjął. Poczułam potrzebę

zwierzenia się mu, choć w ogóle go nie znałam. Spacerując z nim wolno po pokładzie, zaczęłam mu opowiadać o sobie. Zbliżało się południe i słońce przygrzewało coraz mocniej. Graham zaprowadził mnie w zacienione miejsce, gdzie usiedliśmy na odwróconych do góry dnami wiadrach. Pozostaliśmy tam tak długo, aż dokończyłam swoją opowieść.

Graham wysłuchał mnie z wielką powagą i nie próbował pocieszyć. Przyznał, że moja sytuacja jest rzeczywiście trudna.

– Jednak nie powinna pani porzucać nadziei. Jest pani młoda. Dla młodych zawsze jest nadzieja. A ten pani ukochany, William, on o pani nie zapomni. To dzielny człowiek.

– Mówi pan, jakby go znał.

– Bo jest tak w istocie. Służyliśmy razem na jednym statku.

– Na „Amelii”?

– Na tej samej!

– Dlaczego nie powiedział mi pan wcześniej? Roześmiał się.

– Nie dała mi pani żadnej szansy. Dobry był z niego chłopak, a swoje obowiązki wypełniał w trudnych okolicznościach, proszę mi wierzyć. Cieszę się, że wstąpił do marynarki. Będzie z niego wyborny oficer. Miło mi słyszeć, że mu się dobrze wiedzie. Myśl o Williamie odnowiła mój ból.

– On nie ma pojęcia, gdzie jestem! Ani co się wydarzyło! – Wcześniej nie płakałam, ale w tym momencie poczułam łzy w oczach.

– Nie miałam czasu, żeby mu to wytłumaczyć. Pomyśli, że o nim zapomniałam albo że porzuciłam go dla innego...

– Spokojnie, moja droga, spokojnie. – Graham poklepał mnie po ręce. – Prześliśmy mu wiadomość, powiadomimy go o wszystkim.

– W jaki sposób?

– Niech pani napisze do niego list. Obiecuję, że jak tylko wrócę do Anglii, doręczę go Williamowi osobiście.

W tym momencie nasza rozmowa została przerwana przez innego oficera.

– Więc to tu jesteś, Graham. – Mężczyzna wszedł pod daszek, pod którym siedzieliśmy. – To jest twój sposób na zabawianie młodej damy? Kazać jej siedzieć na odwróconym wiadrze, jakby była byle majtkiem pokładowym? Wstydź się! Powinieneś być zabrać panią do mesy oficerskiej na szklaneczkę ponczu lub filiżankę herbaty.

Spojrzał na mnie bystrym spojrzeniem swoich brązowych oczu. Miał około trzydziestu lat, był młodszy od Grahama i miał rumianą twarz. Gdy się do mnie szeroko uśmiechnął, poczułam, że odwzajemniam uśmiech.

– Nazywam się Adam Broom. Jestem tu pierwszym oficerem oraz nawigatorem. Pani z pewnością jest panną Kington. Miło mi poznać. – Wyciągnął dłoń i uściśnął moją rękę, jakby należała do mężczyzny. – Cieszę się, widząc, że czuje się pani lepiej. – Nie wypuszczając mojej dłoni, pociągnął mnie w górę tak, że wstałam. – To ponury człek. – Kiwnął głową w stronę Grahama. – Beznadziejny wobec dam. Zawsze gada o chorobach albo innych równie przygnębiających rzeczach. Mam nadzieję, że jego towarzystwo nie pogorszyło pani nastroju.

Nie śmiałam się od dłuższego czasu, ale dowcipne uwagi Brooma

sprawiły, że się uśmiechnęłam.

– Smucę się z całkiem innego powodu!

– Panna Kington chce, abym dostarczył wiadomość do jej młodego przyjaciela – odezwał się Graham, – O. – Broom odwrócił się i spojrzał na mnie bystro. – A któż to taki?

– Młody William – odpowiedział Graham.

– William? Który William? Co drugi marynarz to William.

– Chłopak pokładowy na „Amelii”. Na pewno go pamiętasz.

– A, ten William.

– Służy teraz w marynarce.

– Doprawdy?

– Jak myślisz, moglibyśmy dostarczyć mu wiadomość?

– Z całą pewnością. Przecież znamy kogoś na każdym statku.

Wiedziałam, że trochę przesadzają, ale ich zapewnienia poprawiły mi humor. Była to część kuracji Grahama, jak się później przekonałam. Pomysł z listem do Williama wskrzesił we mnie nadzieję, a tego bardzo potrzebowałam, choć wtedy uważałam, że wiadomość przekazana w ten sposób ma takie same szanse na dotarcie do Williama, jak wiadomość w butelce wyrzuconej za burtę.

– Czyż nie jest przyjemnie znowu być na słońcu? – Broom zamknął oczy i zwrócił twarz ku świetlistej tarczy nad nami, po czym kazał mi zrobić to samo. – Niech pani pozwoli, aby wiatr ogrzał pani skórę. – Otworzywszy oczy, zobaczyłam jego uśmiechnięte oblicze. – To pasaty, panno Kington, wschodnie wiatry pchające nas prosto w kierunku Wysp Karaibskich. Odżyję natychmiast, jak tylko tam się

znajdziemy. Tęsknię do klimatu południa, nie to co Graham, który marzy o życiu szczura lądowego i najchętniej by wywiesił swój sztyl w jakimś śmierdzącym i spowitym mgłą mieście na północy. To pani pierwsza podróż morską, jak mniemam?

– Tak jest w istocie – odrzekłam.

– W takim razie zazdroszczę pani, panno Kington. Naprawdę. Cóż to musi być za przeżycie zobaczyć Karaiby po raz pierwszy! Ujrzeć, jak góry i lasy wyłaniają się z morza niczym szmaragdy ułożone na srebrnej tacy. – Żywo gestykułując, opisywał odległy ląd, z oczami wpatrzonymi w linię horyzontu na południu. – A gdy się tam już dotrze! Te bogactwa! To piękno! Małe ptaszki, mniejsze niż to – zgiął palce dłoni tak, że przestrzeń między nimi miała wielkość orzecha włoskiego. – Cudowniejsze od wszelkiego klejnotu, fruujące wokół kwiatów barwniejszych niż jakikolwiek jedwab, który przyjdzie pani zobaczyć w życiu. Owoce gotowe, by je zerwać, słodsze od największej słodyczy, jakiej pani próbowała. No i to powietrze nasycone zapachami. Dla mnie Wyspy to raj na ziemi. Mogłaby pani przeszukać cały świat i nigdzie nie znajdzie pani równie uroczej krainy.

– Dlaczego zatem nie mieszka pan na Wyspach? – zapytałam. – Skoro tak bardzo je pan sobie upodobał. Mógłby pan prowadzić gospodę, być plantatorem albo zajmować się handlem.

– O nie, panno Kington. – Pokręcił głową energicznie, jakby zaszokowany samym pomysłem. – To niemożliwe. Mam przypadłość, wobec której medycyna jest bezradna, nawet mój dobry przyjaciel

Graham nie ma na nią lekarstwa. Jak tylko stanę na brzegu, już chcę wracać. Moim domem jest statek. Moim krajem jest morze.

Uśmiechnął się, ukazując białe i równe zęby na tle skóry opalanej w czasie wielodniowej żeglugi. Nie nosił peruki. Jego długie ciemne włosy były związane tasiemką z czerwonego aksamitu. Nie ubierał się jak inni oficerowie na statku. Na butach miał srebrne klamry, a pod szyją koronkowy żabot. Pod prostym płaszczem marynarskim miał jedwabny strój, a jego bryczesy były poprzetykane tasiemkami.

Powinna była się domyślić jego dalszych losów. W połowie już był piratem.

Spojrzał w górę, słysząc, jak napinają się żagle.

– Wiatr się wzmaga, zmienia się na wschodni północo-wschód. Przynosi nam pani szczęście, panno Kington, a niech mnie licho, jeśli jest inaczej! Mając taki wiatr za sobą, dotrzemy tam w okamgnieniu. – Mrugnął do mnie. – Gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, pomyślałbym, że pani na niego zagwizdała. – Skłonił się. – Teraz z żalem muszę panią zostawić w towarzystwie tego brzydala – kiwnął głową w stronę Grahama. – Czeka na mnie praca!

Odszedł, wydając głośne rozkazy marynarzom oraz sternikowi.

– Proszę się nie przejmować Broomem. – Graham uśmiechał się, patrząc z sympatią na swego przyjaciela. – Jest wspaniałym człowiekiem pomimo kpiarskiej natury. Jego ludzie poszliby za nim w ogień. Nie ma lepszego marynarza od niego po obu stronach Atlantyku, ma pani na to moje słowo. A teraz proszę mi wybaczyć. Mam nadzieję, że później przyjdzie pani do mesy oficerskiej.

Dopilnuję, żeby kucharz przyrządził na kolację coś smacznego. Jestem pewien, że Broom zechce panią poczęstować swoim ponczem.

Odeszli, a ja pozostałam na pokładzie. Miałam powody, żeby czuć wdzięczność do nich obu, ponieważ ich słowa zaczęły leczyć mnie z melancholii. Oparłszy się o burtę, patrzyłam, jak dziób statku przejeżdża fale, rozpryskując białą pianę na ciemnoniebieskie wody. Dostrzegłam piękno tego widoku. Poczułam namiastkę zachwytu, o którym mówił Broom. Ciepło słońca zdawało się roztopiać chłód, który zadomowił się w moim sercu, a powiewy ciepłego wiatru wyraźnie poprawiały mi nastrój.

Tamtego wieczoru poszłam do mesy. Pozostali pasażerowie byli kupcami lub plantatorami tak jak mój brat. Wyglądali na całkiem wesołych. Kapitan i oficerowie zachowywali się wobec mnie czarująco i szarmancko, oświadczając, że cieszy ich moje towarzystwo, ponieważ obecność kobiety powinna powstrzymać wszelkie grubiaństwo. Po kolacji zabawiała nas para skrzypków oraz chłopak grający na fujarce. Marynarze zatańczyli dla nas tak zwinnie jak aktorzy, których widywałam w Bristolu. Jedynie mój brat nie poddał się ogólnej wesołości. Siedział na boku, popijając brandy z ponurą i nieruchomą twarzą. Co jakiś czas mamrotał, że pozostali pasażerowie to pospolici złodzieje, którzy oszukują w kartach. Wcale nie łagodniejszymi wyzwiskami obrzucał członków załogi, powtarzając, że to bezczelne psy, które nie chcą wypełniać jego rozkazów.

Od tamtego dnia większość czasu spędzałam na pokładzie, bardzo

często w towarzystwie pierwszego oficera Brooma. Któregoś dnia powiedział mi, abym się dobrze rozglądała dookoła, ponieważ zbliżaliśmy się do szerokości, gdzie piraci czyhali na tak okazałe statki jak nasz.

– A co by się stało, gdyby nas dostrzegli? – zapytałam bardziej z ciekawości niż ze strachu.

– Na widok ich czarnej flagi opuścilibyśmy naszą. Weszliby na nasz pokład i zabrali, co tylko by chcieli.

– Nie bronilibyśmy się?

– Ryzykując, że nas wyrzną? Na pewno nie!

– A co potem? Jak już byliby na pokładzie?

– Większość załogi przyłączyłaby się do nich, gdyby miała taką szansę. Ale nie kapitan, oczywiście. – Nie powiedział nic o sobie ani o Grahamie. – Kapitan to porządny człowiek, prawdopodobnie zostałby oszczędzony. Wsadziliby go do pustej łodzi razem z innymi pasażerami. – Roześmiał się, choć dla mnie piraci to nie był temat do śmiechu. – Pani bratu mogłoby się nie poszczęścić. Traktuje ludzi jak niewolników, a żaden marynarz tego nie lubi. Kapitan jest jedynym człowiekiem, który może im rozkazywać. Chyba że przejdą na drugą stronę, wtedy kapitan nie różni się wiele od innych.

– Na drugą stronę?

– Tak nazywamy piractwo. Nie wszyscy piraci to źli ludzie. Nazywają siebie samych dżentelmenami fortuny i niektórzy rzeczywiście nimi są.

– Jestem jedyną kobietą na pokładzie. Co ze mną? Poklepał



rękojeść swojej szabli.

– Zabiję każdego, kto się do pani zbliży.

– Proszę mi dać jakieś ostrze – powiedziałam, przyłączając się do jego żartów – a sama się obronię.

– Potrafi pani walczyć szablą?

– Całkiem dobrze. Uczyłam się fechtunku z moim bratem.

– Rozumiem. – Potarł swój gładko wygolony podbródek. – W takim razie cieszę się, że jesteśmy po tej samej stronie. Jest pani zadziwiająco młodą damą, panno Kington.

Przez cały czas pełniono wachtę, ale choć widzieliśmy statki na horyzoncie, to jednak żaden z nich nie zbliżył się do nas. Nie zagroziła nam żadna czarna flaga. Za to sprzyjały nam wiatry i pogoda. Wkrótce mijaliśmy małe wysepki otoczone rafami w kształcie półksiężyca. Wysepki były niezamieszkane, ale zatrzymywaliśmy się przy nich, żeby nabrać wody, jeśli tam była, oraz wszelkich świeżych produktów, które miały do zaoferowania.

Gdy zobaczyliśmy północne wybrzeże Hispanioli, nie poczułam podniecenia, o jakim mówił Broom. Nie przyłączyłam się też do radości innych pasażerów. Przygotowywano wielkie puchary ponczu i wznoszono nie kończące się toasty, głównie za przyjaźń, co się często zdarza pod koniec długich podróży. Przysięgi dozgonnego uczucia składali sobie ludzie, którzy prawdopodobnie mieli się już nigdy w życiu nie spotkać. Uznałam ich za głupców i trzymałam się na uboczu. Zamiast radości i nadziei zaczęłam odczuwać narastający niepokój. Zbliżał się koniec podróży. Następną wyspą była Jamajka.

**Ku Zachodnim Indiom  
kierował się  
nasz okazały statek...**

Miasto Port Royal leżało na końcu wąskiego cypla, który wychodził w morze łukiem niczym ręka wyciągnięta dla ochrony przed słońcem. Zatoka w zakolu była głęboka, a jej wody przejrzyste jak kryształ. Opadająca kotwica rozpędziła ławice kolorowych ryb, które zamigotały jak rozpryskujące się odłamki zwierciadła. Gdy woda już się uspokoiła, na piaszczystym dnie, znajdującym się wiele sążni niżej, można było zobaczyć duże, błyszczące kawałki koralu.

W porcie panował taki sam ruch jak w Welsh Backs w Bristolu. W dokach stały statki. Na przystani oraz przy magazynach wrzała praca, jednak trudzący się załadunkiem i rozładunkiem ludzie byli niewolnikami. Na ich czarnych ciałach lśnił pot. Kobiety pracowały ramię w ramię z mężczyznami. Dźwigały worki, toczyły beczki lub poruszały się wolno i dostojnie z ciężarami na zawiniętych w turbany głowach, podtrzymując je jedną ręką dla równowagi.

Za nimi znajdowało się miasto, rozpościerające się od brzegu morza do wzgórza. Stanowiło bezładną mieszaninę drewnianych chat oraz biało malowanych domów o czerwonych dachach, stłoczonych jeden na drugim.

Czekał na nas powóz.

– Thomas, to jest moja siostra, panna Nancy – powiedział mój brat, wsadziwszy mnie na miejsce za woźnicą. – Masz ją zawieźć prosto do Fountainhead. Ja mam jeszcze coś do załatwienia w mieście.

Klepnął stojącego od jego strony konia i odszedł.

Zwierzę było nerwowe i odskoczyło na bok, potrącając drugiego konia z zaprzęgu.

– Nic się nie stało, panienko Nancy? Konie nic pani nie zrobiły?

– Wszystko w porządku, dziękuję, Thomas.

Kiwnął głową, zadowolony, że nie stała mi się żadna krzywda. Przywołał chłopaka, abytrzymał konie, sam zaś zszedł i załadował moje bagaże. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną. Bez trudu dźwignął kufry, które ze statku zniosło dwóch mężczyzn. Nie odzywając się wiele, wskoczył z powrotem na swoje siedzenie i ruszyliśmy w drogę.

Przemierzaliśmy wąski cypel, który łączył się ze stałym lądem. Po obu stronach drogi grunt opadał gwałtownie, przechodząc w dole w łąchy białego piasku. Z jednej strony widzieliśmy bladozielone, spienione wody Morza Karaibskiego, z drugiej spokojne, błękitne wody laguny. Ciągące nasz powóz konie były wyraźnie nerwowe. Niespodziewanie jeden z nich spłoszył się i gwałtownie odskoczył od czegoś, co leżało na naszej drodze, sprawiając, że drugi koń stanął dęba. Powóz zachwiał się i znalazł się niebezpiecznie blisko miążskiego skraju drogi. Chwyciłam się kurczowo siedzenia, obawiając się, że możemy wylądować w rowie, Thomas zaś usiłował opanować spanikowane zwierzęta i wyprowadzić nas na środek drogi. Wychyliłam się z powozu, żeby zobaczyć, co nieomal doprowadziło nas do nieszczęścia. Z początku wydawało mi się, że to bezładna sterta drewna, która spadła komuś z wozu, jednak po chwili zobaczyłam, jak ta sterta porusza się w jakiś dziwny sposób, jakby coś

się pod nią szamotało. Najwidoczniej miał miejsce jakiś straszny wypadek. Zadrżałam na myśl o okrucieństwie ludzi, którzy odjechali, pozostawiając ranne stworzenie na drodze.

Stworzenie było pokryte tak grubą warstwą piasku i kurzu, a jego postać tak wykrzywiona, że nie mogłam dojrzeć, co to właściwie było. Było zbyt duże jak na psa, ale zbyt małe jak na osła. Krzyknęłam do Thomasa, że musimy się zatrzymać. Najwyraźniej nie usłyszał, więc pociągnęłam go za rękaw. Gdy nadal nie reagował, klepnęłam go energicznie w plecy. Syknął z bólu i odwrócił się do mnie, ściągając konie lejcami.

– O co chodzi, panienko?

– Jeszcze żyje – powiedziałam, wskazując stertę na poboczu. – Musimy się zatrzymać i jakoś pomóc.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, panienko.

Uniósł bat, a ja oglądałam się za siebie. To, co początkowo wzięłam za przedmiot, potem za zwierzę, okazało się istotą ludzką. To, co widziałam jako zwoje sznura, uździenicę albo obrozę, było w istocie kłębem szmat. Była to kobieta. Chuda jak szkielet, o ciemnej skórze pod pokrywą z białego pyłu i piasku.

Zaczęłam gorączkowo szarpać się z drzwiami. Chciałam pobiec i sprawdzić, czy kobieta jeszcze żyje, czy możemy jej jakoś pomóc, ale Thomas odwrócił się i zamknął drzwi powozu.

– Jest stara. Niedługo umrze – powiedział ze wzruszeniem ramion, dając mi do zrozumienia, że wszelkie wysiłki z naszej strony poszłyby

na marne. – To zużyci niewolnicy, tacy to już do niczego się nie nadają.

Pokazał batem innych. Stoczywszy się z drogi do rowu, leżeli obok wąskiego pasa trawy i zarośli aż do skraju laguny. Ciemne postaci na plaży przypominały kłody drewna wyrzucone przez morze. Nie dostrzegłam wśród nich żadnego ruchu. Thomas ponownie wzruszył ramionami i pokręcił głową. Jego ciemne oczy nie miały żadnego wyrazu. Po co ratować jedną, skoro jest ich tak dużo?

Odwrócił się ode mnie i smagnął konie batem.

Było to moje pierwsze spotkanie z okrucieństwem w miejscu, które Broom nazwał rajem. Okrucieństwo białych panów szło w parze z ich zachłannością, która, niczym apetyt jakiegoś odrażającego robaka, nigdy nie miała końca. Wstrząs, jaki wtedy przeżyłam, był głęboki. Wpatrywałam się w tę kobietę tak długo, aż stała się maleńkim kopczykiem, plamką czerni na białej jak kość ziemi. Patrzyłam dopóty, dopóki nie zaczęły mnie boleć oczy i nie przysłoniło mi jej drgające od upału powietrze.

Jechaliśmy dość szybko, mila po mili przemierzając pokrytą czerwonym pyłem drogę. Po prawej stronie znajdował się las ze zwieszającymi się z drzew mchami oraz pnączami. Za lasem rozciągało się morze. Po lewej stronie była ziemia uprawna.

– To tutaj? Należy do ojca panienci – powiedział Thomas, zataczając batem szeroki łuk od rozległej równiny odchodzącej od drogi aż do odległych, spowitych mgłą gór.

Ziemia została podzielona na pola z wielką dokładnością. Właśnie ścinano trzcinę cukrową i gdzieś tam jeżyło się twarde ściernisko. Widok był prawie taki sam jak w Anglii w czasie żniw, z tą różnicą, że łądygi sięgały kolan i były grubsze od ramienia mężczyzny. Wrażenie było tak niesamowite, jakby te pola należały do jakiegoś rolnika olbrzyma. Nieścięta trzcina była wyższa od mężczyzny i sprawiała, że uwijające się przy pracy postaci wydawały się małe jak karły. Ludzie pracowali niczym armia mrówek, wytrwale i metodycznie ścinając, wiążąc i ładując snopy na wozy.

Od strony drogi pola uprawne nie były ogrodzone ani płotem, ani murem. Do majątku wjeżdżało się pomiędzy stojącymi samotnie, dwoma ogromnymi, kamiennymi słupami. Biegnący łukiem napis z kutych w żelazie liter obwieszczał, że wjeżdżamy do Fountainhead. Nad napisem górowały dwa tryskające wodą źródła, wykonane ze srebrzystego metalu. Wcześniej myślałam, że godłem naszego majątku jest wierzba płacząca. Gdy przejechałam przez tę bramę,

zrozumiałam, co tak naprawdę przedstawia. W tym kraju nie było płaczących wierzb. Długa, prosta droga dojazdowa do domu była po obu stronach obsadzona wysokimi palmami, zwieszającymi swe gałęzie ku dołowi. Ich szerokie, palczaste liście wyglądały niczym skrzydła kormoranów suszących się na słońcu. Thomas strzelił z bata i konie przeszły w elegancki kłus. Podjechaliśmy pod dom.

Stał samotnie na niewielkim wzgórzu w cieniu wysokich sosen, w pewnej odległości od innych budynków. Nad młynem i cukrownią kłębił się dym, zasłaniając grupę niedbale krytych strzechą chałup. Za plantacją teren zaczynał się gwałtownie wznosić, tworząc podgórze wysokich gór, których szczyty ginęły w postrzępionych chmurach oraz smugach mgły.

Dom nie był okazały w typowym dla takich budowli stylu. Był uważany za przestarzały, ponieważ zbudowano go z malowanego na biało drewna i miał tylko dwa piętra, jednak został bardzo zmyślnie skonstruowany i tak położony, aby łapał każdy powiew wiatru. W jego projekcie wyczuwałam upodobania mojego ojca; nie był człowiekiem, który stawiał modę ponad wygodę. W domu w Anglii nie znosił przeciągów i lubił nasz stary dom, ponieważ był wciśnięty pomiędzy inne domy i łatwo było go ogrzać. Na nowy dom narzekał, mówiąc, że mieszka się w nim jak w stodole. Tutaj z pewnością pragnął chłodu. Okna były duże, kolorowe okiennice otwarte na oścież, cienkie firanki z muślinu unosiły się od podmuchów lekkiej bryzy nieprzerwanie wiejącej od morza. Wokół domu biegła szeroka weranda ocieniająca jego każdy bok, tak że żadna część domu nie



znajdowała się bezpośrednio w słońcu. Na myśl o ojcu oczy zasły mi łzami. Niemalże widziałam go, jak siedzi tam pod koniec dnia, gdy upał stawał się lżejszy, usadowiony wygodnie w swoim starym, zapadniętym fotelu, popijając poncz rumowy i paląc fajkę.

Do domu prowadziły kamienne schody. Przed otwartymi drzwiami wejściowymi stał mężczyzna, najwyraźniej oczekujący mego przybycia. Pan Duke, nadzorca, był niewielkim człowiekiem o krępej budowie ciała. Stał na rozstawionych nogach, z wypiętą piersią i uniesioną głową, co sprawiało, że wyglądał wojowniczo niczym kogut. Był blady, jakby zawsze krył swoją twarz przed palącym słońcem. Miał gładką skórę oraz małe usta, które przypominały dziób papugi z powodu wystającej górnej wargi. Pod prawym ramieniem trzymał bat – czarną plecionkę zwiniętą jak wąż z uchwytem grubości mojego nadgarstka. Czekaając na mnie, na chwilę puścił w dół jego żelazny szpic, po czym ponownie schował go w dłoni.

Thomas pomógł mi wysiąść z powozu. Gdy zaczęłam wchodzić po schodach, Duke zrobił krok czy dwa do przodu. Zdjął z głowy przeпоcony trójgraniasty kapelusz o szerokim rondzie. Jego brązowe, opadające niechlujnie na ramiona włosy były chyba natłuszczone jakimś zjełczałym olejem. Ciemne oczy w szare plamki były dziwnie nieprzezroczyste. Był krótkowidzem, jak się miałam później dowiedzieć, i stan ten pogarszał się z dnia na dzień.

– Panna Kington! – Wyciągnął do mnie rękę, jeszcze zanim weszłam na szczyt schodów. Miał miękką i wilgotną dłoń. Na koszuli było widać ślady potu, na pożółkłym, sztywnym materiale pod

pachami rozrastały się świeże plamy. – Witam w Fountainhead! Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca, ale na pewno jest pani utrudzona. Z pewnością zechce pani odpocząć i się odświeżyć.

Ujął mnie za łokieć i poprowadził w kierunku domu. Po obu stronach wejścia stały dwie kobiety, nieruchome niczym kariatydy. Jedna była starsza, druga młodsza. Obie miały na sobie bezkształtne, proste suknie z materiału w kolorze wyblakłego błękitu. Wyglądały jak matka i córka. Dziewczyna miała trochę jaśniejszy odcień skóry, ale i tak podobieństwo między nimi było bardzo duże. Obie były wysokie, smukłe, w sposobie stania i poruszania się były swoim lustrzanym odbiciem.

– Phillis, Minerva. – Duke zwrócił się najpierw do starszej, potem do młodszej. – To jest wasza nowa pani. – Wypuścił trochę bata z ręki i z niego strzelił. Kobiety dygnęły w moim kierunku i wystąpiły do przodu. – Dobrze o nią dbajcie, bo inaczej poczujecie go na swoich plecach.

– Tak, panie – powiedziały obie jednocześnie. Trzask bata był cichy, przypominał zwykłe muśnięcie skóry o skórę. Kobiety nie patrzyły na żadne z nas, ale wpatrywały się w posadzkę.

– Wnieś te kufry do domu! – Duke wrzasnął na Thomasa, który wyjmował je z tyłu powozu. – I dobrze na nie uważaj, ty leniwy czarny bękartie! Pani wybaczy – zwrócił się do mnie z przesadną grzecznością, dotykając róna swojego zatłuszczonego kapelusza. – Czekają na mnie obowiązki, ale potem z przyjemnością panią oprowadzę.

Powiedziawszy to, wyminął mnie i odszedł. Jego ubrania były przepocone i cuchnące, ale w dziedzinie butów mógł śmiało rywalizować z Beau Nashem z Bath. Były tak wypolerowane, że lśniły niczym lustra, a wysokie obcasy zadudniły, gdy schodził po kamiennych schodach.

Po jego odejściu kobiety wprowadziły mnie do domu. Pokoje były duże, przestronne i tak zaprojektowane, że z jednego wchodziło się do następnego. Rozpoznałam wiele sprzętów z naszego starego domu w Bristolu. Odkrycie znajomych przedmiotów w tak odległym miejscu było dla mnie wzruszającym przeżyciem. Z wymalowanej na białe ściany zbiegła zielona jaszczurka, po drodze przebiegając przez portret ojca. Na stole z białego marmuru, który niegdyś stał w naszym holu, teraz stała misa pełna pomarańczy, owoców mango oraz guawy. Czułam się, jakbym zaczynała śnić.

Starsza z kobiet zaprowadziła mnie do chłodnego, szerokiego pokoju na poddaszu. Podłoga była z polerowanego drewna. W rogu stało spowite cienkim muślinem łóżko. Czekająca na mnie porcelanowa miska z ciepłą wodą oraz kawałek liliowego mydła, abym mogła się umyć. Ostry, słodki zapach przypomniawszy mi dom. Phillis stanęła z boku z miękkim ręcznikiem, aby mnie osuszyć. Gdy powiedziałam, że chcę odpocząć, podeszła, aby zdjąć ze mnie ubranie, ale powstrzymałam ją, mówiąc, że sama mogę to zrobić.

Po jej wyjściu rozebrałam się do halki i weszłam pod muślin niczym do namiotu. Nie wiem, jak długo spałam, ale gdy się obudziłam, w pokoju było ciemniej i chłodniej, a powietrze

wypełniały jakieś nie znane mi dźwięki. Nie były głośne, ale uporczywe. Myślałam, że to one mnie obudziły, ale otworzywszy oczy, zobaczyłam dziewczynę, Minervę, jak patrzy na mnie poprzez falujący muślin.

Przyniosła tacę z owocami i świeżo upieczonym chlebem oraz trochę chłodnej wody ze źródła. Postawiła tacę na stoliku obok mojego łóżka, wcale na mnie nie patrząc ani nie odzywając się do mnie. Gdy jej podziękowałam, uniosła wzrok, zaskoczona. Uśmiechnęłam się do niej, gdy rozsuwała zasłonę, lecz jej twarz nie zmieniła wyrazu. W czasie gdy jadłam, wyłożyła dla mnie świeże ubrania, a potem stanęła pod ścianą ze spuszczoną głową i rękami założonymi na plecach. Ożywiła się dopiero wtedy, gdy wstałam z łóżka. Podeszła, żeby pomóc mi się ubrać.

– Co to za dźwięk? – zapytałam.

Spojrzała na mnie, wyraźnie zdziwiona moim pytaniem.

– Cykady – odpowiedziała. – To takie owady. Trą skrzydłem o skrzydło. – Żeby mi to zademonstrować, potarła jedną szczupłą, ciemnoskórą dłoń o wierzch drugiej.

– Myślałam, że ktoś trze gałkę muszkatołową na tarce – powiedziałam i tym razem spotkała mnie nagroda w postaci cienia uśmiechu.

– Pan Duke – odezwała się niskim, melodyjnym głosem – czeka na dole. Aż będzie panienka gotowa.

Nadzorca chodził po werandzie, trzymając za plecami ciasno zwinięty bat. Miał teraz na sobie długi, brązowy płaszcz, bardzo

poplamiony od długiego noszenia.

Na zewnątrz nowy hałas dołączył do poprzedniego i był od niego znacznie głośniejszy. Zapytałam, co to takiego.

– Żaby – odrzekł Duke. – Zaczynają mniej więcej o tej porze. Najgorzej jest po zachodzie słońca. Robią wtedy piekielny rumor. Skoro już pani wypoczęła, to pokażę pani majątek. – Zwiniętym batem pokazał wiatrak na wzgórzu. – Tam jest młyn.

Wozy ciągnięte przez długouchy muły czekały na rozładunek. Na każdym z nich trzcina piętrzyła się tak wysoko jak siano na furze. Grupa mężczyzn zrzucała naręcza trzciny z wozów, a inni, ustawieni w łańcuch, podawali je sobie z rąk do rąk, aż do wlotu do młyna. W środku ogromne, metalowe walce miażdżyły grube łądygi, jakby to była trawa, wyciskając sok do koryta w kształcie klina, które biegło do cukrowni wybudowanej poniżej.

– Hej, ty! Ruszaj się żywo! – Bat Duke’a niczym żywa istota okręcił się wokół jednego z niewolników, któremu trzcina wypadła z rąk i rozsypała się na ziemi. Mężczyzna nie zareagował, tylko pracował dalej, mimo że żelazny szpic rozdarł mu koszulę. – Nie możemy zmarnować ani chwili. Trzcina musi być zmiażdżona zaraz po ścięciu, bo inaczej cukier się nie wykrystalizuje. – Na powrót zwinął swój bat. – Pomaga im zachować rozsądek. O ile jakiś w ogóle mają. – Roześmiał się ze swojego dowcipu. – Potrzebują go przy tym. – Ruchem głowy pokazał wielkie pionowe kruszarki, przy których pracujący w pocie czoła ludzie wyglądali jak karły. – Potrafią urwać rękę, ani się kto obejrzy. I dlatego trzymamy tutaj to. – Wskazał

wiszącą przy maszynie maczetę. – Na wszelki wypadek. – Ponownie się roześmiał. – Nawet te leniwe bękarty uczą się uważać, kiedy tu pracują.

Miażdżenie trzciny trwało dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu przez całą porę zbiorów. Była to mordercza praca wykonywana w nieludzkim tempie narzuconym przez zwierzchnika, którym był inny niewolnik, oraz przez wszędobyłskiego Duke'a.

Poprowadził mnie w dół zbocza do cukrowni.

– Sok musi być zagotowany przed upływem dwudziestu minut, bo inaczej zaczyna fermentować i zamienia się w melasę, i nigdy się nie skryształizuje. Płynie tym kanałem. Dodajemy trochę limony, aby przyspieszyć wytwarzanie się granulek. Potem jest wylewany do tych miedzianych kadzi.

Miedziane kadzie były ogrzewane ogromnymi piecami, do których wrzucano drewno oraz odpadki – nie wykorzystaną trzcinę z młynów. Nie weszliśmy do środka, ale nawet na zewnątrz upał był nie do zniesienia. Wewnątrz kobiety i mężczyźni snuli się niczym duchy w obłokach dymu i pary. Poruszali miedzianymi warzachwiami o długich uchwytach i zbierali szumowinę z bulgoczącego płynu. Zebrana piana ociekała w innym pojemniku. Na każdym etapie nie wykorzystana melasa była starannie zbierana i wykorzystywana do produkcji rumu. Gotowanie trwało dzień i noc przez cały okres żniw. Piece nie były nigdy wygaszane. Wypadki nie były rzadkością; ich skutki były przerażające. Roztopiony cukier przylepia się do ciała i

wypala je do kości.

Wykryształizowany cukier ociekał w kadziach, tłumaczył mi dalej Duke, a potem był pakowany w beczki, na których stawiano stempel z godłem Fountainhead, i wysyłany do Bristolu.

Skończywszy, Duke wypiął się dumnie i spojrzał na mnie, jakby oczekiwał wyrazów podziwu lub uznania. Wpatrywałam się w niego bez słowa, dogłębnie wstrząśnięta tym, co zobaczyłam. To wszystko było przez nas. Rodzinę Kingtonów. Ogarnął mnie wielki wstyd, że nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, skąd pochodzi cukier. Nie miałam najmniejszego pojęcia, jaka to ciężka, nie kończąca się i niebezpieczna praca.

Następnie Duke postanowił mi pokazać osiedle niewolników. Stały tam rzędy dwuizbowych, krytych strzechą lepianek. W czerwonym pyłe bawiło się kilkoro nagich dzieci. Z pól wracały grupki mężczyzn i kobiet. Inni wychodzili do pracy w młynie i przy piecach. Wszyscy wyglądali na tak samo zmęczonych. Nikt nawet na nas nie spojrzał. Jedyne dzieci przez chwilę wpatrywały się w nas okrągłymi, poważnymi oczami, a potem czmychnęły do domów, jakby uciekały przed złymi duchami.

Za chałupami ziemia była podzielona na małe poletka.

– Pozwalamy im uprawiać niektóre rośliny na własną rękę: kukurydzę, słodkie ziemniaki, fasolę, trochę tytoniu. Oszczędzamy na paszy, a oni mają na co wymienić lub za co kupić kolorowe tkaniny i błyskotki, które tak lubią.

– Urządzacie tu targ?

Kiwnął głową w kierunku chałup.

– Oni go urządzają. O, tam jest targowisko. – Wskazał plac z czerwonej, ubitej ziemi, ocieniony wielkim leśnym drzewem. Rozpościerające się szeroko gałęzie dawały schronienie przed słońcem tak samo jak kasztanowiec czy dąb na wiejskich błoniach w Anglii. Sądząc po obwodzie, drzewo musiało być bardzo stare. Nie był to jednak kasztanowiec ani angielski dąb. Na wysokości około dwóch stóp powyżej głowy mężczyzny dostrzegłam wbite w pień łańcuchy i obręcze. Powyżej tego punktu pień był gładki, ale poniżej, aż do samej ziemi, drzewo było pokaleczone, pocięte i pokryte zawiłymi wzorami w kratkę, jakby ktoś potraktował je nożem. Niektóre miejsca zostały stłuczone. Z innych miejsc wyciekał sok. Zastygłe grudki żywicy wyglądały jak krople krwi. Cała kora została oderwana poza środkową częścią, która miała boczne odgałęzienia, przez co przypominała krzyż.

– Nie ma co być sentymentalnym – odezwał się Duke, jakby domyślał się, o czym myślę. – Bóg ich powołał dla naszego pożytku, bo inaczej po co by ich w ogóle stwarzał? – Patrzył na mnie zamglonymi oczami. – Niektórzy mówią, że oni są jak dzieci. Ja się z tym nie zgadzam. Takie myślenie może się dla nas źle skończyć. Nie są do nas podobni, to pewne. Przyglądam się im od lat, panno Kington. – Pochylił się z powagą. – Moim zdaniem oni są jak zwierzęta, dzikie i złośliwe zwierzęta, ale poza tym posiadają spryt, który czyni ich o wiele bardziej podstępnyymi od najgorszej bestii. Nie można ich ujarzmić i nie można im ufać. Boją się tylko tego. – Strzelił



ze swojego bata. – Nie wolno im wierzyć ani się zbytnio z nimi spoufalać. Proszę to zapamiętać.

Odprowadził mnie do schodów domu, po czym przeprosił, mówiąc, że musi odejść. W poprzednim tygodniu przyszedł nowy transport niewolników, którzy\* wymagali przeszkolenia.

– Trzeba ich przyzwyczaić do pracy. I do dyscypliny. Na samym początku znakujemy ich tym. – Z kieszeni wyjął niewielki przedmiot. Jego płaska końcówka była mniej więcej wielkości szylinga i widniały na niej litery oraz fontanna jak na pieczęci. Była delikatnie wykonana, bardziej przypominała broszkę niż narzędzie do znakowania. – Musieliśmy dać do zrobienia nową z powodu zmiany właściciela. – Podsunął mi przedmiot, żebym się mogła lepiej przyjrzeć. N i K. – Srebro, widzi pani? Srebro daje wyraźniejszą bliznę. Tylko najpierw trzeba je posmarować olejem. – Potarł kciukiem palec wskazujący. – Zęby skóra nie przywarła do metalu.

Cała moja uwaga była skupiona na przedmiocie, który trzymał pomiędzy palcami. Wydał mi się nadzwyczaj odrażający ze względu na połączenie ładnego wyglądu z ohydą przeznaczenia. Spojrzałam na inicjały. Założyłam, że N oznaczało Neda, mojego ojca. Tylko że wtedy drugą literą powinno być E...

Nagle pojęłam i zakręciło mi się w głowie. Poczułam się tak, jakbym miała zaraz zemdleć.

– Z powodu zmiany właściciela? – powtórzyłam po nim jak papuga. – Ma pan na myśli mnie?

– A kogóżby innego? – Patrzył na mnie, mrużąc oczy, jakby chciał

sprawdzić, czy sobie z niego nie żartuję. – To wszystko należy do pani. Pokazywałem pani jej własność.

– Ja... ja nie wiedziałam. – Próbowałam opanować drżenie głosu. – Zapewniam pana, że o niczym nie wiedziałam.

– Mam na to list napisany ręką pani ojca. Taka była jego ostatnia wola. Jest pani bardzo bogatą młodą damą. – Rzucił niespokojne spojrzenie. Na szczycie schodów stały Phillis i Minerva. – Stara wiedźma i ta młoda też. – Pochylił się ku mnie i wziął mnie za ramię. Kolejna rundka wokół podwórza oddaliła nas od ich uszu. – Niech pani bacznie uważa na te dwie. Sprzedałbym je już dawno temu, nie trzymałbym ich razem, ale pani ojciec nie pozwolił. A teraz – dotknął palcami zatłuszczonego trójgraniastego kapelusza – chciałbym się pożegnać.

– Czy mogę się pana spodziewać na kolacji? – Nie wiedziałam, czy powinnam go zapraszać na wspólny posiłek, czy nie. Nie miałam najmniejszego pojęcia, co w tym względzie mówiła etykieta, jeśli w ogóle jakaś istniała.

Był najwyraźniej zaskoczony zaproszeniem.

– To bez wątpienia bardzo uprzejme z pani strony – powiedział po chwili. – Ale mam już inne plany. Dziękuję, panno Kington.

Tamtego wieczoru wyszłam na balkon i przyglądałam się zachodowi słońca: wielka błyszcząca kula czerwieni staczała się przez pasma czarnych chmur do odległego morza. Zmrok zapadł szybciej, niż się spodziewałam. Noc przyszła nagle. Powietrze było gorące, ciężkie od zapachu kwiatów, pełne trzepotu skrzydeł oraz dźwięków

wydawanych przez niewidoczne stworzenia. Z lasu dobiegały krzyki ptaków lub małp, nie byłam pewna, ponieważ nie umiałam ich odróżnić. Dźwięk był niemalże ludzki, drażniący i gwałtowny, całkowicie mi obcy. Najpierw rozległ się jeden, potem następny. Wzdrażałam się po każdym, a na moich nagich ramionach pomimo gorąca pojawiła się gęsia skórka. Pode mną migotały miliony świetlnych punkcików, rozestanych na ziemi niczym dywan z upadłych gwiazd. Nie wiedziałam już, gdzie kończy się niebo, a gdzie zaczyna ziemia.

To wszystko jest moje, powiedziałam do siebie, oraz wszystko, co się z tym wiąże. Ludzie. Byłam ich właścicielką. Na ich ciałach zostanie wypalone moje nazwisko. Na myśl o tym poczułam nagły chłód. Weszłam do środka, rozcierając zziębnięte ramiona. Jak mogę kiedykolwiek przyzwyczać się do tej sytuacji? I dlaczego bracia nic mi nie powiedzieli? Przecież głowili się, jak mnie oszukać przy podziale majątku, znałam ich wystarczająco dobrze, żeby mieć co do tego pewność. Powiedziałabym im wtedy, żeby sobie oszczędzili trudu, że wszelkie ich kręactwa są niepotrzebne. Mogli byli sobie wziąć plantację. Ja nie chciałam nawet jej najmniejszej części.

Na ścianach zamigotało światło. Do pokoju weszła po cichu Minerva, niosąc świece. Podeszła do okna.

- Co to? – zapytałam, wskazując małe światełka na ziemi.
- Świetliki – odrzekła. – Można je zbierać i zrobić latarnię. Zamknę okiennice, panienko. – Wyciągnęła ręce, aby je przyciągnąć.
- Wleczą ćmy lub inne owady.

Przyniosła tacę pełną jedzenia oraz bukiet delikatnych jak papier fioletowych kwiatów w glinianym naczyniu.

– Phillis ma nadzieję, że kolacja będzie panience smakować.

– Tutaj mam zjeść kolację? Myślałam, że pan Duke może zje ze mną, ale najwyraźniej miał inne plany.

– Pan Duke tu nie mieszka. Ma mały dom w sąsiedztwie. Ma kobietę, która mu szykuje jedzenie.

– Nie lubię jeść sama. – Spojrzałam na nią. – A może zjadłybyście ze mną? Ty i Phillis?

W moim rodzinnym domu, gdy nie było innych domowników, jadałam z kucharką i Susan.

– Nie, panienko, nie. – Popatrzyła na mnie rozszerzonymi oczami i energicznie pokręciła głową. – To byłoby niewłaściwe. Czy coś jeszcze?

Stała, patrząc prosto przed siebie z rękami założonymi na plecach. Początkowo uważałam ją za starszą ode mnie, ale teraz uznałam, że prawdopodobnie jest młodsza. Była ładną dziewczyną o pięknych oczach. Ich kolor określiłabym jako pośredni pomiędzy orzechem laskowym a bursztynem. Na jej twarzy było widać połączenie ras. Najlepsze cechy obu były widoczne w odcieniu jej oczu, wysokich kościach policzkowych, długim prostym nosie, wydatnych ustach i mocno zarysowanym podbródku. Migotliwe światło świec nadawało jej brązowej skórze ciekawe odcienie: ochry, umbry i palonej sjeny.

– Nie, nic – powiedziałam. – Możesz odejść.

Wyszła pospiesznie z pochyloną głową. Pod wpływem mojego

spojrzenia zaczerwieniła się i poczuła nieswojo. Zrobiło mi się głupio z tego powodu, a nawet wstyd. Nie mogła w żaden sposób zaprotestować ani okazać swoich uczuć. Byłam panią. Cokolwiek postanowiłam zrobić, ona musiała to znosić.

I tak zaczęło się moje nowe życie. Pierwszy tydzień zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Nie wiedziałam, co począć z czasem. Phillis i Minerva przychodziły i odchodziły bezszelestnie ze spuszczonej głowami, nigdy nie patrząc mi w oczy. Czułam się tak, jakby ich w ogóle nie było, jakby obsługiwały mnie niewidzialne skrzaty. Moje próby nawiązania przyjaznych kontaktów spełzły na niczym, co gorsza, obie kobiety stały się jeszcze bardziej nieufne. Postrzegały nas jako wielce niebezpieczne istoty, podobne do rozpieszczonych dzieci, które mogą z najwyższym okrucieństwem zabić lub wyrzucić, gdyby coś przestało się im podobać lub je rozzłościło. Bardzo się starały spełnić każde moje życzenie, zaspokoić każdą moją potrzebę. Każde moje pragnienie było odgadywane i zaspokajane, czasami jeszcze zanim mnie samej przyszło do głowy. Wyglądało na to, że wszystko o mnie wiedzą: co lubię, czego nie znoszę, co mi sprawia przyjemność, a co by mi sprawiło przykrość. Natomiast ja nie wiedziałam o nich nic, a przecież mogło nam przyjść spędzić całe życie razem w jednym domu.

Zaczęłam odczuwać samotność i tęsknić za towarzystwem. Postanowiłam zatem poszukać sposobów na przełamanie dzielącej nas bariery.

Najczęściej w ciągu dnia spałam, czytałam lub po prostu snułam się po domu. Mój brat jeszcze nie wrócił, więc nawet nie miałam do kogo ust otworzyć. Myślałam, że skonam z nudów. Musiałam zacząć

wychodzić z domu. Skoro byłam właścicielką ziemi, to powinnam ją przynajmniej całą obejrzeć. Najlepszym sposobem na to była konna wycieczka. Duke zaproponował, że mi wszystko pokaże, ale uznałam, że nie zniosę całego dnia w jego towarzystwie. Poprosiłam, żeby w zamian pojechała ze mną Minerva.

Duke nie sprzeciwił się.

– Na pewno umie jeździć na mule – powiedziałam, gdy mu przedstawiłam swoją propozycję. – Większość czarnych to potrafi.

Poleciłam, aby przyprawiono konie. Mój brat posiadał całkiem dobrą stajnię, więc kazałam dla nas osiodłać najlepsze zwierzęta.

Minerva dosiadła konia jak mężczyzna, opuszczając po obu stronach siodła swoje długie, nagie do kolan nogi. Pozazdrościłam jej tej możliwości panowania nad koniem i postanowiłam zrobić to samo, jak tylko oddalimy się od domu na wystarczającą odległość. Minerva siedziała na koniu pewnie, z naturalną gracją i wyczuciem równowagi. Ruszyliśmy w szybkim tempie prostymi traktami, biegnącymi pomiędzy kwadratami pól. Dojechaliśmy do odległego miejsca na plantacji, gdzie ścinano resztę trzciny.

Minerva zeskoczyła z konia, wzięła maczetę od jednego z mężczyzn i ścięła jedną z jeszcze rosnących łodyg. Kilkoma machnięciami ostrej jak brzytwa maczety odcięła z niej kawałek, po czym zdjęła twardą skórkę, pod którą ukazał się treściwy rdzeń.

– Proszę. – Podała mi obraną trzcinę. – Ma dobry smak i odświeża usta po konnej jeździe.

Spróbowałam ciekącego płynu. Okazał się mniej słodki, niż się

spodziewałam, i gasił pragnienie. Kiwnęłam głową. Smak był rzeczywiście dobry.

Uśmiechnęła się i ucięła kawałek dla siebie. Ruszyliśmy w dalszą drogę, oddalając się od nie kończących się pól trzciny i kierując się w stronę gór. Na niższych zboczach schronienie przed palącym słońcem dawały nam drzewa. Wyżej było już trochę chłodniej. Plantacja została daleko w dole. Gdy wjechałyśmy na jeden grzbiet, potem następny, całkowicie straciłyśmy ją z oczu. W miarę jak zagłębiałyśmy się w dzikie ostępy, malał dzielący nas dystans. Rozmawiało się nam coraz łatwiej i coraz częściej wybuchałyśmy śmiechem, na przykład gdy jechałyśmy szeroką, płytką i wartką rzeką, rozpryskując lodowatą wodę na wszystkie strony.

Rzeka stopniowo stawała się coraz płytsza, aż dotarłyśmy do półokrągłej leśnej polany, nad którą górowała stroma skała. Ze znajdującej się w połowie jej wysokości szczeliny tryskała woda, tworząc u podnóża szeroki i głęboki staw. Jasnozielone, wybujale liście rosnących na brzegach paproci rzucały cienie na tafłę czystej jak kryształ wody. W jej toniach pływały malutkie rybki, połyskujące w słońcu niczym srebrne monety.

Minerva wskazała ręką wodospad.

– Od tego źródła wzięła nazwę cała plantacja. – Ściszyła głos do szeptu. – To magiczne miejsce, *obea*. Miejsce duchów.

Kaskada diamentowej wody spadająca w krystaliczny staw w szmaragdowym lesie. To miejsce zaiste było magiczne.

Nie byliśmy jedynymi ludźmi, którzy uważali tak samo. Minerva



pokazała mi czarny głaz o gładkiej powierzchni, na której wyryto prymitywne wizerunki mężczyzny i kobiety, boga i bogini.

– Zrobili to ludzie żyjący przed nami.

Na powierzchni wody unosił się wianek z orchidei rosnących w lesie. Minerva nie powiedziała mi, kto mógł go tam zostawić.

Weszła do stawu i nabrała wody w złożone dłonie, żeby się napić i spryskać lśniącymi kroplami swoją twarz oraz głowę. Potem wyszła na brzeg i wysunęła się z sukni. Stała naga, jakby miała zaraz wejść do balii. Ponownie weszła do wody i zaczęła posuwać się coraz głębiej. Przyglądałam się jej z zazdrością i zaciekawieniem. Ja nigdy czegoś takiego nie zrobiłam. W domu w Anglii byłoby to nie do pomyślenia.

Ale w końcu nie byłam w domu, prawda? Nikt mnie nie mógł zobaczyć. Zsunęłam się z konia i poszłam za jej przykładem.

Weszłam do wody, która sięgnęła mi prawie do pasa. Była tak zimna, że zaparło mi dech w piersiach. Minerva podeszła do mnie, uśmiechając się i pryskając na mnie wodą. Potrząsnęła głową i jej wilgotne włosy opadły kaskadą ciemnych loków na nagie ramiona.

Nagle się przeraziłam. Zobaczyłam, jak śmiech zamiera na twarzy Minervy, więc szybko się odwróciłam. Prawdopodobnie pomyślała, że mnie zawstydziła, ale było inaczej. Na jej ramieniu ujrzałam znak wielkości szylinga. Godło Fountainhead. Widywałam je wymalowane na workach cukru przywożonych do magazynów w Bristolu, wypalone na beczkach i skrzynkach, wydrukowane na dokumentach, wytłoczone na oprawnych w skórę księgach, wyryte nad naszymi

drzwiami. Nigdy nie widziałam naszego godła wypalonego na skórze człowieka. Przypomniałam sobie, dlaczego używano srebra, i zrobiło mi się niedobrze. Minerva podniosła dłoń do ramienia.

– To nie boli.

Pokręciłam głową, niezdolna wyjaśnić, co czuję. Zrobiłam krok do tyłu i stanęłam oślepiąca światłem odbijającym się od powierzchni wody. Zakręciło mi się w głowie. Podbiciem stopy trafiłam na ostry kamień i runęłam w przód, tracąc grunt pod nogami. Najwyraźniej upadłam w miejscu, gdzie było głębiej. Zaczęłam się szamotać, próbując się wydostać na powierzchnię, ale i nie miałam się od czego odbić. Moje stopy nie wyczuwały ani dna, ani skalnej półki. Opadłam jeszcze niżej i przeraziłam się. Krztusiłam się, brakowało mi powietrza, a moje płuca były już puste. Pomyślałam, że utonę. Wtedy schwyciły mnie długie, brązowe ramiona i wyciągnęły na powierzchnię. Minerva objęła mnie jednym ramieniem i zaczęła ciągnąć w stronę brzegu. Wyszłam z wody na chwiejnych nogach. Minerva podprowadziła mnie do płaskiej, nagrzanej słońcem skały. Usiadłam z głową pomiędzy kolanami, kaszląc i plując wodą.

Minerva nie mogła uwierzyć, że nie umiem pływać.

– Czy tam, gdzie panienka mieszka nie ma morza? Ani rzeki? Wyjaśniłam, że jest i morze i rzeka, ale nikt nie uczy się pływać. Nawet marynarze.

– Marynarze uważają, że to nie ma sensu – powiedziałam. – Wierzą, że nikt nie jest w stanie przechytrzyć morza.

Minerva skrzywiła się i wzruszyła ramionami, jakby uznała takie

myślenie za głupie. Natychmiast się jednak opanowała i uśmiechnęła, jakby przepraszała za okazanie swoich uczuć.

– Nie jesteśmy nad morzem. Mogę panienkę nauczyć. To nic trudnego.

Nie było mi łatwo, ale lekcja była bardzo przyjemna. Obie byłyśmy młodymi dziewczętami i zachowywałyśmy się zgodnie z prawami naszego wieku, śmiejąc się i bawiąc się w wodzie. Gdy leżałyśmy na gładkich skałkach, susząc się w słońcu, Minerva zapytała mnie o pierścień, który nosiłam na złotym łańcuszku na szyi. Powiedziałam jej o Williamie wszystko to, czego nie powiedziałam nikomu innemu, nawet Susan. Od tamtego dnia nie byłyśmy już panią i niewolnicą. Stałyśmy się przyjaciółkami. Jak siostry.

Zadziałała magia stawu.

Gdy wracałyśmy, cienie zaczęły się już wydłużać. Zanim dojechałyśmy do plantacji, postarałyśmy się wyglądać normalnie, ale nasza długa nieobecność nie uszła uwagi Duke'a.

– Gdzie panienka była? – powitał mnie, przyglądając mi się badawczo. Moje włosy były nadal wilgotne, a sukienka mokra. Był bardzo spostrzegawczy jak na krótkowidza. – Myślałem, że was zbiedzy dopadli. Już miałem wysłać ludzi na poszukiwanie.

– Zbiedzy?

– Zbiegli niewolnicy i służący. Wszelkiej maści łobuzy i szumowiny. Mieszkają w górach. – Smagnął batem po ziemi. – Powinno się ich ścigać i powiesić. Każdego mężczyznę i każdą kobietę. Mają swoją kryjówkę niedaleko stąd. Przewodzi im czarnuch zwany Hero. Diabelnie trudno ich znaleźć. Mówiłem paniczowi Josephowi, że trzeba by sprowadzić bloodhoundy. Ten Brazylijczyk je trzyma. Powiedziałem, że nam by się przydały. Wyszkoliłoby sieje od szczeniaka, żeby tropiły czarnych. Był za. Powiedział, że to by był świetny sport. – Spojrzał na mnie pytająco. – Może miał je ze sobą?

Pokręciłam przecząco głową.

– Szkoda – mruknął. Strzelił z bata w stronę najbliższego krzaka. W powietrze uniósł się obłok zapachu oraz kremowego kwiecia.

– Kiedy wraca mój brat? Czy przysłał wiadomość? Duke powiedział, że wróci dopiero za tydzień. Zatrzymały go interesy. Nie chciałam, żeby Joseph spieszył się z powrotem, obawiając się, że jego

obecność ograniczy wolność, którą zaczynałam się naprawdę cieszyć. Jednak z drugiej strony liczyłam, że może przywiezie wieści z domu, w tym listy. Możliwe, że byłby wśród nich jeden od Williama. Na myśl o nim zadrżało mi serce. Dużo czasu spędzonego na konnych przejażdżkach z Minervą poświęcałam na rozmyślania, co mogłoby się znaleźć w takim liście i co bym odpisała. Kilkakrotnie odwiedziłyśmy magiczny staw i kontynuowałyśmy lekcje pływania. Rzekami o przejrzystych nurtach jechałyśmy w górskie rejony. Powietrze tam było chłodniejsze i nasycone zapachem sosen. Lasy zachwycały bogactwem ptactwa, a powietrze było ciężkie od woni kwiatów. Zaczynałam rozumieć, dlaczego Broom tak bardzo ukochał Karaiby.

Mój brat zamiast wrócić po tygodniu, zjawił się po dwóch. Przyjechał, leżąc w tyle wozu i cuchnąc rumem. Thomas zarzucił go sobie na ramię i wniósł do domu niczym worek cukru. Ponownie Josepha zobaczyłam dopiero wieczorem następnego dnia, kiedy to zjawił się na kolacji blady i dokładnie ogolony.

– Czy są dla mnie jakieś listy? – zapytałam, gdy wszedł.

– Nie. – Spojrzał na mnie gwałtownie, jakby moje pytanie go zaskoczyło. – Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – odrzekłam.

Usiedliśmy przy przeciwległych końcach stołu. Joseph prawie się do mnie nie odzywał. Tego wieczoru Phillis przygotowała kurczaka z ryżem, słodkie ziemniaki i fasolę. Joseph zjadł bardzo mało i głośno narzekał, że dodała zbyt dużo przypraw. Za to co rusz dolewał sobie

złotawego rumu z karafki, którą postawił przy swoim boku. Gdy skończyłam jeść, opuścił mnie, zabierając karafkę i szklanę na werandę. Usadowiwszy się w bujanym fotelu, zapatrzył się w dal. Jego sylwetka była widoczna na tle łuny z cukrowni oraz kłębiących się obłoków dymu i pary. Wyszłam za nim na werandę. Z każdej strony dochodziła muzyka żab i cykad. W aksamitnej czerni świetliki jarzyły się niczym małe okruszki złota.

– Uważam, że to piękne miejsce – powiedziałam.

– Naprawdę? – Wydawał się szczerze zdumiony. – A ja go nie znoszę. – Zaśmiał się i nalał sobie kolejną szklaneczkę. Duże ilości rumu, który już zdążył wypić, nie zdołały zagłuszyć żalu i litości nad sobą samym. – Ty zawsze byłaś inna. – Ruchem ręki wskazał stojące obok krzesło. – Przyłącz się do mnie. Thomas! Ta karafka jest prawie pusta i przynieś jeszcze jedną szklanę!

– Nie, nie – zaczęłam protestować, ale nie zwracał na mnie uwagi.

– Tak! Thomas! – wrzeszczał, na wpół unosząc się ze swego miejsca. – Gdzież on jest? Rozzuchwalił się. Będę musiał kazać go wychłostać. Thom...

Thomas pojawił się cicho jak duch, niosąc tacę ze szklanką dla mnie oraz pełną karafką. Postawił tacę i nalał mi rumu. Upiłam łyk złotawego płynu. Wyczułam smak ziół i karmelu. Płyn najpierw parzył w język, a potem rozgrzewał gardło i żołądek. Było to bardzo przyjemne uczucie.

– Za moją drogą siostrę! – Joseph wychylił swoją porcję i nalał sobie następną. – No, dalej, pij!

– Dlaczego nie powiedziałeś, że ojciec zostawił plantację dla mnie?

Zastygł ze szklanką w połowie drogi do ust.

– Skąd wiesz?

– Duke mi powiedział.

– Nie miał żadnego prawa! Nie powinien wściubiać nosa w nie swoje sprawy. – Odstawił z trzaskiem szklankę na stół, rozlewając rum. – Jeszcze jeden, któremu trzeba by przypomnieć, gdzie jego miejsce.

– Myślał, że już wiem. Zdziwił się, że jest inaczej. Nie uważasz, że mam prawo o tym wiedzieć? Co ty sobie właściwie myślałeś?

– Jakie prawo? Jesteś jeszcze dzieckiem. Henry i ja jesteśmy twoimi prawnymi opiekunami. Nie możesz przejąć spadku, zanim nie skończysz dwudziestu jeden lat. A nawet wtedy...

– Nawet wtedy... ?

– To będzie zależeć od twojego męża.

– Męża? – Pomimo grzejącego mnie rumu, poczułam rozchodzący się wewnątrz chłód. – Jakiego męża?

– Teraz to ja bym się wygadał. – Puścił do mnie oko i wziął kolejny łyk. Potem się zaśmiał. – Mamy swoje plany. Męskie interesy. – Pokiwał do mnie palcem. – Niech się o to nie martwi twoja ładna główka.

Opadł na swój fotel i zamknął oczy. Przez pewien czas siedziałam, popijając rum i obserwując, jak biało-żółte ćmy wylatują z ciemności, trzepocząc skrzydełkami cienkimi jak bibułka. Niektóre uderzały w klosz lampy, inne pożywiały się rozlanym rumem. Odleciały, gdy

odstawiłam szklankę i wstałam, żeby odejść.

Joseph zaśmiał się gardłowo, jakby śniło mu się coś zabawnego.

– Tttoo dobrze – powiedział. – Dobrzeee, że ci się tu podoba. Bo zostaniesz tu na długooo.

Słowa wydobyły się z niego w jednym bełkotliwym pomruku z powodu rumu, który pił przez cały wieczór. Nie wiedziałam, czy śpi, czy nie, czy może jest gdzieś pomiędzy tymi dwoma stanami. Rzucił się jak pies, któremu coś się śniło. Szklanka, którą trzymał w zwisającej dłoni, wysunęła się i roztrzaskała o podłogę.

Dzień po dniu pozbywałam się ograniczeń, które odczuwałam w poprzednim życiu. Piłam rum i jeździłam konno jak chłopak. Pływałam nago w stawie, rzece, morzu oraz źródle i nie odczuwałam żadnego wstydu. Jadłam dziwne pożywienie: kraby, homary, langusty oraz młode świnię i kozy pieczone na rożnie w sposób zwany *barbecue*. Wszystko z dużą ilością przypraw, których tak nie znosił mój brat.

Każdego ranka jeździłam konno. Czasami towarzyszyła mi Minerva, czasami wybierałam się sama. Przed południem wracałam do domu. Najgorętsze godziny dnia spędzałam albo w swoim pokoju, albo na werandzie, czekając, aż słońce zanurzy się w morzu. Mój brat przebywał w Port Royal albo spał w swoim pokoju, Duke zaś był albo na polach, albo w swojej chacie, tak więc często Minerva i Phillis przychodziły, żeby mi towarzyszyć podczas tych długich popołudni.

Phillis przynosiła warzywa i siadałyśmy razem, łuskając fasolę i groch, obierając ziemniaki lub kukurydzę, a ona opowiadała o tym, co



wydarzyło się w jej poprzednim życiu i jak wyglądało jej obecne.

Wszystko zaczęło się, gdy zabrano ją z jej domu w Afryce. Gdy o tym opowiadała, kręciła się na krześle wyraźnie poruszona, jakby te wspomnienia dawały się we znaki tak samo jak reumatyzm w porze deszczowej. Minerva uważnie słuchała matki, choć słyszała każde słowo wiele razy.

– To stara, dobrze znana historia, nie ma w niej nic nowego. Co roku przeżywają ją tysiące. Byłam młodą dziewczyną, młodszą niż wy dwie teraz...

Phillis została zabrana, gdy miała dwanaście lat, z Abomeju, stolicy Dahomeju. Jej rodzina należała do wysoko urodzonej szlachty. Ona miała w przyszłości zostać kobietą wojownikiem i należeć do elitarnej straży strzegącej króla. Wybrano ją, ponieważ jej ojciec był jednym z najbardziej zaufanych dowódców z otoczenia króla. Ale życie na dworze jest niepewne, pełne intryg i kłótni. Pewnego dnia jej ojciec został oskarżony o spisek przeciwko królowi. Jego aresztowano, a całą rodzinę sprzedano handlarzom niewolników. Związano ich za szyje i kazano iść sto mil, a może nawet dalej, przez bagna i lasy do portu Whydah. Tam zostali sprzedani różnym kupcom, wsadzeni na statki należące do różnych krajów i wysłani w różne kierunki. Phillis już nigdy nie zobaczyła nikogo ze swej rodziny.

– Nigdy nie płakałam. Nie uroniłam ani jednej łzy. Ani wtedy, ani później. Jestem kobietą wojownikiem z Dahomeju. My nie okazujemy lęku.

Minerva patrzyła na matkę z dumą. W miarę jak ją coraz lepiej

poznawałam, uświadamiałam sobie, jak wiele o odwadze i harcie ducha nauczyła się od swojej matki. Kiedyś miałam to sobie przypomnieć i być wdzięczną, że pochodziła z rodu wojowników.

Phillis została kupiona przez portugalskiego kupca. Mówiła trochę tym językiem, ponieważ uczył ją ojciec. To ułatwiło jej znalezienie się w nowej sytuacji, ponieważ mogła być tłumaczem. Statek miał dotrzeć do Brazylii, ale wiatry zepchnęły go z kursu i zawinął do St Kitts. Tam kapitan sprzedał niewolników, wybierając natychmiastowy zysk niż ryzyko utraty kolejnych niewolników w następnych sztormach i zawieruchach. Kupił ją człowiek o nazwisku Sharpe, który przywiózł ją na Jamajkę z grupą innych niewolników i sprzedał mojemu ojcu.

Phillis snuła swoją opowieść przez wiele dni. Skończyła ją na Minervie, choć nie powiedziała nic o okolicznościach jej poczęcia i narodzin.

Pomyślałam, że uzupełnię jej opowieść, mówiąc o Robercie. Phillis dodała, że ona i Robert byli w tej samej grupie niewolników przywiezionych z St Kitts i że był jej mężczyzną do momentu, gdy mój ojciec zabrał go do Bristolu. Założyłam, że Robert jest ojcem Minervy, i nie mogłam się doczekać, żeby im obu powiedzieć, że Robert ma się dobrze. Powiedziałam, że został wyzwolony, że zgodnie z ostatnią wolą mojego ojca dostał pieniądze i że, według tego, co ostatnio słyszałam, zamierzał otworzyć sklep z tytoniem. Opowiedziałam im o dawnych, wspólnie spędzonych czasach, o trosce, jaką mnie od dziecka otaczał. Gdy mówiłam, zniszczona twarz

Phillis rozpogodziła się i pojawił się na niej tak rzadko tam goszczący uśmiech.

– Robert to dobry i miły człowiek. Zawsze kochał dzieci. Umiał z nimi postępować. Ojciec panienki też był dobrym człowiekiem i dobrym panem. Bardzo nas zasmuciła wiadomość o jego odejściu. To on nauczył mnie angielskiego. Nie tylko mówienia, ale pisanie i czytania, a ja nauczyłam Minervę. Teraz może się uczyć od panienki.

– Słyszając swoje imię, Minerva uniosła wzrok i uśmiechnęła się. – Mogłaby czytać książki panienki i nauczyć się dobrze mówić. Nie jak niewolnica. Ojciec panienki nadał imiona mnie i jej. Był dla mnie dobry. Dla nas obu. – Umilkła na chwilę. Gdy odezwała się ponownie, jej głos ścichł do szeptu, jakby słowa przychodziły jej z trudem. – Wypatrywałyśmy go wiosną każdego roku. Jego statki przyplływały, ale jego nie było. Wielka szkoda. Żle, że Fountainhead zostało w rękach człowieka, który się nie nadaje.

Nie powiedziała, czy miała na myśli mojego brata czy Duke'a. Rzeczą, o której na pewno nie musiała mi mówić, było okrucieństwo, z jakim nadzorca zarządzał plantacją. Nie mogąc tego ścierpieć, nakazałam mu zaprzestać brutalnych metod, tego chłostania bez powodu, ale mnie nie posłuchał. Nawet gdy mu zagroziłam, że powiem bratu, nadal robił to samo.

– Ten człowiek to karaluch. Nadepnij go, a wylezie w innym miejscu – skomentowała Phillis.

Charakterystyka była trafna. Nawet z wyglądu przypominał karalucha, szczególnie od tyłu. Jego brązowe, przetłuszczone włosy

sterczały nad rudobrazowym płaszczem, którego poły unosiły się jak skrzydła nad nogami w wypolerowanych butach. Roześmiałam się na głos.

Phillis nie śmiała się ze mną.

– On mnie nienawidzi od samego początku. – Westchnęła, jakby był utrapieniem, którego nie sposób uniknąć, takim samym jak ugryzienia much lub skorpionów. – Każdego podejrzewa. Je tylko pożywienie przygotowane przez jego kobietę, ale nawet wtedy każe jej najpierw spróbować. Boi się trucizny. A ja się pytam, dlaczego? Sam jest nasączony trucizną do szpiku kości. Wie panienka, jak pachnie, prawda? – Pomachała dłonią pod nosem. – Może zabić węża jednym oddechem. – Tym razem śmiała się razem ze mną, ale po chwili jej twarz spoważniała. – Ten człowiek może być bardzo niebezpiecznym wrogiem. Niech panienka będzie czujna.

– Dlaczego? Przecież to moja plantacja – powiedziałam wyniośle jak właścicielka. – Mnie nie może zrobić nic złego!

Phillis przeprosiła, mówiąc, że musi odejść, żeby zacząć przygotowania do kolacji. Minerva poszła za nią. Pozostałam na werandzie, przekonana o swoim bezpieczeństwie. Nie przyszło mi do głowy, że moje zachowanie może narazić na niebezpieczeństwo innych. Założyłam, że Phillis miała na myśli tylko mnie.

Wbrew temu, co powiedziała Phillis, postanowiłam porozmawiać o zarządcy z bratem i zaproponować, żebyśmy się go pozbyli – Wybrałam południe, porę w której spożywał śniadanie i jeszcze nie zaczął pić.

– A, tak – powiedział. – Właśnie miałem z tobą o tym porozmawiać.

Nabrałam większej otuchy. Pomyślałam, że choć raz w życiu zgadzamy się w jakiejś sprawie. Powinnam była wiedzieć, że było zupełnie inaczej.

– No, więc, hmm... – odchrząknął. – Chodzi o twój stosunek do czarnych.

– O. – Nie tego się spodziewałam. – To znaczy?

– Jest zbyt poufały. Zdecydowanie zbyt poufały. – Odciął czubek gotowanego jajka. – Tak nie można, Nancy. Oni to źle odbierają. Myślą, że mogą sobie pozwalać.

– Kto tak mówi? Duke?

– Nie tylko on – mówił z pełnymi ustami. – Ja też. Za krótko tu jesteś, żeby to rozumieć. Na przykład Phillis i Minerva, za bardzo się z nimi zbliżyłaś. One nie są takie jak my. – Otarł usta serwetką. – Nie możesz im ufać, Nancy. Rozumiem, że brakuje ci damskiego towarzystwa. W Bristolu miałaś panią Kington i jej przyjaciółki i tak dalej.

– Nic nie rozumiesz.

– Rozumiem więcej, niż myślisz. Nie jestem tępym brutalem. I jedno wiem na pewno. Nie możesz się z nimi zaprzyjaźnić. To się nie uda.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ są niewolnicami. – Ostatnie słowo wymówił przesadnie wolno i starannie, jakby mówił do półgłówka.

– Są istotami ludzkimi. Z krwi i kości. Takimi samymi jak my. – Popatrzyłam mu prosto w oczy. – A gdybym powiedziała, że jeden naród nie ma prawa niewolić drugiego?

Wyglądał na prawdziwie wstrząśniętego.

– Powiedziałbym, że jesteś głupią dziewczyną, i zakazał ci to powtarzać. Następnie przypomniałbym ci, dzięki czemu masz chleb na stole i ubranie na grzbiecie. Poza tym to naturalne, że jeden naród niewoli drugi. My po prostu korzystamy z nadarzającej się okazji, obracamy to w zysk, można by rzec. To Afrykanie sprzedają niewolników, na litość boską. My ich tylko zabieramy z fortów. Nic nie rozumiesz, Nancy. Tak jest urządony świat i tak zawsze będzie. – Umilkł na chwilę. – Duke to twardy człowiek, przyznaję, ale jest nam potrzebny. Jego metody mogą ci się nie podobać, ale są konieczne. Plantacji nie można prowadzić bez trzymania dyscypliny. – Pokiwał palcem w moją stronę. – Więc przestań się wtrącać. Niczego nie zmienisz. Narobisz tylko wszystkim kłopotów, w tym i twoim ulubienicom. – Zamyślił się przez chwilę. – A zwłaszcza im. Namieszasz im w głowach, to pewne, a to nie skończy się dla nich dobrze. Nie obstawaj przy tym, Nancy. Pewnie myślisz, że im pomagasz, ale tak naprawdę to przyczyniasz się do ich nieszczęścia.

Odszedł do swego gabinetu, krzycząc na Thomasa, żeby przyniósł mu rumu. Było jasne, że wcześniej był już u niego Duke i poskarżył się na moje zachowanie. Nie wiedziałam, że ponadto radził mojemu bratu, aby się pozbył Phillis i Minervy, i nalegał, żeby sprzedać je osobno. Phillis do pomocy w polu, a Minervę kobiecie, która

prowadziła burdel w Kingston.

Gdybym to wtedy wiedziała, może bym zmieniła swoje zachowanie, ale byłam młoda i zawzięta. Nigdy nie lubiłam, gdy ktoś mi mówił, co mam robić. Miałam naturalną skłonność, żeby postępować dokładnie odwrotnie, a po reprimendzie mojego brata stałam się zuchwałą. Nie przejęłam się nią ani trochę i dalej postępowałam tak samo jak przedtem, obnosząc się ze swoją ważnością przed wszystkimi dookoła. Nie miałam pojęcia, jak bardzo ludzie potrafią być źli. Gdybym miała jakiegokolwiek przeczucie, jak potoczą się sprawy, na pewno postępowałabym inaczej. Ale takie słowa można by zawrzeć na każdej stronie tej opowieści.

Duke nie przestał mnie obserwować, aleja wciąż sądziłam, że nic mi nie może zrobić. Staralam się go lekceważyć, ale wszędzie wyczuwałam jego wrogą obecność. Mój brat był słaby, ale nie był potworem, nie pochwałał surowego traktowania niewolników.

Niestety, łatwo dawał sobą manipulować. Bicie niewolników nasiliło się. Wielkie drzewo na placu targowym było coraz częściej wykorzystywane. Duke sam wymierzał kary. Jego czarny bat zrywał płaty skóry z pleców nieszczęśników, których wybierał na swe ofiary. Kara za drobne przewinienia była równie surowa co za poważne, bez żadnej różnicy czy łagodności.

Gdy przyszłam do mojego brata, ponownie powiedział mi, żebym się nie wtrącała.

– Duke ma plany co do twoich ulubienic – powiedział tonem przestrogi. – Na pewno ci się nie spodobają. Jeśli chcesz je uratować,

pilnuj swojego nosa i udawaj, że niczego nie widzisz.

Phyllis i Minerva zmieniły się. Wypełniały swoje obowiązki, ale stroniły od mojego towarzystwa. Stały się przygaszone, unikały mojego wzroku albo napotykałam tylko ich puste spojrzenia. Nie rozumiałam powodów tej zmiany, nie miałam pojęcia, jakie niebezpieczeństwo im zagraża. Czułam się urażona.

Taki stan rzeczy mógł trwać dalej, toczyć się w sposób, wobec którego byłam bezsilna, gdyby nie wydarzenia pewnego dnia. Pamiętam ten dzień nie tylko dlatego, że były to moje szesnaste urodziny, ale również z innych powodów. Pod dom zajechał jeździec na gniadym koniu, cały ubrany na czarno. Drobnokościsty, przystojny, o skórze w odcieniu najciemniejszego hebanu. Jego kręcone włosy były przycięte przy samej skórze. Sięgnął do torby przytroczonej do siodła, oznaczonej fantazyjną literą B, i wyjął z niej list. Na pieczęci widniało imię jego pana: Bartholome.



List był zaadresowany do mojego brata i zawierał zaproszenie na kolację. Joseph odpowiedział natychmiast. Wyszedł na werandę błądy i nie ogolony, ale wystarczająco trzeźwy. Wręczył posłańcowi odpowiedź, złożoną i zapieczętowaną kartkę z nierównym, ale czytelnym pismem. Nie powiedział mi, co odpisał, ale wezwał Thomasa, żeby go ogolił, a Phillis i Minervę, żeby przygotowały moje najwykwintniejsze stroje. Przykazał im, że mam wyglądać jak dama, bo inaczej sprzedaje na bagna Surinamu.

– I to ma być gorsze od tego, co tu mamy? – mruknęła pod nosem Phillis, ale wypełniła polecenie i gdy skończyły, ledwie mogłam się poznać w lustrze.

Brat czekał na mnie na werandzie. Miał na sobie surdut w kolorze gołębiej szarości oraz kamizelkę z kremowego jedwabiu, delikatnie haftowaną w motyle i kwiaty. Mankiety oraz przód koszuli były przyozdobione koronką. Włożył bryczesy z miękkiej koziej skóry oraz buty, które świeciły się jak lustra. Nie widziałam go tak ubranego od czasów Bath. Był też świeżo ogolony. Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się z ulgą i aprobatą, jakbym nareszcie postąpiła właściwie. Łyknął pospiesznie rumu na opanowanie drżenia rąk, jak mi powiedział, i poprowadził do otwartego powozu.

Thomas miał na sobie liberię, a przy boku pistolet. Mój brat miał nie tylko pistolet, ale i szablę. Poza granicami plantacji wyspa stawała się niebezpiecznym miejscem. W lasach grasowali uciekinierzy,

zarówno czarni, jak i biali. W górach znajdowała się kryjówka zbiegłych niewolników. Droga, którą jechaliśmy, prowadziła niedaleko wybrzeża, a zdarzało się, że piraci urządzali sobie grabieżcze wypadki. Należało być przygotowanym.

Gdy wyjeżdżaliśmy z plantacji, dzień chylił się ku zachodowi. W leśnych zaroślach fruwały różnobarwne papugi, wyglądające jak plamy jaskrawych kolorów na zielonym tle. Ich skrzekliwe odgłosy przeplatały się z przejmującym hałasem cykad. W promieniach zachodzącego słońca morze wyglądało niczym pomarszczona złota materia. Rozproszone stado pelikanów o szerokich skrzydłach leciało nisko nad wodą, jakby ich ciężkie dzioby ściągały je w dół.

– Swoje młode karmią własną krwią – odezwał się Joseph. – Przynajmniej ludzie tak mówią...

Nic na to nie odpowiedziałam. Myślałam jedynie o tym, jakie są wolne, odrywając się od ziemi i lecąc w kierunku zachodzącego słońca.

Wjazdu na plantację Bartholome'a strzegły dwa ogromne drzewa. Pomiędzy nimi wisiała litera B, wykonana w ten sam wymyślny sposób, co litera na torbie przytroczonej do siodła.

Thomas skręcił w bramę. Przed nami rozciągał się długi podjazd wyłożony małymi białymi kamyczkami. Były to połyskliwe okruchy marmuru, które sprawiały, że w zapadającym zmierzchu droga wyglądała, jakby usypano ją ze srebra.

Nagły trzepot skrzydeł na jednym z drzew wzdłuż podjazdu spowodował spłoszenie się naszych koni. Powóz przechylił się i lada

chwila mógł się wywrócić. Joseph siarczyście zaklął i zaczął wrzeszczeć na Thomasa, że jest nieudolnym głupcem. Thomas odwrócił się w naszą stronę. Pomimo półmroku było widać, że ma poszarzałą twarz i szeroko otwarte oczy. Wyglądał, jakby zobaczył upiora.

Coś wisiało na jednej z masywnych gałęzi drzewa przed nami. Było duże, ciężkie i nieznacznie się kołysało. Nad tym czymś unosiły się ogromne, czarne ptaki. Walczyły ze sobą o utrzymanie się na zbyt małej dla wszystkich powierzchni. Nasze pojawienie się wystraszyło je i uleciały w górę z głośnym trzepotem skrzydeł. Próbując uspokoić konie, Thomas podprowadził nas prosto pod skrzypiącą klatkę. Ptaki ponownie ją obsiadły. Ich postrzępione pióra sterczały na nich niczym plugawe stroje, gdy rywalizowały ze sobą o miejsce na żelaznej klatce.

Widywałam już ludzi ukaranych w ten sposób. Wybielone kości, wypadające przez pręty na Gallows Acre Lane. Związane liną, pomazane smołą ciało wiszące na bagnach Hungroad. Ale to było coś zupełnie innego. Człowiek w tej klatce jeszcze żył. Ptaki wydziobały mu oczy, do kości wyżarły ciało na twarzy i ramionach. Po zmasakrowanych policzkach spływała krew i skapywała na ziemię, tworząc czarne kałuże. Zakryłam nos, ponieważ smród był tak straszny, jakby ciało już się rozkładało. Nagłe szarpnięcie się skazańca rozchybotало klatkę. W powietrze uniósł się czarny rój wściekle bzyczących much. Drgnęła ręka. Usta rozchyliły się, jakby człowiek chciał coś powiedzieć.

Staliśmy tam zaledwie kilka sekund, ale zapamiętałam je jako wieczność. Dostrzegłam wszystko, każdy szczegół. Tego obrazu nigdy nie zdołam wymazać z pamięci. Gdy zamknę oczy, wciąż widzę tego człowieka.

Wszyscy troje wpatrywaliśmy się w niego, skamieniali, przerażeni, niedowierzający własnym oczom.

– Ruszaj! – wrzasnął w końcu Joseph na Thomasa.

– Kto to mógł zrobić? – odwróciłam się do mojego brata. – I dlaczego?

– Widocznie zrobił coś złego. Pobił nadzorcę albo coś takiego. Na pewno drań na to zasłużył – dodał, starając się opanować, jednak nadal miał zbieleiałe usta i drżały mu ręce, gdy nalewał sobie rumu ze srebrnej piersiówki. Mnie też podsunął flaszkę, ale odmówiłam. – Nic nie mów. Ani słowa. – Pochylił się w moją stronę i ściszył głos, aby Thomas nie mógł go usłyszeć. – Tu tak się żyje. Mówiłem ci. Nic na to nie poradzisz. Więc zostaw w domu swoją wrażliwość i wydorosłej.

Nic nie odpowiedziałam. Nie umiałam znaleźć słów, bo chyba nie było słów, które by wyraziły wstrząs, jaki przeżyłam. Oglądałam się za siebie, dopóki makabryczny widok nie zniknął nam z oczu.

Brazylijczyk Bartholome czekał na nas na werandzie. Miał na sobie garnitur z czarnego aksamitu jak wtedy, gdy widziałam go ostatnio, ale dodatki były o wiele bogatsze. Na palcach ściskających poręcz mieniły się pierścienie. Jedwabna apaszka była spięta szafirem. Pod rozpiętą marynarką miał koszulę z kremowej satyny zapinaną na guziki z pereł wielkości ziaren grochu. Zszedł ze schodów, żeby nas

powitać. Ujął moją dłoń. Białe zęby zaśniły pośród czerni zarostu. Jego ciemne jak noc oczy spojrzały w moje.

– Panno Nancy. – Uniósł moje palce do swoich warg. – Wielki to dla mnie honor gościć panią w moim domu. – Nie wypuszczając mojej dłoni, wprowadził mnie do swojego domostwa. Na skórze poczułam chłód i twardość jego pierścieni.

Był to ogromny dom o marmurowych posadzkach i kamiennych ścianach. W porównaniu z nim nasz dom wydawał się lichą chatą. Pół Europy zostało splądrowane, żeby go wyposażyć, reszta świata złupiona, żeby go stosownie przyozdobić. Ze ścian spoglądały wysadzane klejnotami ikony oraz maski ze złota. Twarz wykonana z turkusowych płytek szczyrzyła podobne do ludzkich zęby i patrzyła roziskrzonymi oczyma z jakiegoś czarnego kamienia. Antyczne posągi z marmuru na postumentach stały obok pogańskich bóstw oraz złotych zwierząt inkrustowanych drogocennymi klejnotami. Krzyż, wysoki przynajmniej na stopę, z ogromnymi, oszlifowanymi szmaragdami, tworzył ołtarz wraz ze stołem zastawionym złotymi patenami, wysadzanymi rubinami kielichami oraz ażurowymi pudełkami wyrzeźbionymi z kości słoniowej oraz nefrytu. Chińskie jedwabie oraz indyjskie dywany wisiały obok włoskich obrazów olejnych. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Wchodziłam do jaskini rabusia, gniazda sroki złodziejki wypełnionego łupami ze wszystkich kontynentów.

– Nie potrafię się oprzeć pięknu. – Ręką zatoczył szeroki łuk, wskazując bezcenne sprzęty i przedmioty. – Jestem kolekcjonerem,

jak pani widzi. Gotów jestem zadać sobie najwyższy trud, by zdobyć to, co mi się podoba. Dla mnie żadna cena nie jest zbyt wysoka, żadne miejsce zbyt odległe. Posiadam przedmioty z Indii, Chin, nawet Japonii. Gdy coś zdobędę, lubię to trzymać tu, gdzie mogę tym cieszyć swoje oczy. Proszę.

Podał mi swoje ramię i poprowadził do jadalni, ogromnego pokoju z okiennicami i ścianami z ciemnego drewna, rozświetlonego kryształowymi żyrandolami zawieszonymi pod rzeźbionym sufitem. Na długim stole stała wykwintna zastawa. W oczy bił blask srebra i kryształów. W świetle równomiernie płonących woskowych świec połyskiwała mleczno-błękitna, półprzezroczysta porcelana. Wzdłuż ścian stali służący, nieruchomi jak posągi.

Zaprowadził mnie do mojego miejsca i wysunął krzesło, na którym miałam usiąść.

– Oto moja droga siostra, Isabella.

Siedząca na końcu stołu kobieta kiwnęła mi głową. Z jej włosów na ramiona spływała czarna mantyla. Pomyślałam, że to prawdopodobnie oznaka wdowieństwa, ale później dowiedziałam się, że nigdy nie wyszła za mąż. Było to zwyczajowe nakrycie głowy tamtejszych kobiet, podobnie jak u nas czepek. Szukałam w jej rysach podobieństwa do brata, ale nie dostrzegłam żadnego. Jediną wspólną cechą rodzeństwa był zadziwiający brak oznak wieku. Isabella miała bladą cerę i była bardzo chuda. Jeden kącik jej ust był lekko uniesiony, przez co wyglądała tak, jakby się ciągle szyderczo uśmiechała. Ciemne, ciasno zaczesane do tyłu włosy naciągały skórę

chudej twarzy, nadając jej wygląd wyniszczonej chorobą osoby. Miała na sobie suknię z ciężkiego, czarnego brokatu, dopasowaną, z długim stanem i długimi rękawami. Był to strój stosowniejszy do noszenia na europejskim dworze niż na plantacji w tropikach, ale nie było po niej widać dyskomfortu. Przypatrywała mi się nieruchoma jak pająk, z luźno splecionymi dłońmi.

Nie mówiła po angielsku i jej brat był tłumaczem. Choć sama nie mówiła nic, jej ciemne oczy śledziły tok rozmowy, przenosząc się od jednej osoby do drugiej, i zaczęłam podejrzewać, że bardzo dużo rozumie.

Na stole pojawił się wykwintny posiłek, złożony z wielu dań: wyborne potrawy z produktów, w które obfitował ten kraj, idealnie przyrządzone i wymyślnie podane. Mój brat jadł z apetytem i dużo pił, nie szczędząc gospodarzowi komplementów na temat jakości win, wykrzykując, że od kiedy opuścił Bristol, nie próbował niczego tak dobrego. Słyszając te pochwały, Brazylijczyk uśmiechał się, ponieważ wina pochodziły z jego majątków w Portugalii. Uznał Josepha za konesera i zachęcał go do dalszego próbowania, aż w końcu mój brat się upił.

Ja, dla kontrastu, jadłam bardzo mało i piłam tylko wodę. Siostra Brazylijczyka była równie wstrzemięzliwa, więc może było to właściwe zachowanie. Nie miałam ochoty tłumaczyć powodów mojego braku apetytu. Od śniadania prawie nic nie jadłam i w normalnej sytuacji byłabym głodna jak wilk, jednak w czasie tej kolacji od widoku i zapachu jedzenia zacisnęło mi się gardło, a

żołądek się skurczył. Nie mogłam pojąć, jak oni wszyscy mogli jeść, pić, cieszyć się luksusem, rozmawiać o wszelkiego rodzaju głupstwach, gdy na zewnątrz konał człowiek w najokrutniejszy z możliwych sposobów. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Patrzyłam na uśmiechnięte i roześmiane twarze, na przeżuwające usta, przetykające gardła i przez cały czas widziałam człowieka wiszącego w klatce niedaleko od domu, zjadanego żywcem przez patki i muchy.

W końcu sprzątnięto ze stołu i postawiono na nim kandyzowane owoce, orzechy, różnorakie słodczyce oraz karafki z maderą, porto i butelki francuskiej brandy.

Bartholome nalegał, abym przynajmniej spróbowała rubinowego porto, a gdy nasze kieliszki zostały napełnione, zawołał, że chce wznieść toast.

– Jest mi wiadomym, że dziś są pani urodziny, panno Nancy. Musimy za to wypić.

Gdy wszyscy unieśli kieliszki w moją stronę, ja zastanawiałam się, skąd on się o tym dowiedział. Uznałam, że widocznie Joseph mu powiedział, choć nie mogłam zrozumieć, po co miałby to robić.

– Za przyjaźń pomiędzy naszymi rodzinami – mówił dalej Brazylijczyk. – Oraz za związek, który wkrótce scementuje je jeszcze bardziej. – Pomyślałam, że to już koniec toastu i chciałam go wypić, gdy Bartholome uniósł swój kieliszek jeszcze wyżej. – Za pannę Nancy!

Patrzyłam skonfundowana, jak wszyscy piją na moją cześć. Brazylijczyk wypił do dna. Czerwone wino pociekło mu na brodę i



zabarwiło usta. Uśmiechnął się. Jego oczy były podobne do oczu wiszącej za jego plecami maski: małe, czarne lustra odbijające migotliwe światełka świec.

– Rozmawiałem z pani braćmi o tej jakże bliskiej memu sercu sprawie i oczywiście z pani ojcem tuż przed jego przedwczesną śmiercią. Zapewnił mnie, że było to jego szczere pragnienie i że udziela mi swego błogosławieństwa, prosił jedynie, abym wstrzymał się do pani szesnastych urodzin. Oczywiście uszanowałem jego prośbę, ale dziś nadszedł ten dzień. – Przerwawszy, odchrząknął i zaczął donośniejszym i oficjalniejszym tonem. – Panno Nancy, mam nadzieję, że uczyni mnie pani najszczęśliwszym z mężczyzn...

Oświadczał mi się. Przez sekundę wpatrywałam się w niego, niezdolna wymówić słowa. Potem przeniosłam wzrok na brata, ale on nie chciał, albo nie mógł, spojrzeć mi w oczy.

Brazylijczyk zawahał się.

– Pani o tym wiedziała, prawda? – zapytał mnie. Otworzyłam usta, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Przypomniałam sobie słowa ojca, jakby siedział obok mnie w tym pokoju: *Zrobisz, co do ciebie należy, prawda? Dla mnie? Dla rodziny?* I swoją odpowiedź: *Oczywiście, ojcze.*

Bartholome odwrócił się do Josepha. Spojrzenie jego czarnych oczu było zimne i ciemne jak bezdenna studnia. Jego chłód zdawał się trzeźwić mojego brata.

– No, może nie tak wprost – zaczął, bawiąc się nóżką kieliszka do porto. – Ale Nancy rozumie, jak ważny byłby taki związek dla naszej

rodziny i dla wszystkich ludzi z nami związanych. – Popatrzył na mnie. Jego jasne oczy zdawały się mieć spojrzenie twarde jak marmur. – Na przykład dla Susan i Roberta; kapitanów naszych statków, ich rodzin, ludzi, którzy dla nich służą. Henry ma wielu przyjaciół w admiralicji. Dobre lub złe słowo może dużo zmienić w karierze zawodowej. Wielu korzysta z naszego dobrego imienia i potrzebuje naszego patronatu.

Zostałam złapana w pułapkę zastawioną przez bezlitosnych mężczyzn: moich braci, mojego ojca, tego Brazylijczyka. Wszystkich razem. Ich bezwzględność mnie obezwładniła. Słuchając słów mojego brata, starałam się ogarnąć rozmiar ich obłudy, próbowałam znaleźć dla siebie bezpieczną ścieżkę przez pole pełne ukrytych zasadzek, które dla mnie przygotowano.

– To dla mnie wielkie zaskoczenie – powiedziałam w końcu. – Nie wiem, co powiedzieć, panie. Pańskie słowa mnie całkowicie przytłoczyły. – Co było bardzo bliskie prawdy.

Gdy desperacko myślałam, jak wybrnąć z tej sytuacji, odezwała się jego siostra. Podniosłam wzrok, zaskoczona, że się odezwała. Miała szorstki, niski głos, o nieomal męskim tembrze.

Brat przetłumaczył jej słowa.

– Mówi, że jest pani bardzo młoda.

Wydawał się podzielać opinię, że powodem mojego zmieszania była dziewczęca skromność, choć słowa obcego języka wychodzące z jej wykrzywionych ust zabrzmiały w moich uszach bardziej jak ostrzeżenie lub osąd.

– Czynicie mi, panie, wielki zaszczyt – odezwałam się ponownie. – I musicie mi wybaczyć, ale wasze oświadczyły to dla mnie wstrząs. Nie wiedziałam, że zaszczytacie mnie w ten sposób. Nie byłam uprzedzona, jak mogliście się przekonać. Muszę was, panie, prosić o czas do namysłu.

– Rozumiem... – powiedział, ale było jasne, że nie rozumie. Spojrzenie, jakie rzucił mojemu bratu, było pełne wyrzutu, ale Joseph unikał jego wzroku. Przyglądał się swojemu kieliszkowi, jakby odpowiedź na nieme pytanie Brazylijczyka, jak i na wiele innych pytań, znajdowała się na jego dnie.

Siostra Brazylijczyka zaśmiała się. Gdy przemówiła, jej usta uniosły się z jednej strony, a oczy zaśmiały zimnym blaskiem.

– Co powiedziała? – zapytałam.

– Mówi: „A nad czym tu myśleć? Mężczyźni decydują, kobiety słuchają”. Ale rozumiem, że wy, Anglicy, macie inne obyczaje. Więc, oczywiście, dam pani czas na podjęcie decyzji. A teraz chciałbym dać pani podarunek.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni swej marynarki i wyciągnął długie, płaskie pudełko z zielonej cielej skóry i położył je na białym obrusie. Potem otworzył złote zapięcie i uniosł wieko. Oparł się o swoje krzesło, a ja i mój brat pochyliliśmy się nad jego zawartością. Joseph głośno wciągnął powietrze. Zaświeciły mu się oczy i pojawiła się w nich zachłanność. W tamtych czasach mało wiedziałam o szlachetnych kamieniach, ale nawet moje niewyszkolone oko rozpoznało ich wartość. W pudełku leżał sznur

idealnie dobranych rubinów, osadzonych w delikatnie obrobionym złocie, o różnej wielkości. Najmniejszy był wielkości mojego paznokcia. Sznur leżał półkolem wokół pary kolczyków w kształcie wypukłych łez. Kamienie błyszcząły w świetle świec jak krople krwi utoczonej z serca.

– Ufam kamieniom. – Uśmiechnął się do mnie ponad stołem. – Nie blakną, nie gniją, nie tracą wartości. Są lekkie, łatwo je trzymać przy sobie. – Poklepał się po kieszeni. – Nigdy nie sprawią zawodu.

Zapamiętałam jego słowa. Kieruję się nimi w życiu. Wykorzystałam jego rady w sposób, jakiego nigdy się nie spodziewałam.

– To rzadkie kamienie. – Uniósł jeden z kolczyków do światła. – Wyjątkowo piękne.

– Idealne! – Mój brat wyciągnął dłoń, ale Brazylijczyk zbliżył klejnot do mnie.

– Nie. Nie są idealne. Najlepsze rubiny mają skazę. Proszę popatrzeć. Widzicie? Prawie, jakby zamknięto w nich inny świat...

Kolczyk zawisł na jego palcu i przysłonił płomień świecy. W środku było widać maleńką plamkę, która promieniała ciemniejszym odcieniem czerwieni, jakby płonął w niej ogień.

Z wielką troską i starannością odłożył kolczyk z powrotem do pudełka. Te klejnoty miały królewskie pochodzenie. Z pewnością były przeznaczone dla hiszpańskiej królowej, albo ulubionej konkubiny maharadży, zanim zostały zagrabione przez tego morskogo złodzieja. Nawet teraz rzadko widuję coś równie cennego. Mojemu bratu zaświeciły się oczy. Za takie kosztowności można by kupić pół floty.

– To bardzo szczodry dar – wysapał. – Zaiste bardzo szczodry. – Wyciągnął rękę po pudełko, ale Brazylijczyk go powstrzymał.

– Nie są dla ciebie – powiedział cichym, prawie rozbawionym emocji głosem. – To prezent dla twojej siostry. – Płynnym ruchem uniósł kolczyki i podał mi. – Proszę je przymierzyć.

Drżącymi rękami założyłam kolczyki. W tym czasie Bartholome z pudełka wyjął naszyjnik i wstał ze swego miejsca. Stał za moim krzesłem i założył naszyjnik na moją szyję, zapinając go z wyćwiczoną wprawą. Jego palce były ciepłe i miękkie, ale kamienie i złoto otoczyły moją szyję niczym zimna obręcz.

– A teraz zobaczmy, jak pani wygląda.

Poprosił, bym wstała i poprowadził mnie do lustra nad kominkiem. Stał za moimi plecami i położył swoje długie, ciemne palce na moich ramionach. Naszyjnik wyglądał na mojej szyi jak krwista plama. Popatrzy! na nasze odbicia i zmarszczył się.

– Masz piękną szyję i ramiona. – Jego dłonie zatrzymały się tuż pod krzywizną mojej zuchwy i cofnęły się z powrotem w dół ku podstawie szyi. – Ale rubiny prezentują się najlepiej na mlecznobiałej skórze. Wyglądają wtedy, jakby leżały na białym atłasie. Obawiam się, moja droga, że tutejsze słońce jest dla ciebie zbyt mocne. – Patrzył na mnie z niesmakiem. Skóra na moich ramionach, szyi i twarzy zmieniła się z białej na złotawobrazową. – Wszystkie kamienie reagują na ciepło krwi, a rubiny bardziej od innych. Widzisz, jak ich kolor nabiera głębi? – Zbliżył twarz do mojej tak, że nasze oczy znalazły się na jednym poziomie. – Wyglądałyby o wiele lepiej,

gdyby twoja skóra wróciła do poprzedniej bladości i znowu była biała jak alabaster... – Jego palce gładziły moje nagie ramiona długimi mięśniami, jak gdyby pieścił wspomnienie. Jego oczy przybrały rozmarzony wyraz, jakby za sprawą magii widział mnie taką, jak poprzednio. – Moja siostra w ciągu dnia nigdy nie wychodzi z domu, chyba że zasłonięta woalkami. Jeśli masz odzyskać poprzednią karnację, powinnaś pójść za jej przykładem.

Jego siostra patrzyła na mnie z na wpół szyderczym uśmiechem, a mnie przysłała do głowy kolejna straszna myśl. Gdybym za niego wyszła, stałabym się więźniem w jego domu, nigdy nie mogłabym wychodzić i za całe towarzystwo miałabym tylko jego siostrę. Z najwyższym trudem opanowałam dreszcze. W lustrze kolczyki lśniły jak krople krwi. Zdjęłam je, aby ich drzenie nie zdradziło mojego strachu.

– Ty drżysz. – Brazylijczyk patrzył na mnie ze zdziwieniem. – Z pewnością nie z zimna?

– Nie, panie. Wręcz przeciwnie. Chyba mam gorączkę. W istocie czuję się bardzo chora.

Nareszcie skończył się ten upiorny wieczór. Mój brat był zbyt pijany, żeby wracać do domu, aleja stanowczo oświadczyłam, że wrócę z Thomasem. Czekaając, aż podjedzie powóz, czułam, jak huczy mi w głowie od ostatnich zdarzeń. Obawiałam się, że w końcu pokonają mnie mdłości, które czułam przez cały wieczór. Zaczęłam się obawiać, że naprawdę jestem chora, ale za nic w świecie nie zniosłabym ani minuty dłużej w tym domu. Tłumaczyłam, że w Fountainhead, pod opieką moich niewolnic, szybciej wrócę do zdrowia. Brazylijczyk był wyraźnie zaniepokojony i nie chciał mnie puścić, ale wreszcie ustąpił. Zaoferował się z eskortą, ale powiedziałam, że Thomas i ja damy sobie radę. Thomas był uzbrojony, a ja wzięłam pistolet mojego brata.

Pożegnałam się szybko z obawy, że w każdej chwili mogę zwymiotować, jednak gdy już znalazłam się w powozie, poczułam się lepiej. Przestałam się trząść i rozprostowałam pięści. Od zaciskania bolały mnie tak bardzo, jakbym wbiła paznokcie w skórę dłoni. Na niebie pokazał się ogromny księżyc, rzucający na wszystko białe światło. Gdy spojrzałam na dłonie, pomyślałam, że rzeczywiście je pokaleczyłam. Wciąż trzymałam w nich kolczyki z rubinami. To one wyglądały niczym plamy krwi. Wepchnęłam je do kieszeni przy szarfie, którą byłam przewiązana w pasie.

Jechaliśmy po świetlistym podjeździe wzdłuż rzucających cienie drzew. W miejscu, gdzie cienie były najciemniejsze, kazałam

Thomasowi się zatrzymać. Ogromne ptaszyska nadal unosiły się nad klatką, odprawiając swoją ucztę. Gdy wyjęłam pistolet, zamierzałam jedynie wystrzelić w powietrze, żeby odstraszyć padlinożerców od żywej ofiary, ale nagle zmieniłam zamiar. Wycelowałam pomiędzy górne pręty klatki, modląc się, żeby nie trafić w metal. Rozległ się huk wystrzału. Ptaki wzleciały w górę niczym skrzydlate furie i rozchybotały klatkę. Konie szarpnęły się do przodu. Thomas zdzielił je batem, przerażony tym, co zrobiłam, więc nie miałam czasu sprawdzić, czy kula sięgnęła celu. Mogłam jedynie modlić się, żeby tak było i że tym samym położyłam kres męczarniom tego nieszczęśnika.

Nie bałam się przebywać nocą poza domem, ale ponownie naładowałam broń, żeby być gotowa na wszelkie niebezpieczeństwa, które mogliśmy napotkać. Jamajka była krajem bezprawia, ale nie bardziej od Downs w Anglii – tam jazda boczną drogą zawsze oznaczała ryzyko spotkania rozbójników.

Po drodze nie spotkaliśmy nikogo i spokojnie dotarliśmy na plantację. W domu było ciemno. Wchodząc po schodach, zastanawiałam się, dlaczego nie pali się żadna lampa. Po wejściu do środka zawołałam Phillis i Minervę, aby się mną zajęły, ale przywitała mnie cisza. Zapaliłam świecę i ruszyłam na ich poszukiwanie. Jedna z nich zawsze zostawała w domu na noc, aby być na nasze zawołanie. Tym razem po powrocie spodziewałam się zastać je obie, ponieważ nie planowaliśmy zostać na plantacji Brazylijczyka. Nie miałam żadnego złego przeczucia. Po prostu uznałam za dość niezwykle to, że



zaniedbywały swoje obowiązki. To było do nich niepodobne. Chyba nawet idąc do kuchni, szykowałam sobie w głowie jakąś łagodną wymówkę.

W kuchni zastałam Phillis. Siedziała przy stole, nieruchoma na tle księżycowej poświaty, podobna do rzeźby z drewna.

Uniosła się i obróciła w stronę światła świecy. Na mój widok wyraz jej twarzy zmienił się. W ciemności błysnęły białka jej oczu. Wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha.

– Co się panience stało w szyję?

Dotknęłam rubinów Bartholome’a. Nadal miałam je na sobie.

– To podarunek od Brazylijczyka. – Zrobiłam pauzę. – Chce się ze mną ożenić.

– Tak mówił Duke. – Jej głos przeszedł w cichy pomruk. – Myślałam, że widzę zjawę panienki. Wygląda, jakby ktoś podciął panience gardło.

Chciała do mnie podejść, ale ręka, którą opierała się o brzeg stołu, zadrżała i Phillis ciężko opadła z powrotem na krzesło, jakby ten wysiłek był dla niej zbyt wielki. Zawsze wydawała się taka silna i niezniszczalna. Ta nagła słabość bardzo mnie zaniepokoiła. Natychmiast odstawiłam świecę i podeszłam, żeby zobaczyć, co jej dolega. Jedną ręką ścisnęła górę swojej sukni. Z bliska zobaczyłam, że jej strój jest poszarpany i rozdarty z przodu i z tyłu na dwie części, które były pomazane i poplamione świeżą krwią.

Próbowała odwrócić się ode mnie powolnym ruchem, jakby wstydziła się, że widzę ją w takim stanie.

– Kto ci to zrobił? – zapytałam, jakbym tego nie wiedziała.

– Duke.

– Dlaczego?

– Bo lubi. Bo sprawia mu to przyjemność. – Podniosła rękę i zakryła nią oczy gestem znużonej i zrozpaczonej osoby. – Niech się panienka tym nie kłopotuje. To panienki nie dotyczy.

Tylko ja wiedziałam, czy coś mnie dotyczy, czy nie. Poczułam, jak narasta we mnie gniew podsycany wszystkim, co widziałam, odkąd przybyłam do tego pięknego i przekłętego kraju. Gdy zobaczyłam, co Duke jej zrobił, gniew przerodził się we wściekłość. Świeże pręgi biegły obok starych blizn i strupów. Skóra na jej plecach była tak zmasakrowana, że nie przypominała wcale ludzkiego ciała, tylko nierówną skorupę.

– Gdzie on jest?

– W swoim domu. – Phillis podniosła na mnie wzrok. W życiu wiele wycierpiała i znana była z tego, że nigdy nie płakała, ale w tamtej chwili z jej oczu płynęły łzy. – Zabrał Minervę. Próbowałam go powstrzymać...

– Za to cię pobił?

– Tak. Ale panienka nic nie może zrobić. Najlepiej się nie wtrącać. Nie powinna panienka przysparzać sobie kłopotów. Wkrótce wyjdzie panienka za mąż... – Głos się jej załamał.

Uciekła spojrzeniem w bok, jakby dłużej nie mogła na mnie patrzeć.

Gdy wychodziłam, siedziała zapatrzona w równomierny płomień

świecy. Nadal miałam przy sobie pistolet, zatknięty za szarfą sukienki. Nieomal uśmiechnęłam się, czując jego drewnianą, rzeźbioną rękojeść idealnie układającą się w mojej dłoni. Nic nie mogę zrobić – ile osób mi to powiedziało? No, to teraz zobaczymy...

Kobieta Duke'a siedziała w kucki przy palenisku i mieszała w garnku. Była bardzo chuda, a w tej pozycji jej spracowane ciało wyglądało, jakby się jeszcze bardziej skurczyło. Odwróciła głowę, gdy usłyszała, jak wchodzę. W świetle ognia ujrzałam jej pomarszczoną twarz. Wyglądała staro, ale z pewnością była młodsza. Zniszczyła ją praca dla kogoś, kto nie był tego wart. Spojrzała na mnie, na pistolet, który ściskałam w rękę, i rzuciła się do drzwi.

Moja wściekłość przerodziła się teraz w zimną, bezwzględną żądę działania. Zaczęłam skradać się po schodach cicho i ostrożnie jak polujący kot. Okazało się, że na moim miejscu mógłby się znaleźć regiment piechoty, a Duke i tak niczego by nie usłyszał. Zbyt był zajęty innymi sprawami. Stałam pod drzwiami. Przez szpary między deskami sączyło się światło. Duke klęczał nad Minervą, zwrócony plecami do drzwi. Trzymał ją w żelaznym uścisku i śmiał się, gdy próbowała mu się wyrwać. Leżała przyparta do wezłowania łóżka i miała rwany, płytki oddech. Jej długie ręce i nogi dziwacznie zgięte, były przyciśnięte jego zwalistym cielskiem. Wyglądała jak sarna w łapach niedźwiedzia. Pchnęłam drzwi. Otworzyły się bezgłośnie i weszłam do środka.

Widząc mnie, Minerva rozszerzyła oczy i zakrztusiła się. Duke wydał z siebie pomruk, sądząc, że zdjęła ją nowa fala strachu przed

nim. Bawił się nią, upajał się swoją władzą nad nią. Jej przerażenie wzmagało jego żądzę. Chwyciłam go za tłuste włosy, które opadały na białe, grube ramiona, i pociągnęłam do tyłu, wbijając lufę pistoletu w podstawę jego czaszki.

– Złaż z niej.

Gdy spróbował odwrócić głowę w moją stronę, widziałam, jak chuć gaśnie w jego małych, głęboko osadzonych oczach.

– Nie odwracaj się – wyszeptałam. – Rób to, co mówię. Mechanizm pistoletu znajdował się blisko jego ucha. Słyszając, jak odciągam iglicę, szarpnął głową.

Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wydobyło się jedynie charczenie.

– Nic nie mów.

Widziałam Minervę pod jego ramieniem. Miała twarz nieruchomą jak maska. Uwolniona spod jego ciężaru, szybko się podniosła. Wtedy Duke spróbował to wykorzystać. Wyciągnął rękę w stronę swego morderczego bata, luźno zwisającego z wezglowia łóżka. Jeszcze ułamek sekundy i miałby go w ręku. Nie zastanawiałam się. Pociągnęłam za spust.

Nigdy nie widziałam tyle krwi. Odwróciłam wzrok od tego, co spływało po ścianie nad łóżkiem. W powietrzu unosił się gryzący dym, a w moich uszach nadal dźwięczał huk wystrzału. Spojrzałam na Minervę, niezdolna uwierzyć w to, co właśnie zrobiłam.

– Nie chciałam... – zaczęłam mówić, gdy wpatrywałyśmy się w siebie nad zwłokami Duke’a. – Nie mogłabym...

Jednak chciałam. I właśnie to zrobiłam. Zabiłam człowieka. Spodziewałam się ujrzeć w oczach Minervy takie samo przerażenie, jakie sama czułam, ale zobaczyłam, jak strach i wstrząs przeradzają się w podziw.

– Nie musisz przeproszać ani czuć się winna – powiedziała, zbierając to, co pozostało z jej ubioru. – Dziś ocaliłaś mi życie, ponieważ na pewno bym się zabiła, gdyby zrobił ze mną to, co planował. Więc nie żałuj. Słyszysz?

Skinęłam głową potakująco i przełknęłam ślinę. Zrozumiałam. Rozgrzeszała mnie z tego strasznego postępuku. Za to będę jej zawsze wdzięczna. Nic więcej już nie powiedziałyśmy, jedynie patrzyłyśmy na siebie, zdając sobie sprawę, że po tym, co się stało w tym dusznym i śmierdzącym pokoiku, nic już nie będzie takie samo. Nasze życie zostało zakłócone jak bieg strumienia, do którego wrzucono skały. Musiałyśmy znaleźć dla siebie nowy kierunek, choć nie miałyśmy pojęcia, jak i dokąd nas z tego miejsca zabierze.

Nagle zjawili się przy nas Thomas i Phillis. Thomas spojrzął na

pobojowisko i twarz mu spochmurniała.

– Wyjdźcie stąd – wyszeptał mi do ucha, wyjmując pistolet z mojej dłoni. – My się wszystkim zajmiemy. – Chwycił mnie za ramiona i spojrzał mi w oczy. Jego mocne palce wbijały się w moje ciało. Czoło miał pomarszczone, pełne głębokich bruzd. Bał się o mnie czy martwił się tym, co sprowadziłam na nich wszystkich? Trudno było mi odgadnąć.

Podeszła do nas Phillis. Owinęła Minervę szalem, a mnie wzięła za rękę i wyprowadziła nas obie z tej krwawej komnaty.

– Co z nim zrobią? – zapytała Minerva.

– Nakarmią nim krokodyle – odpowiedziała Phillis. – One zżrą wszystko. Nawet takie ścierwo. Jeśli to mięso, to zjedzą wszystko do ostatniego kęsa. Nie są wybredne. Będzie wyglądało tak, jakby zniknął.

Na bagnach pomiędzy plantacją a morzem było mnóstwo krokodyli. Widziałam je podczas konnych przejażdżek. Ogromne, płaskonose bestie wygrzewały na słońcu swoje pokryte łuskami ciała. W rozwartych paszczach o krzywych uśmiechach połyskiwały rzędy białych zębów.

– A co z jego kobietą? – Obawiałam się, że powie o wszystkim mojemu bratu.

– Nienawidziła go bardziej od innych. To ona przyszła po Thomasa, gdy tylko zobaczyła cię w drzwiach. Teraz mu pomaga. O nią się nie martwię. Musimy się zastanowić, jak postąpić, to jest teraz nasze największe zmartwienie.

Siedziałyśmy przy kuchennym stole. Phillis wstała, żeby dołożyć drewna do ognia. Po północy powietrze czasami robiło się chłodne, a ja nie przestawałam dygotać. Minerva przyniosła mi szal, domyślając się, jak zawsze, czego mi potrzeba, choć jej dni jako mojej służącej dobiegły końca. Z nas dwóch to ona przeszła większe piekło, jednak szybciej ode mnie wracała do równowagi. Pod pewnymi względami była znacznie silniejsza. Stała się dla mnie wzorem do naśladowania.

– Mogłybyśmy tak to upozorować, jakby Duke nas okradł i zbiegł do Port Royal – zaproponowałam, odzyskując zdolność myślenia. Nie mogłyśmy siedzieć i nic nie robić. Musiałyśmy ułożyć jakiś plan przed powrotem Josepha. – Thomas dał mi klucze Duke’a. Mogę otworzyć nimi sejf w gabinecie mojego brata, zabrać pieniądze, porzucić papiery...

Minerva kiwała głową, jakby spodobał się jej mój pomysł, ale Phillis weszła mi w słowo.

– Duke i to, co się z nim stało, to nie nasz kłopot. Teraz śpi z krokodylami. – Pokręciła głową, otrząsając się ze wspomnienia po nim. – Widzę większy kłopot, przy którym ten to błąhostka. – Czasami Phillis przemawiała jak wyrocznia. – Mały jak lekki podmuch wiatru wobec huraganu.

Wśród niewolników Phillis miała opinię osoby znającej się na lekarstwach, ziołach i wielu innych sprawach. Tę wiedzę, zwaną przez niewolników *obea*, przywiozła ze sobą z Afryki. Nie mieli żadnej religii, więc trzymali się swoich wierzeń. Wiedziałam, że Phillis miała moc przepowiadania przyszłości. Minerva opowiadała mi, że jej

matka widziała zapowiedzi przyszłych zdarzeń w chmurach, dymie, płomieniach ognia, zarysie liści na tle nieba. Taka wiedza to ściśle strzeżony sekret, ukrywany przed oczami białych. Minerva powiedziała, że gdybym zaczęła się tym zbytnio interesować, mogłoby to się okazać niebezpieczne, więc przestałam się dopytywać.

Przypomniałam sobie, że gdy wychodziłam z kuchni, żeby znaleźć Duke'a, Phillis siedziała zapatrzona w płomień świecy. Może w jej płomieniach coś zobaczyła.

– Mamo, co wtedy widziałas? – zapytała teraz Minerva.

– Bartholome'a. Brazylijczyka. Człowieka o czarnym sercu.

– Spojrzała na mnie gwałtownie. – Zdejmij to! – Nieomal wypluła te słowa z siebie. Podniosłam dłoń do szyi. Nadal miałam na sobie rubiny. Rozpięłam zatrzask i położyłam naszyjnik na stole.

– Powinnaś je wyrzucić. To *obea*. Przenoszą w sobie śmierć: jej czas, miejsce i sposób. Widziałam to. Jeśli tu zostaniesz, wyjdiesz za niego za męża. I pewnego dnia... on cię zabije...

– Ale co mam zrobić? Nie mogę uniknąć tego małżeństwa. Mój brat na nie liczy. Losy całej mojej rodziny od niego zależą. Nie widzę drogi ucieczki.

– I tu się mylisz. Posłuchaj mnie, i to uważnie.

Plan Phillis był równie drastyczny co śmiały. W czasie rozmowy o tym, jak go urzeczywistnić, czułam, że robi mi się lżej na sercu, lżej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni, a nawet miesięcy. Minerva najwyraźniej czuła to samo. Uśmiechała się do mnie, jakby wróciły te pierwsze dni, gdy razem jeździłyśmy konno, zanim



wszystko się popsuło.

Posłuchałam Phillis we wszystkim, z wyjątkiem jednej rzeczy. Nie pozbyłam się rubinów. Teraz żałuję, że ich nie wyrzuciłam, tak jak mi kazała, że nie utopiłam ich w bagnach razem z Dukiem. Było w nich coś diabelskiego i to pochodziło od człowieka, który mi je podarował. Phillis miała co do tego rację, podobnie jak i w wielu innych sprawach.

Sama się o tym przekonałam. Gdy spojrzałam na swoje dłonie i pomyślałam, że mam na nich plamy krwi, to był znak. Jestem tego pewna, choć wtedy go nie rozumiałam. Nie potrafiłam skojarzyć. Wtedy uważałam, że rubiny są zbyt cenne, by je wyrzucać. Że pewnego dnia mogą się okazać przydatne.

*Ufaj kamieniom...*

Przypomniałam sobie słowa Brazylijczyka, jakby je ktoś wyszeptał przy moim uchu. Biżuteria była lekka i łatwa do ukrycia przed Phillis. Wepchnęłam rubiny do pasa, który nosiłam na ciele pod innymi strojami.

Nałożyłam męski ubiór dla wygody w podróży. Wyruszyliśmy przed świtem. Na początku jechał Thomas, zanim Minerva i ja na koniach, na końcu Phillis na jucznym mule. Torba przytroczona do mojego siodła ugięła się pod ciężarem złota z sejfu. Najpierw pozbawiłam mojego brata pewnej ilości monet, uznając, że to sprawiedliwe zadośćuczynienie za spadek, którego się zrzekłam, ale potem natrafiłam na list z moim imieniem i nazwiskiem na kopercie. To mnie tak rozwścieczyło, że zagarnęłam z sejfu całą resztę. Mój brat

mógł sobie wierzyć, że Duke i ja okradliśmy go, a potem razem uciekliśmy. Nic mnie to nie obchodziło. I tak nigdy nie dowie się prawdy. Wyjeżdżałam, żeby przyłączyć się do uciekinierów.

## **Banda łobuzów**

Cały czas wspinaliśmy się w górę i o świcie znaleźliśmy się ponad równiną u stóp gór, daleko od Fountainhead. Stamtąd mogliśmy ogarnąć wzrokiem całą plantację – rozległe pola skurczyły się do rozmiarów chusteczki do nosa, a budynki wyglądały jak dziecięce klocki. Thomas poganiał nas w kierunku zagajnika sękatych, powykrzywianych sosen. Był zadowolony, że znajdziemy się pod osłoną, ponieważ zza wschodnich zboczy zaczynało wyłaniać się słońce.

Uciekaliśmy w góry, cały czas podążając krętą ścieżką. W niektórych miejscach napotykaliśmy rozpadliny w czerwonej ziemi i obluzowane kamienie, które obsuwały się zdradziecko, gdy tylko stanęło na nich końskie kopyto. Dotarwszy na górski grzbiet, spodziewaliśmy się nareszcie ujrzeć równy teren. Niestety, naszym oczom ukazał się szereg wąwozów, z których unosiły się postrzępione obłoki mgły niczym para z przykrytego pokrywą kotła. Zaczęliśmy się przedzierać przez gęstwinę drzew porośniętych mchem, spowitych pnączami oraz zwisającymi roślinami o kolczastych liściach, które zdawały się żywić jedynie powietrzem. Głowy musieliśmy przyciskać do końskich szyi. Po pewnym czasie zsiadliśmy z koni i sprowadziliśmy je stromym zboczem doliny ku wartko płynącemu strumieniowi. Potem droga prowadziła w górę ku następnemu grzbietowi, potem jeszcze jednemu.

Do południa mieliśmy za sobą wiele takich przepraw. Padałam ze

zmęczenia i bardzo się ucieszyłam, gdy Thomas zarządził postój. Zatrzymaliśmy się nad szeroką rzeką. Napoiliśmy konie, sami też się napiliśmy i obmyliśmy nasze podrapane oraz pokąsane przez owady ciała. Phillis nazbierała liści i kazała nam wetrzeć je w skórę, aby odstraszyć roje much, które czyhały w wąwozach, gotowe nas obsiąść i wysączyć krew.

Phillis i Minerva poszły nazbierać owoców, które rosły w pobliskim lesie, a Thomas poszedł sprawdzić drogę przed nami. Wyjęłam list. Napisano go na pomiętym, a potem wygładzonym papierze, jak gdyby ktoś zgniół go i wyrzucił, a potem zmienił zdanie. Było widać, że pisano go na raty, różnymi atramentami, różnymi piórami, jakby jego autor nie wiedział, co napisać, albo wahał się, czy w ogóle coś napisać.

*Najdroższa Nancy!*

*Wiele razy zabierałem się do napisania tego listu. Po wielokroć układałem sobie w myślach jego treść, ale za każdym razem, gdy brałem pióro do ręki, słowa gdzieś ulatywały. Czuję, jakbym przestał Cię rozumieć. Otrzymałem list, który napisałaś do mnie z pokładu „Sally-Anne”, i wydałaś mi się taka sama jak zawsze. Pomyślałem wtedy, że głęboki ocean, który nas dzielił, był jedynie płytkim stawem. A teraz się dowiaduję, że masz poślubić plantatora! Zaiste nie wiem już, co mam myśleć.*

*Jakimś okrutnym zrzędzeniem losu płyniemy do Kingston, ale jak mi wiadomo od Twojego brata Henry’ego, będziesz mężatką, na długo*

*zanim dotrą tam nasze statki.*

*Wiązałem z Tobą swe nadzieje. Dostałem awans na pierwszego porucznika na „Eagle” pod kapitanem Dunstanem. Pokrzepiony tą nowiną poszedłem do Twojego brata, ponieważ wzrosła moja pensja i liczę też na nagrodę pieniężną. Poszedłem, żeby mu powiedzieć o swoich zamiarach, ale odrzekł mi, że Ty już jesteś po słowie. Tak więc moje nadzieje legły w gruzach. Oddaliłaś się ode mnie niczym statek wypływający z portu wraz z porannym odpływem. Nie mam do Ciebie żalu, Nancy. Czy jest ktoś, kto mógłby Cię nie kochać? Jeśli ten plantator skradł Twoje serce, a Twój brat mówił, że tak się właśnie stało, to mnie nie pozostaje nic innego, jak tylko życzyć Ci szczęścia.*

*Chcę jednak, żebyś wiedziała, że moja miłość do Ciebie nigdy nie wygaśnie. Zawsze będę Cię kochał tak samo jak teraz. Skoro nie mogę mieć Ciebie, to nie będę miał żadnej innej. Moim życiem jest służba w marynarce i będę wypełniał swoje obowiązki.*

*Gdy dotrzemy do Kingston, naszym zadaniem stanie się polowanie na piratów, którzy panoszą się na Morzu Karaibskim. Będzie dla mnie prawdziwą torturą znaleźć się tak blisko Ciebie i nigdy Cię nie zobaczyć, więc mam nadzieję, że nasz statek pozostanie daleko od brzegu. Możesz mnie wypatrywać tam, gdzie będzie się toczyć najbardziej zacięta walka. Jeśli służba zażąda ode mnie najwyższej ofiary, to ją złożę. Czy pozostało mi co innego?*

*Jestem i na zawsze pozostanę Twoim najszczerszym przyjacielem. Gdybyś mnie kiedykolwiek potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć.*

*Twój kochający i szczerze oddany*

*William*

Czytając list, zalewałam się łzami. Jak moi bracia mogli być tak perfidni? William prawdopodobnie dowiedział się o moim „małżeństwie” przede mną. Pewnie utraciłam go na zawsze. Nigdy im tego nie wybaczę, ponieważ zrujnowali i jego życie, i moje.

Siedziałam nad brzegiem rzeki i rozmyślałam nad swoją sytuacją. Świadomość, że William być może przebywa na tej samej co ja wyspie, była dla mnie dodatkową torturą. Gdybym tylko wiedziała o tym wcześniej. Co prawda uciekłam przed Brazylijczykiem, ale wcale mnie to nie zbliżyło do Williama. Nawet oddaliło. Weszłam na ścieżkę bezprawia. Jak on mnie teraz odnajdzie? A jeśli nawet tak by się stało, to czy nadal będzie mnie chciał? Ubraną w męski strój i z dłońmi splamionymi krwią? Musiałabym wszystko mu wyznać. Nie mogłabym go okłamywać. Na myśl o tym, jak okrutne stały się koleje mojego losu, rozplakałam się jeszcze bardziej. Łzy rozgoryczenia i złości zaczęły rozpuszczać atrament. Jeszcze chwila i z listu nic by nie zostało, złożyłam go zatem wielokrotnie i wepchnęłam do pasa.

Odpoczywaliśmy w porze największego upału i ruszyliśmy w górę rzeki dopiero, gdy zrobiło się chłodniej. Rzeka płynęła dnem głębokiej doliny. Jej szczyty ginęły w gęstej masie drzew, które schodziły aż do brzegów rzeki. Z każdej strony słychać było nawoływania ptaków, odbijające się od zboczy zwielokrotnionym echem. Słyszając z nagła te wysokie i ostre tony, wzdrygaliśmy się. Nie spotkaliśmy nikogo ani

też nie widzieliśmy żadnych śladów ludzkich siedzib od czasu, gdy opuściliśmy plantację, jednak teraz miałam niejasne uczucie, że ktoś nas obserwuje.

Thomas co rusz podnosił wzrok i rozglądał się dookoła, jakby czuł to samo albo jakby się obawiał, że zgubił drogę i naraża nas na niebezpieczeństwo. Minęliśmy kolejne zakole krętej rzeki i naszym oczom ukazało się urwisko. W lesie panowała cisza. Nawet ptaki przestały hałasować. Przyjrzałam się bujnej roślinności, ale nie dostrzegłam żadnego przejścia. Wystraszyłam się, że Thomas wprowadził nas w pułapkę.

Podszedł do urwiska, nie oglądając się za siebie. Z każdej szczeliny w pionowej skale wyrastały pnącza i długie rośliny, zwieszające się w dół niczym zielony wodospad. Rozdzielił tę żywą kurtynę i pokazał nam podobny do ogromnego pyska otwór, z którego wypływała rzeka. Otwór był na tyle szeroki i wysoki, że mogły przez niego przejść konie, choć wcale do tego nie były skore. Thomas musiał się cofnąć i pomóc im w przeprawie: głaskał je po nosach i szeptał łagodnie do uszu. Muł okazał się bardziej oporny i musieliśmy go pchać, ale w końcu wszystkie zwierzęta weszły w ciemne i ociekające wodą wnętrze.

Jaskinia rozwarła się; jej boki rozszerzyły się, a sklepienie wznosiło się jak w kościele. Przez niewidzialne szczeliny sączyło się światło. Z góry ku dołowi biegły wąskie żłobienia. Zwierzęta stały z pochylonymi głowami, kładąc uszy po sobie i pokazując przestach. My rozglądaliśmy się wokół w zdumieniu i podziwieniu. W twardej skale



natura wyrzeźbiła fantastyczne formy. Zawile wzory wyglądały jak zamarznięty wodospad. Ze sklepienia zwisały złożone płaty, cienkie i delikatne niczym liście tytoniu w suszarni. Wszystko ociekało wodą. Jej miarowe kapanie odmierzało czas naszego przejścia wzdłuż podziemnej rzeki ku wyjściu, jawiącemu się nam z daleka niczym plamka szmaragdowego światła.

Słońce przesączaające się przez liście drzew zabarwiało wodę tak, że zdawało się nam, że brodzimy w płynnym nefrycie. Znajdowaliśmy się na dnie głębokiej doliny wznoszącej się we wzgórza i obrośniętej gęstym lasem. Powietrze wokół nas drżało od ptasich odgłosów oraz hałasów innych zwierząt.

– Wyczuwam, że w pobliżu są inni ludzie – szepnęłam do Minervy. – Jednak nikogo nie widzę.

– Przypatrz się lepiej! – odpowiedziała.

Każda rzecz była sprytnie zamaskowana, tak obmyślana, żeby stapiać się otoczeniem i wyglądać jak twór natury. Kanu przy brzegu rzeki wyglądały jak unoszące się na wodzie bale drewna. Chatki wśród drzew były pokryte liśćmi i schowane pod zwisającymi konarami drzew. Pola uprawne znajdowały się na maleńkich polankach, niemożliwych do zobaczenia z żadnej strony.

Z góry nikt by się nie domyślił, że mieszkają tam jacyś ludzie. Dzięki temu udawało się im przeżyć. Nawet broń, którą się posługiwali, była używana przez polujących po cichu. Weszliśmy na teren osady zbiegów.

Na brzegu rzeki wylądowała włócznia; strzała przeleciała ze

świstem tak blisko mnie, że poczułam prąd powietrza. To było tylko ostrzeżenie. Gdyby rzeczywiście chcieli zrobić nam krzywdę, już byśmy leżeli pokotem. Thomas podszedł do brzegu i położył na nim swoją szablę. Zrobiliśmy to samo, kładąc naszą broń obok jego. Wtedy wyszli mężczyźni z napiętymi łukami i wycelowanymi w nas włóczniami. Zbiegowie tworzyli różnokolorową mieszankę nacji. Byli wśród nich Afrykanie, długowłosi Indianie, ciemnoskórzy Mulaci, Hiszpanie oraz białoskórzy mężczyźni, którzy wyglądali na Brytyjczyków. Nikt nie miał na nogach butów, a ich ubrania były w strzępach, jednak sprawiali wrażenie groźnej bandy.

Ich przywódca wysunął się do przodu. Był to duży mężczyzna o nagich nogach, odkrytej piersi i masie ognistorudych sterczących włosów. Jego szeroka twarz ponad splątaną brodą była spalona słońcem.

– Wy kto? – zapytał. – I czego tu szukacie?

– Przyszliśmy zobaczyć się z Hero – głos zabrał Thomas. – Poprosić go o radę.

– Aha. – Oświadczenie Thomasa najwyraźniej go rozbawiło. Skrzyżował krzepkie ramiona. – Nie ma go. A czemu to miałby pomóc takim jak wy?

– Jestem Thomas. Syn Hero. Przyszedłem prosić o ochronę. Przybyłem tu razem z Phillis, jego dobrą znajomą, jej córką, Minervą i...

– I? – Olbrzym podszedł bliżej. – Co to za jedna?

– Jestem Nancy Kington. Ostatnio zamieszkała na plantacji

Fountainhead.

– A ja jestem Tam McGregor, ostatnio nigdzie nie zamieszkały. Gdy nie ma Hero, to ja tu rządzę. – Podrapał się w brodę. – Kington z Fountainhead? – Jego błękitne oczy zwęziły się. – Czy twój tatko nie jest przypadkiem właścicielem?

Kiwnęłam głową potakująco, ciekawa, jakie to na nim zrobi wrażenie.

– Zawsze możemy cię sprzedać. – Zaśmiał się. – Sprzedać córkę właściciela. – Rozejrzał się po swoich kompanach. – Co o tym myślicie, chłopaki?

Mężczyźni zbili się w grupę, żeby się naradzić, ale ostatecznie postanowili nic nie robić do powrotu Hero. Pozostawiono nas na widoku na placu w centrum wioski i kazano czekać.

Jeśli mieli co do nas jakiegokolwiek wątpliwości, to zostały one rozwiane wraz z pojawieniem się Hero. Był to mężczyzna o imponującej posturze: ponad sześć stóp wzrostu, mocna budowa ciała i czarna jak węgiel skóra. Na jego szerokich policzkach widniały blizny po symbolach plemiennych. Gęste, kręcone włosy podtrzymywał opaską, za którą nosił czerwone pióro papugi. Miał szeroki uśmiech i płomienne spojrzenie. Na sobie miał tylko zniszczone spodnie z grubego płótna, podtrzymywane szerokim, skórzanym paskiem, ale w jego zachowaniu było coś władczego. Jak tylko zobaczył Thomasa, wydał z siebie głośny okrzyk, a gdy ujrzał Phillis, donośnie się roześmiał, pełen ukontentowania i zachwytu.

– Witaj, siostrze! – Ujął jej obie dłonie w swoje ręce. – Co cię zatrzymywało do tej pory?

Był przywódcą i tak się do niego odnoszono, jednak wszystkie decyzje były podejmowane w grupie. Nie mógł postępować wbrew decyzji rady.

Mężczyźni oddalili się, żeby zadecydować o naszym losie, i zostaliśmy sami na placu. Przez pewien czas panowała cisza, ale potem pojawiły się dzieci, zbyt ciekawskie, żeby dało się je powstrzymać. Wtedy z chatki wyszły kobiety i przegoniwszy dzieci,

podeszły, żeby nam się lepiej przyjrzeć.

Dwie z nich rozpoznały Phillis i przywitały się z nią w ich rodzinnym języku, języku ich starego kraju, którego nie rozumiałam. Phillis coś im szybko opowiadała, często kiwając głową w kierunku Minervy oraz moim. Twarze kobiet spoważniały, a w tonie ich głosów było słychać współczucie. Podeszły do swoich sąsiadek i stanęły w małym kręgu, potem pobiegły, żeby opowiedzieć pozostałym. Wróciły z tykwami słodkiej wody oraz misami potrawy z mięsa, warzyw, kukurydzy i fasoli. Zachęciły nas, żebyśmy usiedli i się posilili. Phillis zapytała, czy się do nas przyłączą, a potem mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Nieważne, co ustalą mężczyźni. Decyzja już została podjęta.

Uśmiechała się, patrząc na wioskę. W jej oczach nie było już widać udreki, a z twarzy zniknęło napięcie.

Domy były prostymi budowlami, o dachach krytych liśćmi palmy, jednak każdy z nich miał własne podwórko oraz kawałek ogrodu otoczony owocowymi drzewami, na których rosły banany, pomarańcze, cytryny, ananasy, mango, papaje oraz chlebowce.

– Czuję się, jakbym wróciła do domu – powiedziała. Idąc za przykładem kobiet, mężczyźni wyrazili zgodę na nasz pobyt.

Przy budowie naszej chaty pracowała cała wioska. Następnie kobiety pomogły nam go wyposażyć, a mężczyźni oczyścili kawałek lasu pod ogród. Wraz z Minervą pomogłam Phillis zasadzić słodkie ziemniaki, kukurydzę i maniok. Pozostali mieszkańcy obiecali dzielić się z nami swoimi zbiorami do czasu, aż nie zbierzemy własnych

plonów, w zamian za pracę na ich ziemi. Nie byliśmy dla nikogo ciężarem. Żywności było pod dostatkiem. Wszędzie dookoła rosło mnóstwo owoców i warzyw, przechadzały się świny, gdakały kury i chodziły kozy, przeganiane z ogrodów przez dzieci.

Takie życie bardzo służyło Phillis. Po wielu latach życia w strachu i napięciu, nareszcie odzyskiwała spokój i poczucie bezpieczeństwa. Jej skóra straciła szary odcień, cera nabrała zdrowego wyglądu, ciało zaokrągliło się. Stała się radosna, często się śmiała. Po niedługim czasie więcej czasu spędzała w chacie Hero niż w naszej.

Thomas też wkrótce znalazł sobie towarzyszkę, wysoką, spokojną dziewczynę z Senegalu, i zamieszkał z nią. Wyglądał na równie radosnego i spokojnego jak Phillis.

Minerva i ja zostałyśmy same w naszej chacie. Często leżałam przy niej, słuchając jej oddechu, i rozmyślałam. Nie chciałam, aby coś zagroziło temu dopiero co odnalezionemu szczęściu, ale obawiałam się, że taki stan nie potrwa długo. W miarę upływu czasu coraz częściej nachodziły mnie przeczucia o zbliżającym się niebezpieczeństwie i nie mogłam odpędzić od siebie złych myśli. Coraz częściej nie spałam aż do samego rana, do piania kogutów, obwieszczających pierwsze światło dnia.

Przebywaliśmy w obozie zbiegów od kilku tygodni. Pewnej nocy obudziłam się spocona. Zaczęłam się wpatrywać w sufit nad sobą, bojąc się zamknąć ponownie oczy. Nigdy w życiu nie miałam tak straszego snu.

Ów sen miał mnie prześladować przez wiele następnych miesięcy,

ale gdy przyśnił mi się po raz pierwszy, nie zapamiętałam z niego nic poza wypowiedzianym szeptem ostrzeżeniem, które mnie obudziło:

*On cię ściga...*

Słowa nie były głośne, ale zabrzmiały tak realnie, że gwałtownie obudziłam się z bijącym sercem, spodziewając się, że zobaczę pochylającą się tuż nade mną postać.

– Co się stało? – Z ciemności dobiegł mnie głos Minervy. Widocznie krzyknęłam i ją przebudziłam.

– Miałam sen. – Wciąż nie mogłam otrząsnąć się z przerażenia. Dopiero gdy jej wszystko opowiedziałam, uspokoiłam się i zaczęłam oddychać bardziej miarowo. – Szukają mnie. Jestem tego pewna. Mój brat i ten Brazylijczyk. Nie zaprzestali poszukiwań. Moja obecność ściąga na was wszystkich niebezpieczeństwo. Nie mogę do tego dopuścić. Muszę stąd odejść.

Milczała przez dłuższą chwilę. Podobnie jak jej matka wierzyła w sny.

– Może to nie będzie konieczne – powiedziała w końcu. – Możliwe, że nas nigdy nie znajdą.

– Mają psy. Duke mi powiedział. Oraz szpiegów, których można kupić.

– Nawet jeśli tak jest, to nasz obóz jest dobrze ukryty – usłyszałam jej odpowiedź w ciemności. – Do tej pory nie trafili na jego ślad.

– Bo nie zależało im na tym tak bardzo jak teraz – odrzekłam. – Zbiegowie ich denerwowali, ale nie byli warci, żeby w ich szukanie wkładać zbyt wiele trudu. W ich obozie nie krył się ktoś taki jak ja,

angielska dziedziczka, obiecana narzeczona. Nie zrezygnują ze mnie, nie, gdy w grę wchodzi pieniądze i ziemskie posiadłości. – Znałam ich wystarczająco dobrze, żeby być pewną tych słów.

– Nawet jeśli tu przyjdą, to obóz jest dobrze zabezpieczony – oponowała Minerva. – A ludzie mogą uciec do jaskiń.

– Tylko po co mają to robić? Gdy przyjdą tamci, zniszczą wszystko, domy i ogrody, które tutejsi ludzie tworzyli z takim trudem. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby ich ciężka praca została zaprzepaszczona. – Uniosłam się na łokciu, starając się dojrzeć jej twarz. – Serce mi krwawi na samą myśl o tym, ale obawiam się, że będę musiała stąd odejść.

– Kiedy? – zapytała.

– Nie wiem, ale jak najwcześniej. Każdy dzień mojego pobytu przybliży niebezpieczeństwo.

Tej nocy nie spała żadna z nas. Minerva wstała, gdy tylko pierwsze promienie szarego światła przesączyły się do naszej chaty, i rozpałała ogień. Wczesne godziny poranka, zanim słońce zdąży ogrzać doliny w wysokich górach, bywają bardzo zimne. Otuliłam ramiona kocem i usiadłam obok niej, ciesząc się, że zaparzyła herbatę. Chwilę siedziałyśmy w ciszy, popijając gorzki napój.

– Gdy pójdziesz – powiedziała, nie patrząc na mnie – pójdę z tobą.

– Nie możesz! – Byłam naprawdę wstrząśnięta. – A co z Phillis? Tu jesteś wolna i bezpieczna, a przynajmniej będziesz wtedy, gdy stąd odejdę. Twoje miejsce jest tutaj, z twoim ludem, nie ze mną!

W głębi duszy ucieszyłam się na myśl o tym, że Minerva odeszłaby



ze mną, ponieważ byłam pełna obaw, nie wiedziałam, dokąd pójść, i było mi przykro, że musiałabym się rozstać z tymi, których zdążyłam już pokochać. Jednak szybko skarciłam się za egoizm i znalazłam więcej powodów, dla których Minerva powinna zostać. Wysłuchiła mnie, ale jej twarz pozostała nieprzenikniona.

– Słyszałam, co powiedziałaś – powiedziała w końcu. – Ale to niczego nie zmienia. Kiedy idziesz? Idę z tobą.

Następny dzień potwierdził moje złe przeczucia. Tam McGregor przyniósł wieści ze świata zewnętrznego. Często chodził do Port Royal albo do Kingston, podając się za rolnika, i sprzedawał towar. W ten sposób zdobywał informacje oraz plotki, na równi z pieniędzmi, za które można było kupić tkaniny, proch i śrut, których my sami nie potrafiliśmy wytworzyć. Z ostatniej wyprawy wrócił z ponurą miną. Powiedział, że jestem poszukiwana. Wyznaczono nagrodę za informacje o miejscu pobytu mojego oraz niewolników, którzy mnie uprowadzili.

Uprowadzili. A więc tak to się przedstawiało. Nie sądziłam...

– Każdy złapany musi się spodziewać kary gorszej od powieszenia.  
– Tam zrobił grymas. – Ten brazylijski skurczybyk strasznie się na to zawziął. Daje dużą nagrodę za każdego pojmanego. To naprawdę duża suma. Dość, żeby skusić każdego.

Podrapał się w brodę i rozejrzał dookoła. Tamtejsi ludzie byli najbiedniejsi na wyspie, najbiedniejsi ze wszystkich. Oferowana suma wystawiała na próbę każdego człowieka, bez względu na to, jak był uczciwy czy lojalny. Nawet jeśli nikt by nas nie wydał, to i tak prędzej czy później wioskę by znaleziono. Brazylijczyk miał psy i zamierzał je wykorzystać.

Złe wieści poważnie zaniepokoiły Tama i Hero. Wystawili dodatkowe straże i wyznaczyli patrole, ale nagle w wiosce zapanowała atmosfera strachu. Ludzie obawiali się, że całe ich życie

może ulec zagładzie. I to z mojego powodu.

– Musimy iść do Phillis – powiedziała Minerva. – Ona będzie wiedziała, co zrobić.

Poszliśmy do jej chaty prosić, aby użyła swojego daru przewidywania. Od kiedy przybyliśmy do wioski zbiegów, wielokrotnie zasięmano jej rady i traktowano z szacunkiem jak wyrocznię. Opowiedziałam jej swój sen. Wstała bez słowa i przyniosła przedmioty potrzebne do wróżenia. Na podłodze z ubitej ziemi rozpostarła chustę i skropiła ją palmowym winem. Następnie wyjęła cztery jaskrawoczerwone pióra papugi i starannie położyła je w czterech punktach oznaczających główne kierunki świata. Pomiedzy nimi rozrzuciła muszelki oraz nasiona, sypiąc je z wypolerowanej tykwy. Wodząc nad nim dłońmi, przypatrywała się ich przypadkowemu ułożeniu, jakby w ten sposób odczytywała zapisaną przyszłość.

Po pewnym czasie podniosła na mnie wzrok.

– Odpowiedź już znasz – powiedziała. – Musisz odejść. Twój sen jest prawdziwy, on tu idzie. Niego nie powstrzyma. Jeśli cię tu znajdzie, zabije każdą żywą istotę.

– Idę z nią – odezwała się Minerva. Zaczęłam protestować, ale uniosła dłoń na znak, żebym przestała mówić. – Już postanowiłam. Musimy tylko wiedzieć, mamó, dokąd iść? Co zrobić?

Phillis zakołysała się na piętach, obejmując kolana rękami.

– To też widzę. – Zwróciła się do swojej córki i do mnie. – Jesteście obie ze sobą związane. Wiecie o tym?

Kiwnęłyśmy głowami. Choć rzadko rozmawiałyśmy o Duke<sup>^</sup> i o tamtej nocy w cuchnącym pokoju, nie udawałyśmy, że to się nigdy nie zdarzyło. Stało się i nic tego nie mogło wymazać. Widziałyśmy siebie nawzajem w sytuacjach, których żadna z nas nie chciałaby wspominać. Ona widziała, jak zabijam człowieka, jak jego krew tryska na moją twarz, jak ścieram ją wierzchem dłoni. Ja nieomal byłam świadkiem gwałtu na niej. Jak mogłyśmy rozmawiać o takich wspomnieniach? Jednak bardzo nas do siebie zbliżyły, stałyśmy się sobie bliskie jak siostry, a nawet bliższe.

– Twoje odejście złamie mi serce. – Phillis dotknęła policzków Minervy i objęła jej podbródek, jakby uczyła się na pamięć kształtowi konturów jej twarzy. – Ale wiem, że ta wioska to nie miejsce dla ciebie. Wiem, że ty też to czujesz. Gdy tu przyjdą, dopadną was obie. – Podniosła się. – Zaczekamy na znak.

Odwróciłyśmy się, żeby odejść, ale Phillis przywołała mnie z powrotem.

– Nadal masz to, co ci dał?

Miała na myśli naszyjnik. Pokręciłam przecząco głową. Wstydziałam się przyznać, że jej nie posłuchałam.

– Nie kłam. – Jej ciemne oczy wpatrywały się badawczo w moje.

– Nie kłamię! – zaprotestowałam.

– Jeśli kłamiesz – powiedziała, a po jej oczach widziałam, zewie, że tak jest – to mówię ci jeszcze raz. Musisz się tego pozbyć, bo inaczej przyciągnie go do ciebie jak magnes.

Zrobiłam tak, jak mi kazała, a przynajmniej miałam taki zamiar,

gdy opuszczałam chatę. Niedaleko obozowiska było miejsce pełne rozpadlin i dziur głębokich na setki stóp. Wyjęłam rubiny z pasa ze szczerym zamiarem wrzucenia ich do jednego z tych dołów, jednak gdy na nie spojrzałam, nie byłam w stanie tego zrobić. Nie sprostałam próbie, którą wyznaczyła mi Phillis. Nadal byłam pod urokiem rubinów.

– Piraci idą! Piraci! – Do wioski wpadł z krzykiem mały chłopiec, a za nim następny. Ledwo mogli złapać oddech, ponieważ biegli całą drogę, ale piraci też byli szybcy i nie pozostali za nimi daleko w tyle.

Była to budząca grozę zgraja brodatych, spalonych słońcem mężczyzn w dziwacznych strojach. Niektórzy mieli na sobie typowy strój marynarza: spodnie, koszulę, a na głowie opaskę lub wełnianą czapkę. Inni mieli wymyślne kapelusze z piórami oraz stroje z jedwabiu i atłasu niczym dżentelmeni. Wszyscy byli uzbrojeni w noże, szable oraz pistolety i nosili przy sobie bandolierę wypchaną śrutem i paczkami naboju. Uformowali klin, ich kapitan stanął na jego czele, i w takim szyku wkroczyli do wioski.

Prosto z plaży wdrapali się po stromym urwisku zatoki Cutlass. Dostępu do brzegu strzegły zdradzieckie rafy koralowe, zatem mieszkańcy wioski nie obawiali się ataku od strony morza. Spodziewałam się, że mężczyźni chwycą za broń, a kobiety i dzieci uciekną do jaskiń, jak zwykle w czasie ataku na wioskę, ale nikt się nie ruszył. Wszyscy czekali, aż piraci staną na centralnym placu. Wtedy Hero i Tam wyszli przed innych. Nie mieli przy sobie żadnej broni i nie okazywali bojaźni. Właśnie pomyślałam, że są bardzo dzielni, gdy Hero wysunął się przed Tama i rozłożył ramiona, żeby powitać przybyszów w wiosce.

Przybycie piratów było początkiem święta, a nie konfliktu. Widząc moją reakcję, Phillis roześmiała się.

– Widzisz piratów i myślisz jedno – rzekła do mnie. – Musisz się nauczyć patrzeć inaczej. Tylko normalni ludzie ich się boją, ale ty już do nich nie należysz. Żyjesz poza prawem. Banici jak my i oni trzymają ze sobą. Przyszli, żeby z nami handlować. Nie mogli wpłynąć do Port Royal, bo tam czyhają żołnierze marynarki, więc przyszli do nas.

Piraci przyszli, żeby nabyć w wiosce świeże owoce i warzywa. W zamian oferowali worki ryżu, bale materiału, kufer z ubraniami, pudła z napastkami i guzikami, szpule nici, narzędzia i przybory, w tym nożyczki, oraz noże i toporki.

Negocjacje i wymiana towarów trwała do późnego popołudnia. Obie strony wyglądały na zadowolone. Wyszędłszy z chaty narad, Hero oświadczył, że odbędzie się uczta. Obok niego stał drugi mężczyzna. Był to kapitan piratów.

Nie rozpoznałam go pod kapeluszem o szerokim rondzie ozdobionym rozetą z piór. Gdy go ostatnio widziałam, był starannie ogolonym mężczyzną o nienagannych manierach. Teraz maskowała go świeżo zapuszczona broda oraz wąs, które ponadto dodawały jego wyglądowi grozy. Zamiast stroju z gładkiego sukna miał na sobie brokat w morelowym kolorze oraz pantalony z karmazynowego aksamitu wetknięte w czarne, lśniące buty o wywiniętych cholewkach. Poprzednio nie widziałam u niego innej broni poza jego oficerską szablą. Teraz za szerokim pasem nosił ich różne rodzaje, a z obu ramion zwisały na czerwono-różowych tasiemkach pistolety.

– Znasz go? – szepnęła Phillis.

– Był pierwszym oficerem na statku, którym tu przyплыłam.

– No to masz swój znak – powiedziała.

Zanim zdążyłam ją o coś zapytać, kapitan Broom już stanął przede mną. Miałam brązową skórę, włosy w nieładzie, a na sobie nieforemną suknię poplamioną od pracy w ogrodzie. Byłam pewna, że mnie nie pozna, ale zdjął kapelusz z głowy i skłonił się aż do samej ziemi.

– Panna Kington! Cóż za nieoczekiwana przyjemność! – Można by pomyśleć, że spotkaliśmy się w Salach Asamblowych w Bath. Ujął moją dłoń i pocałował zamasyście. – Nigdy bym nie pomyślał, że spotkam panią w takich... – odchrząknął – ... niezwykłych okolicznościach.

– Mogłabym to samo powiedzieć o panu.

– Nasz statek został przejęty przez kapitana Johnsona, zaraz po tym jak ruszyliśmy w drogę powrotną. Dano nam do wyboru: dać się usunąć ze statku albo przejść na ich stronę. Jak pani widzi, większość wybrała to drugie.

– A co z doktorem Grahamem? Oraz kapitanem?

– Graham jest z nami. Kapitan się nie zgodził, ale Johnson to ludzki człowiek. Wysadziliśmy go na New Providence. Miał stamtąd dojść do Nassau. Jestem pewien, że dotarł tam cały i zdrowy, no może tylko z obolałymi stopami.

– Nie wiedziałam, że piraci potrafią być tacy łaskawi. Broom spojrział na mnie tak, jakby dawał mi do zrozumienia, że jest wiele rzeczy, o których jeszcze nie wiem.



– Dlaczego do nich przystaliście? – zapytałam. – Pan i Graham?

– Pieniądze – odpowiedział po prostu. – Jeden łup może mi starczyć na całe życie. To się, oczywiście, nie zdarza za każdym razem. – Ściągnął wargi. – Nie można przebierać i wybrzydzać. Trzeba brać to, co dają, że tak powiem. Stąd te napastrki oraz guziki i tym podobne. Jeśli się nam dalej nie poszczęści, zawsze możemy otworzyć sklep z pasmanterią. – Roześmiał się. – Płyniemy tam, gdzie się nam podoba, i zawsze mamy szansę na obłowienie się. Proszę na mnie spojrzeć! – Wykonał fantazyjny ruch ręką i przesadny skłon. – Jestem teraz kapitanem i to po kilku miesiącach, a nie latach. A może – ponownie się roześmiał – po prostu nie uśmiechało mi się iść na piechotę do Nassau. A teraz chciałbym pani przedstawić moich kompanów. Panowie Vincent Crosby oraz Ignatius Pelling.

Oficer Vincent Crosby był przystojnym Mulatem w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miał skórę koloru ciemnego miodu, wysokie czoło, wydatne kości policzkowe oraz prosty nos o lekko falujących nozdrzach. Kąciki jego czarnych oczu unosiły się ku górze, jakby zawsze dostrzegał coś zabawnego. Jak na mężczyznę, był średniego wzrostu, niewiele wyższy od Minervy, ale był dobrze zbudowany, miał szerokie bary i wąską talię. Jego bryczesy były białe jak mleko, a jego wspaniała oficerska marynarka miała kolor ciemnego granatu. Na kołnierzu i mankietach nosił szkarłatne wyłogi. Tasiemka, którą związał swoje długie kręcone włosy, była w tym samym odcieniu czerwieni. Był dandysem, podobnie jak Broom, jednak miał zdecydowanie lepszy gust i smak.

Dla kontrastu kwatermistrz Ignatius Pelling chodził boso, miał na sobie koszulę w paski oraz płócienne spodnie. Był drobny, ledwo sięgał Vincentowi do ramienia. Jego mięśnie wyglądały jak powrozy, a skóra łuszczyła się i była tak pomarszczona, jakby marynował się w zalewie.

Skończywszy prezentację, Broom skłonił się.

– Bardzo się cieszę, spotykając panią ponownie, panno Kington, i z pewnością jest o czym opowiadać, chociażby o tym, jak się pani znalazła w tym towarzystwie, ale sądzę, że na to najlepsza pora będzie po kolacji. W tej chwili myślę tylko o tym, jak zająć się swoim burczącym żołądkiem.

Dookoła nas już paliły się ogniska, nad którymi skwierczały kawałki mięsa i ryb. Piraci przyturlali ze statku beczki z rumem. W powietrzu unosił się aromatyczny dym, wydzielany przez korę i gałązki drzew przyprawowych. Wraz z pozostałymi zapachami znad ognisk tworzył ponętą mieszankę.

– On ma rację – powiedziała do mnie Phillis. – Najpierw jedzenie, potem rozmowa. Mężczyźni nie myślą za dobrze o pustym brzuchu. Gdy skończycie – zwróciła się do Brooma i jego dwóch towarzyszy – przyjdźcie do chaty Nancy i Minervy. Spróbujecie mojego wina palmowego. – Pocałowała swoją zaciśniętą pięść. – Jest słodkie i smaczne. Nie to, co ten wasz lichy rum.

Słońce zaszło i jego miejsce zajęła aksamitna czerń nocy. Po chórze owadów przyszła kolej na muzykę żab. Płomienie ognisk wywabiały z ciemności białoskrzydłe ćmy, na które polowały

nietoperze.

Głęboki ryk konchy oznajmił, że mięso jest już gotowe. Rozpoczęło się ucztowanie. Przybysze ze statku jedli pieczone zachłannie, aż im tłuszcz spływał po brodach, i tego popijali je rumem. Wkrótce całe towarzystwo było wesołe.

Wśród piratów było dwóch skrzypków, a pośród zbiegów kilku grajków, którzy zrobili sobie instrumenty z tego, co znaleźli wokół. Drewno, tykwy, skóry zwierząt oraz jelita przekształcili w bębny, flety, lutnie i harfy. Instrumenty były doskonale nastrojone i miały przyjemne brzmienie. Wychodzące z nich dźwięki mogły być zarówno ciche, melodyjne, jak i ostre, wysokie.

Po skończonej uczcie zaczęto przygotowywać miejsce do tańca. Grajkowie przygrywali sobie nawzajem i w górę popłynęła muzyka, unosząc się wysoko w powietrzu niczym iskry z ogniska, zagłuszając hałasy i okrzyki leśnych istot i odbijając się echem od zboczy gór.

Po tym, jak Phillis powiedziała, że dostałam znak, zaczęłam obmyślać plan. Wzięłam Minervę na bok. Uśmiechała się z aprobatą i patrzyła szeroko otwartymi oczami, słysząc, na jaką zuchwałą rzecz się porywamy. Poszliśmy do chaty i czekałyśmy. W końcu Broom wymknął się i przyszedł do nas w towarzystwie swego kwatermistrza i oficera. Phillis przyniosła wino palmowe i najpierw strząsnęła kilka kropel dla błogosławieństwa i oczyszczenia, a potem nalała im wina do czarek. Minerva postawiła miski z owocami, a ja zapaliłam małe lampki. Usiedliśmy na matach uplecionych z liści palmowych i przedstawiłam swoją propozycję Broomowi. Opowiedziałam mu o

Brazylijczykowi i o tym, co się stało w Fountainhead, o niebezpieczeństwie, które mi zagraża i przed którym muszę uciekać, oraz o tym, że moja obecność może się skończyć tragicznie dla mieszkańców wioski. Powiedziałam mu, że Minerva chce iść ze mną. Błagałam go, żeby zabrał nas na swój statek. Broniałem naszych racji najlepiej, jak potrafiłam.

Broom wysłuchał wszystkiego, co miałam do powiedzenia, a potem przez chwilę siedział w ciszy, głęboko zamyślony.

– Bardzo chciałbym ci pomóc, Nancy. Chciałbym móc powiedzieć „tak”, naprawdę chciałbym. Ale decyzja nie należy do mnie. Muszę to przedłożyć moim ludziom. Rano zwołam radę statku.

– Nie wystarczy, że im tylko powiesz? Przecież jesteś kapitanem.

Na zewnątrz hałas stawał się głośniejszy z minuty na minutę. Wybuchło kilka bójek. Przez otwarte drzwi widziałam kotłujące się ciała, którym towarzyszyły trzaski i krzyki. Pomyślałam, że rano nikt z tego towarzystwa nie będzie w stanie podjąć żadnej decyzji.

– Nie jesteśmy już na jednym ze statków twojego ojca. – Broom uśmiechnął się. – O wszystkim decydujemy wspólnie. Na pokładzie mamy prawdziwą mieszanię. Wszystkie kolory skóry i wszystkie nacje. Ale żadnych...

– Ale żadnych kobiet.

– Nie. – Potarł swoją nowo wyhodowaną brodę. – Ani jednej. Niektórzy uważają, że kobiety przynoszą pecha. Pomijając to, chyba rozumiecie, że mogą być kłopoty innej natury, bo piraci to nie zawsze dżentelmeni.

– Calico Jack miał kobiety na swoim statku – odezwał się kwatermistrz. – Ubrane w marynarskie stroje stały na wachcie i wypełniały inne obowiązki tak samo jak mężczyźni.

– My też mogłybyśmy! – krzyknęłam, czując, że pojawiła się szansa. – Ubrać się jak mężczyźni. Wzięłybyśmy sobie ubrania z tego kufra, który przynieśliście ze statku. Możemy pełnić służbę. Możemy pracować. Obie jesteśmy silne, a ja kręciłam się przy statkach od dzieciństwa. Jak nie będziemy czegoś wiedzieć, to się nauczymy. Jeśli tylko dacie nam szansę.

– Musielibyśmy im jasno o wszystkim powiedzieć. – Broom zmarszczył czoło. – Wyraźnie przedstawić, kim jesteście. Od samego początku. Zatem...

Broom i kwatermistrz popatrzyli na siebie. Kwatermistrz wzruszył ramionami.

– Dobrze. – Czoło Brooma wygładziło się. – Przedstawię rzecz załodze. – Pochylił się i uścisnął najpierw moją dłoń, potem Minervy. – Macie na to moje słowo.

Po ich wyjściu zostałyśmy same. Położyłyśmy się na matach. Hałas na zewnątrz ucichł, czasami tylko dał się słyszeć pojedynczy okrzyk lub skrzekliwy śmiech. Piraci doprowadzili się do stanu, w którym wydawali takie same odgłosy jak małpy. Noc powoli przechodziła w brzask, aleja ciągle nie mogłam zasnąć. Minerva też nie spała. Poznałam to po jej oddechu.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – zapytałam szeptem, szukając jej dłoni. – Możesz jeszcze zmienić zdanie i zostać z Phillis. Nie musisz

odchodzić.

– Muszę. Chcę iść z tobą. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem o tym przekonana. Phillis tu się podoba. Mówi, że tu czuje się jak w domu, ale ja nie mam domu. – Plantacji nie uważała za swój dom.

– Broom mówi, że jego domem jest morze. Minerva myślała przez chwilę.

– Na jego statku pływają ludzie wszelkich nacji. To mi odpowiada. Pragnę zobaczyć świat, znaleźć na nim swoje miejsce. Nie chcę tu zostać, nie chcę żyć ogrodzona ścianami lasu, w ciągłym strachu, że kiedyś mnie znajdą i znowu zrobią ze mnie niewolnicę.

Podparłam się, żeby na nią spojrzeć. Mówiła pewnym i zdecydowanym głosem, ale usłyszałam w nim nutę smutku. W nikłym świetle zobaczyłam, że jej twarz lśni od łez.

– Jesteś pewna? – zapytałam ponownie. – Mnie jest łatwiej. Nie mam nikogo. Nic mnie tu nie trzyma.

– Dziewczyna musi kiedyś opuścić swoją matkę – odezwała się w ciemności Phillis. – Takie jest życie. Nie mogą zawsze być razem. Idź z Nancy. Mnie tu będzie dobrze. Hero to dobry człowiek. Będzie się mną opiekował. A ja będę się opiekować nim. Może pewnego dnia wrócisz do mnie... – Jej głos zadrżał i załamał się, jakby zabrakło jej powietrza.

– Wrócę – wyszeptała Minerva. – Obiecuję. Obietnica miała znikome szanse na spełnienie, ale została mężnie złożona. Dzięki niej było nam łatwiej w tej trudnej dla wszystkich chwili. Szeptem

zaczęłyśmy sobie opowiadać, jak będzie wyglądać ten nasz mało prawdopodobny powrót do domu i jakie niespodzianki przywieziemy ze sobą.

Rankiem miałyśmy spiąć włosy z tyłu głowy i obwiązać piersi. Miałyśmy ubrać się w męskie koszule i nałożyć spodnie. Jednak nie byłyśmy jeszcze nieustraszonymi piratami. Przyłgnęłyśmy do Phiilis i rozpłakałyśmy się. Matka płakała nad córką, córka nad matką. Wiedziały, że nigdy więcej się nie zobaczą. Ja pomyślałam o mojej matce, której nigdy nie znałam, i również zapłakałam z tęsknoty za nią.

## **Nieustraszone niewiasty**



– Co my tu mamy? – wykrzyknął Broom, gdy rankiem stawiłyśmy się na statku z przewieszonymi przez ramię tobołkami. Obszedł nas dookoła, przyglądając się nam uważnie. Następnie koniuszkami palców dotknął swego kapelusza. – Niech mnie licho, jeśli tu nie widzę dwóch najprawdziwszych chłopaków, jacy kiedykolwiek przeszli na piractwo. – Klepnął mnie w plecy, a Minervę objął po ojcowski ramieniem. – Zobaczmy, co o was powie doktor Graham.

Zmrużyłam oczy, zasłaniając je przed oślepiającą bielą piasku oraz lśnieniem lustra wody w płytkiej zatoczce. Statek leżał na plaży niczym wyrzucony przez morze lewiatan. Wokół niego uwijali się mężczyźni. Jedni zdrapywali wodorosty i skorupiaki, które przywarły do statku poniżej poziomu wody i spowalniały jego bieg. Inni uszczelniali i zalepiali smołą szpary oraz wymieniali przegniłe lub zjedzone przez robactwo deski. Wszyscy pracowali, aby dobrze przygotować statek do podróży. Niektórych z nich pamiętałam z „Sally-Anne”. Gabriel Grant, cieśla, rozłożył swój warsztat pod płóciennym daszkiem i był zajęty heblowaniem. Jego stopy ginęły pod stertą wiórów. Powietrze wokół niego było przesączone zapachem świeżo obrabianego drewna.

– Stary Gabe to świetny fachowiec – powiedział Broom z szerokim uśmiechem na twarzy. – Dobry cieśla pokładowy jest wart w gwineach tyle, ile sam waży. Nie wiem, co byśmy bez niego zrobili. Postarałem się zabrać z „Sally-Anne” najlepszych ludzi. – Podszedł

bliżej, żeby przyjrzeć się, jak idzie praca. – Statek jest w dobrym stanie, ale musi być zmieniony dla naszych potrzeb. Trzeba dorobić nowe stanowiska dla dział i pozbyć się części górnego pokładu, aby był lżejszy i można nim było łatwiej manewrować. Gabe nawet obiecuje, że wydłuży maszty, żebyśmy łapali więcej wiatru. – Bycie piratem głównie polegało na wykorzystywaniu nadarżających się okazji oraz swojej przewagi. Dlatego piracki statek musiał być na tyle szybki, żeby doścignąć inne statki, i tak wyposażony, aby je pokonać. Broom był bystry i szybko się uczył. – Będziemy mogli stawić czoło każdemu, z wyjątkiem okrętów marynarki, ale za to my możemy wpłynąć tam, gdzie oni nie dadzą rady, a to dzięki temu, że mamy mniejsze zanurzenie.

Słuchając go, przypatrywałam się pracującym ludziom. Jeszcze nie weszliśmy na pokład, a ja już czułam się, jakbym była częścią załogi. Opuścił mnie strach, który czułam w obozie zbiegów. Świadomość, że mogę nałożyć strój marynarza i odpłynąć na pokładzie tego statku, sprawiała, że poczułam przedsmak wyswobodzenia. Musiałam siłą opanować narastające podniecenie i przypomnieć sobie, że nasz los nie jest jeszcze przesądzony. Nasza sprawa miała być dopiero przedstawiona radzie, a o tym, czy zostaniemy przyjęte na statek, miało zdecydować głosowanie pod koniec dnia.

Doktora Grahama zastaliśmy pod kolejnym daszkiem z żagla, pod którym urządził prowizoryczny szpital. Na kilku paletach spoczywali chorzy.

– A, Broom – rzucił, podnosząc wzrok. – Kazałem wynieść tych

hultajów ze statku. Świeże powietrze dobrze im zrobi. – W cynowej misce zmył krew z rąk. – Byłem ciekaw, kiedy wrócisz. Jak było w obozie?

– Wesoło. Przednia zabawa. Nabyłem świeżą żywność, o którą prosiłeś. Właśnie ją znoszą. – Zrobił pauzę. – Udało mi się znaleźć dwóch nowych rekrutów.

Broom popchnął nas do przodu, ale Graham ledwie rzucił na nas okiem.

– To dobrze. Przyda mi się pomoc. – Spojrzał na mnie jak na nieznajomą. – Ty się nadasz. Podwiń rękawy i chodź ze mną.

Obrócił się na pięcie. Broom wzruszył ramionami i dał znak Minervie, aby poszła za nim. Przez chwilę patrzyłam, jak razem idą. Był z niej bardzo ładny chłopak. Gibka, długonoga, zawsze pełna gracji, teraz poruszała się z jeszcze większą swobodą. Najwyraźniej noszenie chłopięcych ubrań bardzo jej odpowiadało.

– Hej, ty! – Graham wychylił głowę spod daszka. – Nie stój jak słup. Chodź tutaj, a migiem! Nie mam całego dnia!

Słońce prześwitywało przez płótno i zalewało wszystko żółtym światłem. Około tuzina mężczyzn leżało na niskich podestach ustawionych w równych rzędach. Jeden czy dwóch jęczało i rzucało się, jakby dręczyła ich gorączka, ale większość leżała cicho i nieruchomo. Upał stawał się coraz większy. Boki były otwarte, ale prawie nie było wiatru, więc pod daszkiem było duszno i czuło się zapach chorób.

– Chodź tutaj.

Graham zaprowadził mnie do małego stołu ustawionego w pewnej odległości od podestów. Leżący na nim marynarz odwrócił do nas głowę. Zaciśnięte w pięści dłonie trzymał przy bokach. W jego ciemnych, szeroko otwartych oczach było widać strach. Był jeszcze chłopcem, na pewno młodszym ode mnie. Poznałam go. Joby Price z „Sally-Anne”. Zacisnął powieki i zagryzł wargi do krwi, żeby powstrzymać się przed płaczem.

– Już dobrze, mały. – Graham poklepał go po ramieniu. – Wkrótce będzie po wszystkim.

Przyjrzał się badawczo nogom chłopca. Jedna była wyraźnie obrzmiała, gruba jak pień młodego drzewa. Spowijało ją kilka warstw poplamionego bandażu, który Graham zaczął delikatnie rozcinać. Wydobywający się smród był tak silny, że musiałam zasłonić usta. Od kolana w dół ciało było upstrzone szaroczarnymi i fioletowymi cętkami. Z podłużnej rany na goleni sączyła się gęsta wydzielina. Cała stopa była napuchnięta i przebarwiona, a palce wyglądały jak pięć czarnych jagód.

– Daj mu to. – Graham wepchnął mi w rękę butelkę rumu. – Wlej w niego tyle, ile tylko zdołasz, a potem włóż mu w usta to. – Podał mi gałganek ze splecionych kawałków skóry, poczerniałych i splątanych, ze śladami po zębach. – A potem go przytrzymaj. – Przyjrzał się mojej względnie lekkiej budowie. – Jeśli będzie trzeba, połóż się na jego piersiach, jednym słowem zrób wszystko, żeby go nie puścić.

Wlałam rum w usta chłopca, aż zaczął się krztusić. Odczekałam chwilę i wlałam jeszcze trochę.

– Gotowe? – zapytał Graham, trzymając w ręku stolarską piłę.

– Gotowe. – Włożyłam skórzany gałganek między zęby chłopca, a gdy parsknął i szarpnął się, położyłam się na niego.

Po sekundzie było już po wszystkim. Chłopiec przestał stawiać opór, zrobił się całkowicie bezwładny, a jego głowa opadła na jedną stronę.

– Zemdlał – mruknął Graham. – Prawdziwe dobrodziejstwo dla niego. A teraz szybko przynieś mi siekierę. Jest tam, w koksowniku!

Rękojeść siekiery była osmolona dymem, ale na tyle chłodna, że mogłam ją chwycić. Graham wziął ją z moich rąk i przyłożył rozjarzone ostrze do kikuta, jaki został po nodze. Ciało zasyczało, a w powietrzu uniósł się zapach spalenizny.

– Nie mdlej i nie wymiotuj – warknął Graham. – Potrzebuję twojej pomocy. Przynieś mi tamten garnek.

Na węglach stał garnek z bulgoczącą smołą. Z przyjemnością zaciągnęłam się jej zapachem. Garnek owinęłam kawałem szmaty i zaniósłam Grahamowi. Zanurzył pędzel w roztopionej smole i powłókł nią ranę.

– Skończone. – Zrobił krok w tył i przyjrzał się swojemu dziełu. – Powinno być dobrze.

Chłopak nadal był nieprzytomny. Graham zostawił go i poszedł obmyć ręce w cynowej misce. Następnie wylał zabarwioną na czerwono wodę na piasek.

– Idź i nalej do niej morskiej wody. – Popatrzył na mnie. – Dobra robota. – Uśmiechnął się. – Dziękuję. – Strzepnął wodę z rąk i wytarł

je w zaplamiony przód swojej koszuli. – Nie spodziewałem się tu pani zobaczyć, panno Nancy. Nie w takich okolicznościach. Ale jestem pewien, że już wkrótce wszystkiego się dowiem.

– A ten chłopak? Wyjdzie z tego? Graham wzruszył ramionami.

– Kto to może wiedzieć. Jeszcze jeden dzień i ta noga by go zabiła. Teraz myślę, że spokojnie doczeka chwili, w której Gabe zrobi mu nową. Był wysoko w górze, naprawiając żagiel rozdarty od przedniego skraja, gdy spadł z olinowania, uderzył o pokład i roztrzaskał kość goleni, ale mogę się założyć, że będzie się przechwalać, że stracił nogę w zażartej walce. Szkoda, że stracił kończynę, szczególnie że jest taki młody, ale przynajmniej nie zostanie wyrzucony. Zgodnie ze Statutami dostanie 150 funtów i może zostać na statku, jak długo zechce.

– Co to za Statuty?

– Mamy nasze własne prawa. Zasady, według których żyjemy. Każdy musi na nie złożyć przysięgę. – Roześmiał się. – Zapewne uzna pani, że piracki statek to małe państwo. – Wszedł z powrotem pod daszek. Do dużej strzykawki naciągnął jakiś gęsty płyn. – To rtęć. Przeciwno ospie. – Machnął zakrzywionym dziobkiem. – Nie sędzę, aby chciała mi pani pomóc przy tej czynności. Proszę iść i przynieść świeżej wody. Dobrze się pani spisała. Będę głosował na panią, bo warto.

Nad brzegiem Minerva przechodziła własny test na przydatność dla załogi. Na mieliźnie unosiło się kilka ptaków, polujących z głową pod wodą. Vincent, oficer, podał Minervie ponownie naładowany pistolet.

O sto kroków dalej rozpadł się z hukiem orzech kokosowy, a jego resztki upadły na piasek.

– Dobry strzał – wykrzyknął jeden z mężczyzn. – Niech mnie licho, ona całkiem dobrze strzela!

Vincent klasnął w dłonie na znak uznania. Gdy Minerva podeszła, żeby mu oddać broń, uśmiechnął się i wepchnął dłonie w kieszenie.

– Nie, nie. – Pokręcił głową. – Teraz jest twój. Pirat musi mieć broń pod ręką.

Bardzo chcieliśmy się na coś przydać, więc zaczęliśmy pomagać przy statku. Po zakończeniu wszystkich przeróbek miał dostać nowe imię – „Deliverance”. Był to powszechny zwyczaj wśród piratów. To, co zwykle i powszednie, przekształcali w coś bardziej egzotycznego, coś, co usprawiedliwiała ich działania. „Mary”, „Mercy”, „Greyhound” stawały się „Revenge”, „Rover”, „Success” lub „Fortune”, jakby w nazwach była zawarta magiczna siła. Następnie na maszcie miała zawisnąć czarna flaga, aby obwieszczać wszem wobec, że to statek piratów, i budzić strach w sercach wszystkich, do których się zbliży. Albo przynajmniej taką mieli nadzieję.

Pracowaliśmy razem z innymi, ale mężczyźni zachowywali dystans. Nasz los nie był jeszcze przesądzony, więc nie traktowali nas jak członków załogi. Odnosili się do nas bardziej, jakbyśmy były parą małp, które nagle wyszły z lasu i chwyciły za narzędzia do skrobania i piłowania.

Statek miał wyjść w morze następnego dnia rano. Załogę czekała jeszcze jedna noc na brzegu. Wraz z zachodem słońca rozpalono

ogniska i przygotowano jedzenie. Broom zakazał picia rumu. Przynajmniej do zakończenia narady. Decyzje miały być podjęte przez trzeźwe głowy.

Nie zaproszono nas do udziału w rozmowach. Usiadłyśmy samotnie w pewnej odległości od mężczyzn. Oparłszy się plecami o powalone drzewo, obserwowaliśmy, jak słońce coraz bardziej zanurza się w morzu, zabarwiając wodę na kolor krwistej pomarańczy. W końcu czerwona tarcza błysnęła po raz ostatni na linii horyzontu i zapadła ciemność. Ktoś dorzucił więcej drewna do ognia i w górę buchnął snop iskier niczym ulatujący rój świetlików. Czerwone jęzory płomieni wyglądały jak strzępy czerwonej flagi.

Nie słyszałyśmy słów, ale domyślałyśmy się, że skoro narada trwa tak długo, to nie wszyscy zgadzają się, abyśmy dołączyły do załogi. Broom był urodzonym mówcą z zamiłowaniem do teatralnych efektów. Chodził i gestykułował niczym adwokat na sali rozpraw. Przeciwnicy wypowiadali się ciszej i poważniej, ale towarzyszyły im słowa „racja” oraz potakiwanie głowami i zaczynali zdobywać przewagę. Wtedy wstał Graham. Po twarzach jego słuchaczy było widać, że go szanują i liczą się z jego zdaniem.

Wysłuchano go w ciszy. Zarządził głosowanie. Kwatermistrz policzył podniesione ręce. Przewaga była nieznaczna, ale na naszą korzyść. Mogłyśmy dołączyć do załogi.

Vincent poprosił, abyśmy podeszły do zebranych. Na stole z surowego drewna położono Biblię oraz topór. Kapitan Broom miał odczytać Statuty, a my miałyśmy je podpisać, tak jak wcześniej



uczynili to pozostali członkowie załogi. Tak jak powiedział Graham, statek piracki to mała republika, rządzona według praw, na które wszyscy wyrażali zgodę.

Oto Statuty nowo przemianowanego statku „Deliverance”:

*1. Każdy otrzyma prawo głosu w sprawach istotnych i każdy będzie posłuszny decyzjom wspólnoty.*

*2. Kapitan otrzyma półtora udziału w podziale łupów. Oficer, kwatermistrz, doktor, cieśla i kanonier jedną część i ćwierć, cała zaś reszta po jednej części. Wszyscy mają równe prawo do zdobytej żywności oraz mocnych trunków. Z powyższych można korzystać do woli poza okresami niedostatku, kiedy może się okazać konieczne głosowanie za oszczędzaniem.*

*3. Jeśli ktoś po wejściu na zdobyczny statek nie przyzna się do znalezienia złota, srebra, platerów, klejnotów lub pieniędzy o wartości powyżej ośmiu funtów, czyli będzie chciał oszukać kompanów, zostanie ukarany wykluczeniem i wysadzony na bezludnej wyspie z jedną butelką prochu, jedną butelką wody, pistoletem i śrutem.*

*4. Nikomu nie wolno grać w kości ani w karty na pieniądze.*

*5. Nie wolno się bić na pokładzie, a każda kłótnia ma być zakończona na brzegu przy użyciu szabli i pistoletu.*

*6. Każdy jest zobowiązany do utrzymywania swojej broni oraz amunicji w czystości oraz gotowości do użycia. Kto zaniedba tych obowiązków, zostanie pozbawiony swojego udziału lub ukarany w inny sposób, jaki kapitan i załoga uznają za stosowny.*

*7. Każdy uznany winnym tchórzostwa lub dezercji podczas akcji*

*zostanie ukarany wykluczeniem lub śmiercią.*

*8. Nikomu nie wolno się wylamać dopóty, dopóki udział każdego z nas nie wyniesie 1000 funtów. Jeśli ktoś straci rękę lub nogę lub stanie się kaleką w czasie pełnienia dla nas służby, dostanie sumę w wysokości 150 funtów i będzie mógł zostać z załogą tak długo, jak zechce.*

*9. Kto będzie szperał w ładowni, palił nie osłoniętą fajkę lub chodził z zapaloną świecą bez latarni, zostanie ukarany tak, jak kapitan i załoga uznają za właściwe.*

*W. Na statek nie wolno zabrać ani chłopca, ani kobiety. Jeśli mężczyzna namówi kobietę i przemyci ją na statek w przebraniu, poniesie śmierć.*

Ostatni punkt wywołał największe poruszenie i zdawało się, że spory wybuchną na nowo. Argumentowano, że Broom łamie własne przepisy. Kapitan bronił się niczym dobry prawnik. Jego argumenty prezentowały się jak następuje:

Po pierwsze, kobiety (czyli my) nie były przemycane na statek przez nikogo dla żadnych niemoralnych celów.

Po drugie, wszyscy dobrze wiedzieli, jakiej jesteśmy płci, więc tak naprawdę wcale nie byliśmy w przebraniu.

Po trzecie, kobiety na statku mogą się okazać bardzo pożyteczne i to na wiele sposobów, bo na przykład gdybyśmy były na pokładzie w damskich strojach, to czy ktoś by podejrzewał, że to statek piracki?

Skończywszy, Broom dał kompanom czas na przemyślenie

wszystkiego z miną człowieka, który jest pewien swoich racji.

– Były już kobiety piraci – odezwał się Pelling, dorzucając swoje poparcie, na wypadek gdyby Broom go potrzebował. – Mary Read i Annę Bonny. Obie bardzo dzielne. Nawet dzielniejsze od innych piratów. Służyły razem z Calico Jackiem.

– No i sami wiecie, jak skończył – odezwał się inny głos. – Powiesili go na Gallows Point razem z resztą jego załogi. Z wyjątkiem tych dwóch. Używały życia, gdy Rackham już dyndał. I masz swoje baby.

Wielu z nim się zgodziło. Rozległy się również głosy ponaglące Brooma. Do chwili zakończenia obrad nie miało być żadnego alkoholu i załoga zaczynała się niecierpliwić.

*1. Każdy mężczyzna, który będzie chciał się zadać z roztropną kobietą bez jej zgody, zostanie ukarany natychmiastową śmiercią.*

– Chyba o to właśnie chodzi, co? – zapytał ktoś kpiąco z tylnych rzędów. – Po co je zmuszać, żeby na to przysięgały, Broom? Gdzie masz rozum?

– Pewnie chciałbyś, żeby zadały się z tobą! – krzyknął któryś, wywołując rubaszne śmiechy.

– Ze mną mogą w każdej chwili!

Zaczęła się szybka wymiana sprośnych komentarzy. Zanosilo się na to, że narada skończy się ogólnym bałaganem. Minerva zachowywała spokój, nawet się uśmiechała, ale mnie przestało się podobać, jaki kierunek przybrały wydarzenia. Z tymi mężczyznami miałyśmy być na jednym statku przez wiele tygodni, nawet miesięcy.

Spojrzałam na nią poważnie zaniepokojona.

– Nie bój się – powiedziała, klepiąc pistolet, który od niedawna był jej własnością. – Niech no tylko któryś zbliży się do ciebie lub do mnie, a tym go powstrzymam.

– Spokój, towarzysze. – Broom uniósł ręce, próbując uciszyć rozgardiasz. – Wszyscy muszą złożyć przysięgę na te same Statuty. Obie zostały przyjęte do naszej załogi. Uważam, że wszystko już jest uzgodnione. – Jego zachowanie nadal było spokojne, ale jego brązowe oczy, którymi powiódł po zgromadzonych, nabrały twardego i ostrego wyrazu. – Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, to niech powie to głośno, a nie pod nosem. – Położył dłoń na rękojeści swojej szabli. Nikt się nie ruszył. – Nie? W takim razie – zwrócił się do Minervy i do mnie – czy jesteście gotowe? Połóżcie prawe dłonie na Biblii, a lewe na toporze. Czy przysięgacie przed Bogiem, waszym Stwórcą, przestrzegać tych Statutów aż do śmierci?

Stałyśmy zwrócone twarzami do siebie. Jej ciepłe dłonie spoczywały pod moimi.

– Przysięgam – powiedziałyśmy jednocześnie.

– A teraz podpiszcie.

Broom wyjął nóż z za pasa i nakłuł nasze kciuki. Kwatermistrz podał nam gęsie pióro, najpierw mnie, potem Minervie. Podpisałyśmy się jedna nad drugą. Jej krew zmieszała się z moją.

Rozległy się okrzyki radości, ale trudno byłoby mi powiedzieć, czy te wiwaty były dla nas czy dla wielkiego srebrnego pucharu o dwóch uchwytach, wypełnionego po brzegi rumem. Oficer podał go najpierw

kapitanowi, a potem nam. Minerva napiła się, nie rozlewając ani kropli. Gdy przyszła moja kolej, moc rumu tak mnie obezwładniła, że zebrało mi się na kaszel, ale siłą przełknęłam napój i podałam dalej bez rozlania. Puchar obszedł całą kompanię, po czym wrócił i został ponownie napełniony. W chwili gdy zaczęli grać skrzypkowie, nikt już o nas nie pamiętał.

Wymknęłyśmy się, aby znaleźć sobie miejsce do spania z dala od mężczyzn. Minerva rozłożyła na ziemi patyczki, których chrzęst ostrzegłby nas przed intruzem.

Byłam przyzwyczajona do spania na ziemi, jednak po nocy na zimnym piasku obudziłam się zesztywniała i zziębnięta. Kucharz już rozpałił ognisko, więc poszłam się ogrzać. Abe Reynolds ze stewarda stał się kucharzem pokładowym. Poczęstował mnie kubkiem mocnej, czarnej herbaty oraz miseczką owsianki i wydawał się cieszyć, że widzi mnie ponownie. Zapytałam go, jak mu się podoba życie pirata. W odpowiedzi uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby wielkie jak kły, i powiedział, że jeżeli jest gdzieś lepsze życie, to on go nie zna. Usiadłam na powalonym drzewie i posilając się, słuchałam jego opowieści o tym, jak bardzo statek się zmienił. Wszędzie dookoła nas spali piraci, leżąc tam, gdzie upadli. Wyglądali jak armia powalona przez trunek.

Wstało słońce i zaczął się dzień. Wkrótce mężczyźni wzięli się do pracy, pozbywając się wraz z potem resztek rumu. Podzieleni na grupy, ubrani w uprzęż jak konie, przeciągnęli statek z piasku na płytkie wody laguny. Znalazłszy się tam, statek leżał przechylony na

jeden bok, czekając, aż uniosą go wody odpływu. Gdy już się mniej więcej unosił na wodzie, grupy wiosłarzy usiadły do wiosł, żeby odholować go na głębsze wody.

Zostałam przydzielona Janowi Jessopowi, który szył żagle, aby pomóc mu narysować czarną flagę, która miała zawisnąć na głównym maszcie i budzić przestach u każdego statku kupieckiego, do którego się zbliżymy. Jej wygląd był projektu Brooma: czaszka nad skrzyżowanymi puszczelami oraz klepsydra i szabla piracka po obu stronach.

– Znaczenie jest takie, że czas płynie i opór skończy się śmiercią – wyjaśnił Jessop bez większego przekonania. – Przynajmniej tak mają myśleć na innych statkach.

Był ponurym mężczyzną niewielkiego wzrostu o podłużnej, zasmuconej twarzy oraz dużych, smutnych oczach. Dobrze sobie radził z igłą, ale rysowanie w ogóle mu nie wychodziło. Wcześniejsze rysunki zostały odrzucone i Broom zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić.

– Co to ma być? – wykrzykiwał, wskazując na ostatnie dzieło Jessopa. – Świński pęcherz nad parą patyczków? Czy wiesz, co sobie ludzie pomyślą? Że jestem wsiowym głupkiem, który chce ich zdzielić kijem po głowie. – Rzucił flagę z powrotem do Jessopa. – Kot okrętowy lepiej by sobie z tym poradził.

Zabrałam się do pracy na nowym kawałku białego płótna. Czaszkę narysowałam, mając w pamięci te z nagrobków w kościele St Mary. Szablę pożyczyłam od przechodzącego akurat pirata. Wkrótce

otoczyła mnie grupa admiratorów, kiwających głowami z uznaniem.

– To już ma wygląd! – Jeden z mężczyzn klepnął mnie w plecy. – Napędzi im strachu jak jasna cholera! O – zająknął się, nagle przypominając sobie, kim jestem. – Przepraszam. Panienka wybaczy.

– Mam nadzieję, że tak będzie. – Uśmiechałam się, nie przerywając pracy. – Właśnie taki miałam zamiar.

Jessop przyszył wykonane przeze mnie elementy do czarnego płótna. Teraz rzeczywiście byliśmy gotowi, żeby wypłynąć. Broom był zachwycony. Rozkazał, aby zawieszono nową flagę jako symbol naszych zamiarów i napięto żagle. Właśnie zaczynał się odpływ i wiał sprzyjający wiatr. Mogliśmy wypłynąć z zatoki Cutlass. Broom ustalał kurs na Cieśninę Zawietrzną pomiędzy Kubą a Hispaniolą. Tam mieliśmy czaić się na szlakach wodnych, czekając na bogate statki kupieckie płynące na wyspy bądź z powrotem. Według Vincenta pojawiały się tak często jak kurczaki na wybiegu, więc nie powinniśmy długo czekać na swoją pierwszą zdobycz.

Przestępcę od przestrzegającego prawo człowieka oddziela niewidzialna linia. Przebywanie na statku nie było naruszeniem prawa, ale udział w pierwszej napaści na inny statek zmieniał wszystko. Powiedziałam Minervie, że jeszcze możemy odejść, że Statuty nie miały wobec nas mocy wiążącej. Nic mi nie odrzekła, jedynie patrzyła z determinacją w morze. Rozpoczęło się nasze pirackie życie.

Nigdy się nie zapomina pierwszego ataku. Byłam przerażona i miałam zbielejące usta. Stałam w gotowości, czekając, aż oba statki się zderzą. Czekanie jest najgorsze ze wszystkiego. Widziałam silnych mężczyzn, którzy bledli jak płótno i pędzili do ustępu, żeby sobie ulżyć, lub wymiotowali przez burtę. Nikt nie robi żadnych uwag. Nikt z nich nie drwi ani nie szydzi, nawet ci, którzy śmieją się w obliczu samej śmierci. Patrzą prosto przed siebie, ściskając w ręku broń oraz liny z hakami, półpiki, siekiery i topory. Czasami Broom zarządzał, żeby grały bębny i cymbały albo żeby odpalono działa. Wchodziliśmy na zdobyczny statek w ogłuszającym hałasie i w gęstych obłokach dymu armatniego. Z chwilą gdy znaleźliśmy się na pokładzie, sytuacja natychmiast się zmieniała. Nasz strach był niczym w porównaniu z przerażeniem, jakie budziliśmy u członków załogi i pasażerów. Wchodziliśmy z butną odwagą, a gdy napadnięci stawiali opór, sprawa sprowadzała się do: albo ty zabijesz, albo ciebie zabiją.

Gdy zaczynała się nasza pierwsza akcja, stałam obok Minervy. Przy boku trzymałam odbezpieczone pistolety. Szablę miałam naostrzoną jak brzytwa, a przy moim pasie wisiała ciężka siekiera. Nie mogłam opanować drżenia nóg, a kostki rąk zbieleły mi od ściskania poręczy, natomiast Minerva stała nieruchomo. Na jej twarzy poza spokojem nie było widać żadnych emocji. Widywałam już takie zachowanie u Phillis i Thomasa oraz innych niewolników, gdy Duke wpadał we wściekłość. To nie była obojętność czy rezygnacja, raczej



chodziło o to, żeby nie okazać strachu wrogowi.

Byłam sina i zielona ze zdenerwowania. Minerva położyła swoją dłoń na mojej, żeby mnie uspokoić, i szepnęła pomiędzy wystrzałami armat:

– Będziemy na siebie uważać. Nie będziemy się bać.

Razem przeskoczyłyśmy szczelinę pomiędzy statkami, gotowe walczyć i oddać życie za siebie nawzajem, ale walka nie trwała długo. Ledwie stanęłyśmy na pokładzie, a już poddała się cała załoga. Był to zwykły statek handlowy i znajdujący się na nim ludzie nie składali zobowiązania, że będą walczyć z piratami.

Nie stawiali żadnego oporu. Gdy zaczęli składać broń, zrobiło mi się niedobrze i ledwie dobiegłam do balustrady.

– Co ci jest? – zapytała Minerva, widząc, jak wymiotuję.

– Już nic. – Otarłam usta. – Przeraziłam się i to wszystko. I...

– I?

– Jeden z oficerów trochę przypomina Williama.

– Tak? – Minerva przyjrzała się grupie jeńców z nowym zainteresowaniem. – Który?

– Pierwszy oficer.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową z uznaniem.

– Przystojny.

– To nie jest zabawne. – Odwróciłam się od niej. – A gdyby to był on? Co by sobie o mnie pomyślał? W tym stroju? Z piratami? A poza tym... – Na samą myśl o tym, poczułam w gardle żółć. – Byłby wrogiem. Mógłby zginąć. Z mojej ręki.

Moje słowa sprawiły, że Minerva spoważniała.

– Ale on służy w marynarce – powiedziała po namyśle. – Broom nigdy by nie zaatakował okrętu marynarki. – Spojrzała mi w oczy. – Bardziej możliwe jest, że to o n i zaatakowałiby nas. – Jej słowa niewiele mnie pocieszyły. Sama o tym nie pomyślałam. – Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – dodała. – Morze jest szerokie. Jest mało prawdopodobne, że trafimy właśnie na jego statek. Musisz przestać o tym myśleć. Takie życie jest dla nas nowością, ale nie mamy innego wyboru, jak tylko do niego przywyknąć. Najlepiej nie martwić się o to, co będzie jutro, tylko żyć z dnia na dzień.

Każdy atak przebiegał według tego samego schematu. Staralam się postępować zgodnie z radami Minervy. Odpędzałam od siebie wszelkie myśli o Williamie i z podboju na podbój stawałam się coraz bardziej odważna, dorównując pod tym względem reszcie załogi. Żeglowaliśmy pod fałszywą flagą, a działa nakrywaliśmy malowanym płótnem. Gdy dostrzeżliśmy statek, podążaliśmy za nim niczym pies za owcą. Czasami Minerva i ja chodziłyśmy po pokładzie w damskich strojach, aby uśpić podejrzenia u obserwujących nas przez lunetę członków załogi. Podpływaliśmy szybko, ponieważ rozwijaliśmy większą prędkość niż statki handlowe. Gdy tylko znaleźliśmy się w zasięgu strzału z armaty, ściągaliśmy fałszywą flagę i wciągaliśmy na maszt czarną. Z armaty padał ostrzegawczy wystrzał. Kanonierzy przygotowywali amunicję odpowiednią do zniszczenia żagli oraz olinowania oraz inną do ostrzelania załogi. Rzadko posuwali się do zmasowanego ostrzału, ponieważ to doprowadziłoby do zniszczenia

łupów. Zazwyczaj nasz widok wystarczył, żeby kapitan się poddał. Każdy wiedział, że opór oznaczałby masową rzeź.

Broom obserwował, jak sobie radzimy. Nie mogliśmy oczekiwać żadnych względów, Broom zaznaczył to bardzo wyraźnie, ale był dobrym i mądrym kapitanem. Wiedział, jak wydobyć ze swojej załogi najlepsze cechy. Minerva wspinała się po linach, jak by się po to tylko urodziła, a jej sprawność i zmysł równowagi sprawiały, że w górze poruszała się równie pewnie co na pokładzie. Jej odwaga w boju i umiejętności strzeleckie wyróżniały ją spośród innych. Broom uczynił ją strzelcem wyborowym i w czasie ataku wisiała na olinowaniu z Vincentem oraz innymi, gotowa strzelić do kapitana, oficerów lub sternika na każdym statku, który stawiałby nam opór. Drżałam ze strachu o nią, ponieważ strzelcy wyborowi byli łatwym celem. Lękałam się, że spadnie na pokład jak postrzelona mewa, ale z czasem nauczyłam się odpędzać takie myśli i skupiać się tylko na czekającej nas walce.

Broom stawiał stopę na pokładzie podbitego statku dopiero wtedy, gdy kapitan i jego oficerowie byli rozbrojeni i znajdowali się pod strażą, a reszta załogi oraz pasażerowie stali zgromadzeni na innej części pokładu. Wtedy wchodził tak, jakby jego wizyta miała kurtuazyjny charakter, i wypytywał kapitana, skąd i dokąd płynie oraz co przewozi. Następnie pytał, czy na statku znajdują się jakieś kosztowności, takie jak pieniądze lub sztaby złota czy srebra, dodając cichym głosem, że jeżeli kapitan skłamie, to bardzo źle się to skończy dla niego, załogi oraz statku. Broom wydawał się łagodny w

porównaniu z innymi kapitanami piratów, jednak jego uprzejmość i życzliwość siały większe przerażenie niż przejawy bezpośredniego okrucieństwa.

Podbity statek był gruntownie plądrowany. Zabierano z niego każdą przydatną rzecz. Przewożony ładunek, kosztowności, drobną broń, pistolety, żywność, ekwipunek, rzeczy osobiste. Do najcenniejszych zdobyczy należało złoto i srebro, biżuteria oraz monety, jednak czasy statków ze skarbami już należały do przeszłości. Było bardziej prawdopodobne, że trafi się nam cukier, rum, kakao, tkaniny, artykuły gospodarstwa domowego. Wszystko zależało od tego, czy statek dopiero płynął po towary, czy już wracał z ładunkiem do macierzystego portu.

Wszystkie znalezione przedmioty były oddawane kwatermistrzowi pod karą wykluczenia i umieszczane w spisie inwentaryzacyjnym. Broom był w tym względzie tak samo skrupulatny jak mój ojciec, a ponieważ potrafiłam czytać, porządnie pisać i liczyć, coraz częściej byłam zatrudniana do prowadzenia ksiąg.

Obie zostałyśmy zaakceptowane przez załogę i traktowane jako jej członkowie. Pracowałyśmy z pozostałymi ramię w ramię, dzieliłyśmy z nimi tę samą mesę, ale spałyśmy z dala od nich.

– Koledzy kolegami – powiedziała Minerva, zawieszając swój hamak – ale nie przestają być mężczyznami.

Zatem znalazłyśmy i urządziłyśmy sobie własny kąt, dzięki któremu miałyśmy trochę prywatności. Jan Jessop zawiesił na linach płachty, aby w czasie przebierania się nie podpatrywały nas

ciekawskie oczy. Do kawałka płótna żaglowego łapałyśmy wodę deszczową, której używałyśmy do mycia oraz prania ubrań i bielizny. Zawsze jedna z nas stała na straży, gdy druga kąpała się lub korzystała z ustępu. Nikt nas nie tknął; noże za naszymi pasami dobrze o to dbały. Pracowałyśmy i stałyśmy na wachcie tak samo jak pozostali. Nie oczekiwałyśmy ani też nie otrzymywałyśmy żadnych względów, ale po skończonej służbie na pokładzie z ulgą udawałyśmy się do naszego kąta i naszego własnego towarzystwa.

Nigdy przedtem nie spałam w hamaku. Minerva polubiła to od razu, aleja długo nie mogłam się przyzwycząić. Na szczęście zwykle byłam tak zmęczona, że zasypiałam twardym snem, jednak pewnej nocy pomimo wysiłków długo nie mogłam usnąć. W końcu zapadłam w niespokojny sen. Obudziłam się zrana potem, z oczami szeroko otwartymi ze strachu. Noc była gorąca i duszna. Zaczęłam się wygrzebywać z hamaka, ale mój ruch zbudził Minervę.

– Co się stało? – zapytała szeptem.

– Nie mogę spać. Idę na górny pokład. Usłyszałam ciche uderzenie nagich stóp o podłogę.

– Idę z tobą.

– Znowu miałam ten sen – powiedziałam, gdy znalazłyśmy się na pokładzie.

– O tym Brazylijczyku? Kiwnęłam głową potakująco.

Wzięła mnie za rękę i oddałyśmy się od pełniącego wachtę marynarza. Poszłyśmy w kierunku dziobu sterburty. Noc była pogodna. Chłodne powietrze studziło moją spoconą skórę. Prując

czarne fale, statek trzymał równy kurs w łagodnym wietrze ze wschodu. Ponad naszymi głowami gwiazdy rozpościerały się na niebie od horyzontu do horyzontu.

– On nie zrezygnował. Może nawet teraz wyrusza za mną na morze.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– We śnie słyszałam statek. Szczęk łańcucha kotwicy. Szmer wody.

– Ale to nie jest jeszcze pewność. „Nie obawiaj się jutra, skoro dziś jeszcze się nie skończyło”. Tak by powiedziała Phillis.

– Minerva umilkła. – Zrobiłaś tak, jak ci kazała? Wyrzuciłaś ten naszyjnik? – Popatrzyła na mnie. – Nie zrobiłaś tego, prawda?

– Pokręciłam głową. – Phillis jest mądra. Zawsze jest tak, jak ona mówi. Powinnaś jej posłuchać.

– Ale to bardzo cenna rzecz. – Odwróciłam się, żeby ukryć palący wstyd. – A to nowe życie jest takie niepewne. Pełne niebezpieczeństw. Kto wie, czy kiedyś nie będziemy potrzebować pieniędzy? Pomyślałam, że wyrzucenie go w takich okolicznościach to głupota.

Minerva pokiwała głową, jakby przyznawała mi rację.

– Gdzie go masz? Położyłam dłoń na mojej talii.

– W moim pasie.

– Może jesteś taka niespokojna właśnie dlatego, że nosisz go tak blisko ciała. Daj go Broomowi na przechowanie. Może wtedy przestanie cię dręczyć.

Od razu poczułam się lepiej.

– Tak właśnie zrobię – rzekłam. – Jutro z samego rana. Minerva uśmiechnęła się. Czasami wykazywała się taką samą mądrością jak jej matka.

– Nie jestem taka dzielna jak ty – wyznałam. – Niektóre rzeczy w tym nowym życiu mnie przerażają.

– Nie jestem dzielna. – Mocno obejmowała poręcz balustrady. – Odczuwam strach tak samo jak ty. Ale gdy ruszamy do ataku, mówię sobie, że ci ludzie przyszli, żeby mnie zabrać. To mi dodaje odwagi.

Umilkła i wyglądało na to, że chce jeszcze coś powiedzieć. Spojrzałam na nią wyczekująco, ale uśmiechnęła się i zaproponowała, żebyśmy wróciły do naszych hamaków i odpoczęły, bo inaczej rano będziemy zbyt zmęczone, żeby pracować.

Postąpiłam tak, jak poradziła mi Minerva. Broom zrobił wielkie oczy na widok naszyjnika, ale nic nie powiedział. Przyjął go ode mnie i zabrał na przechowanie.

Z początku Minerva i ja rzadko kiedy się rozstawaliśmy, ponieważ dla nas obu życie na statku było nowe i dziwne, lecz stopniowo każda z nas zadomowiła się i znalazła swoje miejsce. Minerva szybko zapracowała na podziw reszty załogi.

– To urodzony marynarz – powiedział do mnie Vincent, śledząc ciemnymi oczami, jak Minerva pomyka w górę.

Dzięki wrodzonemu zmysłowi równowagi potrafiła przebiec po górnych belkach żagli, a potem opuścić się dół, żeby poluzować lub rozwinąć żagle. Umierałam ze strachu, widząc, na jakie ryzyko się naraża, ale wyczyny na wysokościach zaskarbiły jej uznanie

mężczyzn. Z łatwością znajdowała z nimi wspólny język, nawet brała udział w ich rubasznym żartach. Dzięki swemu ciętymu językowi nieraz odwracała żądło dowcipu tak, że uderzało w tego, kto chciał ją wyśmiać lub zabawić się jej kosztem. Przy mnie mężczyźni czuli się nieswojo, tak samo zresztą jak ja przy nich. Słyszając ich żarty, zawsze się czerwieniłam, choć bardzo chciałam się przyłączyć do ich zabaw i wygłupów. Widząc moje rumieńce, śmiali się jeszcze bardziej. W moim towarzystwie zachowywali się mniej swobodnie niż z Minervą. Była ogólnie lubiana i traktowana jak ktoś im równy. Jednak przysporzyła sobie jednego wroga.

Vincent wziął ją pod swoje skrzydła, jakby była jego podoficerem. Uczył ją wiązania lin, radzenia sobie z żaglami, nawigacji według sekstansu, według kompasu, według gwiazd na niebie. Spędzał z nią niewątpliwie bardzo dużo czasu, jednak traktował ją jak młodszego brata. Całkiem jakby zapomniał, że Minerva jest kobietą, choć nie sądzę, aby ona zapomniała o tym choćby na minutę. Przyznawała, że podziwia go za jego marynarskie zdolności, za męstwo w walce, za to, że będąc człowiekiem mieszanej krwi, zdobył szacunek wszystkich, jednak zaczerwieniła się i roześmiała, gdy zauważyłam, że ma również wspaniałą sylwetkę i jest niezaprzeczalnie przystojny. Jego liczne pochwały dla niej oraz uwaga, jaką jej poświęcał, sprawiły, że jej wrogiem stał się Charlie, chłopak pokładowy, poprzedni faworyt Vincenta.

Charlie był niemiłym, ponurym chłopakiem i nikt na niego nie zwracał uwagi, jednak można go było porównać do szczeliny poniżej



powierzchni wody, którą łatwo przeoczyć, a która z czasem może doprowadzić do katastrofy statku tak samo jak wielka dziura.

W czasie gdy Minerva wspinała się po linach i chodziła po wysoko zawieszonych belkach, ja wykonywałam bardziej przyziemne zadania. Pomagałam Broomowi w prowadzeniu dzienników pokładowych oraz ksiąg inwentaryzacyjnych lub pomagałam Grahamowi przy chorych w szpitalu pokładowym. Graham był biegły w sztuce dochodzenia do źródła bólu. Gdy już obszedł wszystkich pacjentów, swoją uwagę kierował na mnie.

– Jak ci się podoba życie pirata? – zapytał, podnosząc wzrok znad mózdzierza. – Minerva wygląda na zadowoloną, a jak to jest z tobą?

– Żyję z dnia na dzień – odpowiedziałam, powtarzając radę Minervy.

– Doprawdy? – Chrząknął. – Jak długo tak można? Wzruszyłam ramionami.

– A mam wybór?

– To życie ci nie odpowiada?

– Nie chodzi o niebezpieczeństwo, przyzwyczajam się do niego. Nie chodzi też o pracę. – Spojrzałam na moje spierzchnięte i pokryte odciskami dłonie. – Choć obawiam się, że z tymi rękami nie mogłabym się pokazać w salonie mojej macochy.

– W takim razie o co chodzi? Co cię trapi? Poza świadomością, że w razie złapania wszyscy możemy zawisnąć? – Graham zaśmiał się sarkastycznie.

– Właśnie o to – odrzekłam i wyznałam mu swoje obawy związane

z Williamem.

– A, William. – Graham uśmiechnął się. – Wysłaliśmy do niego twój list. Dałem go bosmanowi z „Sally-Anne”. Pozostał lojalny wobec kapitana, ale miał wobec mnie dług wdzięczności. Obiecał go dostarczyć. Jestem ciekaw, czy William go otrzymał?

– Otrzymał – odpowiedziałam. Jednak ta myśl wcale mnie nie pocieszyła. – Myśli, że mnie utracił – mówiłam dalej. – Ale tak nie jest! Zrezygnowałam ze wszystkiego, zaryzykowałam życie, żeby pozostać mu wierną, i w rezultacie zostałam piratem!

– Objęłam głowę rękami, nie wierząc, że tak bardzo poplątało się moje życie. – A jeśli mnie tu znajdzie? Jeśli wejdzie na pokład? Co wtedy zrobię?

– Niepotrzebnie się trapisz, moja droga. – Graham kręcił głową. – Broom nie zaatakuje okrętu marynarki. Jeśli go dostrzeże, to weźmie nogi za pas, a nasz statek jest szybki. Jest bardzo mało prawdopodobne, aby nas złapali. Bardziej prawdopodobne jest, że spotkasz go w porcie, a wtedy będziesz ubrana jak dama, skąd więc będzie wiedział, że jesteś piratem? No, chyba że sama mu nie powiesz.

– Ale może uznać, że bardzo się zmieniłam! – Dotknęłam ciężkiego pierścienia, który wisiał na łańcuszku, i zacisnęłam na nim palce jak na talizmanie.

– Może – zgodził się Graham. – Ale możliwe, że ty o nim powiesz to samo. Możliwe, że uzna, że zmieniłaś się na lepsze. Gdy patrzę na ciebie, wciąż widzę tę samą dziewczynę, którą poznałem na „Sally-

Anne”, niewiele zmienioną. – Uśmiechnął się.

– W jej oczach wciąż zapala się ten sam błysk, gdy mówi o swoim chłopcu marynarzu. Wciąż ma skłonności do melancholii, do zasmucania się, ale ma szczerze i dobre serce oraz dzielnego ducha, umacniającego się wraz z każdą próbą. Dostrzegam również, że wie trochę więcej o tym, jak żyją inni ludzie, mniej się uważa nad sobą i jest znacznie mniej samolubna. Nie troskaj się, moja droga. Każdy mężczyzna będzie szczęściarzem, mogąc cię pojąć za żonę. Bez względu na to, czy będzie piratem, czy nie.

Słowa Grahama napełniły mnie otuchą i stałam się spokojniejsza. Gdy nikogo nie atakowaliśmy, nasze życie toczyło się w taki sam sposób jak na innych statkach. Samo utrzymanie ładunku i sterowanie wymagało ciągłej pracy i wysiłku. Wolnego czasu było bardzo mało – Broom lubił porządek na statku – ale zdarzały się też spokojne chwile i wtedy mężczyźni zbierali się na pogaduszki. Zwykle działo się tak pod wieczór, gdy zachodziło słońce. Siadali na pokładzie, wyciągali jedną albo dwie fajki, wypijali swój przydział rumu albo dzban piwa i snuli opowieści aż do nocy i wystawienia wachty. Minerva i ja też byłyśmy zapraszane, będąc na takich samych prawach jak reszta załogi.

Każdy miał własną opowieść o tym, jak stał się piratem. Vincent pochodził z Madagaskaru. Był synem miejscowej kobiety oraz amerykańskiego pirata o imieniu Flood, który służył dla kapitana Every’ego. Opuścił wyspę, gdy miał dwanaście lat, żeby wsiąść na pokład statku kupieckiego, który zatrzymał się dla nabrania słodkiej

wody. Przyjął nazwisko Crosby, co było angielskim słowem najbardziej podobnym do jego oryginalnego nazwiska. Służył na kilku statkach, aż w końcu pojмали go piraci i zaproponowali przystanie do nich.

– I tak poszedłem w ślady ojca, choć jako chłopiec poprzysiągłem sobie, że tego nigdy nie uczynię. Taką samą przysięgę złożyłem mojej matce. No i proszę, jestem tutaj.

Mężczyźni pokiwali głowami ze zrozumieniem dla zmiennych i nieprzewidywalnych losów ludzi na morzu. Nikt z nich nie planował zostać piratem. Wszyscy zaczęli jako zwykli marynarze.

Vincent opowiadał historie ze swoich rodzinnych stron, opowieści o piratach, którzy tam się osiedlili, oraz o tym, jak weszli w posiadanie bajecznych bogactw wschodnich władców zagarniętych przez Every'ego: złoto, srebro, szmaragdy i perły. Marynarze lubili tego słuchać. Uwielbiali opowieści o skarbach. Marzenia o takim bogactwie zmniejszały strach przed karą za piractwo i sprawiały, że podejmowane przez nich ryzyko miało sens.

Inni opowiadali o skarbach, które widzieli, oraz o kapitanach, których poznali, jednak nikt nie mógł się równać z Ignatiusem Pellingiem. Służył dla najlepszych z nich, jak mówił, dla najlepszych piratów, jacy kiedykolwiek żeglowali po siedmiu morzach. Był na „Queen Anne's Revenge” z Edwardem Teachem, którego serce było tak czarne jak broda, od której wziął swój przydomek. Był też bosmanem u Stede'a Bonneta, który nie umiał żeglować, ale był prawdziwym dżentelmenem. Pelling pływał nawet z Black Bartem

Robertsem.

– Ubrany jak lord, a co. Niejeden raz dał Broomowi niezłą nauzkę. Tak, chłopaki, żeglowało się z legendą. Ma się tę przeszłość.

– Uśmiechał się szeroko, odsłaniając rzędy brązowych od nikotyny pieńków. – Chcecie o tym posłuchać?

Oczywiście, że chcieli. Grzeczni jak dzieci, słuchali opowieści o „Queen Anne’s Revenge”, o tym, jak Teach zatopił własny statek, osadzając go na mieliźnie, a potem zostawił załogę własnemu losowi.

– Był najgorszy ze wszystkich. Gdy go złapali, dostał dwadzieścia ran ciętych i pięć kul, a jeszcze żył. – Pelling ściszał głos, jakby w gęstniejących ciemnościach czaił się jeszcze ktoś inny. – Nie był z tego świata. „Urządzmy sobie własne piekło”, tak mówił stary Blackbeard. Sam słyszałem, jak to powiedział. Na własne uszy słyszałem. Są tacy, co wierzą – ściszył głos jeszcze bardziej, jakby podsłuchująca zjawa przysunęła się bliżej – że sam diabeł był na pokładzie statku Blackbearda. Mówiłem wam już o tym? – Nie czekał na odpowiedź. Marynarze kiwnęli głowami, żeby mówił dalej. – Odplywaliśmy od wybrzeży Karoliny, gdy rozeszła się pogłoska, że na pokładzie jest o jednego człowieka więcej.

– Ktoś go widział? – zapytał Charlie z nutą sceptycyzmu w głosie. – Jak wyglądał?

– Widzieli go, a jakże. Na pokładzie i pod spodem. Wyglądał jak każdy inny. Czasami jak ten, czasami jak tamten. Nikt nie miał pojęcia, kto to jest ani skąd się wziął. Przed samym zajęciem statku nagle zniknął. – Zrobił pauzę. – Dziwna historia. Ale każdy z załogi

by przysiągł, że to prawda.

Zwykle po tej historii nikt inny już nie zabierał głosu. Wielu było nowych w tym fachu i dopiero miało spotkać kapitanów o tak legendarnej sławie jak Edward Teach, który zaprzyjaźnił się z samym diabłem i drwił sobie zarówno z praw ludzkich, jak i boskich. Jednak pewnego razu odezwał się ktoś siedzący w ciemności.

– Słyszałem już ta historia – odezwał się głos, którego nie rozpoznawałam. Mówił po angielsku z syczącym akcentem, jakby był Portugalczykiem albo Hiszpanem. Pomyślałam, że pewnie był nowy, zabrany na pokład po zajęciu przez Brooma francuskiego statku. – Dawno temu. Opowiadali ją o Brazylijczyku imię Bartholomeo. Mówili, że mieć diabła na swoim statku i że ten diabeł żeglować z nim po całym Morzu Karaibskim, aż jeden dzień przepaść. Nie może już dłużej z nim wytrzymać. Podobno powiedzieć, że kapitan gorszy od niego! – Parsknął śmiechem podobnym do skrzypu zardzewiałych zawiasów. – To chyba stara historia.

Poczułam chłód na całym ciele, choć noc była gorąca. Minerva zauważyła, jak drzę. Za jej namową poszukałyśmy tego człowieka, gdy już wszyscy się rozeszli. Chciałyśmy dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie był w stanie dużo nam powiedzieć.

– Ja słyszeć, że on nie żyć. Odejść z morze dawno temu. Ja słyszał, że on kupić plantacja i mieć dobre życie na lądzie. Po co wracać? – Mały człowieczek ponownie parsknął śmiechem. – On nie mieć powód. Inaczej niż ja. On mieć swoje pieniądze.

– To tylko opowieść – powiedziała szeptem Minerva, gdy już

leżeliśmy w hamakach. – Wiesz, jaką fantazję mają marynarze.

Przestałam słuchać tego, co dalej mówiła. Wiedziałam, że stara się mnie uspokoić. Wierzyła w nasz statek. Była pewna, że dzięki umiejętnościom Vincenta oraz innych marynarzy odeprzemy wszelkie ataki. To prawda, że ich kunszt bitewny stał się znacznie lepszy od czasu, gdy ostatnio o tym rozmawialiśmy. Jednak dla mnie dzwony pokładowe, wybijające kolejne godziny, miały takie samo brzmienie jak dzwony na trwogę. Polowaliśmy na inne statki od około miesiąca, krążyliśmy w okolicach Cieśniny Zawietrznej, ale ciągle to był mniej więcej ten sam obszar. Poruszaliśmy się na szlaku o szerokości mili. Nagle pewna myśl zmroziła mnie, choć pod pokładem było parno. Każdy kolejny podbity statek umacniał reputację Brooma. On i jego ludzie stawali się coraz bardziej sławni. Ile czasu było potrzeba, aby rozeszła się wieść o kobietach na ich statku? Brazylijczyk nie był głupi i sam był kiedyś piratem. Ile czasu potrzebował, żeby trafić na nasz szlak? Ile czasu, żeby nas znaleźć?

Tamtej nocy, gdy w końcu zasnęłam, miałam znowu ten sam sen. Usłyszałam śmiech Bartholome'a na mostku kapitańskim. Usłyszałam trzask płótna żaglowego napinającego się pod naporem wzmagającego się wiatru. Usłyszałam syk fal rozbijanych dziobem szybko sunącego statku. Samego statku nie zobaczyłam. Pozostał czarnym cieniem na ciemnym morzu, ale dostrzegłam jego dziób i kilwater.

Obudziłam się z przekonaniem, że Brazylijczyk wyruszył w morze i że ktoś nas zdradzi.

Chciałam nakłonić Brooma do przeniesienia się na inny teren, ale

obawiałam się, że ani on nie wyrazi na to zgody, ani rada. Poszcęściło się nam ostatnio, zamieniliśmy „Deliverance” na francuski statek płynący na Martynikę. Nowy statek został przemianowany na „Fortune” i miał do towarzystwa dwa jednomasztowce: były mniejsze, szybsze i pozwalały nam polować w grupie. Wszystkie trzy statki były po brzegi wypełnione zdobycznymi towarami. Minerva wątpiła, że Broom zmieni teren z powodu moich złych przeczuć. Podzielałam jej pogląd, ale byłam zdecydowana zapytać go o to pomimo wszystko.

Zastałam go w jego kajucie. Wraz z Pellingiem przeglądał spis towarów znajdujących się na wszystkich trzech statkach.

– Rum, cukier, melasa, przyprawy. – Przesuwał palcem w dół kolumny. – Na co to komu? To tak, jakby wozić drewno do lasu. Tkaniny, grzebienie, guziki, napastrki, nożyce, noże szewskie. Jakbym czytał zawartość torby wędrownego handlarza. – Rzucił pióro na stół. – Nie po to zostałem piratem.

– Mam pomysł, kapitanie. – Pelling zrobił krok do przodu.

Broom spojrzał na niego wyczekująco. Kwatermistrz na pirackim statku zajmuje szczególną pozycję. Na zwykłym statku nie ma nikogo takiego. Jest wybierany przez członków załogi i pośredniczy pomiędzy nimi a kapitanem, przedkładając mu ich zażalenia. Pelling cieszył się zaufaniem i szacunkiem przede wszystkim ze względu na swoje doświadczenie. Był piratem dłużej niż ktokolwiek inny na statku, według jego rachunku dziesięć lat. To, że potrafił uniknąć kary powieszenia przez tak długi czas, budziło powszechny respekt. Będąc



nowym w tym fachu, Broom polegał na Pellingu. Załoga wybrała Brooma kapitanem, ale z równą łatwością mogła się go pozbyć. Pelling przyszedł oznajmić, że marynarze zaczynają się denerwować. Chcieli zapłaty i to w złocie oraz srebrze. Broom musiał znaleźć sposób na to, żeby zamienić ładunek na pieniądze, i musiał to zrobić szybko.

– Tak sobie myślałem – ciągnął Pelling – o czasach, gdy byłem w Karolinie z Teachem i Bonnetem...

Broom wyglądał na zniecierpliwionego. W odróżnieniu od swojej załogi nie przepadał za opowieściami Pellinga.

– Dużo wtedy handlowaliśmy. Na całej długości wybrzeża, od Charlestown do Baltimore.

– Hmm. – Broom odchylił się w swym krześle, zamyślony.

– Ludzie tam są bardzo chętni do kupowania i tak samo niechętni, żeby płacić choćby pens fiskusowi. Moglibyśmy dużo sprzedać, bez żadnego kłopotu, i to po dobrych cenach. Mam jeszcze jeden pomysł – wskazał na mnie kciukiem. – Związany z nią i tą drugą...

– Mów. – Teraz Broom był wyraźnie zainteresowany. – Słucham...

Pomysł Pellinga bardzo przypadł Broomowi do gustu. Nie tylko obiecywał zysk, ale przewidywał dla niego nową rolę do odegrania, a jako urodzony showman, lubił takie wyzwania. Mnie pomysł też się spodobał, ponieważ wydawał się doskonałym sposobem na ucieczkę przed Brazylijczykiem, nie byłam tylko pewna, jak oceni go Minerva.

Plan Pellinga był prosty. Mieliśmy dopłynąć do wschodniego wybrzeża jako zwykłe statki handlowe i sprzedać towar Amerykanom. Następnie pojechać do Nowego Jorku, podzielić się zyskami i rozwiązać załogę. Aby jeszcze bardziej uwiarygodnić nas jako uczciwych handlarzy, Broom nakazał zmienić nazwę statku na „Neptune”. Sam zmienił imię na Abraham, zgolił piracką brodę oraz wąsa, odłożył do kufra stroje z jedwabiu i atłasu, a przyodział się w gładką, lnianą koszulę, wełnianą kamizelę i bryczesy oraz płaszcz z niebieskiego sukna. Minerva i ja miałyśmy do odegrania kluczową rolę. Ubrane na powrót w damskie stroje miałyśmy się stać: ja bratanicą Brooma, a Minerva moją towarzyszką podróży.

Załoga była przyzwyczajona do oglądania nas ubranych po męsku, więc gdy wyszłyśmy na pokład w damskich strojach, przywitały nas salwy śmiechu i niewybredne komentarze.

– Dość tego! – Broom ryknął z góry na załogę. – To moja bratanica oraz moja podopieczna, dziedziczka z Barbados. Wiozę je z powrotem do Anglii, żeby dokończyły edukację i oczekuję, że będą traktowane z należyty szacunkiem!

Trzeba było długich perswazji, aby Minerva zgodziła się odegrać przewidzianą dla niej rolę. Pierwotny plan Pellinga przewidywał, że będzie moją niewolnicą, ale zdecydowanie odmówiła i nie mogłam jej mieć tego za złe. Bez namysłu zaryzykowałyby własne życie, ale ponowne bycie niewolnicą, choćby udawane, byłoby dla niej gorsze

niż śmierć. Ostatecznie Broom przekonał ją, opowiadając jej o dziedzicze z Barbados, która kiedyś płynęła na jednym z jego statków.

– Była bardzo bogata. Płynęła do Anglii, żeby dokończyć edukację. Będziesz właśnie taką damą. Równą Nancy. Nawet będziesz ją przewyższać. To ona będzie twoją towarzyszką.

Plan Pellinga zadziałał lepiej, niż sobie wymarzyliśmy. Kobiety na pokładzie dodatkowo uwiarygodniały twierdzenie Brooma, że jesteśmy uczciwymi kupcami, płynącymi w konwoju z obawy przed napadami piratów, którzy grasowali u wybrzeży. W Charlestown nasza załoga hulala w gospodach i pijackich melinach tak samo jak inni marynarze, podczas gdy kapitan Broom, jego bratanica, jego podopieczna, doktor Graham oraz oficerowie byli przyjmowani przez najznamienitsze rodziny. Charlestown zapowiadało się na eleganckie miasto, a jego mieszkańcy byli szczodrzy i gościnni, choć nie bardzo wiedzieli, jak traktować Minervę. Odnosili się do niej z najwyższą uprzejmością, ale odsuwali się, gdy obok nich przechodziła, co umacniało jej wizerunek jako wyniosłej damy. Odzywała się bardzo rzadko, ale gdy już to czyniła, mówiła w taki sam sposób jak ja, co jeszcze bardziej wprawiało wszystkich w konfuzję. Nikt nie spodziewał się, że osoba o takim kolorze skóry potrafi się wysławiać jak dama.

Zgodziłyśmy się na udział w realizacji planu ze względu na interesy, ale widziałam, że Minerva źle się z tym czuje. Poza tym uświadomiłam sobie, na jakie ryzyko się narażamy. Broom chciał,

abym ładnie wyglądała, i nawet nakłaniał mnie do założenia naszyjnika z rubinami. Wykonania tej ostatniej rzeczy odmówiłam. Nabrałam wręcz zabobonnego lęku przed naszyjnikiem; już sam jego dotyk na mojej skórze przyprawiał mnie o dreszcze. Środkowy kamień był większy od innych. Wygładzony, zaokrąglony, miał nieco ciemniejszy środek, który wyglądał jak karmazynowe oko. Wiem, że to głupie, ale zaczęłam sobie wyobrażać, że Brazylijczyk mógłby mnie obserwować, gdybym miała naszyjnik na sobie, więc go nie zakładałam. Jednak Broom zdołał mnie namówić do noszenia kolczyków, ponieważ były na tyle piękne, żeby wzbudzać podziw, ale nie na tyle cenne, żeby ktoś mógł nas wziąć za złodziei czy morskich rozbójników.

Piraci nie byli tam mile widziani.

Do Bathtown przyniesiono głowę Blackbearda zatkniętą na drzewcu, a majora Bonneta oraz jego załogę powieszono w White Point. Mieszkańcy Charlestown byli dumni ze swojego udziału w doprowadzeniu tych bandytów (jak ich nazywali) do wymiaru sprawiedliwości. Jeszcze bardziej dumni byli z tego, że słynna kobieta pirat, Annę Bonny, rozpoczęła swoją karierę od Karoliny. W odpowiednich momentach wzdychałam z należytym oburzeniem i przewracałam oczami oraz robiłam, co mogłam, żeby wyrazić moje zdumienie dla tak nienormalnego zachowania, cały czas zastanawiając się, co by ci dobrzy ludzie zrobili, gdyby dowiedzieli się, że właśnie goszczą u siebie jeszcze jedną taką kobietę.

Robiliśmy świetne interesy wszędzie, gdzie dotarliśmy. Nie tylko

w miastach, ale również na plantacjach, które rozrastały się nad zatoczkami wzdłuż wybrzeży Karoliny. Plantatorzy nie byli wcale mniej gościnni. Zapraszali nas do siebie na kolacje oraz wydawane przez siebie przyjęcia i bale. Obecność kobiet oraz dżentelmeński wygląd Brooma sprawiały, że nikt nie podejrzewał, kim naprawdę jesteśmy, oraz pozwalały nam żądać wysokich cen za skradzione przez nas dobra.

Następnie popłynęliśmy do Baltimore oraz Nowego Jorku. Oba porty okazały się bardziej prozaiczne od Charlestown, podobnie jak mój stary Bristol, jednak na ulicach i w dokach nie było śladów przeszłości. Panowała tam atmosfera nowości, co było obiecujące. Miałam wrażenie, że można tam było przyjechać jako jedna osoba i szybko przeistoczyć się w kogoś innego.

Po przyjeździe do Nowego Jorku Broom rozwiązał załogę. Lupy zostały podzielone. Każdy marynarz otrzymał swoją część zgromadzonych pieniędzy, co stanowiło znacznie więcej niż obiecano w Statutach 1000 funtów. Odebrawszy swoje, marynarze rozpierzchli się jak szczury uciekające z płonącego statku. Ci, którym marzyło się zostać na lądzie, powędrowali w górę rzeki Hudson, ponieważ w Ameryce było dużo ziemi na sprzedaż, a za zdobyte pieniądze mogli jej kupić całkiem sporo. Inni udali się na północ: na Rhode Island albo do portów New Haven, Boston, Salem, Nantucket lub New Bedford, żeby kontynuować żeglarskie życie przy połowie ryb, wielorybów, uczciwym handlu lub z powrotem jako piraci. Jednak większość nie dotarła dalej niż do wybrzeża Nowego Jorku. Wrócili do nas po tym,

jak wydali wszystkie pieniądze na alkohol albo przegrali w jakiejś jaskini hazardu, albo też zostali okradzeni przez nowojorskie ulicznice, które uprawiały swój zawód na Petticoat Lane.

Wynajęliśmy pokoje u pewnej wdowy w ładnym, dużym domu z gontami w stylu holenderskim przy Pearl Street. Broom powiedział, że potrzebuje czasu do negocjacji warunków sprzedaży statków, które przestały mu być już potrzebne. Poza tym miał interesy do załatwienia. Pelling zaczął narzekać. Od przebywania w jednym miejscu robił się nerwowy. Ja byłam zmęczona udawaniem i tak samo jak on zrobiłam się nerwowa. Nie mieliśmy żadnych wiadomości o Brazylijczyku i Broom zaczął lekceważyć moje sny oraz niebezpieczeństwo z jego strony, jednak ja nie podzielałam jego zdania. Byłam pewna, że Bartholome jest niedaleko, że grasuje na wodach u wybrzeży Ameryki. Bez problemu mógł każdego dnia przyплыnąć do Nowego Jorku i zacumować obok naszych statków. Ja byłam zmęczona udawaniem kogoś innego, ale Minerva była już bliska buntu. Nie znosiła spojrzeń i szeptów, które prowokowała jej obecność. Mówiła, że czuje się jak zwierzę wzięte z menażerii i prowadzone przeze mnie na łańcuchu. W Nowym Jorku było wielu kolorowych, zarówno niewolników, jak i wolnych, ale byli traktowani jak istoty gorszej kategorii, tak samo jak w koloniach na Południu.

– Mam już tego dość – powiedziała do mnie. – Mogłabym kupić ten dom razem z jego wyposażeniem, a mimo to ta kobieta traktuje mnie, jakbym była służącą, choć bardzo dobrze wie, że nią nie jestem. Myślę o tym, żeby wrócić na statek.

Patrzyła przez okno na statki przywiązane u brzegu rzeki,

koncentrując spojrzenie na jednomasztowcu przycumowanym tuż pod naszymi oknami.

– Co mam powiedzieć Broomowi?

– Powiedz mu, co chcesz. Ale właśnie taki mam zamiar. – Nagle odwróciła się i obdarowała mnie cudownym uśmiechem. Już dawno nie widziałam jej tak radosnej.

– Pomogę ci się spakować – powiedziałam.

– Nie ma takiej potrzeby. – Jej uśmiech stał się jeszcze barł dziej promienny. – Chyba nie sądzisz, że pójdę w tym? – Rozpostarła szeroką spódnicę swej sukni z jedwabiu. – Na statku jest mnóstwo ubrań. A jeśli będę potrzebowała jakichś ozdób, to| zawsze mogę pożyczyć od Vincenta.

Vincent mieszkał na pokładzie jednomasztowca. Podczas nieobecności Brooma pełnił obowiązki kapitana. Minerva zamierzała mnie opuścić i powrócić do męskich ubiorów. Usiadłam na łóżku, czując się nagle samotna. Po raz pierwszy od wielu miesięcy miałam zostać sama.

– Chciałabym odejść z tobą.

– Nie możesz. Broom nigdy ci na to nie pozwoli. Poza tymi nasza gospodyni by cię rozpoznała. Cumujemy tuż pod oknem | jej salonu.

– A ciebie nie pozna? – Poczułam się dotknięta, a nawet| zazdrosna.

– Ja jestem bezpieczniejsza. Na marynarza Mulata nie zechce nawet rzucić okiem. Nie patrz tak! – Objęła mnie i przytuliła do siebie. – Będziesz za mną tęsknić?



– Oczywiście!

– Głowa do góry. – Dotknęła mojego podbródka palcem. – A teraz uśmiechnij się. Tak już lepiej. Ja też będę za tobą tęsknić.

Ale jeśli tak rzeczywiście było, to nie pokazywała tego po sobie. Gdy ją ponownie zobaczyłam, była ubrana jak marynarz i podawała się za starego znajomego Vincenta Jupitera Jonesa, dopiero co spotkanego w tawernie. Wchodząc do portu, oboje połamali mi ręką i posłali całusy w stronę mojego okna. Byli równego wzrostu i tworzyli dobraną parę. Szli zgodnym krokiem, byli podobnie ubrani, oboje mieli złote kółka w uszach, a kręcone włosy związała czerwonymi wstążeczkami z tyłu głowy. Minerva wyglądała bardzo atrakcyjnie w niebieskim płaszczu o złotych błyszczących guzikach i szkarłatnych wyłogach, który pożyczyła od Vincenta. Widziałam, jak razem idą do miasta. Głowy pochylili ku sobie, pochłonięci beztróską rozmową. Wiele bym dała, żeby móc do nich dołączyć.

Ale zostałam sama, samotna i uwięziona niczym księżniczka w wieży. Na pokładzie jednomasztowca dostrzegłam Charliego, chłopaka pokładowego, jak odprowadza ich ponurym wzrokiem, czekając na powrót Vincenta jak pies przywiązany do płotu.

Jedna pora roku przechodziła w drugą. W ciągu dnia panował upał, smród z ulicy i znad rzeki był dojmujący, ale ranki niosły już w sobie zapowiedź zimy, a nad rzeką kłębiła się mgła. Na pokładzie jednomasztowca Vincent był siny z zimna. Pewnego dnia poszłam z Broomem na jedną z jego codziennych inspekcji i zastaliśmy zziębniętego Vincenta, owijającego się w płaszcz. Pół nocy spędził na

pokładzie. Ani on, ani Minerva nie byli przyzwyczajeni do tego klimatu. Bardzo chcieli wrócić na piracki szlak. Obawiałam się, że mogą odpłynąć sami, jeżeli Broom zostanie jeszcze dłużej w Nowym Jorku.

– Pewnego dnia będzie z ciebie świetny kapitan, mój chłopcze – powiedział Broom po jednej z inspekcji, klepiąc Vincenta w ramię. – Nikt nie jest od ciebie lepszy w dbaniu o statek ani w boju. Najlepszy strzelec wyborowy, jakiego spotkałem – odwrócił się do Minervy. – Poza tą dziewczyną. O statek dbasz lepiej niż ja. I jesteś lojalny. Czegóż więcej może chcieć kapitan?

Gdy Vincent patrzył na Minervę, jego przystojną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Wątpiłam w jego lojalność wobec kapitana. Broom musiał skompletować załogę jak najszybciej, bo inaczej pewnego ranka mógł odkryć, że jego jednomasztowiec odpłynął.

Według Pellinga Broom wystawiał się na ryzyko. Prędzej czy później ktoś go dorwie, ale kapitan jeszcze nie chciał się ruszyć. Właśnie kupował nowy szkuner i jeśli nie było go w stoczni, to spędzał czas w tawernach na Wall Street, gdzie popijał rumowy poncz, palił tytoń z Long Island, omawiał interesy z nowymi partnerami lub negocjował kupno ziemi. Miasto rozrastało się na północ przez Manhattan w kierunku Nowego Haarlemu. Nam również radził zainwestować pieniądze albo przynajmniej zostawić nasze udziały u holenderskiego bankowca Fredricka Brandta.

– Nie ma sensu zakopywać ich w piasku, jak to zrobił Kidd, albo włóczyć się z nimi, żeby ktoś mógł je zwędzić, albo czekać, aż

wylądują na dnie morza.

Tak Broom powiedział do mnie, a ja powtórzyłam jego słowa Minervie. Postanowiłyśmy wspólnie oddać nasze pieniądze do banku. Broom powiedział Grahamowi, aby zrobił to samo, ale lekarz nie był do końca przekonany. Dostrzegał pewne zalety tego rozwiązania, ale bał się zostać oszukany. Po zakończeniu pracy na morzu chciał otworzyć praktykę w Bath, Londynie albo Edynburgu. Domyślałam się, że przede wszystkim zależy mu na bezpieczeństwie jego pieniędzy. Powiedziałam mu, że bank uważam za dobry pomysł. Mój ojciec składał pieniądze u bankierów w Londynie, aby móc łatwiej sięgać po fundusze. Współpraca z bankami była normalną częścią handlu, sposobem na zabezpieczenie pieniędzy oraz uwalnianie funduszy wtedy, kiedy były potrzebne poprzez wystawianie odpowiednich dokumentów.

Postanowiliśmy pójść z Broomem, aby wybadać pana Brandta. Broom na to przystał, ale poprosił, abym ubrała się w najlepsze stroje. Chciał zrobić na bankierze odpowiednie wrażenie. Chodziło mu oto, aby Brandt pomyślał, że jesteśmy zamożni, a ja jestem damą. Powiedział, że to doda mu pewności siebie. Potrzebowałam zatem nowej sukni oraz czepka. Na poszukiwanie takowych wybrałam się do miasta i nabyłam najlepsze rzeczy, jakie mógł mi zaoferować Nowyjork. Bardzo chciałam pójść na zakupy z Minervą, ale przecież nie mogłam zabrać ze sobą młodego marynarza. Gdy zaprezentowałam się Broomowi, wpadł w zachwyty.

– Wyglądasz jak z obrazka, moja droga. Dziewczyna jak

malowanie. Jeszcze tylko załóż to do kompletu.

W wyciągniętej dłoni trzymał naszyjnik z rubinami. Choć z dużą niechęcią, jednak posłusznie go założyłam.

Spotkaliśmy się z Holendrem w prywatnym pokoju jednej z karczm na Wall Street. Brandt był wysokim, chudym mężczyzną w eleganckim stroju składającym się z płaszcza w kolorze gołębiej szarości, bryczesów w tym samym odcieniu oraz wysokich błyszczących butów, nieznacznie tylko zabrudzonych błotem z nowojorskich ulic. Nosił ze sobą laskę, nieskazitelną, świeżo upudrowaną perukę i wyglądał zupełnie jak dżentelmen.

– Aparycja to jeszcze nie wszystko – szepnął do mnie Graham, aleja byłam skłonna zaufać temu człowiekowi. Miał zimne spojrzenie kogoś, kto lubi zbierać i liczyć monety.

Powiedział nam, że ma interesy na całym świecie. Biura w Londynie, Amsterdamie oraz Rotterdamie. Kontakty z kupcami w Whydah i Kapsztadzie w Zachodniej Afryce oraz w Bombaju, Madrasie i Batavii.

– Można powiedzieć, że moje interesy są ogólnoświatowe. – Brandt utkwiał w nas spojrzenie swoich szarych oczu. – I uważam, że to samo może się stać z państwa pieniędzmi. U mnie będą bezpieczne. Moja rodzina zajmuje się bankowością od wieków. Przyjmujemy pieniądze od każdego: królów i książąt, kupców i przedsiębiorców, złodziei i korsarzy. – Zaśmiał się, jakby nie widział między nimi żadnej różnicy. – Nie obchodzi nas, od kogo pochodzą ani jak zostały zdobyte. – Rozłożył swe blade dłonie. – Liczą się tylko pieniądze.

Jeśli zechcą państwo powierzyć mi swoje, obiecuję, że dobrze o nie zadbam. Czy doszliśmy do porozumienia?

– Jedną chwileczkę – powiedział Broom.

Brandt zostawił nas, abyśmy mogli się naradzić, ale dyskusja była krótka. Czy mieliśmy jakiś wybór? Mogliśmy albo powierzyć pieniądze temu człowiekowi, albo zakopać je w piasku, jak wcześniej zauważył Broom. Zatem wezwał bankowca.

– Świetnie. – Brandt podał rękę każdemu z nas. – Mam już przygotowane stosowne dokumenty. Będę chronił państwa interesy, ponieważ od tej chwili są również moimi. Kapitanie Abraham, chciałbym jeszcze zamienić z panem słówko na osobności.

Graham i ja zaczęliśmy na ulicy.

– Cóż, Nancy – powiedział Broom, gdy znaleźliśmy się z powrotem na Pearl Street. – Wygląda na to, że jestem ci winien przeprosiny. Brandt mi powiedział, że pewien brazylijski plantator, niegdysiejszy bukanier, szaleńczo poszukuje niejakiej panny Kington, urodziwej angielskiej dziedziczki, ostatnio zamieszkałej na Jamajce, która została uprowadzona przez piratów i podobno przebywa na statku pod rozkazami niejakiego kapitana Brooma.

– Proszę, weź go. – Zdjąwszy naszyjnik, podałam go Broomowi. Już sama wzmianka o Brazylijczyku przyprawiła mnie o takie same dreszcze, jak wtedy gdy pierwszy raz nałożył rubiny na moją szyję. Potarłam ramiona i przyspieszyłam kroku. – Co teraz zrobimy?

– A co zwykle robimy w takich momentach? Stawiamy żagle, moja droga. Stawiamy żagle! Pieniądze oddaliśmy w depozyt, więc nasze

interesy tutaj są już zakończone. Pora opuścić Nowy Jork.

Vincent przejął w swoje władanie nowy szkuner i już szykował go do drogi. On też miał nam coś do zakomunikowania i nie była to dobra wiadomość. Charlie, który ostatnio był opryskliwy, zachowywał się buntowniczo i odmawiał wykonywania rozkazów, teraz przepadł. Vincent obawiał się, że chłopak poszedł donieść na nas władzom. Byłam tak pewna, że ma rację, że niemal spodziewałam się usłyszeć ciężkie kroki milicji wchodzącej do doków. Nawet jeśli uda się nam uciec, to nasz tajemnica już została odkryta. Broom był kapitanem pirackiego statku i miał dwie kobiety na swoim pokładzie. Było wiadomo, że dokonujemy grabieży. Wieść o tym rozejdzie się wzdłuż całego wybrzeża, będzie znana w każdym porcie, do którego zawijają statki.

Opuściliśmy Nowy Jork wraz z najbliższym odpływem. W samą porę. Niedaleko Sandy Hook u wybrzeży Jersey zobaczyliśmy ciemny statek. Czekał na przyływ, aby zawinąć do portu Manhattan. Przyjrzeliliśmy się mu z oddali, przepływając szybko na naszym nowym szkunerze. Nie wiadomo, czy nas dostrzeżono, ale to był jego statek. Byłam tego pewna. Statek był czarny. Właśnie dlatego nie widziałam go w moim śnie.

Byłam teraz bardzo zadowolona, że Broom zamienił trójmasztowiec na szkuner, ponieważ nikt jeszcze go nie znał i potrafił rozwinąć dużą szybkość. Pelling początkowo nie pochwalał tej zamiany. Mówił, że szkuner jest zbyt mały, ma za mało dział i nie dość miejsca dla załogi i zapasów, potrzebnych w dłuższej podróży. Teraz musiał odszczekać swoje słowa. Dzięki swym opływowym kształtom nasz nowy statek przypominał potężną rybę. Od samego początku Broom był z niego bardzo dumny. Kadłub został wykonany z dębu amerykańskiego, dwa maszty z białej sosny, a każdy z nich powstał z jednego, wysokiego drzewa, aby posiadać wytrzymałość i elastyczność. Jego wybór okazał się słuszny i to ogromnie go radowało. Nikt nie mógł uwierzyć, że szkuner potrafi pruć wodę z taką szybkością. Broom nazwał go „Swift Return”.

– Przed tymi żaglowcami jest przyszłość, Pelling. Zapamiętaj moje słowa. Są warte każdego wydanego na nie pensa. – Promieniał zadowoleniem, spacerując po lśniącym pokładzie. – Poczekaj, a sam zobaczysz. To ideał. Szczególnie w naszej obecnej sytuacji. Niech nas teraz gonią! Nikt nam nie dorówna na otwartym morzu.

Mieliśmy kilku nowych członków załogi, zatrudnionych przez Vincenta, który zbierał ludzi jeszcze przed nowiną Brandta i zniknięciem Charliego. Obszedł portowe tawerny, zgarniając kogo tylko zdołał znaleźć ze starego składu oraz dobierając nowych. Nie wszyscy z nich wiedzieli, że jesteśmy piratami. Broom postanowił

powiedzieć im dopiero na pełnym morzu. Każdy, kto by nie podpisał się pod Statutami, miał być wysadzony na brzeg w pierwszym porcie. Okazało się, że wszyscy podpisali. Vincent dokonał dobrego wyboru.

Minerva i ja nie pełniłyśmy wspólnych wacht, ale zawiesiłam swój hamak obok niej, tak jak poprzednio. Boleśnie odczuwałam brak jej towarzystwa po tym, jak zostawiła mnie w Nowym Jorku. W czasie naszej pierwszej wolnej od wachty nocy rozmawiałyśmy do późna o tym, jak szczęśliwie udało się nam uciec oraz o tym, co się zdarzyło w Nowym Jorku, gdy byłyśmy osobno. Broom wytyczył kurs na Indie Zachodnie i Minerva się z tego cieszyła. Powiedziała, że tamtejszy klimat będzie dla niej lepszy i że na północy było za zimno.

Po pewnym czasie wyczerpały się tematy do rozmowy. Rozmawiałyśmy o wielu rzeczach, jednak leżąc w ciemnościach i wsłuchując się w skrzypienie desek oraz plusk wody, pomyślałam, że właściwie nie powiedziałyśmy sobie nic. Marzyło mi się zapytać ją o Vincenta, o to, co robili w czasie wspólnych wypadów do portu. Coś się między nimi zmieniło, było to widać gołym okiem. Stali się sobie bliżsi. Tak bliscy jak brat i siostra. A nawet bliżsi.

I właśnie o to, jak bliscy, chciałam ją zapytać, ale się wahałam. Od reszty załogi nie oddzielał nas żaden mur, jedynie cienkie płótno. Nie wiadomo było, kto mógł nas podsłuchiwać z drugiej strony. Poza tym mogła nie chcieć mi powiedzieć. Rzadko ujawniała swoje uczucia przed innymi. Moje deliberacje zajęły dużo czasu. Równy oddech Minervy świadczył o tym, że zasnęła. A może tylko udawała, zastanawiając się, o czym ja rozmyślam. Odwróciłam się od niej i



spróbowałam zasnąć. Za kilka godzin miałam rozpocząć wachtę.

Znajdowaliśmy się w Cieśninie Florydzkiej, na północ od Kuby. Od pewnego czasu utrzymywała się ładna pogoda. Broom jeszcze nie powiedział nikomu, nawet Vincentowi, któredy zamierza płynąć. Mat był zmartwiony. Właśnie rozpoczynała się pora huraganów i nie był to najlepszy moment do wyruszania w rejs. Na oceanie powstawały olbrzymie sztormy. Towarzyszyły im wiatry, które mogły zrównać lasy z ziemią, oraz deszcze, które mogły zmyć zbocza górskie i zniszczyć całe obszary tak, jakby szalało nad nimi jakieś rozzłoszczone bóstwo. Widziałam szkody wyrządzone przez huragany na Jamajce. Bałam się myśleć, jak to może wyglądać na morzu. Niektórzy członkowie załogi opowiadali ściszymi głosami o jasnym dniu zamienionym w najczarniejszą noc, o falach tak wysokich, że wyglądały niczym góry z zielonego szkła, o spienionych wodach przewalających się z jednej strony świata na drugą, o strugach lejących się z nieba i słupach wody wysysanych przez powietrzne wiry. Każdemu statkowi złapanemu przez huragan na otwartym morzu groziło, że zostanie roztrzaskany na drzazgi i zatopiony w głębinach. Krążyły, historie o całych flotach i konwojach, które przepadły i nawet najmniejszy ślad po nich nie został.

Poranną wachtę pełniłam z Vincentem i obserwowałam jego narastający niepokój. Ranek wstał bezchmurny, zapowiadając pogodny dzień, ale Vincent stanął na przedzie statku i chodził od jednej burty do drugiej, przyglądając się badawczo wodzie, znikającej pod dziobem. Morze miało kolor ciemnej zieleni zabarwionej fioletem

i poruszało się w dziwny sposób. Masywne, oleiste fale, wolno, ale nieprzerwanie przybierały na sile i coraz bardziej szarpały naszym żaglowcem.

– Nie podoba mi się to – powiedział Vincent, spoglądając najpierw na niebo, a potem na żagle, żeby sprawdzić kierunek wiatru.

Wiatr był silny, ale nie przesadnie, jednak jego kierunek nie zgadzał się z ruchem fal.

– Popatrz tam. – Skierował lunetę na stado ptaków lecących tak wysoko, że nie słyszeliśmy ich odgłosów. Małutkie punkciki krążyły i zawracały bezładnie na niebie niczym drobiny popiołu unoszone przez ogień.

– Jesteśmy niedaleko lądu – zauważyłam. – Na wschód albo zachód, albo południe od nas...

Pokręcił głową zniecierpliwiony.

– To nie są ptaki morskie. To ptaki wędrowne. Coś im przeszkodziło w ich normalnym kursie. – Złożył lunetę i zawołał: – Na górę! Skrócić topżagiel! Postawić czołowy i rufowy.

Marynarze natychmiast wspięli się na ożaglowanie, spiesząc się, aby zwinąć płótno. Chodziło o to, żeby zmniejszyć powierzchnię, w którą mógł uderzyć wiatr. To znacznie wyhamowało prędkość statku. Zaniepokojony Broom wyszedł ze swojej kajuty, pytając, co się, u licha, dzieje.

– Nadchodzi sztorm, kapitanie – odpowiedział Vincent. Broom skrzywił się z niedowierzaniem, jednak zanim zdążył coś powiedzieć, statkiem szarpnął nagły poryw wiatru.

– Na Boga, chyba rzeczywiście masz rację!

– Niech pan tam spojrzy, kapitanie! – krzyknął jeden z marynarzy z głównego jardu top masztu. Gdy wypowiadał te słowa, wiatr zdmuchnął jego kapelusz i rzucił go na wznoszące się fale. Marynarz zawołał jeszcze raz, ale wiatr porwał i zniekształcił jego słowa i do nas doleciały jedynie nic nie znaczące sylaby. Wiatr przybierał na sile z minuty na minutę, jęczał i zawodził na ożaglowaniu niczym jakiś złowrogi duch. Marynarze w górze przywarli do jardu i rękami pokazywali długi, czarny kształt nadciągający od południa. Choć przypominał ląd, wiadomo było, że tam nie ma żadnego.

– Skróć żagiel! – wrzeszczał Broom, próbując przekrzyczeć narastający ryk huraganu. – A wy tutaj postawić jardy! Żywo! – Przechylił się przez mostek kapitański, patrząc, jak wszyscy rzucają się do wykonywania rozkazów. – Zdążymy uciec. Sternik! Na sterburtę! Módlcie się do wszystkich bogów, jakich znacie, chłopaki. Zobaczymy, na co stać nasz szkuner!

Tego dnia Broom miał dowieść swoich umiejętności żeglarskich. Miał różne wady, ale wiedział, jak żeglować. Nieraz załoga sprzeczała się z nim lub na niego narzekała, ale nikt w niego nie wątpił. Wszyscy pracowali z najwyższym wysiłkiem i bezgranicznym posłuszeństwem. Zamierzał, a my wraz z nim, stawić czoło pogodzie z taką samą zuchwałą pyszałkowatością, jaka cechowała go jako pirata, jednak nadciągający sztorm zapowiadał się jako niespotykane gwałtowny, niemalże niemożliwy do przeżycia.

Wiatr dał z południa, popychając nas niczym ogromna dłoń.

Wszyscy zażarcie walczyliśmy z jego przewagą, zwijając żagle.

– Kapitan kieruje się na Bahamy – krzyknął mi do ucha Vincent. – Tam możemy znaleźć schronienie.

Kiwnęłam głową na znak, że go usłyszałam. Nie chciałam tracić energii na wypowiedanie słów. Wiatr wył, jakby ktoś wypuścił na nas z piekła wszystkie demony. Niebo nad nami było czarne jak w nocy. Morze zamieniło się w spienione, rozszalałe masy. Powietrze było pełne rozbryzgującej się wody. Co jakiś czas błyskawice rozświetlały odwrócony do góry nogami świat. Gdy szkuner wspinał się na kolejną pionową falę, pokład uciekał nam spod nóg. Na szczycie każdej z fal statek zdawał się unosić niczym dryfujący wrak, po czym spadał gwałtownie w tak straszną przepaść, że wszystko traciliśmy z oczu. Z każdej strony otaczała nas ściana tak czarnej kipieli, jakbyśmy wpadli w głębiny, z której nigdy nie mieliśmy dojrzeć nieba. Sparaliżowana siłami natury oraz własnym przerażeniem, przywarłam do zwoju lin, niezdolna do najmniejszego ruchu. Myślałam, że utonę. Ogromne fale najpierw wysysały powietrze nade mną, a po sekundzie rozbijały się i stawały strumieniami spienionej wody. Zatłoczony pokład nagle opustoszał. Zniknęło wszystko, co nie było do niego przywiązane. Pełne beczki oraz ciężkie skrzynie przeleciały przez burzę, jakby nie ważyły więcej od wiader lub ptasich klatek.

Pod naporem wiatru i fal potężne maszty wygięły się jak łuki, grożąc pęknięciem na dwoje albo wyrwaniem z pokładu. Minerva była wśród marynarzy wysłanych na górę do pracy na jardach tak śliskich jak szkło i na linach wijących się jak żywe węże. W czasie,

gdy szkuner szarpał się, rzucał na boki, wznosił się i opadał, Minerva walczyła razem z innymi, aby zwinąć wielokrotnie cięższe niż zwykle, bo napite wodą żagle. Cały czas atakowały ją porywy huraganu, które w każdej chwili mogły ją porwać z jardu i rzucić w kotłujące się wiry, gdzie niechybnie by zginęła. Z dołu nie widzieliśmy, jak ona lub pozostali sobie radzą; nie słyszeliśmy nawet krzyków tych, którzy spadli w morską otchłań. Ona jest zwinna, silna i do mnie wróci, powtarzałam w myślach, modląc się o bezpieczeństwo dla niej oraz innych tam w górze.

W pewnej chwili w sterburtę uderzyła potężna fala, spychając statek z kursu, jakby trzepnęła go jakaś ogromna łapa. Nagle pokład usunął się spod moich stóp i stanął pionowo. Skamieniałam z grozy, gdy zobaczyłam, jak burta po przeciwnej stronie ginie pod powierzchnią wody. Statek przechylił się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Zaleje nas, wszyscy zginiemy, przemknęło mi przez myśl. Serce przestało mi bić, ale wtedy wolno, bardzo wolno szkuner wrócił do właściwej pozycji. Wydając z siebie ogromny syk, morze wyzwoliło go ze swoich objęć. Statek ponownie uniósł się na powierzchni, jakby zrobiono go z korka.

Przerażona czekałam na atak następnej fali. Okazało się jednak, że chociaż statek mocno przechylił się na jedną stronę, to jego bok nie dotknął powierzchni wody. Sztorm szalał nadal, ale jego moc stopniowo malała i każde następne uderzenie było słabsze od poprzedniego. Statek nadal unosił się i gwałtownie opadał, ale pokonywał fale. Nawet uporczywy ryk wiatru w końcu przycichł i

można było usłyszeć krzyki i nawoływania ludzi.

Kolejno z ożaglowania zaczęli zeskakiwać marynarze. Wśród nich była również Minerva. Ruszyłam w jej kierunku, ale Vincent był szybszy. Podał jej rękę, żeby mogła wstać. Gdy ugięły się pod nią kolana, złapał ją, objął i przytulił jej głowę do ramienia. Otarł wodę z jej twarzy i odgarnął włosy, które wysunęły się spod czapki. Wpatrywał się w nią, uśmiechając się z ulgą, że nic się jej nie stało. Przez sekundę myślałam, że ją pocałuje, ale tego nie zrobił. Prawdopodobnie uznał, że nie był to najlepszy moment, jako że otaczali ich marynarze. Odsunął ją od siebie na odległość ramion i trzymając za barki, wpatrywał się w nią, jakby była kruchym przedmiotem, który dostarczono mu bez żadnego uszkodzenia. Gdy popatrzyłam na wyraz twarzy Minervy, otrzymałam odpowiedź na pytania, które chciałam jej zadać poprzedniej nocy. Vincent coś do niej powiedział, a ona kiwnęła potakująco głową. Wydawało się, że dla nich przestał istnieć otaczający świat. Chaos wywołany sztormem, podarte żagle, połamane drzewce, wyczerpani i ranni ludzie – nic dla nich nie istniało.

– Panie Crosby! – Obudził ich głos Brooma dobiegający z mostka kapitańskiego. – Jeśli można pana prosić na chwilę! Statek miał niewielkie kłopoty. Trzeba się wziąć do pracy. Panno Kington! Może zechce pani odprowadzić pannę Sharpe!

Vincent i Minerva rozejrzeli się wokół siebie, jakby dopiero budzili się ze snu. Ich zakłopotanie wywołało słaby śmiech załogi. Podeszłam do Minervy, żeby pomóc jej zejść pod pokład.

Zaprowadziłam ją do naszej kwatery, ponieważ obie byłyśmy wycieńczone i przemoczone do nitki. Byłyśmy zadowolone z ciemności i odosobnienia, jakie zapewniało nasze miejsce pod pokładem, ponieważ żadna z nas nie mogła opanować drżenia. Przyłgnęłyśmy do siebie i wylałyśmy nie przystojące piratom łzy ulgi i radości, że obie żyjemy. Minerva była tak samo przerażona jak ja, ale nie mogła okazać strachu ani nawet przyznać się do niego. Najdrobniejsze załamanie nerwowe w górze oznaczało śmierć. Za to teraz tama pękła i wybuchły emocje. Obejmowałam ją, a ona wyplakiwała się w moje ramię, ja zaś w myślach łajałam się za to, że byłam zazdrosna o bliskość, jaka wytworzyła się pomiędzy nią a Vincentem.

Broom rozkazał rozpalić w piecach pod pokładem, aby można było wysuszyć pościele oraz odzież. Załodze pozwolono odpocząć. Minerva usnęła. Patrząc na jej twarz, rozmyślałam o niej i o Vincencie. Najprawdopodobniej byli kochankami. To sprawiło, że przypomniałam sobie, jaka jestem samotna, i zatęskniłam za Williamem. Przekonałam samą siebie, że gdybym tylko mogła mu wytłumaczyć, dlaczego wiodę takie życie, wtedy z pewnością by mi uwierzył, wybaczył i prawdopodobnie kochał jeszcze bardziej niż przedtem. Jednak w głębi serca wcale nie byłam przekonana, że to możliwe. Równie dobrze mógł się mnie wyrzec. Rozmyślałam o tym w czasie, gdy statek żeglował ku spokojniejszym wodom. Abe Reynolds obszedł wszystkich z miarkami rumu dla rozgrzania i pokrzepienia. Popijałam swój przydział, leżąc w hamaku. Już sama

myśl o tym, że mogłabym być z Williamem, opowiedzieć mu o wszystkim, co mi się przydarzyło, sprawiła, że kochałam go bardziej.

Znajdowaliśmy się pomiędzy wyspą Andros a Wielką Bahamą.

Mężczyźni wypili swój rum i każdy, kto chciał więcej, mógł go dostać, ale ucztowanie odłożono do czasu wpłynięcia do portu. Wiatr był słabszy, ponieważ osłaniał nas ląd, ale niebo na zachodzie nadal było złowróżbne; nierówne strumienie światła wypływały z czarnej, spiętrzonej chmury niczym sztandary unoszone przez jeźdźców. Gdyby wiatr nagle skręcił, znowu znaleźlibyśmy się w oku sztormu. Musieliśmy jak najszybciej znaleźć bezpieczną przystań.

Najbliższym portem było Nassau na New Providence.

W normalnych okolicznościach żaden pirat nie wpłynąłby do Nassau. Niegdyś ten port był rajem dla piratów, ale Woodes Rogers zrobił czystkę i zaprowadził nowe porządki. Szeroko zakrojone aresztowania oraz masowe egzekucje uczyniły z tego miejsca cmentarz dla wszystkich rabusiów morskich, jednak nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko tam dopłynąć. W czasie sztormu amerykański szkuner dowiódł swej wytrzymałości i podbudował pewność siebie Brooma. Każdy starszy lub cięższy żaglowiec poszedłby na dno. Jednak jeden z masztów został uszkodzony. Żagle były podarte i wymagały załatania. Poniżej powierzchni wody zrobiła się szczelina, więc trzeba było nieustannie wypompowywać wodę, ludzie zaś potrzebowali odpoczynku. Gdyby uderzyła w nas kolejna nawałnica, nie uszlibyśmy z życiem.

Musieliśmy znaleźć port, co do tego nie było żadnych wątpliwości,



jednak gdybyśmy wiedzieli, jaki los nas czeka, ryzykowalibyśmy życie na morzu.

Gdy wpływaliliśmy do Nassau, było już po burzy. Nie byliśmy jedynymi, którzy zawinęli tam w poszukiwaniu schronienia. Na wodach przystani unosiły się statki wszelkiego rodzaju: fregaty, brygantyny, jednomasztowce. Powiewały na nich flagi co najmniej sześciu różnych państw. Wcisnęliśmy się na swoje miejsce do cumowania, gdy dzień już chylił się ku zachodowi. Wśród członków załogi wyczuwało się wyraźne podniecenie. Po zabezpieczeniu statku oraz wystawieniu wachty, Broom miał pozwolić mężczyznom wyjść do portu. Miało rozpocząć się świętowanie.

Zadzwonił w pokładowy dzwon, aby przywołać wszystkich do siebie.

– Każdy statek jest tak dobry, jak ludzie, którzy na nim pracują. Gdyby nie wasz wysiłek, na pewno byśmy zatonęli. – Z kieszeni wyciągnął sakiewkę i potrząsnął monetami. – Dziękuję wam i zapraszam do spróbowania wszelkiej rozrywki, jaką to miasto ma do zaoferowania!

Ktoś zaproponował trzykrotną kolejkę i jeden po drugim rozległy się gardłowe okrzyki aprobaty. Broom stał na mostku z rękami na barierce i śmiał się do nich. Był sprawiedliwym i hojnym człowiekiem. Większość jego ludzi wcześniej służyła pod rozkazami kapitanów, którzy nie mieli dla nich nic poza przekleństwami, chłostą i pogardą. Broom był inny. Wynagradzając ich ciężką pracę, zaskarbiał sobie ich lojalność, a nawet miłość.

Mężczyźni zamienili zniszczone ubrania pokładowe na ubiory, które trzymali na wyjścia na ląd. Broom nałożył wyszukany strój i poszedł z nimi, pozostawiając na statku zaledwie kilku członków załogi: Jessopa od żagli, Joby'ego jako jego pomocnika oraz cieślę Gabe'a, ponieważ było dużo pracy przy naprawianiu szkód i zniszczeń wyrządzonych przez sztorm.

Minerva i ja również zostałyśmy na pokładzie. Stałam przy burcie i patrzyłam na czarne wody przystani. W ich tafli odbijały się światła z okien oraz otwartych drzwi zabudowań wzdłuż nabrzeża, sprawiając wrażenie, jakby pod wodą znajdowało się drugie miasto. Pomyślałam o Port Royal i przypomniałam sobie historię, którą kiedyś opowiadał mi ojciec. W czasach bukanierów połowa miasta osunęła się do morza w wyniku okropnego trzęsienia ziemi. Kara boża, orzekli niektórzy, dla najbardziej grzesznego miejsca na ziemi. Pomyślałam o zatopionym mieście, o kościelnych dzwonach bijących w niespokojnych nurtach. Zdawało mi się, że tamto miasto mnie wzywa.

– Co ci jest? – Minerva podeszła, żeby oprzeć się o barierkę przy moim boku.

– Sama nie wiem – odrzekłam. Choć brakowało mi słów na określenie stanu moich uczuć, spróbowałam go jakoś opisać. Otarłyśmy się o śmierć i to doświadczenie pozostawiło swój ślad. Mogłam już być martwa i spoczywać na dnie morza. Tak samo Minerva. Miejsce ulgi zajęły jakieś inne, dziwne uczucia. Jakby melancholia z odcieniem niefrasobliwości.

Minerva słuchała mnie, marszcząc czoło. Gdy skończyłam,

powiedziała:

– Powinnyśmy się wybrać do miasta.

– Ubrane jak mężczyźni?

Męskie przebranie było przeznaczone do noszenia na statku. Aż do tej pory.

– Oczywiście. Dlaczego nie? Ja wychodzę poza statek jako Jupiter Jones. Ty możesz się nazywać... – zrobiła pauzę – ... Davey. Davey Gordon.

– Ale co mam na siebie nałożyć? – Miałam tylko roboczy ubiór, sztywny od soli i pachnący smołą.

Uśmiechnęła się, a w jej oczach zapaliły się figliki.

– Chodź ze mną. Przeszukamy kufer Vincenta.

– Nie będzie zły?

Uśmiechnęła się.

– Sam to zaproponował.

Vincent był takim samym dandysem jak Broom i jego kufer był po brzegi wypełniony najwykwintniejszymi strojami, pochodzącymi z ograbionych statków. Po przejrzeniu jego skarbów Minerva wybrała dla mnie marynarkę, kamizelkę z ciemno-śliwkowego aksamitu, koszulę z kremowego jedwabiu, bryczesy z czarnej satyny, białe kolanówki oraz czarne buty ze srebrnymi klamrami.

– Wyglądasz świetnie, naprawdę – powiedziała, gdy przetykałam sznurowadła w butach.

Potem przyszła kolej na mnie. Poprosiłam, żeby nałożyła niebieski płaszcz z czerwonymi wyłogami, ponieważ podobał mi się najbardziej

ze wszystkich. Do tego białe bryczesy, koszula ze śnieżnobiałej satyny z koronką na przedzie i długimi mankietami, kolanówki z białej satyny oraz kamizelka z czarnego jedwabiu.

– Jak wyglądam? – zapytała, starając się zobaczyć własne odbicie w małym, popękany, okrągłym lusterku, którego Broom używał przy goleniu.

– Nigdy nie widziałam przystojniejszego mężczyzny – odpowiedziałam z szerokim uśmiechem. – Brakuje ci tylko jednej rzeczy.

Poszłam do mojego kufra i wyjęłam z niego kolczyki z rubinami.

Minerva założyła jeden z nich. Na tle jej skóry nabrał głębokiej barwy, kołysząc się wraz z każdym ruchem jej głowy. Mężczyzna nigdy by się nie ośmielił założyć takiej rzeczy. Minerva wyglądała jeszcze atrakcyjniej. Brazylijczyk mylił się, twierdząc, że tylko na białej skórze ujawnia się pełna doskonałość klejnotów.

– Przystojny, mówisz? Zaraz ci pokażę. – Minerva podała mi drugi kolczyk oraz lusterko, abym w nie spojrzała. – Obie jesteśmy przystojne – powiedziała z uśmiechem.

Gdy się pokazałyśmy na pokładzie, nawet Vincentowi zabrakło słów. Otwierał i zamykał usta, wpatrując się to w jedną, to w drugą. Gdy poprosiłyśmy o pozwolenie na opuszczenie statku, przez chwilę myślałam, że go nie udzieli.

– Wiem, że powiedziałem przebrać się, ale... – Rozłożył ręce.

– A co? – Popatrzyłyśmy na siebie. – Coś się stało?

– Nie. W zasadzie nic się nie stało. – Vincent dużo czasu spędzał z

Broomem i czasami mówił jak on. Zaczął chodzić tam i z powrotem. – Żałuję, że nie mogę pójść z wami, i to wszystko.

– Po co?

– Żeby was chronić, oczywiście.

– Przed czym? – Minerva rozchyliła płaszcz. – Jesteśmy dobrze uzbrojone. Jaki mężczyzna może nam zagrozić?

– To nie mężczyzna a m i się martwię – powiedział, śmiejąc się, i dał nam pozwolenie na opuszczenie statku.

Gdy szłyśmy nabrzeżem, miałam trochę niepewny krok, jakbym była pijana, choć przecież nie tknęłam ani kropli alkoholu. Na wodach przystani kołysały się przycumowane żaglowce. Fale wpływające od strony otwartego morza powodowały, że podzwaniały małe dzwonki pokładowe, a rozhuśtane latarenki migotały w ciemnościach niczym błędne ogniki. Pomyślałam o lustrzanym świecie i znowu dopadła mnie melancholia. Wiatr ustał całkowicie. Była ciepła noc. Na niebie świeciły białe gwiazdy. Podniosłam wzrok, aby rozpoznać konstelacje i pomarzyć o kursie, który poprowadziłby nas z dala od wszystkich i od wszystkiego, do miejsca, w którym mogłybyśmy żyć razem, wolne i bezpieczne.

– O czym myślisz? – zapytała Minerva.

– O, to tak trudno opowiedzieć. – Wepchnęłam dłonie w kieszenie.  
– Myślałam o pewnej piosence. Opowiada o magicznym statku, na którym są liny z jedwabiu, żagle ze srebra, a maszt z drzewa jarzębiny. Myślałam o tym, jak byłoby cudownie wsiąść na taki statek i popłynąć w kierunku słońca, księżyca i gwiazd.

Minerva odwróciła wzrok ode mnie i spojrzała w bok. Na przystań.

– Żałujesz, że twoje życie tak się potoczyło?

Nie odpowiedziałam, ponieważ nie byłam tego pewna.

– Dziwnie ułożyło się nasze życie – powiedziała. – Nie ma co zaprzeczać. Nie jest i nigdy nie będzie uważane za normalne.

– Czasami czuję się samotna – zaczęłam. – Odciełam się od wszystkiego, co znałam. Od wszystkich, którzy byli mi drodzy albo którym ja byłam droga. To mnie przeraża.

– Jak możesz mówić, że jesteś samotna? – Odwróciła się do mnie. Jej twarz srebrzył wschodzący księżyc. – Masz mnie. Kocham cię, Nancy. Jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko przyjaciółką, jesteś jak siostra... – Urwała nagle i spojrzała mi w oczy. Pomyślałam, że powie coś więcej, ale tylko objęła moje ramiona i pociągnęła w kierunku drzwi tawerny. – Chodź, dzisiejsza noc to nie pora na melancholię. Poszukajmy naszych marynarzy.

– Witam młodych panów. – Młoda kobieta obrzuciła nas lustrującym spojrzeniem. – Doprawdy, witam serdecznie!

Chwyciła nas obie za ramiona i poprowadziła do pustego stołu. Była wysoka, miała piękne jasne włosy i twarz anioła, ale w jej niebieskich oczach oraz zarysie ust było coś diabelskiego.

– Jestem Alice. Alice Castle. Jestem właścicielką. Polly! – Usiadłszy z nami, zawołała do innej młodej kobiety. – Przynieś nam tu coś do picia! I postaraj się, żeby to było dobre! – Odchyliła się do tyłu i obrzuciła nas zuchwałym i taksującym spojrzeniem. – Wypijemy z wami, a potem dotrzymamy towarzystwa. Takich miłych przystojniaków jak wy nie widziałam tu od bardzo dawna.

Polly przyniosła rum i przysiadła się do nas. Była młodsza od swojej przyjaciółki. Miała ciemne, gęste i kręcone włosy, jasnoniebieskie oczy i szeroki uśmiech.

– To może teraz się poznamy, co?

Alice przypatrywała się każdej z nas, gdy się przedstawialiśmy.

– Miło mi was poznać, Davey i Jupiter – powiedziała. Ujęła kolczyk Minervy w dłoń. – Ładna błyskotka. – Powiodła palcem wzdłuż linii jej szczęki aż do ust. – Pasuje ci. – Pochyliła się jeszcze bardziej ku Minervie. – Po co być niemiłym? Co musi zrobić dziewczyna, aby usiąść na twoich kolanach? O, tak już lepiej.

Minerva przesunęła się, żeby zrobić jej miejsce. Objęła dziewczynę w talii i szepnęła jej coś do ucha. Alice zachichotała i po przyjacielsku



trzepnęła ją dłonią. Minerva odchyliła głowę i odwzajemniła uśmiech. Kolczyk rozjarzył się pochwyconym światłem. Byłam ciekawa, co też powiedziała tej dziewczynie. Była w tym lepsza ode mnie, ale w końcu miała więcej doświadczenia.

– Ależ ty masz piękną cerę. – Polly dotknęła mojego policzka. – Jaka gładka! Większość dziewcząt oddałaby nie wiadomo co, żeby tylko mieć taką skórę!

Przysunęła się do mnie i włożyła ręce pod mój płaszcz. Odwróciłam głowę, próbując powstrzymać jej dłonie przed dalszą wędrowką.

– Nie podobam ci się? – zapytała.

– To nie to – odrzekłam. – Chodzi o to, że...

– Może – rzuciła okiem na Alice i Minervę, które mi się przypatrywały – wolałbyś kogoś innego.

– Nie! – Pokręciłam głową, odsuwając się od niej. – Skądże. Tylko że my...

– ... jesteśmy już po słowie – pospieszyła mi z pomocą Minerva. – Obaj mamy dziewczyny, które na nas czekają.

– A to wielka szkoda. – Alice popatrzyła na swoją towarzyszkę. – Obaj już po słowie. Tacy młodzi i tacy przystojni. Wielka szkoda dla innych dziewcząt, co, Polly?

Polly pokiwała głową potakująco.

– To się nazywa prawdziwa strata.

– Ale wam zapłacimy – powiedziała Minerva, wyciągając mieszek ze złotymi monetami ze swojej kieszeni. – Escudo. Louis d'or.

Srebrne dolary. Funty. – Rozłożyła monety na stole. – Za rozmowę oraz za wasze towarzystwo.

– Zapowiada się spokojna noc, to pewne. – Alice z uśmiechem zebrała monety. – Jesteś z tego szkunera, który dopiero co zawinął?

Minerva skinęła potakująco.

– Tak myślałam. – Alice puściła oko. – Ubrany jak dandys z kieszenią wypchaną forszą. Zawsze się poznam. – Ponownie napełniła swoją szklankę, a potem Minervy. – Okropny sztorm był dziś rano. Zniszczył statki na przystani i zmiotł rząd domów na skraju miasta. Już się skończył, ale nie zdziwiłabym się, gdyby za nim szedł następny.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy. Musieliśmy poszukać schronienia.

Alice uśmiechnęła się.

– Nie najzdrowsze miejsce dla was, jeśli wolno mi coś powiedzieć. – Rozejrzała się po reszcie gości. – Ale zawsze miło znowu zobaczyć dżentelmenów fortuny. To już nie to samo miejsce, od kiedy ich zabrakło. Calico Jack, Black Bart Roberts, a nawet sam Blackbeard, wszyscy tu do nas zagłądali. A teraz interes kuleje. Myślimy, żeby się przenieść, co, Polly?

Ale Polly nasłuchiwała czegoś innego.

– Słyszycie?

Z zewnątrz dochodził rytmiczny stuk kroków.

– Żołnierze marynarki – powiedziała cicho Polly. – Nikt inny tak nie maszeruje.

Alice słuchała przez chwilę, a potem skinęła głową.

– No, Pol!, skoro nadchodzą żołnierze marynarki, to będziemy potrzebować nowej beczki. Zabierz tych dwóch młodych dżentelmenów ze sobą do piwnicy...

– Tam jest tunel – szepnęła Polly. – Prowadzi prosto na nabrzeże...

Wstała, żeby nas poprowadzić, ale zanim zdołaliśmy odejść, ktoś kopniakiem otworzył drzwi wejściowe. Natychmiast dał się słyszeć hałas odsuwanych krzeseł i przewracanych stołów. Tuzin mężczyzn wstał na równe nogi i rozglądał się, którędy by tu uciec. Uderzenia kolb muszkietów roztrzaskały okiennice. Do sali weszła grupa żołnierzy piechoty morskiej z gotową do strzału bronią.

Na ich czele szedł William. Owładnęła mną całkowita konfuzja.

– Możliwe, że przeprowadzają przymusowy pobór – szepnęła Alice. – Zostawcie to mnie.

Podeszła do Williama, jakby był jeszcze jednym klientem.

– Kapitanie, może zechce pan wprowadzić swoich chłopców do środka. Jest mnóstwo miejsca. – Zwróciła się do żołnierzy o zaciętych twarzach, stojących dwójkami za Williamem. – Czego się napijecie?

– Łaskawa pani, nie przyszliśmy tu dla przyjemności – odrzekł William. – Nie przeprowadzamy też przymusowego poboru. – Rozejrzał się dookoła. – Szukamy piratów i, jak mi Bóg miły, widzę, że ich znaleźliśmy!

Mężczyźni ze statku sięgnęli po swoje pistolety i szable, lecz zanim zdołali je wyciągnąć z kabur czy pochew, poleciał na nich grad kul. Sala wypełniła się odgłosami wystrzałów oraz dymem. Wielu marynarzy padło tam, gdzie stało. Jeden zgiął się wpół, trzymając się

za brzuch, ramię innego zawisło na strzępie skóry. Peter, holenderski kanonier, padł do tyłu z dziurą na środku czoła.

– Broń na stół. – William włożył do kabury jeden wystrzelany pistolet i wyjął kolejny. – Ręce położyć tak, żebym je widział.

Żołnierze rozeszli się po sali. Każdy, kto ociągał się z wykonaniem rozkazów, otrzymywał cios kolbą muszkietu w twarz. Siły Jego Królewskiej Mości traktowały swoją pracę z wielką sumiennością. Minerva i ja zrobiłyśmy, co nam kazano, tak samo jak pozostali.

Słyszając strzały, Broom wybiegł na szczyt schodów, wciągając w biegu bryczesy. Dziewki, z którymi się zabawiał, wychyliły się przez balustradę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Oczy wszystkich skierowały się na Brooma. William również uniósł na chwilę wzrok w górę. Minerva opuściła dłoń i wyciągnęła z buta swój pistolet skałkowy o krótkiej lufie. Trzymając broń pod krawędzią stołu, wycelowała w miejsce tuż pod brodą Williama. Usłyszałam trzask spustu, który w moich uszach zabrzmiał jak huk wystrzału. Jeszcze krok...

William ruszył w kierunku schodów.

Wytrąciłam pistolet z rąk Minervy w taki sposób, że wypalił w podłogę. Błyskawicznie zostałyśmy otoczone przez żołnierzy z muszkietami wycelowanymi prosto w nas.

Minerva rzuciła mi pełne wściekłości spojrzenie. Dźgnięta lufą w plecy powoli położyła na stole ręce z rozstawionymi palcami.

Podniosłam obie dłonie do góry.

– Straciłem pistolet ze stołu! Wypalił przez przypadek!

Żołnierze wcale nie byli skłonni, żeby dać nam wiarę. Kilku

kolejnych zarepetowało broń.

Broom dał nogę, licząc, że uda mu się uciec przez okno na piętrze. Trzask i przekleństwa dobiegające z zewnątrz świadczyły o tym, że mu się nie powiodło. Został wprowadzony do środka i ustawiony razem z innymi.

– Otoczyć ich! – krzyknął William do swoich żołnierzy. – Mają być żywi, żeby ich jak najwięcej zawisło na szubienicy. Strzelać tylko w ostateczności.

Żołnierze zaczęli zbierać broń do worka i usuwać mężczyzn z ich miejsc.

– Na pewno nie macie ochoty na jednego? Od takiej roboty musi was suszyć w gardle. – Alice uśmiechnęła się do Williama. – Skoro już pańscy chłopcy wyłapali tych łobuzów, to na pewno zechcą się napić. Mam tu wyśmienity rum z Barbados. – Zlekceważyła protesty Williama i zwróciła się do oficera piechoty morskiej, który wyglądał na zainteresowanego. – Gdy będzie pan odchodził, proszę zabrać ze sobą beczkę. Jako prezent ode mnie. – Przywołała do siebie chłopca na posyłki. – Słuchaj, Sam. Idź i przynieś rumu dla panów oficerów. Jest w piwnicy, w tylnym rogu. Wiesz, gdzie, prawda? „Swift Return”! – dodała szeptem, po czym krzyknęła: – A teraz zmykaj!

Chłopak nie był głupi i najwyraźniej już wcześniej był świadkiem takich scen. Kiwnął głową i pobiegł, zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać.

– Bądź taka dobra, wymknij się i przynieś beczkę – Alice szepnęła do Polly.

Rozkazano nam stanąć w jednym rzędzie twarzami do ściany. Minerva poruszała się wolno, nie przyspieszyła kroku pomimo wycelowanych w nią muszkietów. Przystanęła przed Alice i wsunęła jej coś w rękę.

– To dla ciebie – powiedziała.

W szybko zaciskającej się dłoni kobiety błysnął krwistą czerwienią kolczyk z rubinem.

Kazano nam odchylić ręce do tyłu. Na nadgarstki oraz kostki nóg nałożono nam połączone łańcuchami kajdany. Nie stanowiliśmy już zagrożenia, ale musieliśmy wpatrywać się w ścianę, w czasie gdy żołnierze pospiesznie pili rum. Do siebie odzywali się burkliwie i wcale nie zwracali uwagi na zalotne próby Alice i Polly, aby wciągnąć ich do rozmowy. Wpatrywałam się w chropawe deski podłogi. Drewno było nie pomalowane, nie obrobione, na krawędziach było widać resztki grubej, czerwonej kory. Za moimi plecami szurały żołnierskie buty na zapiaszczonej podłodze. Salę wypełniało bzyczenie much opitych rozlaną krwią i rumem.

– Mogłam go zabić – mruknęła stojąca obok mnie Minerva. – Powinniśmy z nimi walczyć, dopóki była szansa. – Spojrzałam w bok. Twarz Minervy lśniła od łez wściekłości. – Ta dziwka ma więcej odwagi w małym palcu niż my wszyscy razem wzięci.

Wtedy zrozumiałam, dlaczego dała kolczyk Alice. Próbowwała nas wyprowadzić. Gdy to się nie powiodło, wysłała chłopaka, żeby ostrzegł Vincenta na „Swift Return”. Nawet teraz, zatrzymując żołnierzy, dawała reszcie załogi czas na ucieczkę. Alice wykazywała

się odwagą i pomysłowością. W oczach Minervy wszyscy byliśmy żalonymi tchórzami w porównaniu z tą kobietą.

– Dlaczego mi przeszkodziłaś? – wysyczała. – Miałam go na muszce!

– Nie mogłam pozwolić, żebyś go zabiła. To jest William. Nigdy wcześniej go nie widziała. Skąd mogła wiedzieć? Moje wyznanie na chwilę uciszyło Minervę, ale jej czoło nadal było ściągnięte od gniewu, a pięści to zaciskały się, to znów rozluźniały od zniecierpliwienia.

– Mimo wszystko uważam, że mogliśmy coś zrobić! – zasyczała. – A pozwoliliśmy się wziąć bez żadnej walki!

– Mają nad nami przewagę – rzekłam. – Mogli nas wszystkich pozabijać!

– Ja wolę umrzeć, niż trafić do niewoli. – Wpatrywała się w ścianę.  
– Ty to co innego.

Wiedziałam, o co jej chodziło. Jako niewolnica mogła zostać potraktowana inaczej niż my. Powieszenie odbywało się szybko. Prawie natychmiastowa śmierć.

– Nie wiesz... – zaczęłam, ale umilkłam.

– Zamknij mordę! – wrzasnął nad moim uchem żołnierz. – Albo ja ci ją zamknę! – Zdzielił mnie kolbą muszkietu w bok twarzy, aby mi pokazać, jak to robi.

Kazano nam utworzyć grupę i popędzono między szpalerem żołnierzy, a następnie wsadzono na łodzie i zawieszono na okręt wojenny. Na przystani już nie było śladu po „Swift Return”. Sam

zdołał ostrzec Vincenta i teraz nasz żaglowiec krył się gdzieś w ciemności. Dobrze, że reszcie załogi udało się zbiec. Może nawet przyjdą nam z odsieczą.

Wszelka iskierka nadziei zgasła, gdy z mroków nocy wyłoniła się potężna sylwetka okrętu wojennego. „Eagle” posiadał siedemdziesiąt dział na dwóch pokładach. Nasz szkuner nie mógł się z nim równać pod żadnym względem.



Zgromadzono nas wszystkich na pokładzie. Z kajuty wyszedł kapitan na inspekcję, oświetlając nas chybotliwym światłem trzymanej w ręku latarni. Miał przy tym na twarzy taki grymas pogardy i odrazy, jakby oglądał szczury pokładowe.

– Zamknąć ich!

Odwrócił się i odszedł do kajuty. Pognano nas w dół, do ładowni pod pokładem. Znajdowała się poniżej poziomu wody, była ciemna i zimna. Tam przykuto nas łańcuchami do ław. Usłyszeliśmy trzask zamykanego wjazdu i otoczyła nas czerń. Z zewnątrz dochodził chłupot wody uderzającej o kadłub.

Sądziliśmy, że pozostaniemy na przystani do rana, lecz nagle nad naszymi głowami rozległo się tępe walenie w bębny oraz chóralny, donośny śpiew wielu mężczyzn. Było też słycać jęk, wolno przekształcający się w rytmiczne skrzypienie.

– To kabestan! – wykrzyknął kanonier Halston. – A niech mnie! Wyciągają kotwicę! Posłuchajcie tylko!

Wszyscy zaczęli się wsłuchiwać w odgłosy kabestanu oraz pocieranie konopnych lin o drewno. Gdy kotwica wyszła z wody, rozległ się głośny plusk.

– Na pewno zobaczyli „Swift”! Pewnie ruszyli za nim w pościg! Nie chodzi im tylko o nas. Chcą dorwać statek!

Okręt zaczął się poruszać. Początkowo posuwał się wolno, ponieważ napędzała go jedynie praca ramion wioślarzy

wyprowadzających go z przystani, ale gdy znalazł się na pełnym morzu i żagle złapały wiatr, nabierał coraz większej prędkości.

Na pewno nie zamierzali nas trzymać na dole w nieskończoność. Prędzej czy później ktoś miał przyjść i zobaczyć, co się z nami dzieje. Gdy tylko odsunięto właz, już wiedziałam, co mam zrobić.

Ujrzeliśmy kołyszącą się latarnię, rzucającą światło w czerń.

– Hej, ty tam! – krzyknęłam. – Chcę się zobaczyć z kapitanem!

– Tak? – zapytał szyderczo mężczyzna. Sądząc po głosie oraz po krostowatej twarzy, której fragment zdołałam dojrzeć, był młody. – Jaką to sprawę może do niego mieć taki jak ty? A może on wcale nie chce zobaczyć się z tobą? – parsknął śmiechem, najwidoczniej tym rozbawiony.

– Myślę, że zechce. – Przesunęłam się tak, aby znaleźć się w snopie światła wpadającego przez właz.

– A czemuś tego taki pewien? – podśmiechiwał się dalej.

– Bo jestem kobietą!

Obiema rękami chwyciłam za poły mojej kurtki i rozchyliłam, ukazując zarys piersi pod koszulą. Efekt był piorunujący. Chłopak otworzył szeroko oczy i pobladł na twarzy. Latarnia tak bardzo rozchybotła się w jego drżącej dłoni, że obawiałam się, że może ją upuścić na mnie. Ponownie okryłam się płaszczem.

– Idź więc i powiedz to komuś.

Ruszył od razu, przyzywając porucznika, a biegł tak, jakby goniły go duchy wszystkich piratów, jacy zginęli z rąk żołnierzy Marynarki Jego Królewskiej Mości.

– Która to?

Marynarz wskazał na mnie.

William przykucnął przy włązie i popatrzył na mnie. Prosiłam o kapitana, a przyszedł porucznik, tak jak liczyłam.

– Wyprowadź ją na górę. Wy dwaj zejście z nim. I nie spuszczaście reszty z oka.

Dwaj strażnicy patrzyli na mnie z zainteresowaniem, podczas gdy ich kompan podchodził do mnie z nieufnością, jakbym była jakimś niebezpiecznym zwierzęciem. Odpiął mi kajdany, wyswobadzając mnie z łańcucha, którym wszyscy byliśmy złączeni. Mężczyźni odsunęli się, abym mogła wejść na drabinę.

– A to co?

Ciasno owijałam się płaszczem.

– Jestem kobietą.

– No to daj popatrzeć! – powiedział jeden z nich z obleśnym uśmiechem, próbując rozchylić poły.

Spojrzałam na Williama.

– Panie poruczniku! – zwróciłam się do niego błagalnie. – Muszę z panem pomówić na osobności.

– Dość tego! – William rzucił wściekłe spojrzenie marynarzowi. – Eee... Pani pozwoli ze mną.

Odprawił marynarzy, a mnie zaprowadził do pustego magazynu i zamknął drzwi. Do tej pory byłam jednym z bandy piratów. Z latarnią w ręku zaczął mi się przyglądać uważniej, jakby chciał zrozumieć, jak mogło dojść do takiego przeoczenia. Nie mogłam znieść jego

urzędowej ciekawości. Jakbyśmy byli dwojgiem nie znających się ludzi.

– Nie poznajesz mnie, Williamie?

– Nancy? – Zrobił się równie blady jak młody marynarz. – To ty?

Wyjęłam pierścień, który nosiłam na szyi jako dowód mojej tożsamości.

– A czy ty nadal nosisz swój? Jego dłoń powędrowała do szyi.

– Och, Nancy!

Jego reakcja zdumiała mnie. Spodziewałam się szoku, zdziwienia, nawet potępienia, a on powiesiwszy latarnię, podszedł do mnie ze łzami w oczach, objął mnie i przycisnął do siebie.

– Znalazłaś się! Dzięki Bogu za to! – Ujął moją twarz w dłonie i wpatrywał się we mnie, jakbym była drogocennym przedmiotem, który utracił i nareszcie odnalazł. – Gdy się rozeszło po Port Royal, że zostałaś porwana i uprowadzona przez piratów, myślałem, że już cię więcej nie zobaczę. – Gdy mówił te słowa, na jego twarzy było widać wstrząs, jaki przeżył, jego lęk o mnie. – Od pewnego czasu patrolujemy wody w poszukiwaniu piratów, którzy odważyli się na taki czyn. I na Boga, oto ich znaleźliśmy! – Zmrużył oczy. – Po tym, co zrobili, stryczek to dla nich zbyt wielka łaska! Zęby kazać ci chodzić w męskich ubraniach! Perfidne kanalie! Ale teraz jesteś już bezpieczna. – Przyciągnął mnie do siebie i pocałował z taką samą namiętnością, jak w czasie naszego ostatniego spotkania. Potem mnie wypuścił z ramion. – Muszę pomówić z kapitanem i to bezzwłocznie. A potem rozejrzemy się za jakimiś damskimi strojami. – Przyjrzał się

mi dokładnie. – Nie powinnaś znosić takiego poniżenia i niewygody ani minuty dłużej.

Odwrócił się w kierunku drzwi, ale złapałam go za rękę.

– Wstrzymaj się – rzekłam. – Wstrzymaj się chwilę.

– O co chodzi?

– Zanim zaprowadzisz mnie do kapitana, musisz się o czymś dowiedzieć...

Opowiedziałam mu o wszystkim. O dwulicowości mojego brata. O zaaranżowanym dla mnie małżeństwie. O Duke’u, Minervie, zbiegach i o Broomie. O tym, że błagałam piratów, żeby mnie ze sobą wzięli. Słuchając mojej opowieści, chodził tam i z powrotem. Potem podszedł do mnie, kręcąc głową.

– Nie pojmuję. Jak mogłaś zgodzić się wieść życie tak całkowicie sprzeczne z naturą? Sprzeczne z wszelkimi uczuciami oraz instynktami swojej płci! – Zaczerwienił się i mówił szybko ściszonego głosem, jakby wstydził się wypowiadać głośniejsze takie szokujące rzeczy. – W takim stroju. Mieszkałaś z tymi mężczyznami, chodziłaś z nimi bez skrępowania, pozostawałaś z nimi bez żadnego przymusu. Przecież to piraci! Szumowiny morza.

– Nie miałam innego wyboru! To prawda, są piratami. Jednak żaden z nich nigdy mnie nie obraził. Męski ubiór to nie dziki wymysł. Jest wygodny i praktyczny. I czuję się w nim bezpieczna.

– Nawet jeśli to prawda... – Z trudem oswajał się z tym, co mu powiedziałam. – Gdy was złapaliśmy, zabawiałaś się z dziwkami!

– I co z tego? Ty nigdy tego nie robiłaś?

– Ja jestem mężczyzną!

– A one kobietami. Rozmawiałam z nimi. Nie jestem wsiową gąską, która w życiu nie słyszała o ich istnieniu. Wychowałam się w Bristolu. Dlaczego nie chcesz zrozumieć! Wciąż jestem tą samą Nancy! Wciąż mam twój pierścień. Nigdy go nie zdejmuję. Przez te wszystkie dni i miesiące myślałam tylko o tobie.

Wpatrywał się we mnie intensywnie, jakby chciał przebić wzrokiem moje męskie przebranie. Stopniowo z jego spojrzenia zniknęło przerażenie i nienawiść. Podszedł i popatrzył mi w twarz, szukając w niej dawnej Nancy.

– Cóż – westchnął, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. – Przyznaję, że zawsze byłaś inna, Nancy. Lojalna, uczciwa, wierna. Nie tylko wobec mnie, ale również wobec innych. Wobec Roberta i tych wszystkich urwisów, z którymi bawiliśmy się w porcie. Zawsze mi się to w tobie bardzo podobało. Wciąż noszę pierścień od ciebie. I moje uczucia do ciebie wciąż są takie same, bez względu na strój, jaki nosisz. – Uśmiechnął się do mnie i pomyślałam, że go ostatecznie przekonałam, ale wtedy jego twarz spochmurniała. Zaczął chodzić tam i z powrotem ze zmarszczonym czołem. – Mimo wszystko jednak jestem wzburzony tym, co mi opowiedziałaś. Broom. A także Graham. – Pokręcił głową. – Zawsze uważałem ich za porządnych ludzi! To wielki szok dla mnie, że zeszli na taką drogę.

– Chyba mnie nie słuchałeś – powiedziałam. – Albo też nic nie rozumiesz.

– Przyznaję, Nancy, że nie rozumiem. – Ponownie westchnął, tym

razem głębiej. – Wiem tylko, że jestem oficerem marynarki, a ty zostałeś aresztowana za piractwo. Mogę jedynie wykonywać swoje obowiązki.

Wyjaśniłabym mu więcej, gdyby nasza rozmowa nie została nagle przerwana gwałtownym waleniem do drzwi.

– Poruczniku! Znaleźliśmy jeszcze jedną! Zabrali ją do kapitana.

– Pozwól, że ja z nim porozmawiam – powiedział do mnie William, gdy szliśmy w kierunku drzwi. – Wystarczy, że potwierdzisz moją wersję. Będzie lepiej dla ciebie oraz twojej towarzyszki, jeżeli kapitan nie dowie się, że same chciałyście przystąpić do piratów Brooma.

– Kobiety piratami! – Kapitan wpatrywał się w Minervę i we mnie z odrazą. – Na Boga! Jakbyśmy nie mieli dość zmartwień. Co jeszcze ujrzymy? Kapitana w halce? – Złożył dłonie jak do modlitwy i mierzył nas wzrokiem lodowatym jak zimowe morze. – Uprowadzone, mówicie? – Odwrócił się do Williama. – Zmuszone do przyłączenia się do nich? Nigdy nie słyszałem niczego podobnego. – Rozłożył dłonie. – Nie mam teraz czasu, żeby dojść sedna tej sprawy. Zostawię to sędziom w Port Royal. Muszę dowodzić statkiem i zająć się resztą tej bandy. Zabierzcie je pod pokład i zamknijcie. Ale nie razem z tym motłochem.

Powiedziawszy to, odprawił nas. Ze zmarszczonym czołem wrócił do studiowania map i już więcej na nas nie spojrzał.

– Trudno powiedzieć, czego bardziej nie chce na swoim statku – szepnęła do mnie Minerva, gdy nas zabierano – kobiet czy piratów.

Zaprowadzono nas na pokład znajdujący się o jeden poziom wyżej niż ładownia, w której byli przetrzymywani nasi kompani ze statku.

– Jak myślisz – zapytała Minerva – co zrobią z nami? I z resztą załogi?

Usiadłam na beczce i objęłam głowę rękami.

– Nie mam pojęcia.

Nagle statek doznał potężnego wstrząsu i rzuciło nim w bok. Wpadliśmy na siebie, a lampa, którą nam zostawiono, rozhuśtała się szaleńczo. Schwyciliśmy się sobie kurczowo, ponieważ szarpanie stało się jeszcze gwałtowniejsze. Najwyraźniej kapitan stracił kontrolę nad statkiem, który był znoszony siłą wiatru oraz przypływu na skały albo rafę. Z góry doszedł nas dźwięk przesuwających się lin oraz opuszczanej kotwicy. Na okręcie tej wielkości kotwica była dwa razy wyższa od mężczyzny. Wstrzymując oddech, czekaaliśmy na ogromny plusk. Tak samo jak załoga na pokładzie w napięciu oczekiwaliśmy, że kotwica spowolni dryfowanie pochylonego statku.

Usłyszałyśmy stłumiony odgłos tupotu.

– Ciągnie się! – powiedziała przerażona Minerva, patrząc wielkimi jak spodki oczami. Miała na myśli to, że kotwica nie wbiła się w dno. Widocznie spoczęła na drobnym piasku, płaskiej skale albo rafie koralowej. Nad nami rozległy się krzyki, wołania oraz tupot szybko biegnących stóp, Usłyszałyśmy jeszcze jeden odgłos, tym razem lżejszy, przesuwanego łańcucha oraz jeszcze jeden plusk.

– Rzucili kotwicę ostatniego ratunku! Słuchałyśmy w natężeniu.

– Ta też się ciągnie!



Dało się wyczuć takie samo podrygiwanie jak za pierwszym razem, świadczące o tym, że również i ta kotwica ciągnie się po dnie. Jeżeli żadna się nie wbiła, to statek czekała katastrofa.

– Musimy się stąd wydostać! – Minerva przekręciła się w stronę drzwi, starając się wykorzystać ostre nachylenie statku. Zamierzała walić w drzwi, żądać wypuszczenia, ale zanim zdążyła unieść pięści, drzwi otworzyły się i stanął w nich William.

– Przyszedłem was stąd zabrać. Wygląda na to, że statek zatonie. Kapitan tak się zawziął, żeby dogonić piratów, że wpłynął na zbyt płytkie dla własnego statku wody!

Płynęliśmy na południe w kierunku przesmyku Exuma, klucząc pomiędzy wyspami i wysepkami archipelagu. Niektóre z wysp były jedynie koralowymi skałami otoczonymi rafą. Kapitan wpadł w pułapkę, którą zastawił na niego Vincent. Okręt marynarki wpłynął na niebezpieczne wody, a szkuner pomykał przed nim niczym rozbawiona mewa.

– Chodź ze mną, pomogę ci się uratować. Twojej... eee... – William spojrzał na Minervę, nie wiedząc, kim jest dla mnie ani jak się do niej ma zwracać – towarzyszce także. Ale musimy się spieszyć.

– A co z pozostałymi? – odezwała się Minerva. – Z Broomem i jego ludźmi zamkniętymi w ładowni?

– Nie ma czasu. Znosi nas na jakąś wyspę. Statek może się rozbić lada sekunda. Spuścili dwie kotwice i nic nie pomogło. Każde uderzenie fal zbliża nas do rafy.

– Bez nich nie pójdę. – Minerva założyła ręce na piersi. Wyglądała

na zdeterminowaną. – Nie zamierzam sama się uratować, a im pozwolić utonąć!

– Pani, proszę! – Zwrócił się do mnie. – Nancy! Powiedz jej coś. Nie ma czasu do stracenia!

Wiedziałam, że prośby na nic się zdadzą. Nic nie było w stanie zmienić decyzji Minery, a ja nie zamierzałam iść bez niej. William wodził wzrokiem od jednej do drugiej, wyraźnie zrozpaczony, widząc, że w uporze obie jesteście sobie warte.

– Daj nam klucz do łańcuchów. – Wyciągnęłam do niego dłoń. – Pójdziemy i ich wyswobodzimy.

– Nancy, ja nie mogę dłużej czekać! – Twarz Williama wykrzywiła się pod wpływem cierpienia. – Mam obowiązki. Moi ludzie mnie potrzebują!

– W takim razie musisz iść. Nie oglądaj się za mną. Nie oczekuję tego od ciebie.

– Rozdzielamy się zatem – powiedział – ale jeśli przeżyjemy, to bądź pewna, że cię odnajdę. Przeszukam cały świat, obiecuję, ale teraz już muszę iść.

Najpierw dał się słyszeć tępy, stłumiony kadłubem ryk, a potem nastąpiła cisza, w końcu kolejny ryk. Odgłos rozbijających się fal. Znajdowaliśmy się na brzegu. Albo na rafie. Na pokładzie rozległ się przeraźliwy zgrzyt trybów przekładni.

– To dźwigi. – William spojrzał w kierunku spuszcanych na wodę łodzi. – Muszę nadzorować ewakuację moich ludzi...

– Biegnij zatem!

Doprowadził nas do schodków i złożywszy szybki pocałunek na moich ustach, oddalił się. Gdy William wchodził na pokład, my zaczęliśmy schodzić do ładowni.

– A to co? – Minerva chwyciła mnie za rękę. Z każdej strony dochodziły piski. W ciemności zapaliły się małe, czerwone iskierki. Wokół nas zafalował dywan z ciemnych futerek i przebiegł przez nasze stopy, szurając małymi pazurkami.

– Szczury. One zawsze wiedzą.

Szczury uciekły tak szybko, jak się pojawiły. Nagle zapadła cisza, dziwna i niesamowita w świecie, w którym panował nieustanny hałas.

– Słyszałaś? – wyszeptała Minerva.

Było to szurnięcie, jakby statek otarł się o coś i odbił bez żadnych następstw. Jednak obie wiedziałyśmy, że na morzu nie było niewinnych spotkań statku i twardej powierzchni.

– Musimy się pospieszyć! – Ruszyliśmy w kierunku odległych krzyków zrozpaczonych mężczyzn uwięzionych w ładowni i skazanych na niechybną śmierć.

– Dostał! – Jeden głos wybił się ponad pozostałe.

Po ataku następnej potężnej fali rozległ się huk rozłupującego się kadłuba, a potem dała się słyszeć cała seria skrzypów, trzaśnień i pęknięć. Jedna po drugiej odrywały się drewniane deski.

– Dziura w kadłubie!

Okrętem wstrząsnęła jeszcze jedna fala. Do cuchnącego wnętrza na dnie statku nagle wdarła się fala zimna i zapachu soli. Następne napory morza dokonywały kolejnych zniszczeń. Sytuacja pogarszała

się z każdą sekundą. Mężczyźni krzyczeli wniebogłosy. Podłoga wyślizgnęła się spod naszych stóp, gdy statek przechylił się na jeden bok, spoczywając w miejscu, w którym miał zostać na wieki. Do środka wdzierała się woda. Na górze krzyknięto:

– Nikt nie został! Załoga opuściła okręt.

Szarpanie statku powaliło nas na kolana, ale byliśmy już niedaleko od wjazdu. Na czworakach parłyśmy do przodu, szukając rękami rygła.

– Mam! – Minerva uniosła zapadnię. – Tu jesteśmy! – krzyknęła w dół. – Trzymajcie się, chłopaki!

Zeskoczyłyśmy. Woda sięgała nam powyżej kolan i nadal się podnosiła. Mężczyźni powstali z miejsc i ślizgając się w wodzie, szarpali łańcuchy, próbując je wyrwać, kalecząc się przy tym do krwi. Krzykiem wzywali pomocy. Niektórzy błagali o litość ludzi i Boga. Inni miotali przekleństwa, sądząc, że zostali opuszczeni przez wszystkich.

Rozpoczęliśmy szaleńczy wyścig z podnoszącą się wodą o uwolnienie naszych kompanów z łańcuchów. Niektórzy wciąż jeszcze mieli na sobie kajdany, gdy przedzieraliśmy się przez wywrócony na bok okręt. Pod pokładem było ciemno, a to, co było kiedyś ścianą, teraz było podłogą. Morze wdzierało się przez schody z taką siłą, że nie sposób było tamtędy wyjść, więc musieliśmy poszukać innej drogi.

– Jeszcze chwila i ten okręt może okazać się naszą trumną – powiedział Broom, gdy chlusnęła na niego woda. – Ruszać się, chłopaki! Tędy! Za mną! – krzyknął, gdy znalazł inną drogę na pokład. – Szczury z marynarki już uciekły, idźmy ich śladem!

Pokład runął w dół prawie tuż u naszych stóp. Phillips, kanonier znalazł siekiere i przerąbał ostatnie kajdany. Broom i Halston użyli całej swojej wiedzy oraz sprytu, żeby nas wydostać z tonącego okrętu. Wspięliśmy się na najwyższy punkt okrętu i przedarliśmy się przez płataninę lin, okryw i żagli. Z głównego masztu zrobiliśmy most, po którym uciekliśmy przed atakującą falą i ponad linią ostrych skał koralowych dostaliśmy się na lagunę po drugiej stronie rafy. Znalazłszy się na spokojniejszych wodach, płynęliśmy lub łapaliśmy się pływających szczątków i w ten sposób dotarliśmy do brzegu.

Nie wszyscy przeżyli tę desperacką ucieczkę z wraku, ale gdybyśmy mieli nie znaleźć słodkiej wody ani jedzenia, to tych zmarłych trzeba by uznać za wielkich szczęściarzy. Wylądowaliśmy

na skalistej wysepce, drobince koralu na błękitnym bezmiarze oceanu. Broom rozesłał grupy poszukiwawcze. Reszta zaś chodziła wzdłuż brzegu, wypłaszając kraby z leżących na białym piasku ciał.

Jeśli chodzi o mnie, to moje ocalenie nie przyniosło mi wielkiej przyjemności. Nie wiedziałam, co się stało z Williamem. Odpłynął w jednej z łodzi w czasie ewakuacji czy może leży martwy na brzegu? Z całą determinacją postanowiłam przyjrzeć się każdemu ciału. Nie znalazłam go pośród martwych. Ale czy mogłam mieć pewność? Trudno było odróżnić pirata od marynarza. Większość ciał była nie do rozpoznania: ich ubrania były podarte na strzępy, jakby zostały pocięte brzytwą, ciała były roztrzaskane o zdradliwe rafy. Wielu nawet nie dotarło do brzegu. W przybrzeżnych wodach ucztowały rekiny, zwabione rozlaną krwią.

Wszyscy martwi zostali pochowani wspólnie: piraci, marynarze, żołnierze. Już nie byli po przeciwnych stronach. Śmierć i morze zrównało wszystkich. Piraci, jak wszyscy ludzie morza, są przesądni i nie chcieli, żeby straszyły ich niespokojne duchy i dusze, więc za pomocą kawałków drewna wygrzebaliśmy dół w miejscu, do którego nigdy nie dochodziła woda. Gdy skończyliśmy, Holston związał dwa kawałki drewna na kształt krzyża, a Broom powiedział kilka słów.

– Panie, przyjmij dusze tu pochowanych i okaż im swoją łaskę. Jako i my o nią prosimy.

Wróciły grupy poszukiwawcze. Żadnej wody.

Byliśmy odcięci od świata.

O zachodzie słońca wszyscy stanęliśmy z pochylonymi głowami,

modląc się za zmarłych i za żywych. Modliliśmy się o ratunek, o statek. Jeżeli nie przyplynie żaden i nie zabierze nas z wyspy, to wkrótce da nam się we znaki pragnienie. Po kolejnych dwóch, najwyżej trzech, dniach pójdziemy w ślady tych, których pochowaliśmy. Jediną rzeczą, jaka po nas zostanie, będzie sterta pobielających kości.

Gdy inni poszli szukać wśród wydm miejsca na spoczynek, ja pozostałam na tym samym miejscu. Siedząc, patrzyłam na zachód słońca, na wrak statku, którego ponura sylwetka odcinała się od ognistej tarczy. Morze zmieniało stopniowo zabarwienie z karmazynowej czerwieni na fiolet. Przez cały czas modliłam się o to, żeby przyplłynął statek i zabrał nas z tej wyspy. Modliłam się również za Williama, mając nadzieję, że znalazło się dla niego miejsce w jednej z szalup i że przeżył.

Vincent nas nie opuścił. Około południa następnego dnia na horyzoncie ukazał się żaglowiec, mały niczym łupinka. W jaskrawych promieniach słońca to się pojawiał, to znikał. Gdy się zbliżył, zobaczyliśmy, że to szkuner.

„Swift Return” wpłynął do zatoczki po drugiej stronie wyspy, gdzie wody były głębsze. Wielu z nas chciało wiedzieć, gdzie szkuner był do tej pory, i domagało się zmiany jego nazwy, ponieważ długo musieliśmy na niego czekać i byliśmy bliscy śmierci z głodu i pragnienia. Vincent tłumaczył, że bawił się w kotka i myszkę z okrętem marynarki. Dostrzegłszy grupę szalup z podniesionymi żaglami i ciężko wiosłującymi ludźmi, domyślił się, że okręt zatonął i wtedy zaczął nas szukać. Z jego słów wynikało, że statek Williama nie był jedyny w najbliższej okolicy.

– Więc istnieje spora szansa, że ci w szalupach zostaną odnalezieni? – zapytałam go.

– Owszem – odrzekł, rzucając mi zaciekawione spojrzenie. – Wcale bym się nie zdziwił, gdyby teraz popijali grog i zajadali suchary. Okręt marynarki zmienił kurs, żeby ich zabrać. Właśnie dzięki temu udało się nam przemknąć. A dlaczego cię to obchodzi?

Nie odpowiedziałam. Odeszłam, zostawiając go z Minervą. Jej widok wśród ocalonych tak go ucieszył, że zapomniał o całym świecie.

– Tylko kilka łyków wody! – Graham wytrącił wiadro z rąk



pijącego zachłannie pirata. – I małe porcje jedzenia! Zbyt dużo wody i pożywienia na jeden raz spowoduje, że spuchniecie jak tykwy i wybuchniecie jak pociski.

Nie wszyscy posłuchali rady doktora. Żaden z nich co prawda nie wybuchnął, ale wszyscy leżeli w hamakach, jęcząc, że bolą ich brzuchy.

Szkuner opuścił zatoczkę i udał się w poszukiwaniu bezludnej wysepki, leżącej z dala od kursu okrętu marynarki, na której moglibyśmy się zatrzymać i zwołać radę. Chcieliśmy usłyszeć, jakie są zamiary Brooma i gdzie zawiodą nas przyszłe szlaki.

Załoga zebrała się w przedniej części statku.

– Moim zdaniem – zaczął Broom – na Morzu Karaibskim zrobiło się odrobinę zbyt ruchliwie. Żołnierze marynarki nie patrzą łaskawym okiem na tych, którzy niszczą statki pod ich tyłkami. – Dookoła rozległ się śmiech. – Więc musimy obrać nowy kurs, chłopcy. Do nowych miejsc. Miejsc, gdzie nie jesteśmy znani. Proponuję – rozejrzał się – proponuję zatem Afrykę jako najwłaściwszy kierunek.

– Afrykę?

Zrobił się taki hałas i zgiełk, jakby Broom włożył kij w gniazdo szerszeni. Każdy miał prawo głosu i nikt nie miał zamiaru z niego zrezygnować. Spory i krzyki umilkły dopiero wówczas, gdy Vincent strzelił w powietrze z pistoletu.

– Wysłuchajcie kapitana, chłopaki. Wysłuchajcie go do końca! Trzeba było jeszcze kilku apeli, zanim nareszcie wszyscy się uspokoili. Bez względu na opinie pozostałych ja byłam za propozycją

Brooma. Popierałam każdy kurs, który powiódłby nas z dala od tych wód. Byłam pewna, że nie minie dużo czasu, zanim Brazylijczyk dowie się o naszych przygodach z marynarką.

Broom stanął w środku zgromadzenia i rozejrzał się wokół, czekając na całkowitą ciszę.

– Czego pragniecie, chłopcy? – zwrócił się do nich z pytaniem. – Czego oczekujecie od pirackiego fachu? Dlaczego wybraliście ten sposób na życie?

Pytania Brooma wywołały następny huragan krzyków. Stał na rozstawionych nogach, ze stopami przylegającymi do pokładu, z prawą dłonią na rękojeści szabli. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy stawiał czoło wichurze.

– Wolności!

– Żadnych panów!

– Żadnych szalonych kapitanów, przez których można zgnieć na wybrzeżu Gwinei!

Ostatnia odzywka wywołała salwy śmiechu i Broom śmiał się razem z innymi.

– Taaa – rzekł. – Macie rację. Ale o co jeszcze wam chodzi, chłopcy? O co jeszcze?

Marynarze spojrzeli jeden na drugiego, zdezorientowani niczym uczniowie nie pojmujący lekcji w szkole.

– No to w takim razie ja wam powiem, dobra? O złoto wam chodzi, moi chłopcy. Złoto. Bogactwo i skarby. – Powiódł po nich wzrokiem. – Czy nie taka jest prawda?

– Owszem – padło chóralnie. – Taka jest prawda.

– No jasne, że tak! Właśnie po to wszyscy wybraliśmy takie życie!

– Broom zaczął chodzić tam i z powrotem, pewien, że są w niego wpatrzone oczy wszystkich zebranych. – Moglibyśmy zostać na tych wodach i narażać się na wściekłość marynarki, bo są na nas cięci, bez dwóch zdań. Nie lubią tracić okrętów, jak już mówiłem, więc nam nie odpuszczą. Moglibyśmy zostać na tych wodach i unikać spotkania z najlepszymi statkami Jego Królewskiej Mości. Moglibyśmy sobie z nimi zatańczyć. Jestem pewien, że moglibyśmy to zrobić. Ale w końcu by nas dopadli, a wtedy byłby to już inny taniec. Taki, który tańczy się ze sznurem na szyi. Wielu dobrych marynarzy i kapitanów już go odtńczyło, chłopcy. – Podniósł wzrok. Tak, jak przypuszczał, zebranymi wstrząsnął dreszcz. – I za co? Za pudła guzików, zwoje materiałów, baryłki cukru i melasy. Towary, które, jak mamy szczęście, sprzedajemy za cenę flaszki rumu. – Rozłożył ręce. – Statki pływające po tych wodach nie są warte naszego trudu ani ryzyka. Takie są fakty. Nie po to zdecydowałem się na życie pirata. – Spojrzał w ich twarze. – Mogę się założyć, że wy też nie. Pragnąłem złota i srebra, pragnąłem zbić majątek. I jestem pewien, że wy także.

Rozejrzał się po wszystkich. Miał nad nimi władzę. Słuchali go w ciszy, zapatrzeni jak myszy w kota.

– Wiem, gdzie można to zdobyć. Wiem, gdzie jest mnóstwo złota i srebra. Tyle monet i sztab, ile tylko zdoła udźwignąć statek.

Jego oczy zaślniły takim samym blaskiem jak złoto, o którym opowiadał. Mężczyźni wpatrywali się w niego, jakby widzieli przed

sobą skarby, które opisywał, jakby już czuli w rękach ciężar sztab i chłodną śliskość przesypujących się przez ich palce monet. Broom uśmiechał się, a w jego zmrużonych oczach odbijała się ich chciwość.

– Zaufajcie mi, chłopcy, a ja was tam doprowadzę. – Zniżył głos, jakby zamierzał powiedzieć coś poufnego. – Wystarczy, że mi zaufacie, a już nigdy więcej nie zaznacie ubóstwa. Ani wasze dzieci, ani dzieci waszych dzieci. No, a teraz co mi powiecie? Kto jest za, a kto przeciw?

Czy mieli jakiś wybór? Wszystkie wątpliwości zostały rozwiane. Plan Brooma został przyjęty jednogłośnie.

W normalnych okolicznościach nie pozwalał na picie na pokładzie, ale tamtej nocy była dobra okazja do świętowania. Wystawiono wielki puchar z ponczem. Przygotował go sam Broom, mieszając cukier, rum i brandy z własnych zapasów.

Gdy to zostało wypite, otwarto nowe baryłki. Tamtej nocy wszyscy mogli się napić do woli. Skrzypkowie zaczęli przygrywać i oczyszczono miejsce do tańca. Już prawie świtało, gdy ostatni pirat zwałił się na pokład. Spali tam, gdzie padli, bez wątpienia śniąc o złocie, które im obiecał kapitan. Miałam tylko nadzieję, że Broom zdoła spełnić te obietnice. Jeśli nie, jego los jako kapitana będzie marny.

**Wiedliśmy żywot jak  
władcy mórz**

„Swift Return” był małym żaglowcem jak na tak daleką wyprawę. Pelling rwał się do złota tak samo jak inni, ale był lękliwy, a jego zadanie polegało na dbaniu o interesy załogi.

– A jeśli wyczerpią się nam zapasy wody i pożywienia? – zapytał, marszcząc swoją i tak już pomarszczoną twarz.

– Może i „Swift” nie jest duży – odrzekł Broom – ale za to jest szybki. Dotrzemy do przylądka Verde, zanim zdążymy się obejrzeć. A jeśli nam czegoś zabraknie, to zawsze możemy coś zdobyć po drodze.

Przez co rozumiał napaść na jeden czy dwa statki, jednak tamte szlaki nie należały do często uczęszczanych. Statki handlowe nie przepływały tamtędy prawie w ogóle. Najprawdopodobniej mogliśmy napotkać jedynie statki przewożące niewolników. Broom zawsze był zdeterminowany, aby je omijać. Tak samo tu, jak i u wybrzeży Afryki. Nie przewoziły nic cennego poza ładunkiem ludzi, a to oznaczało tylko same kłopoty. Broom nie był jedynym, który myślał w ten sposób. Ataki na statki z niewolnikami należały do rzadkości. Wszyscy ich unikali, co nie było trudne, ponieważ unoszący się wokół tych statków smród niósł się z wiatrem w promieniu wielu mil.

Broom uznał, że przydałby się nam inny statek dopiero po dotarciu do wybrzeży Afryki. Majtkom wydano polecenie, aby wyteżali wzrok w poszukiwaniu statku handlowego. Na dźwięk tych słów Pelling nastawił uszu. Gdy zapytał dlaczego, usłyszał, że to część planu.

– Słuchaj – zawołał do mnie. – Ty jesteś z nim blisko. O co mu

chodzi?

Wzruszyłam ramionami i powtórzyłam mu to, co powiedział mi kapitan, mianowicie, że gdy go zapytałam, co to za plan, odpowiedział, że „jak poczekam, to sama zobaczę”.

– Nawet jeśli trafi się nam jakiś statek, to nie wiem, czy wystarczy nam ludzi – rzekł ponuro Pelling. – Jest nas teraz znacznie mniej.

W czasie przeprawy przez Atlantyk część marynarzy rozchorowała się i trzeba ich było zostawić na Wyspach Przylądka Verde, ponieważ Graham obawiał się dalszych zachorowań, gdyby pozostali na statku. Obecność statku marynarki w porcie znacznie skróciła nasz pobyt. Ledwie starczyło nam czasu na dokupienie najpilniejszych produktów. Prawdopodobnie dlatego Broom postanowił poszukać statku handlowego.

Po pewnym czasie tego samego dnia majtek na bocianim gnieździe wykrzyknął:

– Żagiel! Żagiel!

Statek ukazał się po stronie sterburty daleko na południu. Wyglądał na duży, trójmasztowy statek handlowy. Oglądając go przez lunetę, Broom uśmiechnął się.

– Idealny!

Gdy składał lunetę, oczy znowu błyszczały mu tak, jakby już widział lśniące monety. Wydał rozkazy, aby żagle łąpały każde tchnienie wiatru, a sternik skrzył dwa stopnie na sterburte.

Szybko zbliżyliśmy się do statku. Widząc nas, wykonał zwrot i tak się ustawił do wiatru, aby się z nami spotkać. Podpływając, zamienił

flagę państwową na czarną.

– Piraci! – rozległ się krzyk z bocianiego gniazda.

– Jakie kolory?

– Za mocno łopocze.

Pelling wspiął się na liny szybko jak małpa.

– Czerwony kościotrup na czarnym tle. To Low! – Błyskawicznie zsunął się na pokład. – Myślałem, że nie żyje! To diabeł wcielony. I do tego tchórz. Pod żadnym pozorem nie można mu ufać... – urwał i pobiegł do kapitana, który zarządził wciągnięcie naszej flagi.

Odpowiedzią na nasze kolory był wystrzał armatni w naszą burłę. Broom rozkazał odpowiedzieć ogniem. Oba statki zbliżyły się do siebie, tak manewrując, żeby zdobyć przewagę nad przeciwnikiem i odsłonić przed nim możliwie najmniejszą część. Czerwony szkielet tańczył na wietrze, a z naszego bezanmasztu złowrogo patrzyła czaszka nad skrzyżowanymi puszczelami.

Opowieści o Lowie rozprzestrzeniały się wśród członków załogi niczym ognie świętego Elma.

– Pokonanym nie okazuje litości, tylko wyżyna całą załogę.

– Słyszałem, że jednemu kapitanowi odciął wargi i uszy i usmażył na jego oczach.

– Innemu nieszczęśnikowi wyluskał wątrobę i oczy i kazał zjeść jego oficerom.

– Ja słyszałem, że to było serce.

– A jeszcze innemu biedakowi wepchnął pistolet w usta i strzelił prosto w gardło.



Oba statki znajdowały się teraz od siebie na odległość ludzkiego głosu.

– Cisza tam! – warknął Vincent. Obserwował uważnie mężczyzn, starając się wybadać ich nastroje. Takie makabryczne opowieści mogły albo wzmóc ducha walki, albo wywołać taki przestrah, że statek byłby pokonany, jeszcze zanim wróg postawiłby na nim stopę.

– Skąd jesteście? – ponad wodą przyleciał do nas krzyk z drugiego statku.

– Z morza – odpowiedział Broom zgodnie ze zwyczajem wszystkich kapitanów piratów. – A wy?

– Tak samo z morza. Chyba cię nie znam.

– Kapitan Broom. A tyś co za jeden?

– Edward Low.

– Słyszałem, żeś umarł.

Rozległ się śmiech Lowa, tym głośniejszy i nieprzyjemniejszy, że przez tubę, którą trzymał w dłoni.

– No to żeś źle słyszał. Choć wielu by tego chciało.

Znaleźli się teraz wystarczająco blisko, żeby rozmawiać bez konieczności krzyku.

Obie załogi stały w rzędach naprzeciwko siebie. Ich obrotowe działo zostało wycelowane w nas. Phillips obrócił nasze, aby mierzyło w nich.

Low zszedł z mostka kapitańskiego i stanął na pokładzie. Był wysokim i przystojnym mężczyzną. Długie, jasne włosy opadały mu na plecy. Lubował się we wstążkach i ozdobnych strojach podobnie

jak nasz kapitan. Gdyby nie kilka sztuk broni, którą miał przy sobie, można by go wziąć za dżentelmena.

– Ładny statek, kapitanie. Ma kolonialny wygląd.

– Zrobiony w Baltimore – odrzekł Broom.

– Tak myślałem – Low pokiwał głową. – Byłem zdecydowany zaatakować. Nie znoszę Amerykanów. Prowadzę z nimi wojnę za zniewagę, jaką mi uczynili.

– Prowadzi wojnę z całym światem! Sam tak powiedział! – mruknął Pelling pod nosem. – A w szczególności z Amerykanami. Poprzysiągł zniszczyć każdego, na kogo natrafi. Jak nic mógł nas zdmuchnąć z morza. Mieliśmy szczęście!

– Nienawidzę Jankesów – powtórzył Low. – Ale ich statki mi się podobają. Skoro już wiem, że nie jesteś jednym z nich, możemy zostać przyjaciółmi. Chodź do mnie na pokład, Broom! Napijesz się ze mną ponczu.

– Z radością, kapitanie. – Broom ignorował Pellinga, który kręcił głową i podskakiwał, jakby go kąsały pszczoły. – Musimy uzupełnić zapasy. Jestem ciekaw, czy...

– Mamy wszystkiego pod dostatkiem. – Low uśmiechnął się. – Z radością się z wami podzielimy. Chodź i przyprowadź swoich oficerów.

Gdy statki zetknęły się ze sobą, Pelling odmówił pójścia, więc Broom poprosił Vincenta oraz Halstona, który był teraz drugim oficerem. W ostatniej chwili dołączył mnie do grupy jako kogoś w rodzaju podoficera.

– Ładny. – Low puścił do mnie oko. Z bliska już nie był taki przystojny. Miał dziobatą, spierzchniętą od słońca i wiatru skórę.

Pod trójgraniastym kapeluszem widniały rzadkie włosy, a jego niebieskie oczy miały ponury i okrutny wyraz.

Zaprowadził nas do swojej kajuty pod mostkiem kapitańskim. Była obszerna i dobrze wyposażona, z szeregiem okien wychodzących na tylną część statku.

Na stole stał ogromny, srebrny puchar z ponczem. Low poprosił nas, abyśmy usiedli.

– Twoje zdrowie, kapitanie. – Wyjął pistolet i odbezpieczył go. – Pij – powiedział, trzymając broń przy głowie Brooma.

Broom ujął puchar w obie ręce. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Do dna. – Low uśmiechał się.

Wypiwszy około kwarty, Broom zakrztusił się i zaczął kasłać. Reszta płynu poląła się na jego koszulę.

Low roześmiał się i wystrzelił w powietrze, a potem chwycił za kolejny pistolet. Najwyraźniej był to sygnał do ogólnego ataku. Na zewnątrz rozległ się ryk marynarzy oraz huk obrotowego dział. Odpowiedzią był wystrzał naszej armaty. Kula roztrzaskała część mostka kapitańskiego i w powietrze wleciały odłupane fragmenty drewna. Posypały się dalsze pociski. Mężczyźni rozpierchli się lub padli ranni tam, gdzie stali, a krew lała się strumieniami. Po kolejnym gradzie kul pokład wypełnił się gęstym dymem, który wpełzł również do kajuty. Przewróciliśmy stół i dobyliśmy broni. Low wycelował w

naszym kierunku, ale Broom podbił jego rękę i kula chybiła celu. Wyciągnęliśmy szable i walcząc nimi, wydostaliśmy się na pokład.

Na obu statkach trwała zazarta walka. Ludzie Lowa wtargnęli na „Swift Return”, a część naszych przeszła na jego statek, aby próbować nas uratować. Jednak ich przewaga liczebna była przytłaczająca. Walka zdawała się beznadziejna. Wszystko wskazywało na to, że przegramy. Ale kto o tym myśli w samym ogniu walki?

Na pokładzie kłębił się dym; przypominało to walkę we mgle. Nie było czasu, aby wyciągnąć pistolet, a działa nie nadają się do walki z bliska. Musieliśmy wycofać się na nasz statek. W zamieszaniu zostałam popchnięta przez Lowa do tyłu, czyli z powrotem na jego statek. Walczyłam zaciekle, ale był silniejszy ode mnie. Jedyne, co mogłam zrobić, to odpierać jego ciosy. Jego szabla była dłuższa i cięższa od mojej. Kolejnym mocnym uderzeniem wytrącił mi broń z ręki. Odskoczyłam do tyłu, ale jego ostrze zdążyło mnie dosięgnąć i rozciąć mój płaszcz oraz koszulę od szyi do brzucha.

Myślałam, że już po mnie, ale Low cofnął się.

– Proszę, proszę! Co my tu mamy? – Podszedł bliżej. Ostrze jego szabli przemknęło z cichym świstem obok mego policzka. Low zdjął kosmyk włosów z mojego ramienia. – Rzeczywiście jesteś ładna, bez dwóch zdań. – Potarł moje włosy między swoimi palcami. – Złote jak gwinee. Kto by pomyślał, że Broom ma taki skarb na tej swojej łajbie? – Końcówką szabli rozchylił moją koszulę. – Nie będziemy się spieszyć. Ten przysmaczek zjemy sobie w wolnym czasie. – Splunęłam na niego i rzuciłam przekleństwo. Jego szabla ponownie

znalazła się przy mojej szyi. – Nauczysz się dobrych manier, moja panno, albo podzielę się tobą z moimi chłopakami, a potem rzucę rybom na pożarcie.

Zatargał mnie w stronę schodów prowadzących pod pokład i kopnął w plecy, żeby mnie zmusić do zejścia. Gdy znalazłam się na dole, chwycił mnie za połę płaszcza i wepchnął do małego magazynu, a potem zatrzaskał drzwi. Usłyszałam, jak przyciąga skrzynie z prochem i układa je jedna na drugą, aby uniemożliwić mi wydostanie się na zewnątrz.

Oparłam się plecami o drzwi i zaczęłam pchać i napierać na nie, ale nie ustąpiły. Spojrzałam w dół, dziwiąc się plamom krwi na sobie. Podniosłam wzrok, sądząc, że widocznie przecieka przez sufit. Dotknęłam dłonią klatki piersiowej i zobaczyłam, że jest czerwona. Mój płaszcz i koszula były przesiąknięte krwią. Od tego widoku zakręciło mi się w głowie. Natychmiast usiadłam, jakby ktoś podciął mi nogi, i straciłam przytomność.

Otworzyłam oczy na dźwięk odsuwanych skrzyń i otwierających się drzwi. Byłam pewna, że to Low wraca, aby zrobić to, co odłożył na później. Zebrałam całą siłę, jaka mi jeszcze pozostała, aby uderzyć go w twarz.

– Wstrzymaj się. – Jakaś dłoń chwyciła moją pięść. – Spokojnie. – Dłoń była mała, niewiele większa od mojej. Patrzyłam w brązowe oczy Minervy. – Kto tu cię wsadził?

– Low.

– Czy on... ? Pokręciłam przecząco głową.

– Zostawił mnie sobie na później.

– Wszędzie cię szukałam. – Minerva pomogła mi wyjść z mojego więzienia na pokład.

– Co się stało?

– Stawiliśmy im większy opór, niż się spodziewali. Weszli na nasz pokład, a my daliśmy im niezłego łupnia. Gdy już było z nimi krucho, zaczęli wołać o litość. – Wzruszyła ramionami. – Nagle było już po wszystkim. Teraz statek Lowa należy do nas. Jego piraci albo są martwi, albo przeszli na naszą stronę.

– A gdzie jest Low?

– Broom wsadził go do otwartej łodzi i kazał sobie radzić. To samo zrobił z jego ludźmi, którzy zdecydowali się z nim odpłynąć. – Minerva włożyła kciuki za pas. – Niewielu ich było.

Cieszyłam się, że wygramy, ale wolałabym, żeby Low poniósł

srogą karę. Byłam zdania, że powinni kazać mu zjeść jego własne uszy, ale Broom zawsze miał miękkie serce – jak na pirata.

Statek *Lowa* był duży. Mężczyźni uwijali się jak mrówki, żeby naprawić wszystkie szkody wyrządzone w czasie ostatniej bitwy. Poza kajutą kapitana znajdowała się tam również mesa dla oficerów, jadalnia, a nawet inne kajuty. *Minerva* zaprowadziła mnie do jednej z nich.

– Uważam, że ta powinna należeć do nas – powiedziała i położyła mnie do łóżka zawieszzonego na dźwigarze. Zdjęła ze mnie ubranie, po czym przyniosła wodę i ścierkę do obmycia ran, które miałam pod warstwami zaschniętej krwi.

– Chyba powinnam pójść po *Grahama* – powiedziała, oglądając mnie ze zmarszczonym czołem.

– Nie! – Chwyciłam ją za rękę. – On i tak będzie miał ręce pełne roboty. Na pewno są przypadki gorsze od mojego. Chcę, żebyś ty się mną zajęła.

– Dobrze, ale będziesz robić to, co ci powiem, i żadnego marudzenia.

Ponownie wyszła i wróciła ze świeżą wodą, paskami płótna na bandażę oraz butelką rumu.

Najpierw mnie umyła. Jej delikatny dotyk oraz uczucie czystości sprawiły, że prawie zapomniałam o ranach. Na rękach i ramionach miałam cięcia od szabli. Najbardziej paskudne z nich *Minerva* zszyła nicią krawiecką. Pod brodą, w miejscu, gdzie *Low* przyłożył ostrze, miałam rozdarcie, a od podstawy szyi poprzez klatkę piersiową aż do

pępka ciągnęła się długa rana.

Minerva oczyściła wszystkie rany piekącym rumem i opatrzyła je, a potem zawinęła w bandaż. Skończywszy, napiła mnie podgrzaną i przyprawioną brandy. Owe przyprawy przywiodły mi na pamięć Phillis i zasnęłam, rozmyślając o niej.

Gdy Graham przyszedł mnie obejrzyć, pogratulował mojej pielęgniarce właściwej opieki. Rany goiły się i miały mi pozostać jedynie niewielkie blizny. Noszę je do dziś: biały półksiężyc pod brodą oraz przypominająca srebrną nić linia biegnąca przez górną część mojego ciała.

Moje rany cielesne goiły się szybko, jednak znowu zaczęły mnie dręczyć koszmary. Sen kończył się jego szyderczym szeptem:

*Wiem, dokąd uciekasz.*

Budziłam się gwałtownie ze snu i leżałam w łóżku na rozbujanym statku, niczym w podwójnej kołysce. Nabierałam pewności, że on wie o naszej wyprawie do Afryki. Tylko jak się dowiedział? Może rzeczywiście przed nim nie można było uciec. Zaczynałam wierzyć, że będzie mnie ścigał aż na koniec świata. Poczułam, że wpadam w czarną rozpacz. Słyszałam skrzypienie hamaka Minervy, jej oddech w ciemnościach, ale czułam się tak, jakbym była całkowicie sama na bezkresnym oceanie. Poprzez szum naszego żaglowca słyszałam odgłosy innego statku, cicho prującego fale, uparcie podążającego w ślad za mną.

Próbowałam sobie wyobrazić ten statek, a na nim Brazylijczyka. W moim śnie zdawało mi się, że widzę statek, jakby przez szarą mgłę,



ale po przebudzeniu nic już nie pamiętałam. Za to widywałam inne statki, przepływające obok nas, załadowane ludźmi, którym skradziono życie.

W tym czasie opływaliśmy wybrzeże Afryki, na którym stały forty i zamki o lochach pełnych matek, ojców, żon, mężów i dzieci. Coraz więcej i więcej ludzi przypędzano na brzeg w kajdanach, skutych razem łańcuchami przymocowanymi do ich szyj. Widząc kolumny ludzi, przypominałam sobie długie kolumny liczb w księgach mojego ojca, z których część była zapisana moją ręką.

– Co ci jest? – szepnęła w ciemności Minerva.

Nie byłam w stanie jej odpowiedzieć. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu zaczęłam płakać i nie mogłam się opanować.

Minerva wysunęła nogi ze swego hamaka i przysłała do mnie. Położyła się przy moim boku i objąwszy mnie ramieniem, gładziła moje włosy. Jej koszula zrobiła się mokra od moich łez. Wcześniej osierocona przez matkę, nigdy nie zaznałam takiej pociechy ze strony kobiety. Pod policzkiem czułam chropowatość tkaniny oraz ciepło znajdującej się pod nią skóry. Przypominałam sobie znak, którym ją oszpecono, i rozplakałam się jeszcze bardziej. Minerva kołysała mnie i uciszała, jakbym była małym dzieckiem, i w końcu się uspokoiliśmy. Noce u wybrzeży Gwinei są gorące i duszne. Nie zasnęliśmy, ale leżąc, rozmawialiśmy.

– Twoje serce musi zrzucić z siebie zmartwienia – szepnęła do mnie Minerva. – Tak by ci powiedziała Phillis.

Gdyby tylko moje serce mogło zrzucić z siebie zmartwienia...

– Znowu miałam ten sen.

– O Brazylijczyku? Ten sam, co kiedyś? Pokręciłam głową.

– Wyraźnie widziałam statek i jego. Stał na mostku kapitańskim. Na jego piersi kołysał się wielki krzyż wysadzany brylantami. Nie przestał mnie szukać.

– Skąd może wiedzieć, gdzie jesteśmy? Przecież opuściliśmy Morze Karaibskie. Skąd będzie wiedział, żeby tu przyplłynąć?

Pokręciłam głową.

– Nie mam pojęcia. Czuję tylko, że tak będzie.

– Ale nie wiesz tego na pewno. Pamiętasz, co mówiła Phillis? „Nie obawiaj się jutra, skoro dziś jeszcze się nie skończyło”. I taka jest prawda.

– Wiem. Ale nic na to nie mogę poradzić. Wciąż się boję. Gdy Low się do mnie zbliżył... gdy pomyślałam, co może mi zrobić... gdy powiedział, że odda mnie swojej załodze... – Przygryzłam wargę, próbując powstrzymać łzy, które zaczęły mi napływać do oczu, gdy zaczęłam jej wyjawiać swoje skrywane lęki. – Żadnego miejsca nie mogę nazwać swoim. Nie należę do nikogo. Zerwałam z moją rodziną, z wszystkim poza Williamem. Ale on prawdopodobnie brzydzi się mną, ponieważ zostałam piratem, i znajdzie sobie jakąś porządną dziewczynę na żonę.

– Cii! Sza! – Mocniej przytuliła mnie do siebie. – Nadal masz mnie.

– Ale jak długo? Masz przecież Vincenta...

– Nie mam Vincenta! – Minerva starała się okazać oburzenie, ale

poznałam po jej głosie, że miała nadzieję, że tak właśnie jest.

– Mogłabyś, gdybyś tylko zechciała. Wiele razy widziałam, jak na ciebie patrzy. A ty go lubisz, nie próbuj zaprzeczyć. A wtedy to już naprawdę nie będę miała nikogo. Nic. Żadnego domu. Żadnej rodziny...

– Zawsze będziesz miała mnie. Zawsze. – Teraz Minerva zapragnęła otworzyć swoje serce. – Jest coś, o czym musisz się o dowiedzieć – zaczęła, okręcając kosmyk moich włosów wokół swoich palców. – Coś, co powinnam była ci powiedzieć już dawno temu.

– Co takiego?

– Jesteś moją siostrą. Twój ojciec był również moim ojcem. Minerva była moja siostrą. Byłam tak oszołomiona, że nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Tyle razem przeszłyśmy i nigdy nie powiedziała mi ani słowa. Na wpół się uniosłam, żeby na nią popatrzeć, poszukać w jej twarzy wytłumaczenia, dlaczego ukrywała to przede mną i to tak długo.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Phillis kazała mi przysiąc, że tego nie zrobię.

– Ale dlaczego?

– Twój ojciec kazał jej przysiąc, że nikomu nie powie. Dała mu słowo, a on nigdy jej nie zwolnił z tej przysięgi. Według Phillis jego śmierć zobowiązywała ją do milczenia. – Umilkła. – Chyba nie jesteś zła, że ci nie powiedziałam?

– Oczywiście, że nie! – Byłam zdumiona, że mogła tak pomyśleć.

– Wydaje mi się to dziwne i to wszystko. Wyjaśniło się wiele rzeczy,

które przedtem były trudne do zrozumienia.

Na przykład to, że część każdego roku ojciec spędzał na Jamajce. Jego szczególna troska o Phillis i Minervę. To, że gdy czasami na nią patrzyłam, miałam wrażenie, że spoglądam w lustro. Różnice między nami przysłoniły mi podobieństwa. A były wyraźne: postawa ciała w czasie stania, wygięcie brwi, zarys podbródka, upór. Nawet William zauważył, jak bardzo w tym względzie jesteśmy do siebie podobne. Byłam zdumiona, że sama nigdy nie spostrzegłam prawdziwej przyczyny.

Wiele spraw stało się dla mnie jasne i w tamtej chwili pozbyłam się prawie całego lęku. Znalazłam dla siebie bezpieczną przystań na rozszalałym morzu strachu i niepewności. Miłość mężczyzny mogła ulec zmianie, okazać się kaprysem, ale Minerva była moją siostrą z krwi. My dwie nigdy nie przestaniemy się kochać.

Piracki statek to zbudowane z drewna samoistne państwko, gdzie każdy zależy od każdego. Niezadowolenie i niezgoda wśród członków załogi mogą przyprowadzić statek do ruiny tak samo jak robaki przeżerające jego kadłub. Zarówno na „Swift Return”, jak i wcześniej na „Deliverance” panowała dobra atmosfera. Broom przemianował trójmasztowiec Lova na „Fortune”, jednak to wcale nie poprawiło nastrojów. Marynarze wściekali się z byle powodu i coraz częściej objawiali niezadowolenie. Kłótnie, które tam wybuchały, były tak gwałtowne i nieprzyjemne jak pożar w ładowni.

– Wystarczy jedno zgniłe jabłko – zauważył Pelling. – I robi się z tego cały kosz.

Teraz Vincent był kapitanem „Swift Return”, a Broom objął dowództwo nad „Fortune”. Wiedziała, że Minerva bardzo tęskni za Vincentem. Nie przyznawała się do tego, ale nieraz wpatrywała się w horyzont, na którym majaczył podążający za nimi „Swift Return”, w nadziei że ujrzy maszty i żagle. Kiedyś zobaczyłam ją, jak schodzi z najwyższego masztu po raz drugi tego samego ranka, i zapytałam, dlaczego nie jest z Vincentem na tym samym statku.

– Nie zostawię cię, dopóki nie wygoją się twoje rany – odrzekła. – Poza tym Vincent by się na to nie zgodził. Mówi, że narobiliśmy sobie kłopotów i wywarli zły wpływ na załogę.

Ona tęskniła za Vincentem najbardziej, ale również i my niejednokrotnie odczuwaliśmy brak jego silnej osobowości i

umiejętności radzenia sobie z marynarzami. Chociaż potrzeba było wielu par rąk do pracy na obu statkach, to ludzie z załogi Lowa zachowywali się arogancko i butnie. Podobnie jak psy, które kiedyś miały złego pana, w jednej chwili się łasil, a w następnej warczeli. Szczególnie jeden z nich, Thomas Limster, lubił wszędzie mącić. Wcześniej miał ambicje, żeby zostać kwatermistrzem u Lowa, a teraz myślał o tym, żeby wygryźć Pellinga. Kręcił się wśród załogi i starał się ich przeciągnąć na swoją stronę. Wychwalał okrucieństwo Lowa jako metody „prawdziwego kapitana”. O Broomie mówił, że jest słaby, prowadzi nas donikąd i pozwala przejść okazjom koło nosa. Czemu omijać statki z niewolnikami, skoro można dostać dobrą cenę za ich ładunek w północnej części wybrzeża? Szeptano, że krąży lista tych, którzy są za obaleniem kapitana. Limster uważał, komu ją daje do podpisania, i tak ją ułożył, żeby w razie wykrycia spisku nie można było stwierdzić, kto był podżegaczem.

O tym, że jestem kobietą w męskim stroju, wiedziano powszechnie, ale przedtem moja pleć nie wywoływała żadnych komentarzy. Wraz z pojawieniem się Limstera wszystko się zmieniło.

Był wieczór, chwila bezczynności przed wystawieniem nocnej wachty. Większość mężczyzn była wtedy na pokładzie, paląc fajki i popijając.

– Kaczka przebrana za kaczo – rzucił Limster szyderczo, gdy przechodziłam obok niego. – Ale dziwka to dziwka, choćby się nie wiem w co ubrała.

To nie była jego pierwsza uwaga tego rodzaju, ale przedtem

puszczałam każdą mimo uszu. Tym razem zatrzymałam się i poprosiłam, żeby powtórzył to, co powiedział.

– Nie udawaj, że nie słyszałaś. A teraz zobaczmy, co tam masz.

Mówiąc, rozchylił usta i mogłam zobaczyć jego szerniałe od skorbutu dżiąsła, a gdy chwycił mnie za kurtkę i pociągnął do siebie, poczułam jego cuchnący oddech. Był wielkim drabem o rękach jak szynki i nadgarstkach grubych jak liny okrętowe.

– Precz z łapskami!

Szarpałam się z jego paluchami, ale równie dobrze mogłabym próbować rozwiązać turecki węzeł. Zerwawszy guziki, Limster zaczął zdzierać ze mnie kurtkę. Takie traktowanie rozwścieczyło mnie. Obnażenie na oczach marynarzy byłoby dla mnie nie do zniesienia. Odchyliłam głowę, zamierzając uderzyć nią w jego twarz, ale nagle między nami pojawiła się stalowa szabla i ktoś krzyknął:

– Puść ją!

Limster uwolnił mnie, czując czubek ostrza na szyi. Minerva z uśmiechem schowała szablę do pochwy i ujęła mnie za ramię.

– Wiem, o co tu chodzi – rzucił szyderczo za nami Limster. – Chcesz ją zatrzymać dla siebie, co? Nie bądź kutwa i podziel się nią ze wszystkimi!

Chociaż o mnie wiedział, że jestem kobietą, to Minervę uważał za mężczyznę o imieniu Jupiter. Nikt nie widział potrzeby, żeby go poinformować, że jest inaczej. Teraz czyjeś słowo nagle wyprowadziło go z błędu. Wokół niego wybuchły salwy śmiechu, ale jak wielu jemu podobnych również i Limster nie lubił, gdy robiono z

niego głupka. Puścił stek najbardziej plugawych przekleństw, jakimi można obrzucić kobietę. Usłyszawszy te obelgi, Minerva cofnęła się i podeszła do niego.

– Masz pan niewyparzoną gębę, panie Limster. Czegoś podobnie ohydneho w życiu nie słyszałam. Zapłacisz za to.

– O? – Limster bezczelnie śmiał się jej w twarz. – A co takiego zrobisz?

– Uznam się za znieważoną. Limster parsknął śmiechem.

– Obyście szczęły od ospy!

Minerva zrobiła krok do tyłu i wymierzyła mu siarczysty policzek.

Dotknął twarzy. Wolno potarł spierzchniętą i zarośniętą skórę, jakby nie mógł uwierzyć, że go uderzyła. Po chwili uniósł pięść, gotów do ciosu.

– Wstrzymaj się! – To był Pelling. – Żadnych bójek na pokładzie.

Wszyscy zostaliśmy wezwani do pomieszczenia w przedniej części statku, gdzie Pelling sprawował władzę sądowniczą.

– Kto zadał pierwszy cios? – zapytał kwatermistrz. Minerva wystąpiła naprzód.

– Bójki na statku są zakazane.

– Wiemy – odezwałam się. – Ale on nas znieważył. Pelling zignorował mnie. Wydobywszy z kufra plik kartek z zagiętymi rogami, rozwinął je i zaczął studiować.

– Punkt piąty Statutów: „Nie wolno się bić na pokładzie, a każda kłótnia ma być zakończona na brzegu przy użyciu szabli i pistoletu” – odczytał głosem oficjalnym jak sędziego. Spojrzał na Minervę. –



Rozumiesz?

– Tak. Rozumiem.

Limster wyszczerzył się w uśmiechu, najwyraźniej sądząc, że z nią wygra. W końcu była tylko dziewczyną.

– I nie myśl sobie, że uratujesz skórę, idąc po pomoc do Brooma – rzucił Limster drwiąco. – Kapitan nie ma żadnej władzy w takich sprawach. Chyba się nie mylę, co, Pelling?

Pelling go zignorował.

– Jutro rano zostaniecie wysadzeni na brzeg w towarzystwie moim oraz doktora – rzekł. Piraci tak samo skrupulatnie przestrzegają przepisów pojedynkowania się jak londyńscy dżentelmeni. Zasady jednych i drugich są bardzo podobne. – Możecie sobie wybrać własnych sekundantów. – Przez moment się zawahał. – Niech zwycięży lepszy.

Pelling powinien był zachować bezstronność, ale, mówiąc delikatnie, nie darzył Limstera sympatią, więc tej nocy przyszedł do naszej kajuty i udzielił Minervie kilku dobrych rad co do tego, jak ma się zachować następnego ranka.

– Nie lękaj się go. Pistolet pozwala na wyrównanie szans, a skoro jesteś mniejsza, to staraj się go załatwić jednym strzałem. Ale uważaj, Limster to przebiegły łajdak i na pewno zechce się odwrócić przed zakończeniem odliczania. Uchyli się, żebyś nie mogła go trafić, albo uda, że się uchyła. Uważaj na te sztuczki. Jeśli przyjdzie do szabli, to ustaw się plecami do morza. W ten sposób będziesz stała pod światło i będzie mu trudniej cię zobaczyć. Zepchnij go na miłki piasek. To go

zmęczy i będzie mu trudniej się poruszać. Najprawdopodobniej rano będzie ociężały, ponieważ marynarze właśnie popijają sobie rum, na co wyjątkowo dzisiaj przymknę oko. Dobrze się wyśpij, moja droga. – Pelling wyciągnął do Minervy spracowaną dłoń i lekko poklepał ją po ramieniu. – Przyjdę po was wraz ze świtaniem.

Minerva zasnęła zaraz po tym, jak weszła do swojego hamaka. Ja nie spałam do rana, wsłuchując się w kolejne uderzenia pokładowego dzwonu. Dręczył mnie strach o jej życie oraz poczucie winy, że to ja doprowadziłam do tego pojedynku.

Słońce dopiero co ukazało się nad horyzontem, oblewając morze srebrną poświatą, gdy wstałam, żeby pomóc Minervie się przygotować. Byłam jej sekundantem i za jej przyzwoleniem ubrałam ją w koszulę z białego, cienkiego lnu, białe kolanówki oraz niebieskie bryczesy. Jej szczupłą talię owinęłam karmazynowym szalem, a powyżej założyłam pas do szabli.

– Ten pojedynek jest z mojej winy – powiedziałam. – To ja powinnam z nim walczyć. Gdybyś nie wkroczyła...

– To byś go uderzyła głową. Całe szczęście, że cię powstrzymałam, bo jesteś zbyt słaba, żeby walczyć. Twoje rany ledwie są zagojone. – Uniosła pistolet i spojrzała wzdłuż lufy. – Właśnie tego chciał. Ale teraz zmierzy się ze mną.

Wydawała się bardzo pewna siebie, więc nie zdradziłam się przed nią ze swoim strachem, wiedząc, jak szybko lęk potrafi przenieść się z jednej osoby na drugą. Sprawdziła broń, odciągając i zwalniając spust pistoletu. Klik i bum. Klik i bum. Następnie wzięła do ręki szablę i przejechała kciukiem po jej ostrzu. Potem wyrwała jeden włos i rzuciwszy go w powietrze, przecięła ze świstem na pół.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Gotowi, żeby wsiadać do łodzi! – zawołał Duffy, bosman. Minerva wyszła lekkim i beztroskim krokiem, jakbyśmy na brzegu mieli urządzić sobie biegi. Załoga łodzi trzymała wiosła w górze i opuściła je na komendę bosmana równo i zgrabnie niczym załoga

marynarki w Portsmouth. Zajęliśmy miejsca pośrodku łodzi. Obok nas usiadł Graham. Naprzeciwko siedli Limster ze swoim sekundantem oraz Pelling. Nie patrzyli na siebie, nikt nie odezwał się ani słowem. Gdy płynęliśmy do brzegu, jedynymi dźwiękami było skrzypienie pracujących wiosł oraz plusk wody.

Długie, spiętrzone i rozbijające się o brzeg fale utrudniały dotarcie do plaży, ale bosman dobrał sobie właściwych ludzi. Wziąwszy liny, wiosłarze z pierwszych stanowisk wskoczyli do sięgającej piersi wody i zaczęli nas ciągnąć w stronę brzegu. Na komendę kilku innych odłożyło wiosła i wskoczyło w ślad za tamtymi, żeby pomóc holować łódź.

Wchodząc na plażę, poczuliśmy pod stopami twardy, wilgotny piasek. Nadpływające i wycofujące się morze zmywało ślady naszych stóp natychmiast po tym, jak je odcisnęliśmy. Kierowaliśmy się w stronę gęstej ściany drzew. Pelling rozglądał się w poszukiwaniu właściwego miejsca.

– Stać!

Zatrzymaliśmy się. Pelling wysunął się przed innych i obrócił pojedynkujących się plecami do siebie.

– Sekundanci!

Podeszliśmy, żeby podać broń. Gdy Minerva brała pistolet z moich rąk, na moment spojrzała mi w oczy, jednak zaraz spuściła wzrok, a jej twarz straciła wszelki wyraz. Stała się tak samo nieprzenikniona jak w czasach, gdy była moją niewolnicą. Nie chciała, abym zobaczyła jej nadzieję, albo też jej strach.

Sekundant Limstera i ja oddaliliśmy i stanęliśmy obok Grahama. Doktor mocował się ze swoją lekarską torbą, na przemian to zamykając, to otwierając jej zapięcie. Jego usiana piegami twarz była zupełnie blada i pokryta bruzdami, jakie mogą powstać tylko na skutek zmartwienia i dezaprobaty. Byłby szczęśliwy, mogąc to przerwać, ale teraz nikt już nie mógł się wtrącić. Nawet kapitan. Broom od początku trzymał się z dala od tej sprawy. Takie spory muszą być rozstrzygnięte tak, jak określają to Statuty. One były naszymi prawami. Nasza społeczność żyła inaczej niż reszta świata i normalne prawa nie miały tu zastosowania. Zlekceważenie naszego kodeksu groziłoby naruszeniem tego i tak niepewnego porządku, jaki panował na statku pirackim.

Pelling przytrzymał pojedynkujących się plecami do siebie, po czym szybko się oddalił i zaczął odliczanie. Limster był przynajmniej o głowę wyższy od Minery, a jego zwaliste ciało znacznie nad nią górowało. Ruszyli z pistoletami uniesionymi na wysokość ramienia. Głos Pellinga odliczającego kolejne kroki przypominał bicie dzwonu. Wszyscy w napięciu czekaliśmy na krótszą niż jedno uderzenie serca ciszę, która miała oznaczać zakończenie odliczania.

Limster nie czekał. Pelling jeszcze mówił, gdy Limster już zaczął się odwracać. Pelling zająknął się, a Minerva najwyraźniej usłyszała zgrzyt suchego piasku pod stopami Limstera, ponieważ błyskawicznie się obróciła. Ujrzała wylot lufy swego przeciwnika. Rozległ się trzask i ukazał się obłok białego dymu. Kula przeleciała obok Minery i utkwiała w drzewie za jej plecami. Teraz przyszła kolej na jej strzał.

Uniosła pistolet, ale Limster ponownie złamał zasady. Rzucił się w bok na ziemię, żeby nie mogła go trafić.

Zgięty prawie do ziemi, zaczął się do niej zbliżać z wyciągniętą szablą. Minerva odrzuciła pistolet i dobyła szabli. Szabla jest dużą i ciężką bronią, przeznaczoną głównie do zadawania ran ciętych, a nie do finezyjnej zabawy. Moje ręce aż się rwały, żeby stanąć do walki za Minervę. W tej sztuce byłam lepsza od niej, ale ona szybko zorientowała się w sytuacji i zaczęła tańczyć wokół niego, bardziej unikając jego ciosów, niż je odpierając. Pamiętając rady Pellinga, spychała Limstera w stronę bardziej miękkiego piasku i ustawiała się plecami do morza. W odbijających się od wody promieniach wschodzącego słońca była słabo widoczna.

Ranek wstał ciepły. Limster wkrótce zrobił się czerwony na twarzy, pocąc się z powodu upału, wysiłku oraz wypitego poprzedniego wieczoru rumu. Krople potu zalewały mu oczy, powodując, że potrząsał głową niczym byk nękany przez muchy. Minerva nie przestawała skakać z jednego miejsca na drugie, to pojawiając się, to znów znikając z jego pola widzenia. Swym nieustannym ruchem zmuszała go do nagłych obrotów i wytrącała go z równowagi.

– Uspokój się, ty przeklęta babo! – Wyraźnie tracił nerwy. – Stań i walcz jak mężczyzna!

Czekaj, czekaj na właściwy moment, wypowiedziałam samym ruchem warg. Wejdz pod jego gardę. Czekaj. Czekaj.

Natarł na nią, ale nie trafił. Zdążyła uskoczyć, ale zamierzył się

ponownie, biorąc łukowaty zamach szablą. Tym razem ostrze sięgnęło jej ramienia. Pojawiła się krew, która w kilka sekund zabarwiła na czerwono jej rękaw. W ramieniu poczułam mrowienie, jakby to mnie zadano ten cios.

– Pierwsza krew! To kończy sprawę – wykrzyknął Graham, robiąc krok do przodu ze swoją torbą.

Walka zakończyła się wraz z pojawieniem się pierwszej krwi. Limster wygrał. Takie były zasady, jednak ten drab wcale nie zamierzał odłożyć broni. Ruszył biegiem z uniesioną szablą, gotów rozłupać Minervę na pół.

– Zabiję go! – wrzasnęłam, dobywając broni. Graham upuścił torbę i sięgnął po pistolet.

– Stój! – ryknął. – Jeszcze jeden krok i cię zastrzelę! Ale Limster przypominał nacierającego byka; ani mu w głowie było zatrzymać się. Jednak nasze krzyki na moment odwróciły jego uwagę i potknął się, zawadziwszy stopą o korzeń lub kawałek drewna, na wpół zakopany w piasku. To była szansa, jakiej potrzebowała Minerva. Limster obrócił się, próbując się wyswobodzić, ale stracił równowagę i runął głową w przód. Minerva pochyliła się, żeby dostać się pod jego uniesioną szablę. Padając, całym ciężarem ciała nadział się na jej ostrze, które weszło po samą rękojęść, przesywając jego serce.

Graham odciął nasączony krwią rękaw, powstrzymał krwotok i przemył ranę rumem. Następnie zszył rozwarte brzegi i owiązał ramię paskami płótna. Minerva ani razu nie krzyknęła. Duffy i jeszcze inny marynarz wzięli ją na ręce. Graham dał jej trochę rumu, którym się

zachłysnęła, ale który najwyraźniej jej pomógł. Gdy odpływaliśmy od brzegu, oparła głowę o moje ramię.

Sprawiedliwość w świecie piratów jest wymierzana szybko i ostatecznie. Limster postąpił niehonorowo, więc został tam, gdzie padł, a jego krew wsiąkała w piasek.



– Rana jest głęboka. Aż do samej kości – powiedział Graham, gdy układaliśmy Minervę na moim łóżku w kabinie. – Ale jest czysta i myślę, że dziewczyna z tego wyjdzie. Dam jej opium, żeby zasnęła. Mogłabyś mi pomóc? – Uniosłam ją, a on wlał jej kilka kropel na język. – Teraz musi wypocząć. Nie ma potrzeby, żebyś stale przy niej była. Chodź ze mną.

Zaprowadził mnie do mesy i poprosił, żebym usiadła.

– Dziś obie wystawiłyście mnie na ciężką próbę. Jak myślisz, co bym czuł, gdybym musiał patrzeć, jak jedna z was umiera, albo już umarła? – Westchnął. – Poszedłem do Brooma, ale nawet on nie był w stanie zapobiec temu pojedynekowi. To nie jest życie dla was. Nie powinniście mieć do czynienia z takimi śmieciami jak Limster. Nie macie domu ani rodziny. Wasze życie to nie kończąca się wędrówka, wieczne ryzyko, a na zakończenie żadnego zysku, tylko stryczek. Czy to ma jakiś sens?

Nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. W równym stopniu mówił o nas, jak i o sobie samym.

– Zamierzam porzucić piractwo – mówił dalej. – Mam już dość patrzenia, jak młodzi ludzie giną albo są okaleczani, mam dość łatania porozrywanych ciał, zszywania ran, które i tak zgniją, poczucia własnej bezradności, tego, że nic nie mogę na to poradzić. Mam aż nadto pieniędzy, żeby otworzyć własną praktykę. W Londynie albo Edynburgu. Gdziekolwiek. Gdzieś, gdzie mogę zacząć wszystko od

nowa i gdzie nikt nie zna ani mnie, ani mojej przeszłości. Jedyłą rzeczą, która mnie tu jeszcze trzyma, jest lojalność wobec Brooma. Oraz ty. – Odwrócił się do mnie. – Jedź ze mną, Nancy. Mogłabyś uchodzić za moją córkę.

– Nie mogę. Nie odejdę bez Minervy. Zwłaszcza teraz. Zaryzykowała życie, żeby mnie uratować. Nie mogę jej porzucić.

– Mogłaby jechać z tobą.

– Jako kto? – Popatrzyłam na niego. – Moja niewolnica? Moja służąca? Nie chciałaby tego, a ja jej o to nie poproszę. Zdajesz sobie chyba sprawę, jakie życie czekałoby ją w Anglii. Afronty, obelgi, zniewagi. Upokarzające domysły, które snuliby ludzie. Obawiam się, że jesteśmy skazane na tułaczkę do końca życia.

– Oby nie. Mam szczerą nadzieję, że nie. A co z tym młodym człowiekiem, twoim Williamem?

– Po tym, co się zdarzyło na „Eagle”? – Wzruszyłam ramionami. – Uważa mnie za pirata. Porzuciłam wszelkie nadzieje, jakie z nim wiązałam.

– Ale poznał okoliczności i powody, dla których zdecydowałaś się na takie życie?

Skinęłam głową potakująco.

– Jeśli kocha cię naprawdę, to nie będzie to miało żadnego znaczenia.

– Z tego, co mi wiadomo, mógł zginąć.

– Albo i nie. Nigdy nie porzucaj nadziei, moja droga. – Graham pochylił się w przód i położył swoją dłoń na mojej, jakby

rzeczywiście był moim ojcem. – Nigdy nie porzucaj nadziei. Już ci to mówiłem.

– Kiedy odejdziesz? – zapytałam, pragnąc zmienić temat.

– Jak tylko będę mógł.

– Powiedziałeś Broomowi?

– Jeszcze nie. Ale on wie, co mi chodzi po głowie. Widziałam, że Graham był całkowicie zdecydowany, i moje prośby na nic by się nie zdały, ale zdążyłam go polubić i bardzo by mi brakowało jego towarzystwa. Miałam zamiar mu o tym powiedzieć, w nadziei że nakłonię go do pozostania przez jeszcze jakiś czas, ale właśnie wszedł Broom z Pellingiem. Tak rozgniewanego jeszcze go nie widziałam.

– Musicie to zobaczyć. – Pstryknął palcami i Pelling podał mi kawałek papieru. – To lista spiskowców. – Wygładził ręką papier, żeby pokazać nam kółkiem wypisane nazwiska. – Krąg podstępnie spiskujących tchórzy. – Obrócił kartkę w palcach. – Każdego z tych łajdaków wywalę ze statku. Zwołał całą załogę i uniósł kartkę w górę.

– To jest kolista lista spiskowców. Sporządzono ją w ten sposób, żeby prowodyr nigdy nie został odkryty. – Rozejrzał się dokoła. – Ale to już przeszłość. Każdy skurwiel, który się na nią wpisał, może zbierać swoje manatki. Z wyjątkiem Limstera, który leży martwy na tamtym brzegu.

– Głosujmy! – zawołało kilku zdesperowanych marynarzy.

– Zgoda. Głosujmy! Jak najbardziej! – Broom uśmiechnął się szeroko. – Proszę bardzo! Kto jest za tym, żeby zostawić te kanale na pokładzie?

Nie uniosła się ani jedna ręka.

– A zatem! Tak jak powiedziałem, zabierajcie swoje tyłki, bo jak mi Bóg miły, rzucę was rekinom na pożarcie!

Mężczyźni, którzy wpisali się na listę, odeszli. Pelling był za pozbyciem się całej załogi Lowa, ale ani Broom nie chciał się na to zgodzić, ani marynarze. Byli nam potrzebni. Mniej ludzi oznaczało więcej pracy dla pozostałych. Pelling, który miał szczególną awersję do grajków ze statku Lowa, upierał się, że to oni są nam najmniej potrzebni.

Ich przywódca, Hack, powstał z miejsca, wielce dotknięty. Był wysokim, patykowatym mężczyzną o poważnym wyglądzie. Zawsze miał przy sobie skrzypki. Były częścią jego ciała, przedłużeniem ręki.

– Czy to sprawiedliwe, moi towarzysze? – zapytał zgromadzonych.  
– Nie podpisaliśmy się na żadnej liście. A poza tym kto nie lubi odrobiny rozrywki wieczorem, gdy praca jest już skończona, albo trochę muzyki w ciągu dnia, żeby łatwiej było znieść trudy? – Takie prace jak naciąganie lin i obracanie kabestanu zawsze odbywały się w rytm muzyki. Dzięki niej mózół był łatwiejszy do zniesienia. – Hack pociągnął za struny instrumentu, pozwalając mu przemówić w swoim imieniu. Croker, inny grajek, przyłączył się do niego ze swoim cynowym gwizdkiem, który trzymał w górnej kieszeni koszuli. Ich duet wywołał gromkie brawa.

Marynarze w głosowaniu zdecydowali o pozostaniu grajków. Zaraz też poprosili ich, żeby zagrali, i skoczna muzyka rozbrzmiała na dobre. Pelling mruknął pod nosem, że nic dobrego z tego nie

przyjdzie, ale był bezsilny.

– Jeszcze nie skończyłem! – krzyknął Broom, próbując przebić się przez ogólny hałas. – Ci ludzie mogą zostać, jeśli taka jest wasza wola, ale w ostatnim czasie na tym statku doszło do wielu nieprawidłowości. Ty – zwrócił się do mnie – oraz Minerva powróćcie do damskich strojów. Przestaniecie pełnić służbę. Nancy, masz unikać słońca. Chcę, żebyś wyglądała jak dama, a nie jak pirat. Reszta zaś – popatrzył na nich krytycznie – ma lepiej wyglądać. Oficerowie mają wyglądać jak oficerowie, marynarze jak marynarze, a nie jak portowe szumowiny!

– Ale my nie mamy oficerów! – ktoś krzyknął.

– Teraz już mamy. Panowie Halston, DufTy i Phillips. Od dziś jesteście oficerami. Przeniesiecie się do kabiny oficerów i będziecie urzędować na mostku kapitańskim. A teraz ten chłopak. Jak masz na imię?

– Tom Andrews, panie kapitanie. – Zrobił krok do przodu. Niedawno skończył dwadzieścia lat, ale dzięki czuprynie jasnych, kręconych włosów oraz jasnej skórze wyglądał na młodszego. Wyróżnienie go spośród innych wywołało rumieńce na jego policzkach.

– Jakie masz doświadczenie?

– Jestem nawigatorem, panie kapitanie. Low zabrał mnie z „Hopewell”, statku kursującego do Wschodnich Indii, w czasie mojej pierwszej wyprawy.

Uśmiechnął się smutno, co wywołało powszechne współczucie.

Low trzymał go ze względu na jego umiejętności.

– No, to się nadasz – oznajmił Broom. – Ty przynajmniej wyglądasz jak miody dżentelmen, a właśnie kogoś takiego potrzebujemy. Dołączysz do tamtych.

Teraz oczy wszystkich skierowały się na Pellinga. Do tej pory jego nazwisko nie zostało wymienione, a powszechnie było wiadomo, jaki jest skory do obrażania się, jednak kwatermistrz stał spokojnie, łagodny niczym baranek. To oznaczało, że Broom miał jakiś plan w zanadrzu i było w nim miejsce dla Pellinga, ale jeszcze nie chcieli powiedzieć o nim reszcie.

– Panie Pelling, pan postara się doprowadzić tę pływającą górę łąjna do porządku. Sami popatrzcie! – Kopnął zwój niedbale zwiniętej liny, a potem poskrobał paznokciem skorupę soli, jaka utworzyła się na balustradzie. – Ten statek ma być czysty. Schludny. Tak czysty, żeby można było jeść z pokładu. – Spojrzał na nas. – Ktoś chciałby teraz spróbować?

Deski lepiły się od smoły i soli, a ze szczelin wychodziła maź uszczelniająca. Nikt się nie zgłosił.

– Tak myślałem. Ten pokład ma być czyszczony świętymi kamieniami tak długo, aż będzie gładki jak satyna. Macie się za to zabrać, jak tylko pozbędziemy się tych zbuntowanych drani.

Mężczyźni jęknęli. Nazwa „święte kamienie” powstała z powodu ich wielkości, która była niemalże taka sama jak egzemplarze Pisma Świętego. Natychmiast poczułam radość, że mam być damą. Szorowanie pokładu było okrucieństwem dla rąk oraz dla pleców.

– Oczywiście, kapitanie. Tak jest, kapitanie. – Pelling słuchał rozkazów potulnie jak podoficer. – Co pan zamierza zrobić z tymi, którzy podpisali listę?

– Mają wybór. Mogą albo przyłączyć się do swojego kompana na brzegu i zadbać o samych siebie, albo mogą przyłączyć się do rekinów za burtą. To wielka łaska, zważywszy na to, że oni nie zamierzali dać nam żadnego wyboru. To rzecz pewna. Ale dość już zmarnowaliśmy na nich czasu. Stawiać żagle!

**Również całe złoto i srebro,  
jakie kiedykolwiek płynęło  
po morzu...**



Podróżując teraz szacownym statkiem handlowym, kontynuowaliśmy rejs wzdłuż wybrzeża Gwinei w kierunku zatoki Benin. Pewnego dnia odwiedził nas Vincent, żeby naradzić się z Broomem i Pellingiem oraz zobaczyć, jak czuje się Minerva, jednak potem prawie go nie widywaliśmy. Chodziło o to, żeby ludzie nie kojarzyli naszych dwóch statków ze sobą, więc Vincentowi nakazano trzymanie się w pewnej odległości od nas. Zawijaliśmy do kilku miejsc dla uzupełnienia zapasów i wtedy mieliśmy okazję się spotkać.

Tubylczy handlarze podpływali do nas poprzez fale, oferując nam niewolników, tak jak w innych portach drobni handlarze oferują swoje towary. Zakup niewolników nie był celem Brooma, ale nie odprawiał handlarzy, tylko ich wypytywał. Jednak pewnego razu kupił niewolnika z plemienia Kroo, dużego mężczyznę o imieniu Toby, który mówił wieloma językami i dużo wiedział o ławicach ryb oraz prądach morskich, które opływały to zdradliwe wybrzeże. Został uwolniony, jak tylko handlarz zniknął z pola widzenia. Z czasem został bliskim współpracownikiem Brooma. Dużo czasu spędzali razem zamknięci w kajucie, studiując mapy i obmyślając plany.

Vincent prowadził działalność na własną rękę. Z jego statku, „Swift Return”, zabrano mu ludzi na „Fortune”, aby zastąpić usuniętych buntowników, musiał zatem znaleźć sobie nową załogę. Zaczął ich kupować od handlarzy niewolników. Wielu uznało, że zaszkodziło mu słońce. Większość czarnych nigdy przedtem nie

widziała morza na oczy; jakimi mogli być marynarzami? Byłoby lepiej sprzedać ich następnemu statkowi z niewolnikami, który się nawinie.

– On nie da rady ich niczego nauczyć! – Spali, jeden z marynarzy pracujących na wysokościach, powiedział na głos to, co myślała reszta. – Prędzej by małpę nauczył!

– Całkiem możliwe – odezwała się spokojnym głosem Minerva. – Praca na żaglach jest trudna, a jednak ty się jej nauczyłaś.

Jej ramię dobrze się goiło, w czym na pewno pomagała nasza bezczynność. Przez większość czasu przebywałyśmy w kajucie i na powrót przeistaczałyśmy się w kobiety. Zmiękczałam skórę dłoni rodzajem masła orzechowego, które Toby nabył od tubylczego handlarza. Minerva kładła mi na twarz papkę z ananasa. Ten zabieg upiększający wykonywały swoim paniom czarnoskóre służące po to, aby zachować białość ich cery w tropikalnym słońcu. Dziwnie się czułyśmy, ponownie nakładając na siebie damskie stroje. Spódnice plątały mi się wokół nóg, a gdy Minerva ściągnęła sznureczki mojego gorsetu, myślałam, że się uduszę. Minerva całymi godzinami rozczesywała moje splątane włosy, a potem ja robiłam to samo z jej włosami. Po pewnym czasie skóra moich dłoni zrobiła się miękka i odrosły mi paznokcie, więc nareszcie mogłam im nadać pożądany kształt.

Mężczyźni przywykli do nowych zasad panujących na statku. Kiedyś wszyscy byli typowymi marynarzami, więc pamiętali, jak mają się zachowywać w tej roli. Nowi oficerowie, schludnie ubrani i

trzeźwi, pełnili swoje obowiązki. Broom wciągnął na maszt flagę Anglii. W miarę upływu czasu stawaliśmy się tym, na co wyglądaliśmy: handlowym statkiem brytyjskim, z uczciwymi ludźmi na pokładzie, płynącym z Bristolu do Indii, dokonującym po drodze kilku transakcji.

Krążyliśmy wzdłuż wybrzeża, przepływając obok fortów założonych i utrzymywanych przez różne państwa dla ochrony własnych interesów oraz służących jako ośrodki handlu. To właśnie do nich przyprawiano z głębi lądu niewolników, którzy następnie byli w nich przetrzymywani do chwili odbioru, tak samo jak kły słoni, pył złota, kauczuk oraz przyprawy, czyli bogactwa tego kraju. Według Brooma, forty były pełne skarbów.

– I złota. – Jego brązowe oczy taksie zaświeciły, jakby już je widział. – Trzymają tam złoto, żeby płacić nim za towary przychodzące, wychodzące, i każdy, kto korzysta z fortu, jest opodatkowany.

Jego plan był zuchwały i ambitny. Przy pomocy Toby'ego starannie wybrał cel: zbudowany z gliny i cegieł fort leżący na wysepce u ujścia jednej z dużych rzek wpływających do zatoki Benin. Toby dobrze znał to miejsce, ponieważ brał udział w handlu niewolnikami, służąc za tłumacza, a potem został oszukany przez naczelnika i sprzedany jako językoznawca do dalszej części wybrzeża. Znał rozkład budynków w forcie i wiedział, ilu będzie go strzegło strażników. Wiedział o ich strachu przed setkami niewolników więzionych w lochach oraz o ich równie wielkim strachu przed

chorobami, które napływały do nich wraz z zimnymi, wilgotnymi mgłami znad bagien porośniętych gęstymi lasami mangrowymi. Wielu białych umierało przed upływem kilku miesięcy od przyjazdu. Reszta próbowała zapomnieć o malarii i podskórnych pasożytach, pijąc na umór oraz zadając się z miejscowymi kobietami.

Fort wielokrotnie przechodził z rąk do rąk. Obecnie powiewała nad nim flaga Zjednoczonego Królestwa. Nowy naczelnik został przysłany przez Królewską Kompanię Afrykańską, aby przywrócić porządek i dobrobyt, ale lubił handlować na własną rękę i napychać własne kieszenie.

– To będzie prosta robota, moi panowie. Oraz panie. – Broom uśmiechnął się od ucha do ucha do mnie oraz Minery. Obie siedziałyśmy z poważnymi minami w naszych sukniach. – Po prostu wchodzimy i bierzemy. Według Toby’ego fort jest wypchany po dach złotem i nie ma dostatecznej liczby strażników. Nie jest w stanie oprzeć się dwóm dobrze uzbrojonym statkom pirackim. Choć, oczywiście, my się jako tacy nie przedstawimy.

Wpłynęliśmy do małej przystani, zbliżając się szybko do fortu. Broom rozkazał, aby większość załogi zeszła pod pokład.

Zbyt wielu ludzi mogłoby oznaczać, że jesteśmy statkiem pirackim. Szkuner wyprzedził nas w nocy i już stał na przystani, ale nie wymieniliśmy między sobą żadnych znaków porozumiewawczych. Chodziło o to, aby nikt się nie domyślił, że się znamy.

Broom rozkazał spuszczenie łodzi z sześcioma ludźmi w typowych

niebieskich marynarkach. Tymczasem Halston, Phillips, Duffy i Graham stanęli obok kapitana na mostku, wszyscy ubrani w swoje najlepsze stroje.

– Panie Andrews? – zawołał Broom. – Zechce pan pomóc wsiąść mojej bratanicy do łodzi?

Andrews zaprowadził mnie do burty statku. Miałam na sobie piękną suknię, którą nosiłam w Nowym Jorku oraz w Charlestown, z wystarczająco długimi rękawami, aby zakryć blizny od szabli na moich rękach. Minerva miała proste i skromne odzienie, jak przystało na niewolnicę. Zgodziła się odegrać tę rolę tylko ten jeden raz, powiedziała to jasno, i wyjaśniła, że dla ogołocenia fortu z bogactw oraz uwolnienia niewolników gotowa jest znieść takie upokorzenie. Szła za mną ze spuszczoną głową, potulnie wpatrując się w podłogę. Broom zachowywał się tak, jakby złoto już było nasze. Kobieta ze świtą, dama, na pewno zmyli wszystkich całkowicie.

Na pomoście czekał na nas rząd muszkietierów i zaprowadził nas do fortu. Naczelnik, Cornelius Thornton, powitał nas bardzo grzecznie. Poprosił, żebyśmy usiedli i wypili z nim szklaneczkę. Po wyglądzie jego twarzy poznałam, że nie była to jego pierwsza tego dnia. Zapytał, skąd jesteśmy i dokąd płyniemy. Popijając brandy, słuchał, jak Broom recytuje mu naszą historyjkę.

– Jestem kapitan Broom z Bristolu. Pozwoli pan, że przedstawię moją bratanicę, pannę Danforth. Udajemy się do Indii, do mojego brata. Rozkręca tam interesy. W drodze nabywamy złoto, kauczuk, kość słoniową i tym podobne rzeczy. – Broom przyglądał się mu z

namysłem. – Tak się właśnie zastanawiałem, czy macie tu coś takiego?

Broom sprawiał wrażenie najmilszego faceta pod słońcem, może nawet trochę głupawego. Małe, wyblakłe oczka Thorntona zwęziły się, a na jego bladych, wąskich ustach pojawił się uśmieszek. Był typem człowieka, który myśli, że wie wszystko, więc nigdy nie wątpił w ani jedno usłyszane słowo. Broom chodził po pokoju, gestykulując i mówiąc cały czas. Naczelnik gładził swoją siwiejącą brodę i nie przestawał się chytrze uśmiechać. Najwyraźniej uważał kapitana za naiwnego głupka. Zapytał, jakie mamy towary na sprzedaż, i Broom wymienił wszystko to, o czym wiedział, że może być potrzebne w forcie. Gdy Thornton zapytał o cenę, Broom podał śmiesznie niską kwotę. Thornton kiwnął głową i pozwolił sobie na skrywany uśmiech tryumfu, zadowolony, że dostanie to, co chce, za minimalną cenę. Z radością oprowadził nas po forcie, nie zauważając przy tym, jak ciemne oczy Brooma notują każdy szczegół, poczynawszy od liczby strażników, poprzez rodzaj broni na ścianach, kierunek skrętu schodów, na stanie działa skończywszy. Zwiedzanie podziemi i skarbcza Thornton zostawił na koniec, mając widocznie nadzieję, że zaimponuje nam osobistym bogactwem oraz potęgą fortu.

Krypty znajdowały się głęboko pod ziemią. Powietrze w ich wnętrzach było chłodne; płomienie trzymany przez żołnierzy lamp migotały od hulających przeciągów, rzucając na mury roztańczone cienie. Znaleźliśmy się nieopodal podziemnych jaskiń, w których przetrzymywano niewolników, wystarczająco blisko, żeby słyszeć ich

jęki oraz szczepek łańcuchów. Thornton nastawił ucha.

– To jest prawdziwe złoto. Lepsze od tego żółtego. – Uśmiechnął się do Brooma. – Właśnie dostałem wyborny transport z Konga. Pójdzie za wysoką cenę. Polubiłem pana, panie Broom, i chętnie ubiłbym z panem interes. Na pewno nie da się pan skusić? Nie straciłby pan na tym.

Broom pokręcił głową.

Thornton wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to jego strata.

– No, to jesteśmy! – Zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami. Z pęku kluczy, jakie nosił przy biodrze, wybrał jeden długi. Obrócił go w dużym, żelaznym zamku i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Jeden z żołnierzy uniósł lampę w górę, aby pokazać nam ułożone aż po sam sufit sztaby złota, od których bił ciepły blask. Pod ścianami stały wielkie dębowe skrzynie oraz dwa, pokryte srebrem, kufry z czerwono-zielonej skóry z herbem na przedzie. Kiedyś należały do hiszpańskiego szlachcica, ale teraz stanowiły osobisty majątek Thorntona.

– Mocne, tęgie drewno. – Broom poklepał drzwi z czerwonego drewna. – Bardzo solidne.

– Paduk. Gruby na cztery cale. A niech pan zobaczy to. – Thornton położył dłoń na ścianie. – Wykuta w litej skale. Nawet sam Black Bart nie dałby rady. – Roześmiał się, my razem z nim. – Zbyt tu ponuro jak dla młodej damy. – Podał mi ramię. – Proponuję, abyśmy przeszli się po ogrodzie.

Prywatne apartamenty Thorntona były dobrze wyposażone i panował w nich chłód dzięki grubym ścianom. Okna od frontu wychodziły na dziedziniec, a od tyłu na ogród pełen drzew owocowych oraz wszelkiego rodzaju roślin. Gdy spacerowaliśmy wśród drzewek pomarańczowych i cytrynowych, nad naszymi głowami krążyły jaskrawo upierzone papugi i krzyczały małpy siedzące na gałęziach. Naczelnik pokazywał nam ananasy, guawy, banany oraz orzeszki zwane cola, których Portugalczycy używali do słodzenia wody. Był wyraźnie dumy ze swego ogrodu, więc Broom i ja pospieszyliśmy z wyrazami podziwu i uznania dla tego, co oglądaliśmy. Zagajniki ciągnęły się aż do przystani. Dobra droga ucieczki, gdyby inne nam odcięto.

– To moja pasja – wyjaśnił Thornton. – Gdy tu przyjechałem, ten ogród był tylko kawałkiem udeptanego przez świnie błota, ale od tamtej pory dużo zmieniło się na lepsze. Mam zamiar wziąć nasiona oraz sadzonki i wysłać je do Gleeson.

Miał na myśli swoją wiejską posiadłość w Anglii. Szykował ją na swój powrót do kraju po zakończeniu służby. Duża część bogactw, które tu zdobył, miała trafić do jego angielskiego domu. Opowiedział nam o nich, prowadząc nas z powrotem do swojej rezydencji. Po przyjściu kazał przynieść dla mnie herbatę, a mężczyznom nalał brandy. Minervie, oczywiście, nie zaproponowano nic.

Pokój był urządzone w stylu angielskiego saloniku, jednak sprzęty z wiejskiej posiadłości w tym otoczeniu wyglądały dziwnie. Nie nadawały się ani do tego miejsca, ani do klimatu. Książki na półkach



zaatakowała wilgoć: kartki zgrubiały i spuchły, a okładki zostały zniszczone przez pleśń oraz insekty. Z mebli odchodziła okleina, a kredens się sypał. Lustra i srebra były oszpecone czarnymi oraz matowymi plamami.

Opowieść Thorntona powróciła do Gleeson oraz jego planów związanych z tą posiadłością, jednak bardzo często zmuszony był przerywać swą wypowiedź, nękany atakami bezdechu. Ciągłe ocierał chusteczką ciężkie krople potu, spływające po jego szaroróżowej skórze.

– Rozkłada się tak szybko jak jego sprzęty – szepnął do mnie Graham. – Już nie zobaczy swego Gleeson. Dobrze się pan czuje? – powiedział, podchodząc do Thorntona, ale ten powstrzymał go machnięciem dłoni.

– „Strzeżcie się zatoki Benin i dobrze uważajcie; opuszczają ją nieliczni, choć wpływa do niej wielu”. Czyż nie tak mówią? – Jego sarkastyczny śmiech wywołał kolejny napad kaszlu i rżenia. – Przeklęty klimat! – Opróżnił swoją szklanę. – Zwykle po południu odpoczywam. Może zechcecie państwo zjeść ze mną kolację dziś wieczorem? Z zasady po zachodzie słońca robi się chłodniej.

– Z największą radością – rzekł Broom, wstając. – Nie będziemy się już dłużej panu narzucać. – Rozejrzał się. – Widzę, że ma pan dobry smak i gust. Mam u siebie parę butelek wyśmienitej francuskiej brandy. Zechciałby pan napić się jej ze mną?

– Chętnie. – Thornton wstał, aby nas odprowadzić do wyjścia. – Może zatem powrócicie tu państwo około ósmej?

Po powrocie na statek otrzymaliśmy polecenie, aby przygotować się do wieczornego spotkania. Oficerowie mieli się ubrać w najlepsze mundury, jakie tylko potrafili znaleźć. Dla mnie Broom wybrał jedwabną suknię z dekoltem, którą kupił mi w Nowym JoFku.

– Tylko na tę okazję. Chcę, żebyś wyglądała szczególnie ponętnie. I załóż jeszcze to. – Wyjąwszy z kieszeni naszyjnik z rubinami, położył go na stole.

Patrzyłam na niego, nie wierząc własnym oczom.

– Myślałam, że zostawiłeś go u Brandta, tego bankiera.

– Nie. – Broom pokręcił przecząco głową. – Dlaczego miałbym to zrobić? Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Na przykład teraz.

– Nie założę go.

– A dlaczegóż to?

Pokręciłam głową. Nie byłam w stanie mu tego wyjaśnić.

– Nancy, musisz to zrobić! Właśnie czegoś takiego potrzebujemy! Thornton nie spuści z naszyjnika, ani z ciebie w nim, tych swoich małych, chytrych oczek. Tak samo jak inni mężczyźni w tym pokoju, a mnie zależy, żeby byli rozkojarzeni.

W końcu dałam się namówić. Jednak gdy Minerva założyła mi naszyjnik na szyję, myślałam, że się uduszę. Zaczęłam ciągnąć i szarpać zapięcie, aż Minerva kazała mi przestać. W łodzi, wiozącej nas ponownie do fortu, do wiosła siadło sześciu bardzo elegancko ubranych marynarzy. Każdy z nich pod niebieską kurtką miał dwa pistolety. Każda para miała po beczułce rumu, przeznaczonego dla

nowych znajomych z fortu.

– Nie żałujcie im, chłopcy. – Broom puścił oko, gdy marynarze odchodzili do wartowni. – W ten sposób okazemy wdzięczność za ich gościnność.

Broom, Graham oraz pozostali oficerowie mieli ukrytą przy sobie broń. Minerva i ja miałyśmy na ramionach szale oraz szarfy wystarczająco szerokie, aby schować pistolet. Naczelnik wyszedł nam na spotkanie i zaprowadził do jadalni z widokiem na przystań. Jeden rzut oka wystarczyłby, aby spostrzegł, że nasze statki zmieniły pozycje i stoją dziobami do fortu.

Kolacja nie była jeszcze gotowa, więc zaproponowano nam, abyśmy przyłączyli się do pozostałych gości i wypili ponczu. Broom otworzył jedną z butelek brandy, sprawiając tym Thorntonowi wyraźną przyjemność. Kilka toastów wychylił z nimi kapitan strażników, pijaczyna o sponiewieranej twarzy oraz nosie jak truskawka. Graham wdał się w rozmowę o chorobach tropikalnych z młodym człowiekiem z Królewskiej Kompanii Afrykańskiej o niezdrowo bladej cerze. Doszedł nas hałas z wartowni i kapitan spojrzał tak, jakby chciał tam pójść, ale Broom ciągle dolewał mu brandy, a Phillips zapytał go o jego wyprawę z dawnych lat.

Rubiny spełniły swoje zadanie. Przyciągnęły Thorntona z drugiej strony pokoju. Tak jak Broom przewidział, naczelnik nie mógł oderwać od nich oczu. Rozmawiałam z mężczyzną o chytrym wyrazie twarzy, który kupował niewolników w głębi kraju, gdy podszedł do nas Thornton.

– Riley, nie możesz sobie zawłaszczyć tej czarującej młodej damy na cały wieczór. Moja droga, musi mi pani wszystko o sobie opowiedzieć. – Zaprowadził mnie do kąta obok okna. Z nami szła Minerva ze spuszczoną głową. – Ależ to jest przepiękne! – powiedział, wpatrując się w moją szyję. – Muszę przyznać, że jestem koneserem. Cudownie dobrane kamienie. – Przysunął się, żeby móc się im lepiej przyjrzeć. – Każdy z nich jest doskonały. Mogę zapytać, skąd pochodzi ten naszyjnik?

Wyjaśniłam, że to pamiątka rodzinna przekazywana z pokolenia na pokolenie. Thornton stał zwrócony plecami do pokoju. Ponad jego ramieniem zobaczyłam zbliżającego się Brooma. Jak na tak dużego mężczyznę, potrafił bardzo cicho stawiać kroki.

– To zaiste bardzo piękne...

Urwał, gdy Minerva wepchnęła mu pistolet pod żebra. Broom przyłożył swój do jego głowy.

– Oddasz mi fort i wszystko, co się w nim znajduje. – W ciszy, która nagle zapadła, rozległy się głośne słowa Brooma. – Albo zginiesz.

Każdy mężczyzna oglądając się, stwierdził, że jest na czyjejs muszce. Broom skinął na Minervę, która podeszła do okna i wypaliła z pistoletu. Był to sygnał dla naszych, którzy przebywali w wartowni. Odległe krzyki i odgłosy potyczki umilkły po jednym wystrzale.

– Fort jest nasz. – Broom przyciągnął Thorntona do okna. – Popatrz.

Na naszych obu statkach usunięto malowane płótna, zakrywające

wyloty dział. W kierunku fortu wycelowano trzydzieści armat.

– Co chcecie zabrać? – zapytał naczelnik z twarzą koloru woskowanego papieru.

– Wszystko – odrzekł Broom.

Broom mówił poważnie. Fort został zdobyty bez konieczności oddania kolejnych strzałów. Żołnierze zostali zamknięci we własnej wartowni. Na najwyższej wieży zdjęto flagę Zjednoczonego Królestwa: był to sygnał dla naszych ludzi, aby tłumnie przybyli do fortu. Broom zaprowadził naczelnika do skarbcza i zmusił go do otworzenia drzwi, którymi się szczycił, że są nie do zdobycia. Jedna grupa mężczyzn za drugą wyniosły całe złoto na pomost. Tym razem, jak nigdy przedtem, nikt nie narzekał na ciężki ładunek, który trzeba było dźwigać. Łodzie przewożące złoto na statek zanurzyły się głębiej w wodzie. Ostatnimi rzeczami do zabrania były osobiste kufry i skrzynie naczelnika. Gdy skarbiec był już całkowicie pusty, zamknięto w nim naczelnika.

Toby zaprowadził grupę mężczyzn do pomieszczeń, w których przetrzymywano schwytanych niewolników. Potem zaproponowano mu wybór: mógł odpłynąć z nami albo zostać. Wybrał to drugie, więc od ręki dostał swoją część łupów.

Gdy wstał nowy dzień, już nas tam nie było.

– Cudne, co?

Stosy sztab złota stały w kabinie Brooma. Nie potrafił przestać się nim cieszyć ani zachwycać.

– Spójrzcie na to. – Wziął do ręki jeden kawałek, opieczętowany i pokryty herbami. – Portugalskie. A to – podniósł kolejny – hiszpańskie. Złoto wszystkich państw. – Obracał sztaby w rękach. – Każda z nich to prawdziwe dzieło sztuki. – Odłożył sztaby na stos i zaczął chodzić tam i z powrotem po skrzypiącej podłodze. – Klnę się, że z powodu ich ciężaru mamy większe zanurzenie.

Nie tylko Broom był zafascynowany naszym łupem. Do jego kajuty przychodziły procesje marynarzy, którzy chcieli popatrzeć na złoto, dotknąć go, a nawet powąchać, jakby miało jakiś zapach, niczym rodzaj słodko-korzennej przyprawy. Niektórzy prosili o to, żeby było im wolno potrzymać śliską jak masło sztabkę, poczuć w ręku jej ciężar. Zestawiali ze sobą dwa kawałki, aby porównać ich kolory: palonej pomarańczy, żonkila, bladego pierwiosnka. Odchodzili i przychodzili ponownie. Nikt nigdy w życiu nie widział takiego bogactwa.

Jednak jego bliskość zaczęła źle wpływać na załogę. Wśród marynarzy zrodziła się nerwowość. Przestali sobie ufać. Stali się podejrzliwi. Każdego gnębił strach, że zostanie oszukany, nie otrzyma swojej doli albo otrzyma mniej niż kompan. Zaczęli robić obliczenia na kawałkach papieru, wydrapywać liczby na drewnie czubkiem noża

lub piki lub rysować palcami na pokrytych skorupą soli powierzchniach.

Na statku zrobiło się cicho. Mężczyźni wykonywali swoje obowiązki bez zwyczajowych śpiewów czy okrzyków. Przestali zbierać się wieczorami, aby się napić, snuć opowieści lub wypalić fajkę. Przestały rozbrzmiewać żarty i śmiechy. Każdy z nich wolał trzymać się osobno, a leżąc w hamaku, marzył o należnych mu bogactwach.

Broom zauważył zmianę w zachowaniu załogi i zapytał Grahama, czy to skorbut, który może wywołać melancholię, a jeśli tak, to poprosił, żeby doktor zaczął ich leczyć.

– Są całkowicie zdrowi – odpowiedział Graham. Poklepał się po czole. – To złoto rozpala ich głowy. – Popatrzył na Brooma, jego niespokojne oczy i napięte ciało. – Tak samo jak twoją, mój przyjacielu. – Westchnął. – Nadmiar złota jest gorszy od jego braku. Pelling mówi, że krążą nowe listy spiskowe. Każdy coś knuje i oblicza. Lękam się buntu. A nawet gorszej rzeczy. – Dłonią przetarł oczy. – Lękam się rzezi. Na tobie, na mnie, Pellingu, Phillipsie i Halstonie. Na wszystkich, którzy mają dostać większe części. A wam, dziewczęta, chyba nie muszę mówić, jaki was może czekać los. Według mnie spróbują przejąć ten statek i uciec szkunerowi.

– Hmm. – Broom pogładził podbródek. Słowa Grahama otrzeźwiły go. – Za tym na pewno stoją ci leniwi dranie z załogi Lowa. – Pokręcił głową. – Powinienem był ich zostawić na bezludnej wyspie.

– Zwłaszcza tych grajków – wtrącił Pelling.

– Grajków? – Broom spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Hack, Croker i reszta ze statku Lowa. Są jak zaraza. Odstraszą mewy, siedząc na belce masztu. Są najgorsi ze wszystkich. Widziałem, jak darli się i piszczeli, gdy dookoła nich zabijano albo torturowano innych. W końcu nie można było odróżnić muzyki od krzyków umierających. To denerwuje marynarzy, doprowadza ich do wściekłości. Dlatego Low ich trzymał na swoim statku. Nie jesteś piratem tak długo jak ja, bo inaczej sam byś to wiedział. Mówiłem to już, ale wtedy nikt mnie nie chciał słuchać. Powinniśmy byli rzucić ich rekinom na pożarcie, kiedy mieliśmy sposobność, razem z ich skrzypkami i piszczałkami.

– Może jest w tym racja. – Spoglądając na morze, doktor zmrużył swe jasne oczy. – Ale teraz jest na to już za późno. – Obrócił się i spojrział na Brooma. – Chodzi nie tylko o łup, choć to główna przyczyna kłopotu. Oni mają dość Afryki. Jeśli przejmą statek, na pewno popłyną do Indii Zachodnich, gdzie znajdą knajpy i kobiety. Na cóż innego wydadzą swoje bogactwo? Narzekają, że tutejszy klimat im nie służy. Dlatego planują popłynąć w bardziej sprzyjające okolice, żeby zabawić się z dziewczynkami i zapić się na śmierć. – Roześmiał się śmiechem pozbawionym wesołości. – Złoto ich rozpała. Moja rada jest taka: trzeba gdzieś je schować. Nastroje powinny się uspokoić, gdy nie będzie na widoku.

Gabriel zabrał się do budowania pomieszczenia na jednym z końców mesy, w którym jakoby miało się znajdować złoto. Rozpowiedziano, że ma być tam przechowywane do czasu, gdy będzie



je można podzielić.

Broom wezwał do siebie Vincenta, aby mu powiedzieć, że załogi obu statków będą się dzielić. Nie musiał tłumaczyć mu dlaczego. Vincent wyczuł zmianę, ledwie tylko wszedł na nasz pokład.

– To złoto rodzi chciwość i nieufność. Widziałem to na Madagaskarze.

Płynęliśmy na południe, w kierunku portugalskich wysp Księżęcej oraz Świętego Tomasza. Plan Brooma zakładał, że zatrzymamy się na Annobono, najmniejszej i najrzadziej odwiedzanej wysepce. Tam miał podzielić łupy i rozwiązać załogi statków, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wszyscy będą mogli zabrać swoje części i odejść. Poprosił Vincenta, aby do tego czasu trzymał się blisko nas i był w stanie gotowości.

Pierwszy oficer zgodził się i opuścił nasz statek. Od tego momentu nasze statki płynęły razem.

– Czekają, aż przekroczymy linię równika – powiedział Pelling, gdy przyszedł ostrzec mnie i Minervę. – Mówię to wszystkim, którym mogę ufać. Uważajcie na siebie. Skorzystają z okazji w czasie zabawy. To będzie ich sygnał do przejęcia statku.

– A może trzeba by zwołać radę statku?

– Och, nie. – Pelling pokręcił głową. – Wykluczone. To bardzo zły pomysł. Nastroje są tak napięte, że wydarliby nam statek spod nóg. Najlepiej jest trzymać pod ręką suchy proch. – Przechylił głowę w kierunku szkunera. – Vincent zjawi się tu po pierwszym sygnale o zagrożeniu.

Od dawna denerwowałam się z powodu przekroczenia równika, który oddziela północ od południa. Wszystkich, którzy jeszcze nie byli na południowej półkuli, dręczono opowieściami o najróżniejszych rytuałach oraz przedziwnych obyczajach inicjacyjnych nadzorowanych przez samego Władcę Mórz, Neptuna. Marynarze nie chcieli zdradzić, na czym rzecz cała polega, ale Graham pocieszył mnie, że owe obrzędy to przede wszystkim hałaśliwa zabawa, której najważniejszą częścią jest pewien rodzaj chrztu, z łatwością znoszony przez każdego, kto jest gotów poddać się nastrojowi. Domyślałam się jednak, że te obyczaje posiadają również i ciemną stronę, która czasami wymyka się spod kontroli. Wszyscy najbardziej lękali się przeciągania pod kilem, w czasie którego delikwenta wrzucano do wody i ciągnięto od dziobu do rufy dziewięćdziesiąt stóp pod powierzchnią wody. Jego ciało tarło o ostre jak brzytwa skorupiaki, które całymi gronami przywierały do kadłuba. Śmierć była nieunikniona. Jeśli taki nieszczęśnik nie utonął, to umierał z wykrwawienia.

Mieliśmy płynąć do portugalskich wysp na pełnej szybkości, jednak w miarę jak zbliżaliśmy się do równika, pogoda stawała się tak samo ponura jak atmosfera na statku. Słońce paliło nas z góry, topiąc smołę pomiędzy deskami pokładu i wysuszając drewno tak bardzo, że zaczynało skrzypieć. Morze wokół nas przypominało płynny mosiądz. Wiatr ucichł całkowicie; zwisające żagle stały się nieprzydatne.

Broom rozkazał rozwinięcie każdego cala żagli, jednak nie poruszał ich nawet najmniejszy podmuch wiatru. I wtedy szkuner został pochwycony przez przeciwny prąd i zaczął się od nas oddalać. Broom rozkazał użyć wiosła, ale marynarze wiosłowali bez zapału i wcale nie posuwaliśmy się naprzód.

Vincent nie miał takich kłopotów na swoim statku. Jego afrykańscy marynarze byli bezgranicznie lojalni wobec niego. Pracowali z pełnym zaangażowaniem, jednak nawet dla nich prąd okazał się zbyt silny. Z naszego statku patrzyliśmy bezradnie, jak szkuner oddala się od nas, stopniowo staje się mały jak zabawka, aż w końcu znika całkowicie z oczu.

Zostaliśmy sami.

Marynarze nie musieli patrzeć na morze ani niebo. Instykt podpowiedział im, kiedy przekroczymy linię, która oddziela jedną część globu od drugiej. Rutynowe zajęcia zostały w mniejszym lub większym stopniu zawieszane. Na statku zapanowała atmosfera święta. Przez cały dzień marynarze pili i zajmowali się tajemniczymi przygotowaniami. Niektórzy wdrapali się na liny i przytwierdzali wciągarkę do poprzecznej belki głównego masztu. Inni robili coś, co wyglądało jak kołyska lub dziecięca huśtawka z lin. Jeszcze inni zgarniali z kadłuba wodorosty i skorupiaki.

Każdemu nakazano zejść pod pokład albo do swej kajuty, nawet kapitanowi. Wezwał nas werbel bębna. Gdy weszliśmy na pokład, przywitała nas dziwna i złowieszcza atmosfera.

Dzień chylił się ku zachodowi. Słońce przestało przypiekać i jego

wielka, czerwona tarcza staczała się do morza. Pokład i wszystko oraz wszyscy na nim byli skąpani w ciemnoróżowym świetle. Piraci ustawili się wzdłuż balustrady na śródokręciu. Tym, którzy jeszcze nie przekroczyli równika, nałożono na głowy kaptury i poprowadzono w kierunku przedniej części statku. Zostaliśmy popchnięci w róg i kazano nam uklęknąć. Gdy zdjęto nam z głów kaptury, ujrzeliśmy nad sobą Neptuna siedzącego na prowizorycznym tronie z trójzębem w dłoni. Jego jedynym odzieniem była przepaska na biodrach. Jego ciało lśniło, jakby dopiero co wyszedł z morza. Na głowie miał długą perukę z wodorostów oraz postrzępionych, nasączonych smołą lin. Jego twarz, zakryta ogromną sztuczną brodą, pełna była brązowo-zielonych smug od ociekających wodorostów.

Powiedziano nam, czego mamy się spodziewać.

Każdy z nas miał wybór: poddać się zanurzeniu lub zapłacić grzywnę w postaci funta cukru i pół kwarty rumu, potrzebnych do wyrobu ponczu. Czułam, że to, ile rumu dostarczymy, nie ma żadnego znaczenia. Będziemy musieli zapłacić grzywnę i spodziewać się zanurzenia. Na tę okoliczność przygotowano beczki wypełnione po brzegi obrzydliwą mieszaniną stęchłej wody, smoły, zgniłych roślin, zużytej wody od gotowania oraz wszystkiego, co marynarze uznali za stosowne.

Andrews, młody nawigator, stał obok mnie. To była jego pierwsza dalekomorska wyprawa, więc on również jeszcze nie przekroczył równika.

Już sam zapach dolatujący od strony beczek wystarczył, żebyśmy

pobledli i nerwowo przełknęli ślinę.

– Jak myślisz, co w nich jest? – szepnął do mnie.

– Nie jestem pewna. – Wciągnęłam w nozdrza gryzący zapach zgnilizny. – Ale chyba łatwo się domyślić.

„Golarze” czekali z naczyniami jeszcze bardziej odrażających brudów, które zamierzali rozmazać na naszych policzkach, a potem zeszkrobać starymi kawałkami zardzewiałego żelastwa. Widziałam po ich roześmianych gębach, że już nie mogli się doczekać, kiedy dostaną w swoje łapy mnie i Minervę, jako że golenie było dla nas czymś zupełnie nowym. Potem czekało nas mycie: mieliśmy zostać umieszczeni w prowizorycznej kołysce i uniesieni wysoko na ożaglowanie. Tam mieliśmy zawisnąć nad skrzącą się i pomarszczoną taflą wody, znajdującą się pięćdziesiąt stóp poniżej nas. Następnie lina miała być zluzowana, my zaś mieliśmy runąć w dół, uderzyć w wodę z taką szybkością, żeby przemknąć obok zzieleniałego, brzuchatego kadłuba, obrośniętego wodorostami i skorupiakami, i wpaść w ciemnozieloną toń, gdzie jedynym dźwiękiem byłoby bicie naszych serc. Po chwili, kiedy poczujemy, że pękną nam płuca, zostaniemy wyciągnięci po to, żeby ta sama rzecz powtórzyła się jeszcze dwa razy. W końcu, ociekający wodą i oszołomieni, mieliśmy zostać sprowadzeni na mostek kapitański.

Broom chciał uczestniczyć we wszystkim tak długo, jak tylko mógł, nie będąc pewnym, komu i jak wielu może ufać. Gdy marynarze klaskali i wiwatowali, on też śmiał się i poklepywał nas po ramieniu. Kątem oka spojrzałam na Minervę. Miała obojętny i

beznamiętny wyraz twarzy. Podobnie jak wielokroć wcześniej, tak i tym razem wzięłam z niej przykład.

Poniżej nas grajkowie chwycili za skrzypce oraz piszczałki. Dźwięki były głośne, natarczywe i z każdą chwilą nabierały mocy i szybkości, a grajkowie oblewali się potem. Tupiąc i klaszcząc, marynarze otaczali nas coraz ciasniejszym kręgiem. Od wybijanego przez nich rytmu zaczął drgać cały statek. Ożaglowanie i kadłub wibrowały niczym ogromny bęben. Wtem muzyka ucichła tak samo nagle, jak się zaczęła. Pomyślałam, że przyszła pora na zanurzenie i zaczęłam zbierać siły, by sprostać tej próbie. Nagle jeden akord, odbijający się echem i nieharmonijny, rozerwał ciszę. Był to sygnał do zamieszek.

Grajkowie zaczęli grać inną melodię, jeszcze szybszą niż poprzednia, a marynarze ponownie zaczęli tupać i klaskać. Przekraczanie równika to pora bezprawia, w czasie której rozkazy kapitana mało co znaczą, a na statku pirackim nie znaczą nic. Zepchnięto nas na jedną stronę. Niektórzy piraci już weszli na mostek, żeby pochwycić kapitana.

– Pod kil z nim! – rozległy się krzyki.

– Uspokójcie się, chłopcy! – Broom próbował przemówić im do rozumu, nadal się uśmiechając, ale było widać, że ich zamiary są jak najbardziej poważne.

Kilku marynarzy już zmieniało liny przy kołysce, przygotowując ją do przeciągnięcia pod statkiem. Pozostali im przyklaskiwali. Teraz potrzeba im było tylko ciała. Na lewej i prawej burcie stanęły grupy

gotowe do przeciągnięcia ofiary od jednego końca statku do drugiego. Nikt nie był w stanie przeżyć takiej próby. Brooma wyciągnięto by martwego, o ile wcześniej nie rozszarpałyby go rekiny.

– Nie martw się, kapitanie. – Croker, jeden z grajków, mrugnął do Brooma swoim zdrowym okiem. Drugie kiedyś wybiła mu kołysząca się lina holownicza. – Nie będziesz sam.

Zostaliśmy otoczeni. Marynarze wbiegli na mostek, żeby schwytać Pellinga, Grahama oraz pozostałych oficerów.

– Te dwie zostawcie – powiedział Croker, wskazując na mnie i Minervę. – Przydadzą się do czego innego. Hack nie chce, żeby im się coś stało.

Hack podniósł wzrok i skinął głową, jakby potwierdzał przyjęcie sygnału do zmiany muzyki. Uczestniczył w spisku, ale tak naprawdę w ogóle nie było wiadomo, kto w nim był, a kto nie. Wszyscy mężczyźni byli bardzo podekscytowani. Rozum całkowicie ich opuścił. Muzyka Hacka wprowadziła ich w szaleńczy trans, w którym pałali tylko żądzą krwi. Hack grał niczym sam szatan, a załoga tańczyła w rytm jego diabelskiego tańca.

Pellinga przywiązano do kabestanu pośrodku statku. Gabriel, Jessop, a nawet Joby, zostali spętani w podobny sposób. Marynarze otoczyli ich, wymachując nożami, szablami, pędzlami do smoły i pikami na marliny, słowem wszystkim, co nadawało się do dźgnięcia lub ukłucia. Jeden z nich przyniósł z okrętowej kuchni palącą się głównię, a inni zapalili od niego małe kawałki, aby w każdej chwili móc je włożyć pomiędzy nasze palce u rąk i nóg. Najwyraźniej mieli zamiar torturować każdego, kto okazałby lojalność wobec Brooma.

Popychali nas, ciągnęli, okładali pięściami i poniewierali w sposób, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do ich planów wobec mnie oraz Minervy. Spojrzałam w twarze mężczyzn, których znałam, z którymi pracowałam i ujrzałam czerwone, lśniące od potu, obleśne gęby. Niemalże zakrztusiłam się od gorącego, zwierzęcego smrodu ich ciał, od ich cuchnących rumem oddechów. Szamotałyśmy się i walczyłyśmy z całych sił, jednak walka była nierówna. Było ich zbyt wielu. Zbyt wiele rąk wyciągało się do nas. Skrępowano nam dłonie i trzymano w żelaznym uścisku.

Statek tkwił na wodzie bez żadnego ruchu. Żagle były zrolowane i ciasno przywiązane do poprzeczek. Załoga porzuciła wykonywanie wszelkich obowiązków. Wszyscy tłoczyli się pośrodku statku. Nawet sternik odszedł od steru. Nagle, pomimo strachu i zamieszania, coś poczułam. Zerwał się wiatr i, nie mając sternika, statek zaczął się obracać. Inni też to poczuli. Marynarze są tak czuli na najmniejsze



zmiany wiatru jak wiatrowskaz. Ster się zaciął i statek zaczął dygotać, a spod kadłuba dał się słyszeć gwałtowny łomot. Nie zabezpieczone drzewce, odchodzące w bok od żagla, uderzyły w dwóch marynarzy. Pozostali zatoczyli się, ponieważ pokład przechylił się, a wielkie cielsko statku zatrzeszczało i zatrzęsło się pod ich stopami. Rozglądali się w popłochu dookoła, ale nie było nikogo, kto by mógł im powiedzieć, co zrobić.

Na ułamek sekundy ręce, które nas trzymały, zwolniły uścisk. Minerva tylko na to czekała. Niczym kot wywinęła się marynarzowi, który ją przytrzymał, i wskoczyła na najbliższą kratę, chwytając po drodze płonącą głównię oraz butelkę rumu. Widząc jej nagłą ucieczkę, wielu piratów rzuciło się w jej stronę. Ich liczba była tak duża, że z łatwością mogli ją pojmać, ale Minerva zamachnęła się płonącą pochodnią i osaczający ją mężczyźni musieli odskoczyć do tyłu. Powietrze wypełniło się wonią przypalonych włosów, wąsów i bokobrodów, a potem rumu, który wylała z butelki na kratę. Dokładnie pod nią znajdował się skład prochu. Szkło roztrzaskało się, a ona trzymała płonącą głównię nad szparami we włazie.

– Jeden krok bliżej i wrzucę ogień! Zabiorę was wszystkich na samo dno oceanu, przysięgam! – Mężczyźni popatrzyli po sobie, zastanawiając się, czyjej wierzyć. – Razem ze złotem! – dodała.

Usłyszawszy ostatnie słowa, marynarze odsunęli się.

Nie wiem, czy wysłałaby nas do wieczności, trudno też powiedzieć, jak długo byłaby w stanie trzymać marynarzy zdała od siebie dzięki tej groźbie. Możliwe, że niektórzy z nich pomyśleli, że ją

spełniła, ponieważ nagle rozległ się huk wystrzału i pojawiły się kłęby dymu. Wybuchła panika.

– Atak! Atak! – ktoś zawołał i wszyscy tłumnie podbiegli do balustrady.

W naszą stronę płynął statek. Statek pod pełnymi żaglami. Jego załoga już oddała jeden strzał, a teraz kolejny trafił w nasz dziób. Naszym oczom ukazała się czarna flaga, do której przypięto prymitywnie wycięte czerwone serce, co oznaczało, że nie mogliśmy liczyć na żadną łaskę. Statek zbliżał się do nas z dużą szybkością.

Kapitan stał na mostku. Miał nieprzeniknioną i zaciętą twarz. Szykujący się do wejścia na nasz statek marynarze byli w większości czarnoskórzy. Byli to ci sami mężczyźni, o których ktoś z naszej załogi kiedyś powiedział, że nigdy nie zostaną marynarzami i że powinni zostać z powrotem sprzedani handlarzom niewolników. Jak powiedziała mi Minerva, byli lojalni wobec Vincenta i tylko wobec niego. Buntownicy nie mogli oczekiwać z ich strony żadnej litości.

Grajkowie przestali grać już jakiś czas wcześniej. Rozpierzchli się i zniknęli gdzieś pod pokładem. Ci, którzy wykazywali się odwagą w czasie zamieszek, teraz błyskawicznie się ulatniali. Przez cały czas zbliżał się do nas tamten statek. Marynarze rozglądali się i patrzyli po sobie, jakby budzili się ze snu, czując, że powinni coś zrobić, ale zupełnie nie wiedzieli co.

Było kilka rzeczy, które mogli zrobić. Mogli użyć Brooma jako zakładnika za ich życie i wolność. Mogli zebrać się i walczyć z wrogiem. Jednak tchórzostwo i popłoch sparaliżowało ich ciała i

umysły i nie zrobili nic. Statki starły się burtami. Vincent oraz jego ludzie wskoczyli na pokład i nasz statek został wzięty bez rozlewu krwi i bez strzałów.

Buntownicy zostali schwytani i osądzeni z powagą, której nie powstydziliby się nawet sąd admiralicji. Przywódcy, Hack i Croker, zostali powieszani na ożaglowaniu, a potem ich ciała odcięto i rzucono rekinom na pożarcie. Pozostałych wsadzono do otwartej łodzi i dano im tyle żywności i wody, aby wystarczyło na dotarcie do portugalskich wysp lub wybrzeża Afryki.

Złoto, które było powodem tych odrażających zjść, zostało podzielone pomiędzy tych, którzy pozostali na statku. Nadeszła pora, aby rozwiązać załogę. Pora, aby się rozstać.

Nie wszyscy marynarze, którzy byli lojalni wobec Brooma, chcieli z nim dalej zostać. Otrzymawszy swoje części skarbu, pragnęli opuścić wody u wybrzeży Afryki i wrócić do Indii Zachodnich, jako że tamtejsze życie było im dobrze znane i bardziej odpowiadało ich upodobaniom. Pewnie lepiej by zrobili, zostając z nami na „Swift Return”, ale trudno było przewidzieć, co ich czeka na „Fortune”. Halston miał zostać kapitanem, a miody Andrews nawigatorem. Na ich pożegnanie urządzono wielką ucztę. Wtedy po raz ostatni obie załogi były razem. Następnego dnia odpłynęli, stając się maleńką kropką na horyzoncie; potem zniknęli nam z oczu.

Następnym, który nas opuścił, był doktor Graham. Serce mi krwawiło ze smutku, ale już od dawna mówił, że ma dość takiego życia. Opuścił nas na Przylądku Dobrej Nadziei. Stamtąd miał wsiąść na statek do Anglii, by tam rozpocząć nowe życie. Ponownie prosił mnie usilnie, abym pojechała z nim, powtarzając swą propozycję, abym udawała jego córkę.

– Dlaczego nie chcesz się zgodzić, Nancy? Ty i ja stanowilibyśmy dobraną parę. Oboje mamy dość pieniędzy, aby żyć na przyzwoitym poziomie. Wybrałabyś miasto według własnego upodobania. To nie jest życie dla takiej młodej damy jak ty.

Roześmiałam się.

– Nie jestem damą. Jestem piratem.

– I stałaś się starsza, niż na to wskazuje twoja metryka. Obawiam

się o ciebie, jeśli będziesz dalej prowadzić takie życie, pełne przemocy i niebezpieczeństw i... i wulgarności. Lękam się, że to zostawi na tobie piętno na całe życie. Widziałaś rzeczy, których żadna kobieta nie powinna oglądać. – Pokręcił głową. – I w każdej chwili możesz zostać schwyтана albo zabita przez jakiegoś łotra. Nikt nie jest w stanie być piratem przez długi czas. Błagam cię, jedź ze mną. Co ty na to?

Poprosiłam go o czas do namysłu, ale już wiedziałam, jaka będzie moja odpowiedź. Powiedziałam mu, że nie mogę opuścić Minervy i że ona nie zgodzi się pojechać ze mną.

– Dlaczego nie? – zapytał Graham. – Przecież byłaby wolna. Nie pojechałaby jako twoja niewolnica czy służąca, ale jako twoja towarzyszka.

– W oczach prawa mogłaby być wolna, ale... – Próbowałam mu wytłumaczyć, co czuje Minerva. – Mówi, że nie chce mieszkać tam, gdzie zawsze musiałyby znosić ciekawskie spojrzenia oraz złośliwe komentarze.

– Ale miałyby pieniądze. Pozycję.

Nieomal wybuchnęłam śmiechem. I to miałyby coś zmienić? Ludzie postrzegaliby ją jako wynoszącą się ponad swój stan, a to byłoby jeszcze gorsze. Graham był wrażliwy i inteligentny, dlatego też tego nie pojmował?

– Mogłabym wejść do każdej tawerny w każdym porcie – próbowałam mu dalej tłumaczyć – ubrana jak mężczyzna i nikt by nic nie powiedział, o ile miałabym czym płacić. Jednak gdybym weszła

tam ubrana jako kobieta?

– Zaczynam rozumieć...

– Ona chce mieszkać tam, gdzie kolor jej skóry nie ma żadnego znaczenia, jak dla ciebie lub dla mnie w Bristolu czy Londynie. Myśli o tym, żeby pojechać na Madagaskar.

– Do kraju Vincenta? Do starego schronienia piratów? Skinęłam głową potakująco.

– To cel naszej następnej podróży. Był to pomysł Vincenta, ale Broom jest jak najbardziej za tym.

– I ty popłyniesz z nimi? Kiwnęłam głową.

– A co z twoim młodym przyjacielem, Williamem? Moglibyśmy szukać go razem. Mógłbym mu wytłumaczyć...

Przypomniałam sobie nasze ostatnie spotkanie. Przez ostatnie miesiące myślałam o nim tak często, że teraz wydawało mi się okropną i całkowitą katastrofą.

– Przestałam o nim myśleć.

– Hmm. – Graham popatrzył na mnie z powątpiewaniem, pocierając podbródek. – I spodziewasz się, że ja w to uwierzę?

– Mam na myśli małżeństwo. Nie zniosłabym upokorzenia, jakie sprawiłby mi widok Williama z inną.

– No cóż – westchnął. – Skoro tak postanowiłaś.

– Tak postanowiłam.

Graham był dla mnie jak ojciec i wiedziałam, że boleśnie odczuję jego brak, jednak moja decyzja była ostateczna. Będzie musiał wrócić do Anglii beze mnie.

– W takim razie życzę ci, żebyś była zdrowa i wolna od niebezpieczeństw. – Pocałował mnie w czoło. – Będę przysyłał listy, kiedy tylko będę mógł.

Tak więc pożegnaliśmy się z nim, a potem patrzyliśmy, jak jego statek odpływa.

– Żałujesz, że nie popłynęłaś razem z nim? – zapytała mnie Minerva, gdy statek Grahama opuścił port.

– Nie – odrzekłam, i była to prawda.

– Chyba nie zostałam ze względu na mnie? – zapytała zmartwionym głosem. – Tego bym nie chciała.

– Częściowo tak. – Musiałam być z nią szczerą. Między nami nie było sekretów. – Jesteś moją siostrą. Jediną rodziną, jaką mam i jaką chcę mieć. Ale to nie był wyłączny powód.

Opowiedziałam jej o innych powodach, dla których odrzuciłam propozycję Grahama. Gdybym założyła czepek i pelerynkę córki doktora, moje życie straciłoby cały swój smak, byłoby jak mięso bez soli, byłoby mdłe niczym mączny pudding angielski, ani tak słodki, ani tak wyraźny w smaku jak owoce południa. Graham miałby swoją pracę, swoich pacjentów. Moja przyszłość zależałaby od małżeństwa. Opisałam korowód bladoliczych kandydatów. Moje serce, niczym igła kompasu, zawsze zwracałoby się do Williama. Wciąż nosiłam jego pierścień. Skoro nie mogłabym zostać jego żoną, to nie poślubiłabym żadnego innego. Ale on najprawdopodobniej był już obiecany jakiejś miłej dziewczynie, córce kapitana. Nawet gdybym go odnalazła, to tylko wprowadziłabym zamęt w jego życie, zrujnowała jego karierę,

na którą tak ciężko pracował. Zbyt mocno go kochałam, żeby nawet o tym myśleć. Tak więc, zostałam starą panną w Londynie, Edynburgu, Bath czy innym uzdrowisku i serwowałam herbatę oraz słowa otuchy żonom i córkom co zamożniejszych pacjentów Grahama.

– Wolę zostać piratem – zakończyłam. I mówiłam szczerze.



# **Demoniczny kochanek**

Tak więc przybyliśmy na Madagaskar, będący kiedyś schronieniem dla piratów.

Vincent wprowadził nas do zamaskowanej, głębokiej zatoki, strzeżonej od strony morza przez dwa wysokie cyple. Miejsce nazywało się Keyhole. Wejście do niego było wąskie, trudne do wytropienia z otwartego morza i chronione długimi rafami.

Broom stanął na dziobie z lunetą w ręku i popatrzył na białą, szeroką plażę oraz ciemnozielone wzgórza, rozciągające się w tle. Rozsunął lunetę i przyłożył ją do oka, przypatrując się urwistym szczytom.

– Para dział i to miejsce będzie trudniejsze do zdobycia niż port w Portsmouth. Dobra robota. – Uśmiechnął się do swego pierwszego oficera i objął go ramieniem. – Nadaje się. Bardzo dobrze się nadaje.

Wydał rozkaz, aby zwinąć żagle i zrzucić kotwicę. Następnie kazał spuścić łódź i przyплыliśmy na brzeg. Brnąc w piachu, szliśmy wzdłuż rozległej plaży, aż dotarliśmy do prymitywnej pochylni dla łodzi, wykonanej z rozłupanych desek, od której odchodziła ścieżka w górę urwiska. Ścieżka była częściowo rozmyta przez podplywającą wodę i w całości zarośnięta, jednak nadal pozostały ślady jej dawnego ukształtowania. Wyrąbane w urwisku schodki były płytkie i szerokie, a ich krawędzie umocniono ociosanymi kamieniami oraz grubymi deskami. Z trudem wspinaliśmy się w górę. Vincent i jego ludzie torowali nam drogę, wycinając szablami krzewy. Vincent bardzo

dobrze znał to miejsce. Zapewniał nas, że nad zatoką znajduje się wioska piratów.

Na szczycie urwiska ścieżka przechodziła przez wysoki wał obronny, teraz częściowo zniszczony, na którym stały resztki grubej palisady. Drewniana brama została odrzucona na bok, ale szczelina nadal była tak wąska, że musieliśmy przez nią przechodzić pojedynczo. Ze szczytu wału rozciągał się dobry widok na zatokę. Od morza wiała równomierna bryza, przyjemnie ochładzająca nasze spocone wspinaczką ciała. Po prawej stronie naszym oczom ukazała się platforma do dział, po lewej następna, nad którą górowało skorodowane działo, które kiedyś najwyraźniej było wycelowane w zbliżających się do obozowiska, a teraz leżało z lufą skierowaną w niebo.

Na polanie, która otworzyła się przed nami, spodziewałam się ujrzeć jakieś zabudowania, ale zobaczyłam jedynie teren zarośnięty płożącymi się po ziemi roślinami i na nowo kiełkującą roślinnością. Las z wolna odzyskiwał to, co kiedyś do niego należało. Nigdzie żadnego śladu domów.

Broom rozejrzał się wokół, trzymając rękę na szabli.

– Grozi nam jakieś niebezpieczeństwo ze strony tubylców? – zapytał, patrząc na Vincenta, jako że był to jego ojczysty kraj.

Vincent roześmiał się.

– Żadne. To całe miejsce jest *fady*. Ludzie go unikają.

– *Fadi*? – Broom zmarszczył czoło. – A co to znaczy? Teraz z kolei Vincent zmarszczył czoło i wydał policzki. Nie było mu łatwo

wytłumaczyć znaczenie tego słowa. Przede wszystkim oznaczało coś zakazanego, jak na przykład noszenie kapelusza w kościele albo kobietę, która gwizdże na statku, ale również coś więcej, coś nieczystego jak zjedzenie szczura lub psa.

Marynarze przysłuchiwali się mu z powagą i kiwali głowami, jakby takie rzeczy były im dobrze znane.

– A gdzie są tubylcy? – Broom wciąż ścisnął szablę.

– Mieszkają w pewnej odległości od tego miejsca. Pojawią się, gdy będą gotowi – powiedział Vincent. – Gdy stwierdzą, że nie jesteśmy handlarzami niewolników. Są przyjaźnie nastawieni. – Dotknął dłoni swego kapitana. – To nie będzie potrzebne.

– Ale skoro to była wioska piratów – zapytałam – to gdzie są ich domy?

– Mieszkali samotnie w leśnych ostępach.

Pokazał nam kręte ścieżki, które odchodziły od pustego placu, na którym staliśmy, i wijąc się, wchodziły do lasu. Owe wejścia zostały oznaczone wysokimi żywopłotami, dawno już zamienionymi w poplątany gąszcz. Vincent poprowadził nas do jednego z takich miejsc i, siekąc oraz tnąc gałęzie, utorował nam wejście do jednej z drózek.

– Uważajcie! – zawołał, wskazując na podłoże oraz boki. Minęło dużo czasu, od kiedy ktoś szedł tamtędy, ale długie ciernie oraz ostre kamienie nadal wystawały z ziemi. W otaczającej nas gęstwinie dojrzeliliśmy błyszczące odłamki szkła oraz ostre kawałki metalu, które ocierały się nam o ramiona i nieomal dotykały się nad naszymi głowami.

– A to co takiego? – zapytał Broom. – Bali się tubylców? Ataku?

Vincent roześmiał się.

– Bali się siebie nawzajem.

Piraci mieszkali pojedynczo, niczym pająki, wewnątrz zawilej sieci pułapek i sideł, zastawionych po to, by ostrzegać o każdym zbliżającym się człowieku. Gniatli się w twierdzach, pilnując swojego skarbu przed kompanami.

– Co się z nimi stało?

– Niektórzy wrócili na pirackie statki albo stali się szacownymi obywatelami, uzyskawszy amnestię od rządu.

– A co z tymi, którzy tu zostali?

– Kto wie? Biegunka, gorączka, nadmiar rumu... albo trucizna. – Vincent ponownie się roześmiał. – Nie wszystkim malgaskim kobietom podobali się ich piraccy mężowie. Po jakimś czasie wszyscy wymarli. Mój ojciec tu nie mieszkał – odpowiedział na moje nie wypowiedziane na głos pytanie. – Mieszkał z moją matką w jej wiosce. Piraci odeszli, albo umarli jeden po drugim, aż w końcu miejsce to opustoszało.

Rozglądając się dookoła, rozmyślaliśmy o piratach z dawnych lat. Żyli w ciągłej nieufności, nasłuchując, czy nie nadchodzi wróg, aż w końcu przyszła po nich śmierć, stawiająca ciche kroki, niewrażliwa na ostre kamienie oraz kłujące ciernie.

Nagle las wypełnił się zwielokrotnionymi wrzaskami o niesamowitym brzmieniu. Dźwięki były żałosne i tęskne, jakby błąkające się dusze zmarłych piratów wołały jedna do drugiej, a także

do nas. Wszyscy drgnęliśmy, słysząc ten hałas. Mężczyźni rozglądali się dookoła, nasłuchując coraz to nowych głosów z pobladyli ze strachu twarzami.

Vincent uśmiechał się, widząc nasz popłoch, choć zauważyłam, że on też drgnął, gdy rozległ się pierwszy wrzask.

– Indri – wskazał czarnobiałe stworzenia, przemykające wśród koron drzew. – To takie zwierzę – zastanowił się przez chwilę – podobne do małpy. Nazywamy je ojciec-syn.

Powiedziawszy to, zabrał się do wyrąbywania drogi do pirackiej siedziby na końcu krętej ścieżki. Była to zaiste mała twierdza otoczona rowami oraz wałami obronnymi. Solidnie ją zbudowano. Nadal trwała nie zniszczona. Broom stanął na ganku z uśmiechem zadowolenia na twarzy i zaczął odgarniać pajęczyny tak samo energicznie, jak przegoniłby lęki starych piratów czy uporeczywie podtrzymywane przesady. Liczyło się jedynie to, że były to solidne i dobrze umiejscowione domy.

– Jeśli pozostałe domy wyglądają tak samo jak ten, to mamy połowę sukcesu, panowie.

Na radzie załogi statku Broom oświadczył, że wioska piratów nadaje się do zamieszkania. Zatoka była wystarczająco głęboka, aby wpłynęła do niej nawet flota, i dobrze zamaskowana od strony morza.

– Posłuchajcie, chłopcy. To jest miejsce, gdzie możemy złożyć nasze głowy i nareszcie odpocząć – powiedział do marynarzy. – Są tam chaty, które z łatwością staną się miłe i przytulne i których nie sposób zobaczyć od strony zatoki. Jeśli zdarzy się, że ktoś do nas

zawita, wtedy będziemy mieć forty tam, tam i tam – dodał, wykonując kolisty ruch ręką i wskazując na szczyt urwiska oraz cyple. – Każdy wróg może być pewien gorącego powitania. Wyślemy go prosto do królestwa niebieskiego. – Po tych słowach tu i tam rozległy się okrzyki aplauzu. – A my będziemy sobie wygodnie żyli w normalnych domach i spali w łóżkach, a nie w rozhuśtanych hamakach. I przypuszczam, że miejscowe panie przyjdą do nas z wizytą, jak tylko dowiedzą się, że tu jesteśmy.

Statek wyciągnięto na plażę i kilku marynarzy zaczęło się wokół niego uwijać. Reszta mozolnie wspięła się na urwisko, żeby wyciąć roślinność, oczyścić ścieżki do domostw, wykorzenić żywopłoty, wyrównać wały, zasypać rowy oraz naprawić i wzmocnić domy. Marynarze potrafią wykonywać najróżniejsze prace, toteż wkrótce las wypełnił się stukaniem młotków, a centralna polana zamieniła się w plac budowy.

Gabriel, cieśla, dreptał od jednego miejsca robót do drugiego. Po tygodniu statek był czysty i zdatny do żeglugi, a osada zaczynała przypominać typową wioskę. Pod koniec drugiego tygodnia mogliśmy się już wprowadzać do naszych nowych domów.

Tamtejsza okolica wybornie nadawała się do zamieszkania. Poza dogodnym miejscem do zakotwiczenia statku oraz systemem obronnym, był tam dostatek słodkiej wody oraz żywności. Wszędzie dookoła rosły drzewa owocowe, po lesie biegało rodzime ptactwo oraz stada dzikich świń.

Przez cały czas nie widzieliśmy nikogo z tubylców, nawet

najmniejszego śladu ich obecności, aż pewnego dnia Robbie, chłopak pracujący z Gabrielem, wybiegi z krzaków, dokąd poszedł, żeby sobie ulżyć, krzycząc, że znalazł cmentarzysko. Znajdowało się na zboczu zwróconym w stronę morza i było otoczone płotem dla bezpieczeństwa przed wszędobylskimi świniami. Miejsca pochówku znaczyły krzyże oraz nierówne głazy. Na niektórych wyryto daty, miejsca urodzin, nazwiska, inicjały.

R. T.

*Bristol*

*Zm. 1706*

*Kapitan H. Jones*

*M'fd H'ven*

*Opuścił tę ziemię w 1702*

Mężczyźni stali przez chwilę z odkrytymi głowami, patrząc na miejsce, na którym pochowano ich kamratów. Potem wzięli się do pracy. Starannie usunęli chwasty i zeskrobali mech z napisów. Wycięli nowe krzyże i postawili je w miejsce powalonych i przegniłych. Pracowali cały dzień, odstawiając na bok inne zajęcia. Skończyli o zachodzie słońca.

Gdy przyszli na cmentarz następnego dnia, zobaczyli, że ktoś zasadził tam pnący się melon. Wtedy Malgaszowie wyszli ze swoich kryjówek. Ich wódz wysunął się przed innych, żeby nas powitać i podziękować nam za troskę o naszych przodków, mając na myśli



naszych pirackich poprzedników. Vincent przetłumaczył, że nasze przybycie ich ucieszyło, ponieważ owe nieszczęsne, nie mogące znaleźć zadośćuczynienia duchy, przestaną się błąkać i niepokoić żywych. Teraz nareszcie zaznają spokoju.

Vincent wyjaśnił nam, że Malgaszowie otaczają zmarłych czią do tego stopnia, że wykopują swoich przodków i tańczą z nimi. Jednak nasi zmarli piraci mieli pozostać nietknięci pod ziemią. My zaś otrzymaliśmy od nowych sąsiadów błogosławieństwo, co dobrze wróżyło naszej osadzie na przyszłość.

Kraina, w której zamieszkaliśmy, była bardzo przyjemna. Niczego nam nie brakowało. Klimat był łagodny, powietrze aromatyczne, zarówno rano, jak i wieczorem, nasycone wonią drzew przyprawowych oraz leśnych kwiatów. Malgaszowie okazali nam przyjaźń i byli gotowi do pomocy, a nawet do usługiwania nam, ponieważ chroniliśmy ich przed przyływającymi na wyspę handlarzami niewolników, a także przed innymi plemionami, które mogłyby ich pojmać, żeby później sprzedać jako niewolników.

Vincent udał się do swojego plemienia, które przeniosło się w głąb wyspy z powodu grasujących na wybrzeżu handlarzy. Chciał pomieszkać jakiś czas ze swoim ludem. Po powrocie przyszedł odwiedzić mnie w domu, który dzieliłam z Minervą. Nasze domostwo było prostym, parterowym budynkiem, posiadającym jedynie dwie izby, jedną do spania, a drugą do spędzania czasu w ciągu dnia oraz do spożywania posiłków, ale było widne, przestronne i miało werandę z widokiem na morze, co bardzo doceniałyśmy po życiu na statku w ciasnocie. Właśnie leżałam w hamaku na werandzie, gdy pojawił się Vincent. Pomyślałam, że przyszedł zobaczyć się z Minervą, więc powiedziałam mu, że ona śpi, ponieważ była to właśnie ta pora dnia.

Pokręcił głową.

– To z tobą chciałem się zobaczyć – powiedział.

Poprosił, żebym się z nim przeszła. Miał zamiar powiedzieć mi coś osobistego, więc nie chciał, żeby ktoś nas podsłuchał.

Zeszliśmy ścieżką o nierównych stopniach do ogrodu. Próbowałam okiełznać las poprzez sadzenie roślin na tarasach i obudowywanie ich murkami, ponieważ nigdy w życiu nie widziałam takiego piękna ani takiej bujności. W lesie rósł imbir, goździki, cynamon, wanilia, galgant. Orchidee o miękkich języczkach wydzielały odświeżającą słodycz o poranku i ciężki zapach wieczorem. Zapytałam Vincenta, czy nie byłoby cudownie, gdyby te rośliny rosły w ogrodzie? Byłoby jak w raju.

Odpowiedział, że raj nie jest po to, by go okiełznać, i że nie powinnam próbować.

Znaleźliśmy cienisty kącik i usiedliśmy na powalonym drzewie. Tam Vincent otworzył przede mną swoje serce. Pragnął pomówić o Minervie: o swej wielkiej miłości do niej, która narodziła się w chwili ich pierwszego spotkania, o tym, jak ta miłość wzrastała, jak się umacniała dzięki wspólnym przeżyciom, aż doszła do punktu, w którym Minerva była wszystkim, czego pragnął. Wypełniała każdą jego myśl na jawie i we śnie. Vincent opowiedział o Minervie swojej matce oraz swojemu ludowi, ponieważ pragnął ją poślubić. Czy uważam, że zgodzi się z nim tu zostać i porzucić wędrowne życie?

Nie od razu mu odpowiedziałam. Od dłuższego czasu czułam, że ten moment się zbliża, niczym żagiel na horyzoncie. Jego słowa w równej mierze napęliły mnie radością, jak i bólem. Przyzwyczaiałam się do życia z Minervą jako bliską i drogą memu sercu przyjaciółką. A teraz to wszystko miało się zmienić.

– Dlaczego pytasz mnie, a nie ją? – zapytałam go po chwili.

– Jesteś jej bardzo bliska i w jej sercu zajmujesz pierwsze miejsce – odrzekł. – Kocha cię bardziej niż kogokolwiek innego. Rzadko się zdarza taka miłość. Jesteś dla niej droga niczym klejnot. Twoje szczęście jest jej szczęściem. Jeśli zechcesz stąd odejść...

– To ona odejdzie ze mną? – Pokręciłam głową. – Wątpię w to. Jej tu się podoba. Myślę, że bez względu na to, co ja postanowię, ona tu zechce zostać. – Położyłam moją dłoń na jego ręce. – Wiem, że ona cię kocha, Vincencie. Tak samo jak ty ją. Jej szczęście jest również moim szczęściem. Minerva i ja jesteśmy siostrami. Miałyśmy tego samego ojca.

– Ach! – wykrzyknął, jakby moje oświadczenie wiele mu wyjaśniło. – Dlaczego nic nie powiedziała?

– Matka kazała jej przysiąc, że nikomu tego nie powie. Mnie też długo nic nie mówiła...

– Rozumiem! Rozumiem!

– Zatem już wiesz, czym jesteśmy. Siostrami. I jako jej siostra powiadam ci, że musisz do niej pójść. A gdy wszystko jej powiesz – uśmiechnęłam się do niego – to myślę, że nie sprawi ci zawodu.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, jednak zaraz potem Vincent ponownie spochmurniał.

– Jest jeszcze jedna rzecz. Myślisz, że Broom zechce udzielić nam ślubu?

Roześmiałam się w głos. Był to jedyny obowiązek kapitana, którego Broom jeszcze nie wykonał.

– Myślę, że będzie zachwycony. A teraz idź. Minerva na pewno już

wie, że tu jesteś, i zastanawia się, co cię zatrzymało.

Chwycił moją dłoń, uśmiechając się z ulgą i wdzięcznością, po czym pobiegł w górę zbocza w kierunku naszego domu. Przeskakiwał murki i tarasy, biorąc po dwa stopnie naraz.

Zeszłam w dół, żeby pospacerować wzdłuż brzegu. Do domu wróciłam dopiero, gdy zachodziło słońce i nadchodziła noc. Gdy weszłam, Vincenta już nie było, ale tak szczęśliwej Minervy jeszcze nie widziałam. Wprost promieniała ukontentowaniem. Nie powiedziałam jej, że już wiem, bo to by jej zepsuło przyjemność. Postanowiłam poczekać, aż sama mi to powie. Usiadłyśmy na werandzie i patrzyłyśmy, jak słońce stopniowo się zniża. Od strony ogrodu zaczęły napływać zapachy, a wśród kwiatów migotały blade ćmy. Radość Minervy sprawiła, że ponownie mogłam śnić i mieć pewność, że będą to nie ponure sny o czarnych statkach, ale o tęsknocie i spełnieniu. Pobyt w tej cudownej krainie przywrócił nam młodość. Wzorem wszystkich młodych dziewcząt, do późna rozmawiałyśmy o miłości oraz o naszych nadziejach na przyszłość.

Szczęście Minervy było zaraźliwe. Zbliżała się pora jej ślubu, więc każdy dzień poświęcałyśmy na przygotowania. Broom oświadczył, że z radością wykona swoje urzędowe obowiązki, jak to ujął. Ludzie z wioski Vincenta obiecali przyjść i wziąć udział w uroczystości. Życie byłoby cudowne, gdyby nie to, że wróciły sny o czarnym statku. Gdy śnił mi się poprzednio, miał jedynie niewyraźną postać. Teraz nabrał konkretnych kształtów, a moje sny stały się bardziej przerażające, ponieważ widziałam siebie na pokładzie.

Śniło mi się, że stałam przy balustradzie ciemnego statku, żeglującego pod czarną flagą bez żadnego emblematu. Znajdowałam się pośród najdziwniejszej załogi, jaka kiedykolwiek wyruszyła razem na morze. Był tam Edward Teach, Kapitan Kidd, Galico Jack Rackham oraz Black Bart Roberts. Pływaliśmy po nieznanym oceanach, kierując się według położenia gwiazd, których nigdy nie widziałam. W uszach brzmiał mi huk dział i krzyki umierających. Szłam po pokładzie śliskim od rozlanej krwi, niepewna, czy sól na moich wargach to woda czy krew.

*Jestem tu.*

Wysyczał mi te słowa do ucha, a na szyi poczułam jego zimny oddech, mrozący mnie tak bardzo, jakbym wpadła w ciemne wody pokrytego lodem oceanu.

Obudziwszy się z trudem, leżałam z oczami szeroko otwartymi z przerażenia, zupełnie niezdolna, żeby się poruszyć. Moja skóra zrobiła

się lepka i wilgotna, jakby zajrzała mi w oczy śmierć. Zdawało mi się, że wiszące przy moim łóżku siatkowe zasłony spowijają mnie niczym całun. Nawet nie byłam w stanie przywołać Minervy. Czekałam do czasu, aż owady, ptaki oraz inne leśne stworzenia zaczną brzęczeć, szczebiotać, pohukiwać i nawoływać się wzajemnie. Wtedy wstałam i poszłam ścieżką poprzez drzewiaste paprocie w kierunku morskiego brzegu. Szłam po zimnym piasku, wpatrując się w ciemny ocean, czekając na chwilę, w której słońce ukaże się niczym ogromna perła na odległej linii horyzontu. Jakie znaczenie miały moje sny? Zadrżałam na całym ciele i szczelniej otuliłam się szalem. Czy Brazylijczyk nadal mnie szuka? Czy mnie znajdzie? Czy już tu jest?

Wielokrotnie słyszałam opowieści o holenderskim statku, bardzo podobnym do tego, który mi się śnił, o którym mówiono, że sieje grozę na Oceanie Południowym. Jego kapitanem był pochopnie i ryzykownie postępujący człowiek, który próbował opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei w czasie najstraszniejszej z burz. Był głuchy na błagania załogi oraz pasażerów i w końcu sam Bóg Wszechmogący zjawił się na jego pokładzie w odpowiedzi na modlitwy ludzi obecnych na statku. Kapitan nawet nie dotknął swej czapki, tylko strzelił do Niego, klnąc i bluźniąc: „Tu jest tylko jeden kapitan!”, po czym krzyknął, żeby Wszechmogący odszedł. Statek nazywał się „Latający Holender”. Został skazany na żeglugę aż do dnia Sądu Ostatecznego. Wielu widziało przelotnie ten upiorny statek, jak pływał na rozszalałym w czasie sztormu morzu lub jak nagle wyłaniał się z mgły. Opowiadano sobie o martwych ludziach na ożaglowaniu,

martwych ciałach oficerów dowodzących, o przerażającej ciszy wokół żagli. Historia ta znakomicie nadawała się do opowiadania przy rumie i przy płomieniach ogniska, skaczących wysoko w aksamitną czerń nocy. Ale była to jedynie bajka, powtarzałam sobie. Możliwe, że moje sny były tego samego rodzaju – tak samo nierzeczywiste jak historie, które żeglarze opowiadali dla zabicia czasu.

Mniej więcej to samo powiedziałam sobie, wracając do domu w świetle rodzącego się poranka. Postanowiłam, że nie pozwolę, aby jakiś cień przysłonił szczęście Minervy.

Nie trzeba było długo czekać, aby Broom rozpoczął nową działalność. Przed upływem kilku tygodni od naszego przybycia na wyspę ponownie stał się uczciwym kupcem, podobnie jak czynił to w Ameryce. Nabył piękny statek, wcześniej kursujący pomiędzy Holandią a Indiami Wschodnimi, i nazwał go „New Fortune”. Krążył od Kapsztadu do Zanzibaru, zawijając do portów w Mozambiku oraz na wyspach Johanna i Komory. Handlował przyprawami, złotem, kością słoniową, szlachetnymi kamieniami i jedwabiem, jednym słowem wszystkim z wyjątkiem ludzi. Swe towary sprzedawał kupcom z Anglii, Holandii, Portugalii, Hiszpanii i Francji. Sprzedawał każdemu, kto miał pieniądze lub ten rodzaj towaru, na którym mu zależało, a zależało mu na tym, czego brakowało na Madagaskarze i na wybrzeżu Afryki. Zatoka w Keyhole zamieniła się w port. Od plaży aż do głębokiej wody biegł w morze pirs. Wkrótce zaczęły przyplływać do nas inne statki.

– Spójrzcie, kogo tu mamy! – powiedział Broom, wchodząc



pewnego dnia do naszego domu i prowadząc ze sobą młodego człowieka. – Jego statek przybył tu po świeżą żywność. Jesteśmy do usług!

Jego towarzyszem był Tom Andrews, młody nawigator, który opuścił nas na „Fortune”. Nosił znak Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ledwie go poznałam pod złotawą brodą, którą zapuszczał.

Przywitaliśmy się z nim i zaprosiliśmy na werandę. Minerva poszła przygotować trochę ponczu, a Vincent poczęstował go tytoniem ze swego kapciucha. Gdy już się wygodnie rozsiadł, zapytaliśmy go, jakie przywozi wieści.

– Doktor Graham wywiesił swój lekarski szyld w Londynie i rozpoczął praktykę. Ucieszy się, gdy mu powiem, że was odnalazłem. Powiadomię go, gdzie jesteście.

– A masz jakieś wiadomości o pozostałych? Andrews zawahał się, a jego oblicze spoważniało.

– Obawiam się, że nie są dobre.

– Co się stało? – Wszyscy pochyliliśmy się, żeby go wysłuchać.

– Chodzi o Halstona i pozostałych z „Fortune”. Wysadzili mnie na Zielonym Przylądku, skąd popłynąłem do Anglii, opowiadając, że zostałem uprowadzony przez piratów, ale że jakoś udało mi się uciec.

– Uśmiechnął się. – Co jest bliskie prawdy i nadaje się do opowiedzenia kompanii. Ale wkrótce po tym, jak przybyłem do Londynu, doszły do mnie wieści z Indii Zachodnich. Statek Halstona został zmieciony z powierzchni morza tuż po tym, jak ich opuściłem. Prawie od razu, jak zaczęli piracką działalność.

– Marynarka? – zapytał Broom, wyrzucając zawartość fajki do ogrodu.

– Nie. – Andrews pokręcił przecząco głową. W świetle lampy jego włosy zalśniły złotym blaskiem. – To nie marynarka. To łowca piratów. Zachowuje się tak, jakby miał żelazny list.

– Żelazny list? – zapytałam. Nie spodobało mi się brzmienie tej nazwy. – Od kogo?

– A kto to może wiedzieć? – powiedział Broom ze wzruszeniem ramion. – Od rządu Jego Królewskiej Mości albo Francji, Holandii czy Portugalii. Oni wszyscy boją się nas i nienawidzą jak diabła.

– Może jest opłacany przez którąś z kompanii – zasugerował Vincent. – Wschodnioindyjską albo Królewską Afrykańską.

– Możliwe – powiedział Andrews, kiwając potakująco głową. Broom parsknął.

– Moim zdaniem to są właśnie prawdziwi piraci. – Wskazał Andrewsa cybuchem swojej fajki. – I powtórzę to, choć dla nich pracujesz. – Wziął szczyptę tytoniu z kapciucha i ubił ją kciukiem w główce fajki. – Bukanierowi może płacić każdy albo nikt. Możliwe, że on robi to tylko dla własnej przyjemności.

– Pomijając powody, dla których to robi – Andrews popatrzył na nas – to jedno jest pewne. Jest łowcą piratów i nie okazuje żadnej litości. Jak tylko wypatrzy czarną flagę, atakuje ogniem ze wszystkich dział. Jeśli weźmie kogoś żywcem, to zabija go na pokładzie i wyrzuca za burtę. Uśmierca więcej piratów niż marynarka. Ale chodzą słuchy, że poszukuje tylko jednej załogi. Tej, która służyła na pewnym

statku i pod pewnym kapitanem.

– O. – Broom wyglądał na zaintrygowanego. – A kto to taki?

– Pan, kapitanie Broom.

Słońce już zaszło. Wokół osłoniętej lampy unosiły się ćmy, przypalając sobie skrzydełka. Broom popatrzył ponad żółtym kręgiem światła na fioletową czerń oceanu.

– Zawział się na nas, mówisz? – Ponownie zwrócił swoją uwagę na Andrews.

– Co to za człowiek? – zapytałam.

Pomimo ciepła pozostałego po upalnym dniu, poczułam dreszcze, jakby po moich plecach spłynęły strużki wody. Piraci przywykli do tego, że inni ich nienawidzą i na nich polują, ale żeby być tak wyróżnionym? Vincent uciekł wzrokiem w bok. Widziałam po wyrazie jego twarzy, że uważa, że to *vintana*, czyli przeznaczenie, coś, czego nie można uniknąć i przed czym nie można uciec. Myślałam tak samo jak on. Wszystko wskazywało na to, że ściga nas nieuchronny los.

– Na jakim statku pływa? – zapytał Vincent.

– Dużym, najeżonym armatami, ale zbudowanym w dawnym stylu, jakby przyplłynął z przeszłości. Statek jest czarny i ma ciemne żagle. Ma czarną flagę...

– ... bez żadnego emblematu – dokończyłam.

– To prawda. – Andrews wpatrywał się we mnie. – Skąd wiesz?

– Widziałam go.

– Gdzie?

– W moich snach.

Minerva szybko kiwnęła głową, potwierdzając moje słowa. Broom spojrzał na mnie gwałtownie. Spodziewałam się, że parsknie śmiechem, tak jak robił to przedtem, ale tym razem tego nie uczynił.

– Kto to?

– Bartholome.

Byłam zdziwiona, że Broom go nie pamiętał, ale z drugiej strony, dlaczego miałby pamiętać? Bartholome często zajmował moje myśli, ale Broom najwidoczniej całkiem o nim zapomniał.

– Ten Brazylijczyk? – Broom spochmurniał. – Myślałem, że się go pozbyliśmy raz na zawsze, gdy opuściliśmy Amerykę. Sądziłem, że zaprzestał pościgu i wrócił na Jamajkę. Brazylijczyk! A niech to lichy!

– Gdzie go widziano? – zapytał Vincent.

– Przebył drogę z Afryki na Karaiby i z powrotem, szukając wszelkich śladów – odpowiedział Andrews.

– Jak może nas odnaleźć na tym bezkresnym oceanie?

– Broom odchylił się na krześle i wykreślił w powietrzu kształt globu.

– To tylko kwestia czasu. Prędzej czy później domyśli się, gdzie możemy być – powiedział cicho Vincent.

– Widziano go u brzegów Kapsztadu – powiedział konspiracyjnym głosem Andrews, pochylając się do przodu, jak byśmy byli w jakiejś portowej gospodzie, gdzie ktoś mógłby nas z łatwością podsłuchać. – Kilka statków dostało niezłego pietra, myśląc, że to „Holender”. Ja tam nie wierzę w takie opowieści...

– Wypił poncz jednym haustem i nalał sobie następną porcję.

Broom spoważniał. Był powszechnie znany na tym wybrzeżu. Wszystko zatem wskazywało na to, że Brazylijczyk wkrótce nas odnajdzie. Mógł być od nas zaledwie o kilka dni żeglugi.

– Więc mówisz, że chce mnie dopaść?

Broom był dobrym kapitanem i z całą pewnością mądrym człowiekiem, ale czasami wielką trudność sprawiało mu zobaczenie czegoś poza czubkiem własnego nosa.

– To nie ciebie chce dopaść – rzekłam.

Nie zamierzaliśmy przycupnąć i chować się, czekając, aż znajdzie nas łowca piratów. Broom zwołał całą załogę i wszyscy wyrazili zgodę na jego plan: wyjdziemy mu na spotkanie, wracając do piractwa. Popłyniemy na swoje dawne tereny. Będzie jak za dawnych czasów, czyli z Vincentem jako pierwszym oficerem, Pellingiem jako kwatermistrzem, Phillipsem jako kanonierem. Jednak była jedna różnica. Mieliśmy wypłynąć bez Minervy.

Spodziewała się dziecka. Był to początek ciąży i męczyły ją nudności. Choć Minerva argumentowała, że kobiety w tym stanie już służyły na statkach, to nikt nawet nie chciał jej słuchać. Domagała się, żeby z nami wyruszyć, a nawet zniżyła się, na tyle, na ile pozwoliła jej duma, do błagań, ale nie chciał się na to zgodzić ani Vincent, ani Broom, ani ja.

Wypłynęliśmy na „New Fortune”. Był to ogromny statek, wyposażony w dodatkowe działa, wystarczająco mocny, żeby stawić czoło każdemu przeciwnikowi, a przynajmniej tak sądziliśmy. Pogoda była ładna i mieliśmy sprzyjające wiatry, ale Vincent nie przestawał być ponury. Oparł się o barierkę i patrzył w dół na prute dziobem fale.

– Będzie bezpieczna – odpowiedziałam na jego pytanie. – Brazylijczykowi chodzi o mnie, a nie o nią.

Miałam uczucie, że odpływając z Madagaskaru, zachowujemy się tak samo jak ptak, który ciągnąc skrzydło po ziemi, odciąga lisa od swojego gniazda. Uważałam, że Minerva będzie bezpieczniejsza na

wyspie niż ze mną na statku. Jednak Brazylijczyk nie był lisem, tylko wilkiem morskim.

Broom wystawił podwójne wachty. W każdej minucie dnia i nocy, od lewej do prawej burty i wysoko wśród żagli, wartownicy obserwowali morze aż po horyzont. Wypatrywaliśmy wroga z każdej strony, aż do bólu oczu. Jednak w ciągu kilku dni niczego nie dostrzegliśmy i w końcu zaczęliśmy wątpić w sens naszego przedsięwzięcia, uważając, że nasz trud jest daremny. Możliwie, że Andrews się mylił. Możliwie, że statek, o którym nam opowiedział, to był rzeczywiście „Latający Holender”. Nasza wyprawa była bezsensowna. Mogliśmy przemierzać Ocean Południowy niczym albatros i nigdy nie trafić na Brazylijczyka. Postanowiliśmy wrócić na Madagaskar i tak czekać na jakieś wieści, jeśli w ogóle można się było jakichś spodziewać.

Pojawił się tuż po świcie piątego dnia, gdy przygotowywaliśmy się do powrotu na wyspę.

Noc była spokojna i nawet najmniejszy podmuch wiatru nie poruszał żaglami. Byłam na wachcie. Tak jak zawsze, wpatrywałam się we wschodnią część nieba, czekając z utęsknieniem na rano, na chwilę, w której pierwszy błysk światła przesyje ciemności. Dzień zaczął się od jednego promienia, jak gdyby gdzieś za horyzontem spoczywała świetlna boja. Niebo zaczęło blednąć i powoli maleńki punkt światła zamienił się w ogromną, drżącą kulę, otoczoną chmurami, przesytytymi różem i fioletem.

Świt przyniósł ze sobą mgły, toczące się po powierzchni morza w

naszym kierunku i stopniowo spowijające nas niby całunem. Na naszych twarzach, ubraniach i włosach, a także na pokładzie i balustradach pojawiły się kropelki wilgoci. Nasączone nią żagle ciężko obwisły. Na Południowym Oceanie temperatury czasami bywają naprawdę niskie. Mężczyźni opatulili się szczelniej kubrakami.

– Jasna cholera, jak zimno! – powiedział Phillips, który wyszedł na pokład, aby rozpocząć następną wachtę. – Całkiem jakbyśmy byli na Morzu Północnym! – Odkaszlnął i splunął, po czym wyjął z kieszeni butelkę, pociągnął łyk i zaproponował innym dygoczącym z zimna marynarzom, stojącym wokół niego.

– Zaraz się ociepli. – Vincent ruchem głowy wskazał wschodzące słońce. – Popatrzcie.

Pośrodku chmury ukazał się różany blask, podobny do światła oglądanego przez alabaster.

– Poczekajcie! A to co? – Lawson, jeden z marynarzy, przechylał się przez balustradę i wyciągając szyję, wpatrywał się w mgłę. – To statek! Sami zobaczcie!

Jego wyciągnięty palec zadrżał. Powszechnie znany przesąd mówił, że pierwszą osobę, która zobaczy „Holendra”, spotka śmierć. Pozostali marynarze odsunęli się od niego, jakby już był przeklęty.

W gęstej, kłębiącej się mgle zamajaczył ciemny kształt. W pierwszej chwili wyglądał jak wycięta z papieru i owinięta gazą miniatura statku. Wtem obrócił się i zaczął zmierzać w naszym kierunku, powiększając się z każdą minutą. Szybko wyłaniał się z



mgły pod napiętymi żaglami, jakby chciał nas staranować..

Odsunęliśmy się od balustrady.

– Jak to możliwe, że płynie? – zapytał zdumiony Lawson.

– I na dodatek tak szybko? – Spojrzał w górę na nasze maszty.

– Gdy wiatru w żaglach jest tyle co kot napłakał.

Statek był coraz bliżej. Można było zobaczyć mężczyzn na ożaglowaniu. Kiedyś żagle z pewnością były czarne, jednak z czasem wypłowiwały i teraz miały rdzawy odcień, taki jaki ma zaschnięta na płótnie krew. Wszyscy wiedzieliśmy, że powinniśmy działać. Że powinny paść rozkazy. Że marynarze powinni je wykonać. Jednak nie działało się nic. Nikt nic nie zrobił. Nikt nic nie powiedział. Staliśmy, jakby sparaliżowała nas wszechobecna mgła. Jedynym dźwiękiem był plusk odbijających się od dziobu fal.

W końcu Vincent przerwał ciszę i naszą niemoc. Krzyknął, aby sprowadzić Brooma. Kapitan wyskoczył na pokład, wpychając koszulę w bryczesy i wrzeszcząc, aby mężczyźni wspięli się na ożaglowanie i rozpostarli każdy cal żagli.

– Obrócić statek! Do licha! Obrócić go! – ryczał na sternika.

– Chyba nie chcemy nadstawiać im naszej najszerzej strony! Gdy sternik usiłował spełnić jego rozkaz, statek stęknął i zadygotał. Pozostając w tej pozycji, stanowiliśmy dla wroga dogodny cel. Musieliśmy ustawić się do niego rufą albo dziobem w dziób.

– Nie mogę go ruszyć z miejsca – jęknął sternik. – Ani drgnie!

Wróg nadciągał od strony zawietrznej. Cała nasza prawa burta była skierowana na nadciągający okręt. Jakby w odpowiedzi na nasze

obawy rozległ się huk działa, a z otworów strzelniczych wydobył się obłok dymu. Kula wpadła z pluskiem do wody. Chybiła celu, ale niedużo.

– Kanonierzy! – ryknął Broom. – Na stanowiska! Urządźcie im prawdziwe piekło! – Obrócił się do Vincenta. – Wywiesili jakąś flagę?

– Czarną bez emblematu.

– Dajcie naszą w górę! Pokażemy tym skurczybykom! Jak mi Bóg miły, dowiedzą się, co to znaczy zaatakować czaszkę i skrzyżowane piszczele! – Odwrócił się, żeby krzyknąć w dół statku. – Kanonierzy! Przygotować się do wystrzału!

– Wstrzymaj ich, kapitanie! – krzyknęłam, uczepiwszy się jego ręki.

– Mam ich wstrzymać? – Broom rozejrzał się. – Niby dlaczego? Tamci siedzą już prawie nam na karku!

– Popatrz tam! Na dziób!

Do wystającego z dziobu drzewca była przywiązana Minerva. Ręce miała wykręcone do tyłu. Przez chwilę zdawało mi się, że statek nosi imię „Minerva”, a ona jest galionem, rzeźbą przedstawiającą jej imienniczkę.

Statek Brazylijczyka nacierał na nas, jakby zamierzał nas zmieść z powierzchni wody. Musiał go pchać wiatr, a przecież nie było żadnego wiatru. Ani teraz, ani przedtem. Rdzawe żagle obwisły tak samo jak nasze. Oba statki otarły się miękko o siebie, jakby pilotowali je wytrawni nawigatorzy.

Mgła zaczęła się podnosić i nareszcie znaleźliśmy się w pełnym

słońcu. Na mostku kapitańskim stał Brazylijczyk. Gdy zbliżał się w naszym kierunku, w jego zawieszonym na piersi, wysadzonym brylantami krzyżu promienie słoneczne rozszczepiały się na miliony drobnych promyczków.

– Nareszcie was znalazłem. Nieźle daliście mi w kość. – Kiwnął głową w kierunku Minery. – Jak wam się podoba moje dzieło sztuki?

– Panie, chodzi wam tylko o mnie. – Wysunęłam się przed innych.  
– Puśćcie ją wolno!

– Wszystko w swoim czasie. – Przechylił się przez balustradę. – Najpierw musicie złożyć broń. Rzućcie ją na pokład. Kto nie posłucha, ten zginie.

Strzelcy wyborowi, stojący po jego obu stronach oraz ci na ożaglowaniu, mierzyli do nas z długich muszkietów. Na nasz pokład upadły z brzękiem pistolety, szable, miecze oraz noże. Na dowód, że nasi przeciwnicy nie żartują, padł jeden strzał, potem drugi. Jeden z naszych dostał za ociąganie się z oddaniem broni, drugi za zbyt powolne odpinanie pasa.

Nicznym strumień jeden za drugim ludzie Bartholome'a zaczęli wskakiwać na nasz pokład. Niektórzy z nich rozbiegli się po pokładzie, zbierając porzuconą broń do worków. Piraci odwracali od nich wzrok, ani nawet nie patrzyli sobie nawzajem w oczy. Wzrokiem szukali plam albo sęków w deskach. Wiedziałam, że zżera ich poczucie wstydu, ponieważ skonfiskowano im broń i zostali pojmani bez walki. Byli bliscy załamania. Ludzie Brazylijczyka wzięli ich do niewoli bez najmniejszego kłopotu.

Trzymając nas na muszce i popychając szablami, przeprowadzili nas z jednego statku na drugi. Tam zebrano nas wszystkich na śródokręciu. Załoga Brazylijczyka przeszła wśród piratów, wiążąc ich po dwóch plecami do siebie, niczym kury przeznaczone na targ. Minervę odcięto od drzewca i przyprowadzono do Bartholome'a na mostek kapitański.

Kazawszy jej uklęknąć, chwycił ją za włosy. Następnie wyjął długi, zagięty nóż i położył jego ostrze na jej szyi, mierząc szpicem w jej ucho. Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak podcina jej gardło i leje się krew, czerwona jak naszyjnik, który kiedyś dał mi w darze. Przypomniałam sobie, jak Phillis powiedziała, że widzi na mnie śmierć. A jeśli to nie mnie widziała, tylko Minervę? Kazał mi podejść.

– Co uczynisz, żeby ocalić jej życie?

– Wszystko – odpowiedziałam. – Wszystko, czego ode mnie zażądacie. Absolutnie wszystko.

– Świetnie. – Puścił Minervę i pozwolił jej odejść. – Nie zapomnij swojej obietnicy.

Kazał mi zejść pod pokład i ubrać się w kobiece stroje. Dygotałam z przerażenia, ale wiedziałam, że najważniejsze to nie okazać strachu. Opanowując drzenie głosu, powiedziałam, że pójdę, tylko jeśli Minerva pójdzie ze mną. Potrzebowałam jej do pomocy. Była moją służącą, więc jakże mogłam ubrać się bez niej? Pozwolił mi ją zabrać bez żadnych pytań. Był staroświecki, skostniały w swoich poglądach. Żył w świecie, w którym kobiety nic same przy sobie nie robiły i bez pomocy swoich służących były całkowicie bezradne. Nie przyszło mu

do głowy, że przez ponad rok żyłam wśród mężczyzn, ubrana tak jak oni. Zapewne sądził, że nie zdołałabym przeżyć bez pomocy innej kobiety.

Moje pokoje, bawialnię oraz sypialnia, już były przygotowane. Nigdy przedtem nie widziałam, aby takie apartamenty oddano jednej osobie, nawet kapitanowi nie czyniono takich względów. Pod ścianą stały kufry z moimi rzeczami, jeden z Madagaskaru, drugi z Fountainhead. Na przymocowanym do pokładu łóżu rozłożono jedną z moich sukien. Była to ta sama suknia, którą miałam na sobie w dniu moich szesnastych urodzin na kolacji u Bartholome'a.

Minerva nadal nie mogła przyjść do siebie po ostatnich przeżyciach. Trzęsa się na całym ciele i miała szeroko otwarte oczy. Objęłam ją ramieniem, poprowadziłam do łóża i usiadłam obok niej.

– Przyszli w nocy. Dwa dni po waszym wyjeździe. Zaatakowali nas zniemacka, zanim ktokolwiek się zorientował. Przeszli przez wioskę, zabijając każdego, kto się im przeciwstawił. Obudziło mnie jakieś zamieszanie, ale oni już byli w naszym domu.

Związali mnie, a potem przeszukali pokoje i zabrali wszystkie twoje rzeczy. Nie miałam czasu nawet, żeby wyciągnąć broń...

– Nie myśl już o tym. Co z dzieckiem? Nic ci się nie stało? Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Myślę, że nie. Choć teraz to i tak nie ma znaczenia. To szaleniec.  
– W jej oczach zobaczyłam łzy. – Pozabija nas wszystkich.

Człowiek, który użył kobiety jako galionu, był zdolny do wszystkiego.

– Możliwe – szepnęłam, przytulając ją. – Ale jeszcze nie zginęliśmy. Zobaczmy, jakie możliwości stwarza nam to miejsce. Musimy poznać plac boju.

Drzwi wychodzące na zewnątrz były strzeżone, ale, jak to często miało miejsce na statkach, moja kwatery była częścią większego apartamentu, i z jednego pokoju przechodziło się do następnego, aż dochodziło się do rufy. Nikt nie zastąpił nam drogi, gdy prześlizgnęliśmy się przez składane drzwi do następnego pomieszczenia, którym była nocna kwatery Brazylijczyka. Minerva uniosła brwi, widząc, jak blisko znajdowały się jego sypialnia i moja. Przekradliśmy się obok wielkiego, rzeźbionego i zasłoniętego różową kotarą łoża i przeszliśmy do jego kajuty dziennej. Była tak bogato wyposażona, jakby statek był pływającym pałacem. Ściany były wyłożone grubą boazerią i obwieszane starożytną bronią i zbroją oraz herbami, w połowie pokrytymi patyną czasu, jakby zostały zabrane z jakiegoś wiekowego domu.

Pokój był oświetlony wychodzącymi na rufę oknami, tak ogromnymi, że pasowałyby do reprezentacyjnej kajuty każdego admirała. Pod jednym z nich stało wielkie biurko zarzucone mapami, z boku miało swe miejsce astrolabium, globus i kompas. Przy biurku stało wielkie, rzeźbione krzesło, zwrócone w stronę okna, jakby mieszkaniec tego apartamentu w równej mierze lubił patrzeć na morze, jak i studiować mapy. Uznałyśmy, że już dość zobaczyłyśmy. Na palcach wróciłyśmy do mojej kajuty.

Służący przyniósł rubiny, które dostałam w prezencie tak dawno temu. Z pewnością Brazylijczyk musiał przeszukać wszystkie moje rzeczy, aby je znaleźć. Było jasne, że mam nałożyć tę samą suknię, którą miałam na sobie w dniu urodzin. Uznałam, że to dziwne. Zagadkowe. Jakby nie istniał dla niego upływ czasu. Nie spieszyłam się z ubieraniem. Przeciągałyśmy je tak długo, jak tylko to było możliwe, próbując odgadnąć jego zamiary, starając się wniknąć w jego myśli. Jeśli chciałyśmy go pokonać, musiałyśmy go przechytrzyć. Każdy inny sposób skazywał nas na niepowodzenie. To była nasza jedyna nadzieja.

Przez tyle miesięcy żyłam w strachu przed nim, jednak teraz, gdy nadszedł ten moment, zupełnie przestałam się go bać. Tak samo czułam się przed atakiem na inny statek. Stałam na rozdygotanych nogach i robiło mi się niedobrze, gdy statki zbliżały się do siebie, ale kiedy już zaczynał się podbój, byłam nieustraszona.

Nałożyłam suknię, zanim zostałam wezwana. Z przodu miała duży dekolt. Minerva ściągnęła górę tak mocno, jak tylko dała radę. Moja twarz została przypudrowana, policzki muśnięte różem, włosy ułożone i wysoko upięte. Byłam w bojowym rynsztunku.

– Jak wyglądam? – szepnęłam do Minervy.

– Cudownie! Nie będzie w stanie oderwać od ciebie oczu. Tak samo jak Thornton!

Włożyłam kolczyk w ucho, a ona zapięła mi naszyjnik. Od jego

zimnego dotyku dostałam gęsiej skórki. Włożyłam palec pod twardą krawędź ze złota, próbując trochę odsunąć go od szyi. Czułam się tak, jakby naszyjnik mnie dusił.

Minerva chwyciła mnie za dłonie i delikatnie opuszczała wzdłuż moich boków.

– Nie dotykaj go w jego obecności.

Brazylijczyk siedział w swojej kajucie na rzeźbionym krześle, opierając ręce na szerokich, wygiętych oparciach, i patrzył na widok, który roztaczał się z ogromnych okien. Dłonią pełną pierścieni dał mi znak, abym stanęła przed nim plecami do okna. Mężczyzna, który mnie przyprowadził, został odprawiony.

– Nareszcie cię mam! – Odchylił się na krześle, przyglądając mi się badawczo, niczym łupowi zdobytemu na morzu.

– Mam nadzieję, panie, że nie jesteście rozczarowani.

– Wprost przeciwnie, moja droga. Dzięki temu, że kazałaś mi się szukać, podobasz mi się jeszcze bardziej.

– Co ze mną teraz uczynicie?

– To, co zamierzałem od początku. Zabiorę cię i poślubię. Ale nie sądzę, że wrócimy na Jamajkę. Zbyt dużo tam wiadomo o twoich losach. Nie. Zabiorę cię do Ameryki Południowej. Może do Brazylii, do Sao Lufs. Mam tam dom. Moja siostra będzie ci dotrzymywać towarzystwa, ponieważ ja często wyjeżdżam. Jest też druga ewentualność – uśmiechnął się dobrotliwie, jakby obiecywał mi usłaną różami przyszłość, ale w jego oczach czaiło się okrucieństwo. – Mam również interesy w Manaus, w górze Amazonki, możliwe więc,



że zabiorę cię właśnie tam.

A więc miałam być zamknięta w domu z jego siostrą albo wysłana do amazońskiej głuszy. Bartholome uśmiechnął się szerzej. Dobrze wiedział, że nie spodoba mi się żadna z tych możliwości, ale postarałam się, aby nie okazać żadnej reakcji, żadnej emocji. Chciałam, żeby musiał się domyślać.

– A co z moimi towarzyszami?

– Z tym pirackim motłochem, z którym podróżowałaś? – Wyprostował się, żeby sięgnąć po nóż, który leżał na biurku. – Wylecą przez burtę jako pokarm dla ryb.

Ponownie się odchylił z wyprostowanymi plecami, nie spuszczając ze mnie wzroku i bawiąc się nożem. Był to wąski nóż o podwójnym ostrzu, tak doskonale wyważony, że Brazylijczyk był w stanie położyć go na opuszku palca w miejscu, gdzie ostrze spotyka się z rękojeścią, i utrzymać w równowadze. Podrzuciwszy go w górę, złapał za rękojeść i chwycił niczym pałeczkę perkusji, po czym zaczął uderzać czubkiem o wewnętrzną część dłoni.

– Rubiny nadal wspaniale się na tobie prezentują, mimo że twoja skóra nabrała opalenizny. Ale widzę, że brakuje ci jednego kolczyka. – Spojrzał na mnie krytycznie. – Zdejmij go. Nie lubię braku symetrii. Unieś go.

Zrobiłam to, co mi kazał. Kolczyk zawisł na moich palcach niczym kropla krwi.

– Powiedz mi, moja droga, co się stało z tym drugim? Nie spuszczałam z niego wzroku. Jego pytanie wydawało się błahe, ale

nagle uświadomiłam sobie, że z pewnością ma ogromne znaczenie, choć ja nie umiałam go jeszcze pojąć. O takich pytaniach opowiadały niektóre mity. Niewłaściwa odpowiedź oznaczała śmierć.

– Dałam go komuś – odrzekłam.

– Dałaś go dziwce. Czyż nie tak było? – Usiadł prosto, a jego ciało wydłużyło się niczym u węża. – Wielka szczodrość. I do tego całkowicie zmarnowana. Bezzwłocznie opowiedziała mi, jak weszła w jego posiadanie. Była prawie tak samo chętna do gadania jak ten chory z miłości chłopak pokładowy w Nowym Jorku. Bankier był powściągliwy, ale ta cała reszta? Ci twoi dawni towarzysze ze statku, ten naczelnik fortu, który okradliście? Wszyscy z radością opowiedzieli mi o tobie tyle, ile tylko mogli. Każdy ma swoją cenę, ale tego już chyba zdążyłaś się dowiedzieć. – Umilkł i popatrzył na nóż, kołyszący się na opuszku jego palca. – Ufaj kamieniom, pamiętasz moje słowa? One szybko cię zdradzą, moja droga. Tak samo jak dziwki. To piękny kamień. – Zapatrzył się w blask rubinu. – Ale jaki pożytek z jednego kolczyka? Mam drugi od pary. – Wyjął go z kieszonki kamizelki i położył na stole. Wyglądał jak plama krwi między nami. – Choć teraz przyszło mi do głowy, że mogłabyś nosić tylko jeden. Na przykład jako wisiołek. O, tu. – Pokazał nożem. – Pomiedzy twoimi białymi jak lilie piersiami.

Nagle dojrzałam coś, czego nie zdołałam zobaczyć wcześniej. Coś, czego nie zdołałyśmy uwzględnić w naszych planach. Nóż w jego ręku służył do rzucania. Fakt, że nie przyjąłem jego oświadczenia, a potem uciekłam, głęboko go uraził. Wolałam uciec z niewolnikami,

niż go poślubić, żyłam wśród piratów, a prezent, który mi podarował, dałam dziwce. Obraziłam go oraz jego rodzinę ponad wszelką miarę i wcale nie miał zamiaru nigdzie mnie zabierać. Teraz jedynie bawił się ze mną. Zamierzał mnie zabić i to bezzwłocznie.

Przesunął dłoń po rękojeści i uśmiechnął się. Starłam się, aby nie było po mnie widać przerażenia, ale dojrzał je w mojej twarzy, w moich oczach i napawał się tym, że wiem, że moja sytuacja jest beznadziejna. Miał nade mną całkowitą władzę. Mógł mnie zabić i któż by go powstrzymał? Wszyscy piraci byli powiązani na pokładzie jak ptactwo i czekali tylko, kiedy padnie rozkaz, by ich wyrzucić za burtę. Ale był jeszcze ktoś.

Nie dostrzegł jej ani nie usłyszał. Prawdopodobnie całkowicie o niej zapomniał, ponieważ uważał niewolników za niegodnych jego uwagi. Minerva weszła do pokoju przez drzwi za jego plecami, przemykając bezgłośnie z moich pokoi do jego. Nie pozwoliłam, aby mój wzrok choć na ułamek sekundy do niej powędrował. Zaczęłam okazywać większy strach, sprawiłam, że zadrżały mi wargi, jakbym miała zaraz zacząć go błagać, jednym słowem zrobiłam wszystko, żeby jego uwaga była całkowicie skupiona na naszej bezsłownej walce. Minerva zdjęła miecz ze ściany. Jego uchwyt był wystarczająco długi, aby mogła go ująć w dwie dłonie. Jego szerokie ostrze z ostrej jak brzytwa stali z Toledo pokrywały mauretańskie wzory. Chwyciła go obiema rękami, sprawdziła ciężar i wyważenie. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę. Obróciła się w lewo i wzięła zamach niczym kosiarz. Szary metal wykreślił w powietrzu szeroki,

niewyraźny łuk i odciął jego głowę od szyi.

– To był jedyny sposób. – Minerva rzuciła miecz na podłogę i oparła się o krzesło, biorąc głęboki oddech i wzdrygając się na całym ciele. Potem pochyliła się i podniosła jego głowę za włosy. – Teraz musimy pokazać to jego ludziom. Bez niego będą niczym.

Idąc, niosłyśmy krwawe trofeum pomiędzy sobą. Gdy wkraczałyśmy na mostek kapitański, mężczyźni rozstąpili się przed nami. Uniosłyśmy jego głowę wysoko, aby wszyscy mogli ją dobrze zobaczyć.

– On jest już martwy. – W zupełnej ciszy rozległ się głos Minervy.  
– Zabiłam go. Teraz będziecie pod moimi rozkazami.

Nie stawiali żadnego oporu. Uklęknęli przed nią, jakby była królową piratów.

Na statku Brazylijczyka znajdowały się bajeczne skarby. Bale cienkiego jak pajęczynka jedwabiu oraz połyskującego atłasu. Kamienie szlachetne wszelkiego rodzaju: rubiny, szafiry, szmaragdy oraz brylanty wielkości gołębic jaj. Perły w każdym odcieniu: od czarnych i szarych, poprzez różowe i kremowe do najczystszej bieli. Niektóre były już przewiercone, gotowe, by je nawlec, inne były w całości. Niektóre były tak małe, że przesypywały się między palcami niczym ryż, inne idealnie mieściły się w zagłębieniu dłoni jak kula muszkietu. Niektóre były doskonale okrągłe, inne owalne jak jaja mew; ogrzewając się ciepłem ciała, nabierały blasku i subtelnie zmieniały kolor. Takich skarbów znaleziono wiele. Kamienie szlachetne oraz perły wsypano do worków i przygotowano do przeniesienia z jednego statku na drugi. Nasi ludzie złożyli je na pokład niczym worki ziarna lub węgla. Każdy ładunek przedstawiał trud tysiąca istnień ludzkich.

Potem mężczyźni wrócili po resztę: skrzynie ze sztabkami srebra, wysadzone klejnotami puchary i talerze oraz złoty pył, zmielony tak drobno, że w chwili otwierania skrzyń uniósł się obłok i osiadał na spoconych ciałach marynarzy.

Po pewnym czasie statek opróżniono z jego bogactw. Jednak nie wszystko zostało zabrane. Jedwabie i brokaty, które zwykle padały łupem piratów, tym razem porzucono. Przewalały się z wiatrem po pokładzie i zaczepiały się o liny, sprawiając wrażenie, jakby ktoś

wywiesił fatalaszki w jaskrawych kolorach. Przez cały czas obserwowali nas ludzie Brazylijczyka. Wszędzie śledziły nas ich ciemne oczy w ciemnych twarzach. Czekali na to, co z nimi zrobimy.

Głowa Brazylijczyka została zatknięta na drzewcu dziobowym. W ten sposób stał się własnym galionem. Minerva wydała rozkaz naszym ludziom, aby wyrzucili działa do morza i wspięli się na ożaglowanie z nożami w zębach, żeby poprzecinać liny i żagle.

Zamierzałam wyrzucić naszyjnik z rubinami za burtę razem z innymi niechcianymi przedmiotami, ale Minerva chwyciła mnie za rękę.

– Tamto już skończone – rzekła. – Jesteś wolna. – Wzięła ode mnie rubiny i uniosła je w górę. – Teraz to są tylko zwykłe kamienie. – Okręciła naszyjnik wokół nadgarstka. W słonecznym świetle mniej przypominały kolor krwi. Pod wpływem ciepła jej skóry zdawały się nabierać mlecznej delikatności oraz głębi czystej czerwieni. – Są śliczne. Po co zniszczyć takie piękno tylko ze względu na niego? Poza tym – uśmiechnęła się – są bardzo cenne. Musisz je zatrzymać. – Zdjęła je ze swego nadgarstka i zwróciła mnie. Były ciepłe od słońca oraz jej ciała. Minerva położyła swoje dłonie na moich. – Kto wie, kiedy mogą ci się przydać?

Przez chwilę stałyśmy ze złączonymi dłońmi. Statki oddalały się od siebie. Przyszła pora, by się rozstać.

**Tych dwoje  
jest mężem i żoną...**

W drodze powrotnej na Madagaskar klejnoty zostały zbadane co do składu i zważone na wadze zabranej ze statku Brazylijczyka. Każdy kamień wyceniono, opisano i zarejestrowano. Przypadająca każdemu marynarzowi część została zapisana w księdze obok jego nazwiska. Ustalono, że jeden duży brylant był równy tylu a tylu małym brylantom. To, co później zrobił z nim pirat, było wyłącznie jego sprawą. Jeśli miał życzenie roztrzaskać klejnot młotkiem, żeby mieć czterdzieści małych kamieni, to miał wolną rękę. Lup został podzielony uczciwie i sprawiedliwie. Ja wybrałam dla siebie duże kamienie, kierując się ich oszlifowaniem, przejrzystością i pięknem barwy. Tak samo uczyniłam w przypadku pereł.

– Sądzę, że to trzeba uczcić! – obwieścił Broom, gdy podział został zakończony. – Na Boga, tu trzeba nam uczyty! Wy dwie – wskazał na mnie i na Minervę. – Znajdźcie dla siebie odpowiednie stroje. Macie wyglądać jak kobiety. Żadnych wymyślnych fatalaszków. Wy zaś – zwrócił się do marynarzy – wyszorować się i ubrać w to, co zakładacie, gdy wychodzicie na ląd.

Z powrotem na pokład wezwał nas dźwięk dzwonu pokładowego. Cała załoga zebrała się na śródokręciu.

– Panie Crosby. Panno Minervo Sharpe. Zapraszam was do mnie na mostek.

Vincent i Minerva spojrzeli na siebie, niepewni, czego mają się spodziewać. Wyglądało na to, że Broom coś szykuje. Byłam tego



pewna i oni chyba też się tego domyślali. Ton głosu Brooma był donośny i przesadnie uroczysty. Jego twarz wyglądała tak, jakby za chwilę miał się roześmiać. Zaczekał, aż wejdą po schodkach i staną przed nim. Wtedy ze swego płaszcza wyjął Biblię, otworzył ją i położył na niej dwa pierścienie.

– Jak rozumiem, macie zamiar wstąpić w związek małżeński? – zwrócił się do nich obojga.

– Wiesz, że tak – przemówił Vincent.

– A zatem dobrze. Zastanawiałem się nad tą sprawą i nie jestem pewien co do zakresu obowiązków kapitana na łądzie. Jednak z całą pewnością wiem, co kapitan może zrobić na statku. A ponieważ pan Crosby powierzył mi na przechowanie dwa wspaniałe pierścienie, wydaje się, że teraz przyszedł najwłaściwszy moment. – Przypatrzył się obojgu. – Czy zgłaszacie jakieś zastrzeżenia?

Pokręcili przecząco głowami.

– A zatem dobrze. – Rozejrzał się po zgromadzonych. – Czy ktoś zechce być drużbą tej kobiety? – Na te słowa Peliing wysunął się przed innych z szerokim uśmiechem na twarzy. Najwyraźniej uknuli to między sobą. – W porządku, nadasz się. A zatem, panie Crosby, czy bierze pan tę kobietę, Minervę Sharpe, na swoją prawowitą małżonkę?

– Tak...

– I czy ślubuje jej pan miłość, wierność – kontynuował Broom – szacunek i tak dalej, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Vincent przeniósł wzrok z Brooma na Minervę.

– Ślubuję – wymruczał.

– Głośniej – pouczył go Broom. – Chcę, żeby wszyscy to usłyszeli.

– Ślubuję! – wykrzyknął donośnie Vincent.

– Tak już lepiej. A teraz, Minervo Sharpe, czy bierzesz sobie tego mężczyznę na swojego prawowitego męża i ślubujesz mu miłość, wierność, szacunek i posłuszeństwo, dopóki śmierć was nie rozłączy?

Minerva uśmiechnęła się.

– Ślubuję.

– A zatem na mocy władzy, jaką posiadam jako kapitan tego statku, ogłaszam was mężem i żoną. – Spojrzał na zebranych.

– Może nie było według księgi – zamknął Biblię z trzaskiem i uniósł ją w górę – ale czy to ważne? – Uśmiechnął się do Vincenta. – Zostaliście właściwie zaślubieni. Najwyższy czas, żebyś uczynił z niej uczciwą kobietę. No, dalej! Pocałuj ją!

Gdy nowożeńcy objęli się, rozległy się wiwaty i zaczęła się uroczystość. Broom otoczył ramieniem parę młodych, promieniejąc radością, jakby byli jego dziećmi. Był mądrym kapitanem. Wiedział, że po walce i śmierci musi przyjść radość i świętowanie. Czy istniał lepszy sposób, żeby usunąć z naszej pamięci wspomnienie o złym Brazylijczyku i jego tragicznym zgonie, niż ślub?

Marynarze zaczęli się tłoczyć wokół nowożeńców, żeby im złożyć gratulacje. Wkrótce ręka Vincenta była obolała od licznych uścisków, a plecy sine od poklepywania. Pod koniec ledwie mógł ruszać dłonią. Wobec Minervy mężczyźni zachowywali się bardziej powściągliwie, nieomal wstydliwie. Na ich oczach przeszła dużą przemianę: od zwykłego marynarza, poprzez królową piratów do panny młodej. Nie

mieli pojęcia, jak ją traktować. Potrząsali jej dłonią, całowali ją w policzek i odnosili się do niej z najwyższym szacunkiem. Nie padła ani jedna dosadna czy sprośna uwaga, czego można by się spodziewać po takiej załodze. Albo było ich bardzo niewiele. No, ale w końcu rzadko się zdarza uczestniczyć w ślubie, na którym panna młoda może przeszyć gościa szablą. Przynieśli w prezencie, co tylko zdołali znaleźć w skrzyniach. Nie było to złoto czy klejnoty, bo tego młodzi mieli pod dostatkiem. Wręczano skromniejsze dary: srebrną flaszkę do rumu, ładnie wykonany kopciuch do tytoniu, okręt w butelce, małe przedmioty, które wyrzeźbili na morzu.

Minerva całowała i obejmowała ich wszystkich, mówiąc, że są jej braćmi i że ich szczerze kocha. Zdaje mi się, że tu i ówdzie widziałam ocieraną łzę, ale nie można zapomnieć, że do tego czasu polało się już dużo rumu.

Zaczekałam, aż zmaleje ciżba wokół Minervy, ponieważ chciałam powiedzieć jej coś szczególnego. Czekaając na ten moment, powtarzałam sobie wszystko w myślach i nawet przygotowałam małą przemowę o tym, jak bardzo ją Kocham, jak bardzo lubię i szanuję Vincenta, jakim będzie dobrym mężem dla niej i że teraz będę miała nie tylko siostrę, ale również i brata, oraz że życzę im obojgu radości i szczęścia, jakich tylko może zaznać dwoje ludzi na tym świecie. Jednak gdy przyszła moja kolej, wszystkie słowa uleciały mi z pamięci. Objęłam ją tylko, ucałowałam i rozplakałam się na jej ramieniu, a ona płakała na moim.

– A wy, u licha, czemu beczycie? – zapytał Broom, obejmując nas

obie ramionami. – Przecież to jest ślub! Chodźcie, skrzypkowie już stroją instrumenty! Czekamy, żeby Minerva zaczęła pierwszy taniec!

Gdy skrzypkowie zaczęli grać, Vincent i Minerva wyszli na środek. Poncz i rum lały się strumieniami, aż zalśnił od nich pokład. Zabawa trwała jeszcze długo po tym, jak Minerva i Vincent wymknęli się do kajuty przygotowanej specjalnie dla nich przez Abe'a Reynoldsa.

– Jedwabna pościel i tak dalej – powiedział, puszczając do mnie oko. – Spadek po tym brazylijskim dziwaku.

Oparłam się o balustradę i patrzyłam na czarne niebo nocy. Nagle poczułam, że ktoś stanął przy moim boku.

– Zapomniałem ci o czymś powiedzieć. – Przy mnie stał Broom.

– O. – Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. – A co takiego?

– Coś, o czym powiedział mi Andrews, zanim wyjechał. – Spoglądał prosto przed siebie w ciemność. – Powiedział, że spotkał młodego człowieka, służącego w marynarce. Świeżo mianowany na kapitana, jak się dowiedziałem. Było to w „Llandoger Trow”, w twoim rodzinnym Bristolu. Rozmowa zeszła na kobiety i miłość, jak to często ma miejsce wśród pływających na morzu, i ktoś zapytał młodego kapitana, czy ma w ogóle jakąś ukochaną. Na to on odpowiedział, że kocha najpiękniejszą dziewczynę pod słońcem i nie zależy mu, żeby ktoś o tym wiedział. Nie wymienił żadnego imienia, ale oświadczył, że na szyi nosi jej pierścień, a ona nosi jego, i że jeśli nie poślubi tej, to nie zechce żadnej innej. Andrews nie mógł sobie przypomnieć jego imienia. – Broom oparł się o barierkę i popatrzył na

mnie. – Ale ja myślę, że to był William.

– William? – Podniosłam na niego wzrok. – Co drugi marynarz to William.

Broom roześmiał się, rozpoznając własne słowa sprzed wielu miesięcy.

– Nie zostanę długo po tym, jak ich odwieziemy na Madagaskar. Zawracam i płynę do domu. Może popłyniesz ze mną?

Milczałam, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć. Część mnie pragnęła wrócić i odnaleźć Williama, ale czy mogłam opuścić Minervę? Była mi tak droga jak moje własne serce. Poza tym obawiałam się, że jeśli wyjadę, to mogę jej już nigdy nie zobaczyć. Poczułam ból na myśl o uroczystościach weselnych na wyspie, w których nie wzięłabym już udziału.

Broom zdawał się rozumieć, co myślę.

– Ona ma teraz Vincenta – rzekł. – A wkrótce będzie miała dziecko. Jej miejsce jest tutaj i to jest właściwe. Twoje jest gdzie indziej. Ona o tym wie, nawet jeśli ty tego nie wiesz. Życie jest krótkie, przekonałaś się już o tym. I nie należy go zmarnować. Ani jednej chwili. Nadal nosisz jego pierścień?

Skinęłam głową.

– Myślę, że nie powinno być trudno odnaleźć marynarza o imieniu William. Na pewno nie z tymi pieniędzmi, które teraz mamy do swojej dyspozycji. Będiesz go miała, moja droga, nawet jeśli będziemy musieli kupić całą flotę!

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć Minervie. Gdy zaczęło

świtać, nadal stałam na pokładzie, mając za sobą prywatną wachtę. Widziałam, że trzeba podjąć decyzję. Rano już będziemy na Madagaskarze, więc albo teraz, albo nigdy. Tylko jak jej to powiedzieć? Co powinnam zrobić? Dręczące pytania rozbrzmiewały w mojej głowie niczym syrena, a za moimi plecami wschodzące słońce zaczęło zamieniać barwy nieba i wody na bladoróżowy i fioletowy. Jednak ja patrzyłam w kierunku ciemnego lądu, który wylania! się po stronie naszej sterburty niczym jakaś ogromna, przyczajona bestia.

Nagle obok mnie znalazła się Minerva, jakby wyczarowana samym myśleniem o niej. Wyglądała tak, jakby wstała w pośpiechu. Jej twarz wciąż była na wpół zaspana. Miała na sobie luźną, lnianą koszulę oraz zbyt duże bryczesy, ściągnięte wokół jej wąskiej talii szerokim, skórzanym pasem.

– Wiem. Musisz wracać – powiedziała. Odwróciłam się do niej, żeby coś powiedzieć, ale uniosła rękę, żeby mnie powstrzymać.

– Nie rozpaczaj i nie smuć się. Zdążyłyśmy się sobą nacieszyć, a teraz nie mamy na to czasu. Musisz wracać. Zgadzam się z Broomem i doktorem Grahamem. Wiem, dlaczego uważasz, że powinnaś zostać, ale nie chciałabym widzieć cię zasmuconej, nieszczęśliwej i z rozdartym sercem. Nadal kochasz Williama, prawda?

Skinęłam głową.

– Broom utrzymuje, że wie, iż William na mnie czeka. Ale myślę, że Broom mnie okłamuje.

– Dlaczego miałyby to robić? Wzruszyłam ramionami.

– Sama wiesz, jaki on jest. Mówi ludziom to, co najbardziej chcieliby usłyszeć.

– A jeśli nie kłamie? Musisz przestać się bać, Nancy. Na tym polega cały kłopot, prawda? Boisz się mnie opuścić. Boisz się tego, co się stanie, gdy wrócisz.

Kiwnęłam głową, wpatrując się w szybko zbliżający się ląd. Nie byłam w stanie patrzeć jej w oczy. Znała mnie lepiej niż ja sama.

– Kiedy brałyśmy udział w pierwszym ataku, też się bałaś. Roześmiałam się na to wspomnienie.

– Przez cały czas.

– Ale to przewyciężyłaś. Teraz też cię na to stać.

– Ten strach jest innego rodzaju.

– Nieprawda. Strach jest zawsze taki sam. Musisz wrócić z Broomem. Zaryzykuj, tak jak przed atakiem. – Umilkła, wpatrując się w ląd przed naszymi oczami. Pokryte czerwonymi liniami urwiska oraz drzewa wyglądające jak pętle na gobelinie były teraz wyraźnie widoczne. – Będziemy razem, tak jak do tej pory. Jesteśmy siostrami. Zawsze będę z tobą, gdziekolwiek się udasz. I kto wie? Może pewnego dnia morskie szlaki przywiodą cię do mnie i zastaniesz mnie pośród moich bawiących się dzieci.

Zaśmiała się krótko, uśmiechając się do nakreślonego własnymi słowami obrazu. Poczułam się rażniej na duchu. Przywróciła mi nadzieję niczym wiatr, który pojawia się znikąd i napina żagle, a statek obiera właściwy kurs i śpiewnie zaczyna pruć fale.

Choć tyle się między nami wydarzyło, nie czułyśmy potrzeby, żeby

o tym rozmawiać. Przez pewien czas stałyśmy w milczeniu, opierając splecione palce na balustradzie. Wokół nas rozległy się rozkazy. Mężczyźni ciągnęli liny, aby zwinąć żagle, a sternik tak obracał kołem, aby nas bezpiecznie wprowadzić do portu. Portu, w którym miałam ją opuścić.

– Odnajdę Williama – powiedziałam. – A także Phillis. I wrócę do ciebie.

Uśmiechnęła się szeroko, a jej spojrzenie powiedziało mi, że w to nie wątpi.

– Zamierzałam ci to dać wczoraj wieczorem – powiedziałam, wyjmując kolczyki z rubinami z mojej sakiewki. – W ślubnym prezencie.

Wzięła je do ręki. W świetle wczesnego poranka oba zapłonęły ognistą czerwienią, podsycając nawzajem swoje barwy. Minerva dała mi jeden kolczyk z powrotem.

– Noś ten, a ja będę nosić drugi. Dzięki temu pewnego dnia znowu się spotkamy. A teraz wnieśmy toast.

Przyniosła rum i dwa pucharki.

– Za młodość – powiedziała. – I wolność. Powtórzyłyśmy toast piratów niczym uroczystą przysięgę.

– Oraz za łupy – dodała ze śmiechem.

– Jasne, za to też.

Wypiłyśmy i wyrzuciłyśmy pucharki do wody. Minerva oparła się o balustradę. Jej twarz, w połowie oświetlona, w połowie zacieniona, wydawała się doskonała jak rzeźba. Kolczyk z rubinem rozjarzył się



na czerwono, gdy przeszły go promienie słońca. Jej biała koszula wyduła się od porywów orzeźwiającej bryzy, a lśniące czarne włosy uniosły się niczym piracka flaga. Właśnie taką ją zapamiętam.

Gdy tak stałyśmy przy balustradzie, śmiejąc się, naprawdę uwierzyłam, że nie ma rzeczy, której nie byłabym w stanie dokonać.

## Posłowie

Opuściłam Madagaskar wraz z następnym odpływem. Gdy statek zawinął do Kapsztadu, Broom odebrał paczkę listów. Wśród nich znajdował się jeden od Grahama. Doktor pracowicie zbierał dla mnie informacje i dotrzymał obietnicy, że odnajdzie Williama i z nim pomówi, co dało mi nową nadzieję. Ponadto nawiązał znajomość z panem Defoe, którego ocenił jako człowieka wielkiej ciekawości, posiadającego dużą znajomość spraw morza i wykazującego głębokie zrozumienie dla tych, którzy na nim zarabiali na życie, bez względu na to, kim byli. Jak stwierdził Graham, jest to mężczyzna taktowny, bardzo zainteresowany tymi, którzy zostali piratami. Pan Defoe planuje kolejne wydanie swojej książki *A General History of the Robberies and Murders of the Most Notorious Pyrates*. Najwyraźniej czytelnicy są wielce zaintrygowani opowieściami o opryszkach i łobuzach działających zarówno na lądzie, jak i na morzu. Dla osiągnięcia tego celu pracowicie zbierał opowieści od samych piratów, zarówno pojmanych, jak i wolnych, oraz od tych, którzy byli zaangażowani w ich ściganie. Graham już zaczął mu opowiadać własną historię. I właśnie to skłoniło mnie do rozpoczęcia pisania.

Wpłynęliśmy na szlaki morskie prowadzące do Anglii i wkrótce ujrzemy jej brzegi. Muszę się przyznać do uczucia ogromnego podniecenia i oczekiwania, a nawet do wielkiego podenerwowania. Ale jestem zdecydowana i już się nie wycofam. Gdy wpłyniemy do doku w Londynie, udam się do pana Defoe i wręczę mu moje zapiski.

Następnie zamierzam odnaleźć Williama i poślubić go, jeśli nadal będzie mnie chciał. A potem? Możecie życzyć mi szczęścia albo mnie przekląć jako godnego potępienia pirata, ale nie szukajcie mnie. Z całą pewnością popłynę do zamorskich krain.